

Krzywa Sweetmana

Graham Masterton



calibre 0.9.43

GRAHAM MASTERTON

KRZYWA SWEETMANA

KSIĘGA PIERWSZA

WSZECHMOCNY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Był typem człowieka, który może każdego wprawić w zakłopotanie. Wyglądał na ponuraka, złośliwca i choleryka.

Siedział samotnie przy stoliku na małym tarasie Old World Restaurant przy Sunset Boulevard, grzebiąc widelcem w porcji smażonych jaj; na jego twarzy widoczny był grymas głębokiego niesmaku.

Jego niewiarygodnie duży wzrost rzucał się w oczy nawet wtedy, gdy siedział. Miał kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu i lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Nosił czarne dżinsy i trzy ciężkie złote bransolety na przegubie prawej ręki. Ostry nos i wysokie kości policzkowe wskazywały na ormiańskich albo czeskich przodków.

Był piątek. Nad Los Angeles zawisła gęsta mgła wczesnego poranka, a poprzez smog przebijały się ku słońcu jedynie wysokie bliźniacze sylwetki drapaczy chmur Century City.

Po drugiej stronie ulicy widoczny był ogromny zegar świetlny, informujący wszystkich zainteresowanych, że jest godzina dziewięta dwadzieścia siedem, a temperatura wynosi siedemdziesiąt siedem stopni Fahrenheita. Ruch na ulicy był niewielki, monotony, mężczyzna jednak co jakiś czas unosił głowę. Czynił to niemal odruchowo w chwilach, gdy niedaleko przy krawężniku parkowały samochody.

Minęło kilka minut, gdy do klienta zbliżył się młody, Piegowaty kelner. Niósł na tacy dzbanek z kawą.

— Jeszcze kawy, proszę pana? — zapytał. Mężczyzna bez słowa uniósł w jego kierunku filizankę.

— Czy życzy pan sobie czegoś jeszcze? Mamy ciasto naleśnikowe, bułeczki nadziewane jagodami, a także lody w polewie czekoladowej.

Mężczyzna przecząco potrząsnął głową.

Kelner zaczął zbierać brudne naczynia z jego stolika.

— Czy widział pan wczoraj wieczorem najnowszy film Woody’ego Allena? — wciąż chciał nawiązać rozmowę. — Nie mogłem wytrzymać ze śmiechu. Naprawdę nie mogłem wytrzymać ze śmiechu.

Wysoki mężczyzna uniósł głowę. W dwóch lustrach jego przeciwsłonecznych okularów odbiło się dwóch piegowatych kelnerów.

— Rachunek — wyszeptał.

Kelner lekko się uśmiechnął, po czym wzruszył ramionami.

— W porządku — powiedział. — Po prostu chciałem być dla pana uprzejmy.

— Nie widzę takiej potrzeby.

Kelner przez chwilę się wahał, po czym zabrał widelec i nóż, których używał mężczyzna, i szybko zniknął, nerwowo oglądając się za siebie. Mężczyzna wciąż całkowicie go ignorował.

Przełknął łyk gorącej kawy, po czym sięgnął do kieszeni koszuli, szukając papierosów.

Zapalił jednego, niemalże z namaszczeniem, posługując się pudełkiem zapalek z napisem „Benihana’s of Tokyo”. Rozsiadł się wygodniej na krześle, najwyraźniej delektując się smakiem dymu. Zegar po drugiej stronie ulicy wskazywał godzinę dziewiętą trzydzieści.

Mężczyzna nie sprawiał wrażenia osobnika, który o czymkolwiek w tej chwili myśli.

Spoglądał na świat zza lustrzanych okularów z wyrazem twarzy, który mógł świadczyć zarówno o zainteresowaniu, jak i znudzeniu, bólu lub złości.

Właściwie sam nie wiedział, o co mu chodzi.

Czekał jeszcze przez cztery minuty, po czym podniósł się zza stolika i ruszył w kierunku kasy. Roilo się tam od kelnerów przenoszących na tacach desery brzoskwińowe, jaja na bekonie i najprzeróżniejsze napoje. Sala restauracyjna była pełna; starzy bywalcy palili papierosy, żartowali i śmiali się jeden przez drugiego. Mężczyzna położył przy kasie dziesięciodolarowy banknot razem ze swoim rachunkiem, odwrócił się i szybko wyszedł.

Dziewczyna za kasą, nastolatka o jasnobrązowych włosach, skasowała sześć dolarów i dwadzieścia pięć centów, po czym rozejrzała się za kimś, komu mogłaby wydać resztę. Nie zobaczyła jednak nikogo, więc głośno zawołała do młodego kelnera:

— Hej, Myron! Facet z dziewiątego stolika nie odebrał reszty!

Po chwili Myron podszedł do niej i powiedział:

— W porządku, dopiero co wyszedł. — Zabrał pieniądze, po czym wybiegł z restauracji na zalany słońcem chodnik.

Popatrzył w prawą stronę i stwierdził, że chodnik jest niemal pusty; ujrzał jedynie

Meksykankę i odruchowo pomyślał, że kobieta ma biodra jak słonica. Przeszedł w lewo i skręcił na rogu, kierując się na Holloway Drive.

Początkowo nie zauważył mężczyzny. Pobiegł w kierunku parkingu znajdującego się na tyłach restauracji, tam jednak nikogo nie było. Wówczas dopiero rozejrzał się wzdłuż ulicy i mniej więcej pięćdziesiąt jardów przed sobą, w cieniu rozłożystych drzew liściastych, zobaczył mężczyznę nachylającego się nad otwartym bagażnikiem srebrnego grand prix.

— Hej, proszę pana! — zawołał, mężczyzna jednak zdawał się go nie słyszeć. Wówczas

Myron ruszył w stronę samochodu, niezgrabnie poruszając się w swych podniszczonych, służbowych kłapkach. Zatrzymał się dopiero w odległości jakichś pięciu jardów od pojazdu, w momencie gdy zdał sobie sprawę, co stanowi zawartość bagażnika.

Wysoki mężczyzna odwrócił się w jego kierunku.

— O co chodzi? — wysyczał. Lustrzane okulary skrywały jego oczy, co przeraziło Myrona jeszcze bardziej niż zawartość bagażnika samochodu.

Opanował się jednak na tyle, że zdołał wyciągnąć przed siebie rękę z garścią pogniecionych banknotów i monet, wilgotnych od potu.

— Pan za... za... Pan zapomniał reszty — wyjąkał. — Rachunek wynosił tylko sześć dolarów i dwadzieścia pięć centów.

Wysoki mężczyzna przez chwilę ani nie odpowiadał mu, ani się nie ruszał. W końcu zatrzasnął bagażnik i jakby z namysłem, powoli, podszedł do kelnera.

— Dziękuję — powiedział zimnym tonem i odebrał pieniądze z ręki chłopaka.

Kelner wierzchem dłoni otarł pot z czoła. Wyglądało na to, że tym razem nie dostanie napiwku, a zresztą w ogóle o to nie dbał, zważywszy, co zobaczył w bagażniku. Ostrożnie, siląc się na spokój, powiedział:

— Życzę panu miłego dnia — po czym natychmiast cofnął się i pośpieszył do restauracji.

Na rogu Holloway i Sunset zatrzymał się na chwilę i popatrzył za siebie. Mężczyzna wciąż stał przy samochodzie i spoglądał w jego stronę. Słońce odbijało się od szkieł lustrzanych okularów niczym ostrzeżenie.

— Złapałeś go? — zapytała dziewczyna o długich, jasnobrązowych włosach, gdy Myron z

powrotem znalazł się w restauracji.

Młody kelner popatrzył na nią i pokiwał głową.

— Tak. Podziękował mi.

Dziewczyna przyjrzała się jego spoconej twarzy.

— Co się stało, Myron? Wyglądasz, jakby było ci niedobrze.

Myron zachowywał się przez chwilę tak, jakby jej w ogóle nie usłyszał. Wreszcie zareagował:

— Co? Och, nie, nie jest mi niedobrze. Po prostu myślę sobie, że szczęśliwie od niego uciekłem.

— Uciekałeś od niego? Czy on może był pederastą albo jakimś zboczeńcem?

Kelner przecząco potrząsnął głową.

— Cholera, ten facet miał w bagażniku swojego samochodu więcej broni palnej, niż mogłabyś znaleźć w niejednym arsenale. Musiałabyś to zobaczyć. Cały bagażnik wypełniony był karabinami i rewolwerami.

— No to na co jeszcze czekasz? Nie zamierzasz zawiadomić policji?

Myron wytarł twarz papierową serwetką.

— Żartujesz? Przecież to był chyba jakiś maniakalny zabójca. Każdy, kto ma tyle broni, z całą pewnością lubi jej używać. Nie mam najmniejszej ochoty, żeby użył jej przeciwko mnie.

— Zamierzasz więc pozwolić, żeby facet pozostał na wolności? To wstrętne.

Przy jednym ze stolików w rewirze Myrona zasiadły dwie kruczowłose dziewczyny o błyszczących oczach i w obcisłych koszulkach, musiał więc wziąć swoją tacę i blok z rachunkami.

— To nie jest wstrętne, po prostu mam zamiar zachować moją głowę w całości — powiedział wyniośle. — Mam zamiar jeszcze długo nosić ją na ramionach.

Dziewczyna prychnęła lekceważąco i wzięła kolejnego miętowego cukierka z koszyczka stojącego po jej lewej stronie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Poprzedniego wieczoru w krzakach w Griffith Park znaleziono jedenastą już ofiarę Dusiciela z Los Angeles i pani Benduzzi znów z niechęcią myślała o wyprowadzeniu Ricarda na spacer. Siedziała wygodnie na wyłożonej grubymi poduszkami różowej, aksamitnej kanapie, całą swoją osobą prezentując, do czego może doprowadzić codzienne jedzenie ciastek z kremem i pizzy pepperoni. Na głowie miała lekko przekreconą perukę w kolorze popiołu, a trzymanego na kolanach Ricarda tak mocno przyciskała do swego łona, że biednemu psu oczy niemal wychodziły na wierzch.

— Droga pani Benduzzi — odezwał się do niej John. — Jestem pewien, że Dusiciel nie poluje na pudle. Moim zdaniem zainteresowany jest raczej istotami ludzkimi.

— Możesz sobie mówić — westchnęła pani Benduzzi. — Ale Ricardo to przecież prawie człowiek! Prawda, mój ukochany? Kiedy zostajemy sami w domu, on do mnie, mówi. Byłbyś zdziwiony, co mi wtedy opowiada.

John spokojnie podrapał się po karku. Nie miał wątpliwości, że dzisiaj pani Benduzzi rozpoczęła popijanie swojego koktajlu bardzo wcześnie. Co właściwie miała robić kobieta w średnim wieku, mieszkająca w Beverly Hills? Nie pozostawało jej nic innego, jak kręcić się bez celu po eleganckim i drogim domu oraz objadać się i pić za dużo tequilli. Była zbyt gruba, żeby zainteresował się nią jakiś mężczyzna, i zbyt samotna, żeby stosować dietę. Oprócz męża, który zajmował wysokie stanowisko w CBS i miał długie wąsy i obwisły brzuch,

Ricardo był jedynym stworzeniem, wobec którego żywiła jakiekolwiek uczucia.

— A więc rezygnujemy dzisiaj ze spaceru? — zapytał John.

— Nie jestem pewna — odparła pani Benduzzi. — Prawdę mówiąc, dzisiaj jest też bardzo gorąco, prawda? Chociaż nie byłam jeszcze na dworze. Nie mam na to ochoty, gdy ten maniak kręci się w pobliżu.

— Pani Benduzzi, zapewniam panią, że jeśli wyjdę z Ricardem na spacer, będzie on przy mnie całkowicie bezpieczny. Oddam za niego życie, jeżeli będę musiał.

— Och, nie mów tak — westchnęła pani Benduzzi. — Wiesz co, zamiast męczyć mojego pieska, lepiej zrobisz, jak nawoskujesz samochód. A z Ricardem pójdziesz jutro. Może do tego czasu złapią tego maniaka. To wstrętne, że taki typ może sobie chodzić bezkarnie i terroryzować biedne zwierzęta.

— Pani Benduzzi, on wcale...

Ale pani Benduzzi już go nie słuchała. Zająta się okrywaniem pocałunkami futra swojego ulubieńca. Johnowi zbierało się na wymioty, gdy widział takie traktowanie zwierząt, ale od czasu, gdy zaczął wyprowadzać na spacer psy w Hollywood i Beverly Hills, rozumiał to postępowanie: psy i koty bywały bardzo często jedynymi przyjaciółmi takich kobiet jak pani Benduzzi. Poza tym jeśli zamierzał przez dłuższy czas uzupełniać podobną pracą swoje dochody, musiał przywyknąć do takiego zachowania. Nie mógłby zarabiać dziesięciu dolarów na godzinę, gdyby otwarcie wyrażał, co myśli o damie, która całuje i pieści swojego pieska.

— Dobrze — powiedział z rezygnacją. — Jeżeli tak pani sobie życzy...

Pani Benduzzi uśmiechnęła się do niego pobłaźliwie i wyciągnęła swą różową, tłustą rękę.

— Jest pan taki wyrozumiały, panie Cullen. Gdybym była pięć lat młodsza i nie miała tak twardych zasad...

John uściśnął jej dłoń tak mocno, żeby wbić pierścionek z diamentem i szafirem w jej skórę; chciał, żeby chociaż trochę ją to zabolalo.

— Pani Benduzzi, lepiej już pójdę i nawoskuje samochód — powiedział głosem na tyle uwodzicielskim, by myślała, że przed chwilą złożyła bardzo kuszącą propozycję. Tak naprawdę to nie był nią zdziwiony. Sam przed sobą przyznawał, że jeszcze nigdy w życiu nie wyglądał tak podniecająco, seksownie. Był wysoki, muskularny, a ponieważ pracował nieregularnie, miał czas, aby opalić się na głęboki, ciemny brąz. Wciąż tkwiło w nim coś, co nie pozostawiało wątpliwości, że nie jest rodowitym Kalifornijczykiem; ciągnęła czujność charakteryzująca ludzi wychowanych w miastach Wschodniego Wybrzeża. Ta cecha jednak sprawiała, że dla kobiet takich jak pani Benduzzi był jeszcze bardziej atrakcyjny. Miał kościstą twarz, długi, prosty nos i brązowe oczy. Ludzie, których lubił, wyczytywali w nich życzliwość i czułość, natomiast ci, których nie lubił, widywali w nich denerwującą pustkę i brak zainteresowania.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Bardziej niż kiedykolwiek w ciągu ostatniego tygodnia zachciało mu się papierosa. Właśnie przed tygodniem rzucił palenie.

Niezupełnie jeszcze zdawał sobie sprawę, dlaczego jego życie przybrało taki, a nie inny obrót. Wyprowadzanie psów i woskowanie samochodów nie stanowiły zajęć, jakich należałoby się spodziewać po chłopaku, który w wieku lat osiemnastu przyrzekł uroczyście rodzicom, że będzie co najmniej drugim Frankiem Lloydem Wrightem. Jednak już podczas dwóch pierwszych lat studiów na uniwersytecie w Trenton, w New Jersey, zrozumiał, że architektura to nauka mająca niewiele wspólnego z budowaniem idealnych miast, a nawet w miarę wygodnych domów, w których mogliby mieszkać ludzie. Gdy podjął pracę zawodową w tej dziedzinie, uznanie szefa zyskał tylko raz: Kiedy wymyślił sposób na pokrycie dachu mniejszą od normalnej o dwadzieścia procent liczbą dachówek. W wieku dwudziestu sześciu lat ostatecznie porzucił architekturę, pozostawiając po sobie jako jedyną spuściznę dla

Ameryki dwa niewielkie supermarkety i kilka garaży w Ewing w stanie New Jersey.

Przyjechał do Los Angeles, żeby odnaleźć własną tożsamość, a może właśnie od niej uciec; tego nie był pewien. Chciał także odszukać piękno i humanizm — cechy w jego pojęciu bardzo rzadkie i drogie. W tym poszukiwaniu znalazł kiedyś właściwe miejsce. Przez pięć lat pracował jako sprzedawca dla Euclida Schwarza, najpoważniejszego na Zachodnim Wybrzeżu budowniczego kondominiów i domów wypoczynkowych. Jednak lewicowe poglądy Johna tak bardzo denerwowały pana Schwarza, że pomijał go przy wszelkich podwyżkach i awansach. To było jedynym powodem, dla którego John w końcu porzucił tę pracę. W tym czasie przeżył gorzki zawód miłosny; kochał się w Angielce, która pracowała w kasie chińskiego teatru. Zawód miłosny i utrata pracy zbiegły się w czasie i sprawiły, że zapragnął znaleźć jakiegokolwiek zajęcie, które byłoby spokojne, nie angażujące emocjonalnie.

Teraz miał trzydzieści dwa lata i wiódł spokojne życie, pogodzony ze światem i nie wymagający już zbyt wiele od losu. Pisywał artykuły publikowane przez „Los Angeles Liberal Journal”, umiarkowane radykalne piśmiśko, optujące za zniesieniem rządu i legalizacją pornografii, chociaż nie zawsze akurat w tej kolejności. Trochę czasu spędzał na projektowaniu wioski przyszłości; jego wizje zamieszczały kolorowe magazyny poświęcone architekturze. Przede wszystkim jednak remontował stary, zielony drewniany dom w Topanga Canyon, w którym od kilku miesięcy mieszkał ze swoją nową przyjaciółką, Vicki. Poza tym w ogródku przeprowadzał dziwaczne doświadczenia botaniczne, mające na celu znalezienie substytutu trawy, której chronicznie nie znośił.

Dzisiaj jednak zarabiał pieniądze. Otrzymywał dziesięć dolarów za godzinę spacerowania z rozpieszczonymi psami, wysłuchiwanie zrzędzeń starych dam, woskowania ich prawie nigdy nie używanych samochodów. Teraz czekało go właśnie to ostatnie zajęcie. Poszedł do kuchni po szmaty i wiadro.

Kuchnia była wielkim pomieszczeniem, od podłogi po sufit wyłożonym białymi i niebieskimi włoskimi kafelkami. W promieniach słońca, które wpadały do środka przez wysokie okno, John ujrzał Yolande, czarną służącą. W białym czepku na głowie, przepasana przepisowym białym fartuszkiem, czyściła kuchenkę gazową i śpiewała pod nosem *The Woman Behind Every Man*.

— Jak się mają dzieci? — zapytał John, otwierając szafę i wyciągając z niej puszkę wosku *Turtle Wax*.

— Och, dziękuję, w porządku — odparła Yolande. — Są czarne i dumne z tego powodu.

— Proszę, jacy rasiści.

Yolande uniosła głowę i popatrzyła na niego.

— Czyż nie wszyscy jesteśmy rasistami, panie Cullen? — zapytała. — Czyż cała światowa polityka nie opiera się na rasizmie?

John zdjął pokrywę z puszeki.

— Rasizm to tylko jej część, i to bardzo mała część. Gdyby czarni mniej mówili o kolorze swojej skóry, już dawno na tym tle nie byłoby żadnych podziałów.

Yolande wzruszyła ramionami.

— Pan jest biały, panie Cullen. Gdyby pan był czarny, mówiłby pan inaczej.

— Możesz mówić do mnie John, jeśli chcesz.

— Lepiej niech pozostanie „pan Cullen”. — Umilkła na moment. — Czy zabiera pan dzisiaj to grube bydłatko na spacer? — zapytała.

John przecząco potrząsnął głową.

— Pani Benduzzi boi się Dusiciela. Twierdzi, że mógłby zaatakować jej ukochanego psa.

Ja natomiast uważam, że Dusiciela stać na smaczniejsze kąski niż gruby Ricardo.

— Mówi pan tak, jakby te zbrodnie pana bawiły. Otworzył drzwi.

— Dzięki nim nie muszę się szwendać z tym bydlakiem po okolicy.

Yolande uśmiechnęła się. Z uśmiechem na twarzy była niezwykle piękna.

— Dzięki nim będzie pan czyścił do połysku zderzaki pani Benduzzi — zadrwiła z niego.

— Wiesz co? — zapytał nagle. — Co byś powiedziała na małą randkę? A może interesowałoby cię szybkie pieprzonko?

Roześmiała się.

— Nawet gdybym nie wiedziała, że z kimś żyjesz, powiedziałabym nie, słodziutki.

— To zabawiaj się sama. Będiesz tego żałowała, kiedy się zestarzejesz.

John zamknął kuchenne drzwi i oświetloną ścieżką ruszył w kierunku garażu. Było niezwykle gorąco jak na listopad, temperatura dochodziła do dziewięćdziesięciu stopni Fahrenheita. Wyciągnął z kieszeni okulary przeciwsłoneczne i założył je. Od strony gór dotarł do niego odgłos policyjnego helikoptera, warczącego nad autostradą. Zakaszał.

W chłodzie klimatyzowanego garażu stał srebrny eldorado, wciąż jeszcze błyszczący po ostatnim woskowaniu. Pani Benduzzi używała swojego samochodu jedynie wtedy, gdy udawała się do fryzjerki na Beverly Boulevard; auto miało mniej niż sto mil przebiegu. John nie zazdrościł go jednak swojej chlebobawczyni. Uwielbiał pojazdy z lat pięćdziesiątych, duże, — ekstrawaganckie, o dużej mocy i spalające mnóstwo benzyny. Na podjeździe przed domem pani Benduzzi parkował jego chrysler imperiał crown z 1959 roku. Teraz jednak wsiadł za kierownicę eldorado. Wyjechał z garażu i zatrzymał auto w cieniu pod palmami.

Była 11.02. Gdyby John właśnie teraz wyszedł przed frontową bramę posiadłości pani Benduzzi, zjawiłby się akurat w odpowiedniej chwili, by zobaczyć srebrnego grand prix, odjeżdżającego od krawężnika i kierującego się na zachód. Wysoki mężczyzna w czarnych spodniach i szarej koszuli prowadził auto jakby od niechcienia. Leciutko trącał kierownicę palcami i palił papierosa. Rozmyślał o małej, blondwłosej kurewce, którą zabrał ostatniej nocy sprzed sklepu ze sprzętem rybackim na Hollywood Boulevard. Rozmyślał o tym, jak z rozszerzonymi oczyma siedziała na fotelu w jego pokoju, podczas gdy on prezentował jej swojego automatycznego colta. Rozłożył go przy niej w czterdzieści pięć sekund, po czym złożył go i załadował. Potem rznął dziewczynę na łóżku. Zapakowawszy we właściwe miejsce swój członek, stalową lufę załadowanego rewolweru wcisnął jej w odbył.

Dziewczyna miała w sobie i mężczyznę, i jego broń. Niebezpieczeństwo tej zabawy tak ich podnieciło, że wśród jęków i steków oboje osiągnęli potężne orgazmy.

ROZDZIAŁ TRZECI

John ściągnął wygniecioną koszulę i powiesił ją na ogrodowym płocie.

Najpierw spryskał samochód wodą z węża do podlewania trawnika, następnie wysuszył karoserię delikatnymi, miękkimi szmatkami. Tak jak zwykle czynności te zabrały mu pół godziny; pół godziny wyłącznie dla niego, pół godziny, kiedy mógł być sam na sam ze swoimi myślami. O wiele bardziej lubił mycie samochodu niż wychodzenie z psem.

Samochody nie czekały na siebie, mijając się, nie szarpały i nie próbowały się obwąchiwać.

Dokładnie wytarł przednią szybę. W cieniu było przyjemnie chłodno; bezmyślna praca przynosiła błogi spokój.

Po półgodzinie John ujrzał Yolande zbliżającą się ku niemu z piwem na srebrnej tacy.

Wyprostował się, przeciągnął i odrzucił ściereczkę.

— Pani Benduzzi pomyślała, że pewnie jest pan spragniony — powiedziała służąca. W jej głosie brzmiało lekkie zdziwienie.

John popatrzył ponad ramieniem dziewczyny w stronę domu. Ujrzał panią Benduzzi stojącą w oknie, jakby uwięzioną w swoim klimatyzowanym pałacu. Pomachał do niej ręką.

Zadowolona czy zaskoczona, pomachała mu również.

— Słodziutki, jeżeli tylko dobrze się postarasz, możesz tutaj wiele osiągnąć — zauważyła Yolande.

John łapczywie pociągnął potężny łyk lodowatego coorsa.

— Ja i pani Benduzzi? — zapytał z drwiną.

— A dlaczego nie? Jest bogata i bardzo pana lubi. Powiem panu coś w tajemnicy: cały poranek spędziła przy tym oknie, spoglądając na pana pupę przez lornetkę, którą kiedyś ukradła w operze.

— Czyżby spodziewała się, że coś zaśpiewam?

Yolande uśmiechnęła się.

— Nie wiem, po prostu opowiadam panu, jak się sprawy mają. Ta dama najwyraźniej pana lubi i jest bardzo bogata.

Niespodziewanie spokój późnego poranka zakłócony został Przez głośny warkot motocykla. Na podjeździe, siedząc na siodelku taniego pucha, ukazała się wysoka dziewczyna w kasku, obcisłej koszulce i krótkich, białych szortach.

— Lepiej już pójdę — powiedziała Yolande z krzywym uśmiechem. — Jeśli pani Banduzzi ją zobaczy, resztę dnia mogę uważać za straconą.

— Później jeszcze pogadamy. I dziękuję ci za piwo.

— Ja je tylko przyniosłam — zauważyła Yolande i odeszła, kołysząc biodrami.

John ściągnął okulary przeciwsłoneczne i schował je w kieszeni. Motocyklistka zatrzymała swój pojazd obok niego w cieniu i zsiadła z siodelka. Ściągnęła kask, potrząsnęła długimi, ciemnymi włosami i podeszła do Johna. Pocałowali się.

— Wyglądasz jak Bill Holden w Pikniku — zauważyła.

— Nigdy nie widziałem tego filmu — odparł John i pocałował ją jeszcze raz.

Była uderzająco piękną dziewczyną, mocno opaloną, o nieprawdopodobnie niebieskich oczach. Kiedyś jej fotografie ukazały się nawet w „Playboyu”. Miała duże piersi o dużych, ciemnych sutkach, prześwitujących przez koszulkę, i pupę, która aż się prosiła o poklepanie.

— Myślałem, że pracujesz dzisiaj dla pani Tadema.

— Tak powinno być — stwierdziła dziewczyna.

— Dlaczego więc tak nie jest?

— Dlatego, że odebrałam pewien telefon.

John pochylił się nad maską eldorado i kontynuował jej wycieranie. Z uwagą jednak wpatrywał się w odbicie dziewczyny w lśniącej masce.

— Od kogoś, kogo znam? — zapytał ostrożnie. Ostatnio wiele się kłócili. Zwykle szło o drobiazgi: którą płytę położyć na talerz gramofonu, który kanał telewizyjny akurat oglądać, co zjeść na obiad... John zaczynał się zastanawiać, czy to się wkrótce nie zakończy rozstaniem. Vicki była impulsywną dziewczyną i mogła podjąć taką decyzję, nie dając mu szansy na zapobieżenie temu. Miała taką osobowość, że w jednej chwili wierzyła, iż kocha go do szaleństwa, a w drugiej, w ferworze kłótni, nie pojmowała, dlaczego w ogóle się z nim zadaje.

Oparła się o samochód. John zaczął nakładać wosk na blachę.

— Tak, ktoś, kogo znasz — odparła. Wyczuł w jej głosie podniecenie i wyprostował się.

— No i co? I było to tak ważne, że zostawiłaś robotę u pani Tadema i natychmiast przyjechałaś tutaj?

Podeszła do niego, otoczyła ramieniem jego biodra i pocałowała jego spocony policzek.

— To był twój ojciec. Dzisiaj o czwartej po południu przyleci do Los Angeles.

Niespodziewana wizyta. Cieszysz się?

W pierwszej chwili John nie chciał wierzyć. Zawsze kochał swojego ojca, zawsze darzył go ogromną miłością i szacunkiem. Był on odrobinę lewicującym liberałem, dyrektorem szkoły średniej w Trenton w stanie New Jersey i podczas tych lat, gdy John próbował jako architekt przysporzyć chwały Ameryce, zawsze stał przy nim: uspokajał go, doradzał, łagodził rozczarowania i bagatelizował niepowodzenia. W tym czasie John zrozumiał, jak trudno być liberałem z przekonania w społeczeństwie, któremu do liberalizmu wiele brakuje.

— O której dzwonił? Czy wszystko w porządku?

— Tak. Powiedział, że doskonale się czuje. Zadzwoił krótko po twoim wyjściu, nie przyjechałam jednak od razu, bo pomyślałam sobie, że będziesz na spacerze z pieskiem.

John nie mógł opanować śmiechu.

— Wspaniała wiadomość. Co za piękny dzień. A więc... Może zjemy razem lunch, a potem pojedziemy na lotnisko, co ty na to?

Z energią zabrał się do woskowania i już po chwili uznał, że może uznać pracę za zakończoną. Vicki tymczasem wróciła z krótkiej przechadzki po ogrodzie.

— W porządku — powiedział i wypolerował jeszcze zewnętrzne lustro. — Gotowe. Daj mi kilka minut; odbiorę od pani Benduzzi wypłatę i będziemy wolni.

Wjechał samochodem do garażu, zamknął bramę i wszedł do mieszkania. Kiedy przechodził przez kuchnię, Yolande ostrzegawczo zmarszczyła czoło. Znaczyło to, że pani Benduzzi nie jest w tym momencie nastawiona zbyt przyjaźnie do świata.

— Pani Benduzzi — powiedział, wszedłszy do jej pokoju.

— Twoje pieniądze leżą na stole — odparła obojętnym tonem. — i nie musisz przychodzić jutro do pracy. Ricardo Powiedział mi, że chciałby wychodzić na spacer z kimś innym.

— Pani Benduzzi...

W końcu spojrzała na niego. Miała marsową, nadętą minę, jednak nie wytrzymała jego wzroku i uśmiechnęła się.

— Wszystko w porządku — westchnęła. — Daj mi tydzień albo dwa i wszystko powróci do normy.

— Przykro mi...

— A mi nie — powiedziała cicho. — A teraz weź swój pieniądze, mam jeszcze wiele spraw do załatwienia.

John podszedł do stolika. Na małym drewnianym talerzyk leżał banknot pięćdziesięciodolarowy. John popatrzył na p, Benduzzi.

— Tyle się należy — powiedziała bezbarwnym głosem.

— W porządku. — John pokiwał głową i wsadził banknot do kieszeni koszuli. — Mam nadzieję, że wkrótce panią zobaczę.

Znów uśmiechnęła się do niego pełnym wyrzutem uśmiechem osoby, która wie, że nikt jej nie kocha, i która już nauczyła się akceptować ten stan rzeczy. John na chwilę zastygł w bezruchu, po czym podszedł do kanapy, nachylił się na panią Benduzzi i pocałował ją w czoło.

— Jest pani nadzwyczajna, pani Benduzzi.

Powiedziawszy to, odwrócił się i pośpieszył na zewnątrz. Tam już czekała Vicki i miła perspektywa wspólnego lunch

O drugiej po południu srebrny grand prix parkował na rog Sepulveda Boulevard i Piggot Drive, w cieniu San Dieg Freeway. Za kierownicą siedział wysoki mężczyzna o czarnych włosach. Palił papierosa i słuchał muzyki Modern Lovers, dawanej właśnie przez jedną z lokalnych stacji radiowych. Na siedzeniu obok niego leżały zmięte resztki opakowania poi cheesburgerze, który stanowił cały jego lunch. Czekał ze spokojem i cierpliwością wskazującą, że jest do tego przyzwyczajony. Cały czas obserwował Sepulveda Boulevard, jednocześnie kątem oka spoglądając w lusterko. Czekanie — zdawał sobie z tego sprawę — było tą umiejętnością, którą posiadał najlepiej.

Czasami sprawiał wrażenie, że śpi, ale jego oczy ani przez chwilę nie były całkowicie zamknięte. Od czasu do czasu nerwowo bębnił palcami w kierownicę.

Na podłodze samochodu, obok jego lewej nogi, spoczywa automatyczny kolt kaliber 38, ten sam, który posłużył mu do zabawy z prostytutką. Mimo że broń ta przebijała jednym strzałem dziewięć calowych sosnowych desek z odległości trzech tysięcy stóp, posyłając kulę z prędkością tysiąca pięćdziesięciu stóp na sekundę, mężczyzna zaplanował, że podczas akcji cel nie będzie się znajdował dalej niż piętnaście stóp od niego.

Znów popatrzył w lusterko. Ujrzał, jak z Piggot Drive wynurza się powoli samochód policyjny i powoli zmierza w jego kierunku. Mężczyzna nerwowo zamrugał oczami, jednak nie poruszył się. Jego przeciwsłoneczne okulary leżały na desce rozdzielczej.

Policyjny samochód minął go, na moment zwolnił, po czym skręcił w lewo w Sepulveda Boulevard i zniknął mu z oczu. Przez chwilę mężczyzna znów bębnił palcami o kierownicę.

Cyfrowy zegar na tablicy rozdzielczej grand prix wskazywał właśnie godzinę 2.04 po południu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opychali się sałatką z tuńczyka u Butterfielda, siedząc na zewnątrz przy fontannie. W cieniu drzew było chłodno, chociaż poprzez liście przenikały promienie słońca, oświetlając ich twarze i odbijając się wesoło od karafki z białym winem, która stała pomiędzy nimi.

Vicki uniosła kieliszek i powiedziała:

— Wypijmy za twojego ojca. Wprost umieram z ciekawości, jaki on jest.

John uśmiechnął się i trącił swym kieliszkiem kieliszek dziewczyny.

— Jest prawie taki sam jak ja, tyle że o kilka wieków starszy. Dziwię się, że tak cię ekscytuje jego przyjazd. Myślałem, że nie wierzysz w żadne serdeczne więzy rodzinne.

— Nie wierzę w moje własne — odparła Vicki beztrąsko. — Jak myślisz, dlaczego wyjechałam z Minnesoty?

John popatrzył na nią czule. Od wielu tygodni nie widział jej tak wesołej. Dokończył sałatkę, dopił wino i poprosił kelnerkę o kawę. Znów naszła go ochota na papierosa, jednak tylko ciężko westchnął i porzucił myśl o paleniu.

— Cierpisz? — zapytała Vicki.

— Trochę. Czy aż tak bardzo to widać?

— Czasami tak. Wiem, że lubiłeś zapalić jednego do kawy.

John wyciągnął z kieszeni pudełko zapalek i rozgniół jej w dłoni.

— Wiesz co? Nigdy już nie powiem złego słowa na nałogowców.

— Wiesz co? — zaczęła Vicki niespodziewanie łagodnym tonem. — Nigdy już nie powiem żadnego przykrego słowa ciębie.

John przestał rozgniatać w dłoni pudełko zapalek i uważnie na nią popatrzył.

— Co to znaczy?

Vicki wbiła wzrok w ziemię, osłaniając oczy długimi rzesami.

— To znaczy, że ostatnio przez długi czas żyliśmy ze sobą jak pies z kotem, prawda? Mam nadzieję, że ten okres w naszym życiu już minął.

— Mam wrażenie, że chcesz mi powiedzieć coś znacznie ważniejszego.

— Cóż — westchnęła Vicki. — Masz rację.

— Zdecydowałam, że mimo wszystko mnie kochasz. I będę mógł słuchać moich albumów Roda Stewarta, kiedy tylko będę miał na to ochotę.

— Kocham cię — przyznała Vicki, nagle spoglądając mu w oczy. — Co do albumów natomiast nie jestem pewna.

John wyciągnął ze zgniecionego pudełka jedną z nielicznych już całych zapalek. Odrobina tuńczyka utkwiała mu między zębami i nie mógł wyciągnąć jej językiem.

— Czy chcesz mi o tym opowiedzieć? — zapytał.

— Nie wiem. Czy będziesz zazdrosny?

— To aż takie poważne?

— Nie wiem — odparła Vicki, lekko wzruszając ramionami. — Myślę, że mogło być gorzej.

John wyprostował się, wyciągnął przed siebie nogi, po czym znów je skrzyżował i pochylił się do przodu.

— Nie utrzymuj mnie już w niepewności. Cóż mogło być gorszego? Chyba nie spotykałaś się z Warrenem Beatym.

Nerwowo bębniła czerwonymi paznokciami po blacie stolika i co chwilę zagryzała wargi.

— To było jakieś trzy tygodnie temu, tego samego dnia, kiedy pojechałaś z Philipem do Encino. — Zaczęła mówić, nie patrząc na niego. — Miałam telefon od mojego dawnego chłopaka z Minnesoty. Powiedział, że przyjechał do Los Angeles, chce tutaj zamieszkać, a przede wszystkim chce się zobaczyć ze mną. Myślę, że numer telefonu dostał od mojej matki...

— Mów dalej — ponaglił ją John suchym głosem. Zanim ponownie się odezwała, ciężko westchnęła.

— Nazywa się Ed Tucker. Wszystkie dziewczęta w szkole za nim szalały, pisały do niego listy miłosne i tak dalej. Był wówczas wysoki, przystojny i zawsze we wszystkim najlepszy.

W lekkoatletyce, grze w piłkę, w czym tylko dało się rywalizować. Początkowo wcale mnie nie zauważał; był zbyt zajęty romansem z pewną Włoszką, Annette Marino. Kiedy jednak skończyłam czternaście lat, zaczęły mi rosnać piersi. I tak sobie rosły i rosły, aż w końcu wszystkie dziewczyny wyglądały przy mnie jak płaskie deski, nie wyłączając czarnowłosej Annette Marino. Wówczas Ed nagle zdał sobie sprawę z mojej obecności. Porzucił Annette i zaczął chodzić ze mną. Ten związek, silny, przetrwał prawie pięć lat. Ed był drugim mężczyzną, z którym spałam.

— Drugim? Kto więc był pierwszym?

— Czy to ma znaczenie? Opowiadam ci o Edzie.

W tym momencie John znów poczuł, że ma ochotę na papierosa. Gdyby tylko z tytoniowym dymem mogła ulecieć w powietrze jego zazdrość...

— W porządku — powiedział. Z trudem zdołał się uśmiechać. — To rzeczywiście nie ma znaczenia.

Vicki wyciągnęła rękę ponad stolikiem i dotknęła jego dłoni. Miała bardzo poważną minę.

— Muszę przyznać, że czasami fantazjowałam na temat Eda. Miałam przed oczyma obraz uśmiechniętego, muskularnego samca z jajami wyraźnie widocznymi pod obcisłymi majtkami. I muszę przyznać — mówiła tak cicho, że John z trudem ją słyszał — że ta wizja bardzo mnie podniecała.

John powoli, z niedowierzaniem, potrząsnął głową.

— Czy chcesz mi wmówić, że wszystkie nasze sprzeczki i kłótnie spowodowane były tym, iż bez przerwy marzyłaś o superjebace z późnego dzieciństwa, o facecie z Cannon Balls z Minnesoty?

— Cannon Falls.

— Falls czy Balls, kogo to obchodzi?

Vicki przez chwilę milczała, zmieszana, po czym pokiwała głową.

— Zadzwoił do mnie w poniedziałek — powiedziała. — Poprosił mnie, żebym zjadła z nim kolację.

— A więc nie poszłaś do Phoebe, jak mi powiedziałaś, tylko na spotkanie z nim?

Znów skinęła głową.

— Było mi przykro, że muszę kłamać, cóż jednak miałam zrobić? Musiałam go zobaczyć.

Musiałam się dowiedzieć, czy moja fantazja ma szansę kiedyś się spełnić.

— No i co? — zapytał John.

Znów popatrzyła na niego. Jej mina wyrażała żal, że go oszukała. Jednocześnie na jej twarzy malowało się coś na kształt wstydu, że tak silnie pragnęła odgrzać dawno zapomniany romans.

— Był okropny — powiedziała. — Był po prostu okropny. Spotkałam się z nim u Dino, a wiesz przecież, jak tam jest cholernie ciemno. Kiedy tam weszłam, początkowo go nie poznałam; gdybym go poznała, obróciłabym się na pięcie i wyszła. Okazał się łysiejącym, grubym nudziarzem. W końcu, żeby się odczepił, powiedziałam mu, że jestem lesbijką.

Powiedziałam, że jestem śmiertelnie zakochana w pewnej dziewczynie z Mishawki w stanie Indiana i naszym jedynym poważnym problemem jest to, iż mamy obie tak potężne cyce, że nie możemy się do siebie zbliżyć.

John przez blisko minutę w milczeniu wpatrywał się w Vicki. W końcu, bardzo cicho, odezwał się:

— Wiesz co, chyba kocham cię tak mocno jak jeszcze nigdy dotąd, ty moja lesbijko.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek.

— Wiem — powiedziała szeptem. — To widać.

Dokończyli wino i po kamiennych stopniach zeszli na ulicę.

Matowoniebieski chrysler imperial crown Johna zaparkowany był odrobinę dalej, a jego dach błyszczał w promieniach popołudniowego słońca. John otworzył Vicki drzwiczki, a potem obszedł auto i usiadł za kierownicą.

Przekręcając kluczyk w stacyjce, głośno się roześmiał.

— Wiesz, chciałbym wtedy być u Dino, kiedy zorientowałaś się, kim jest twój romantyczny kochanek z dzieciństwa. Chociaż... pewnie umarłbym ze śmiechu.

Vicki próbowała udawać urażoną i wbiła spojrzenie w sufit.

— Och, przestań — kontynuował John. — W końcu skąd mogłaś wiedzieć, że twój ukochany wyrósł na, jak to powiedziałaś, łysiejącego, grubego nudziarza.

Pocałowała go w końcu.

— Lepiej już może zostawmy tego nieszczęsnego Eda w spokoju. Jeżeli jeszcze dłużej będziemy o nim rozmawiać, spóźnimy się na samolot, którym przylatuje twój papa.

John wyjechał na Sunset Boulevard. Chrysler imperial crown był jednym z jego ulubionych samochodów z lat pięćdziesiątych. Przez prawie dwa lata doprowadzał ten egzemplarz do stanu

używalności i wydał na niego tysiąc dwieście dolarów. Auto błyszczało chromem, płynnie sunęło na pneumatycznych zawieszaniach, a jedynym jego przeciwnikiem był sąsiad Johna z Topanga Canyon, zagorzały aktywista wszelkich organizacji z maniackim uporem nawołujących do ochrony środowiska.

John wjechał na podjazd przed hotelem Hyatt, żeby zawrócić i skierować samochód na zachód, wprost w osłepiająco jasne słońce, powoli chyłące się ku linii horyzontu. Vicki włączyła radio i przytuliła się do Johna; jedną ręką delikatnie mierzwiła jego włosy, a pierś przyciskała do jego ramienia. Mandarynkowe promienie oświetlały ich, gdy mijali Beverly Hills Hotel i gdy wjeżdżali do Bel Air. Uwolnili się od nich wreszcie, pokonując łagodny łuk zjazdu, który kierował ich na San Diego Freeway.

Autostrada była bardziej zatłoczona niż zazwyczaj i John musiał co chwilę zmieniać pas ruchu, żeby utrzymywać stałą prędkość. Cały odcinek prowadzący na południe, w kierunku lotniska, był pełen samochodów.

Ciężki smog wciąż wisiał w powietrzu, gdy mijali Palms i Culver City. John zakaszał, zastanawiając się, jak długo jeszcze będzie się męczył, zanim przejdzie mu wszelka ochota na papierosy.

— Jaki jest twój ojciec? — niespodziewanie zapytała Vicki. — I jak się do siebie zwracacie? Na luzie czy z takim rodzinnym dystansem?

— Och, chyba z lekkim dystansem, ale takim, że właściwie można by użyć słów „na luzie”. Dopóki nie skończyłem dwudziestu jeden lat, musiałem zwracać się do niego „sir”.

Jednak to nie ma znaczenia. To bardzo inteligentny, rozumny człowiek i, co ważne, nie ma żadnych uprzedzeń na żaden temat. Natura ukształtowała go na przyjaciela wszystkich ludzi.

John skręcił w Sepulveda Boulevard i jechał już teraz prosto na lotnisko. Z pomocą Vicki znalazł miejsce do parkowania i wykupił bilet. Ktoś z obsługi parkingu popatrzył z ciekawością na jego chryslera i rzucił pytanie:

— Człowieku, kto ci sprzedał ten pojazd? Batman?

Przyjechali dwadzieścia minut za wcześnie. Samolotu z lotniska JFK w Nowym Jorku spodziewano się najwcześniej dziesięć po czwartej, obejrzeliby więc sklepy z pamiątkami i książkami, a potem bary i restauracje.

— Czy to nie dziwne? — zapytał John w pewnej chwili. — Jestem zdenerwowany, zupełnie nie wiem dlaczego.

Czekał za kierownicą swojego srebrnego grand prix na skrzyżowaniu Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy, Westchester i Sepulveda Boulevard. Cyfrowy zegar wskazywał 3.57. Widział matowoniebieskiego imperiała, jadącego w kierunku lotniska. Gdy minął jego stanowisko, wysiadł na chwilę z wozu i zatelefenował z budki do United Airways, aby upewnić się, o której przylatuje samolot z Nowego Jorku. Stwierdził, że musi minąć przynajmniej dwadzieścia pięć minut pomiędzy lądowaniem samolotu a ponownym przejazdem imperiała przed jego stanowiskiem. Wysiadanie, odbiór bagażu, przejście na parking, wyjazd; to wszystko nie ma prawa zabrać mniej czasu.

Teraz był właściwy moment na wyciągnięcie broni z irchowego olstra, sprawdzenie magazynku i ostrożne wprowadzenie naboju do komory. Jeden pocisk znalazł się w lufie, pozostałe w magazynku. Każdy nabój zawierał cztery i pół grana prochu oraz sto pięć granów ołowiu. Naładowany pistolet ważył 32 uncje*. Mężczyzna ostrożnie zważył go w dłoni, po czym ponownie schował w olstrze.

Ściągnął z nosa lustrzane okulary i przetarł oczy. Nie spał najlepiej ostatniej nocy, ponieważ

przez cały czas szczekał i warczał pies jego sąsiada. Zastanawiał się nad przeniesieniem się z San Juan Avenue; rozmyślał już nad tym od kilku miesięcy, jednak jakoś nie potrafił znaleźć lepszego miejsca. Ta część Venice była przynajmniej cicha i nikt mu nie zawracał głowy. Mógł całe popołudnie i wieczór przesiedzieć na łóżku, rozkładając i czyszcząc cały swój arsenał, oglądając przy okazji powtórki Kojaka w telewizji; takie życie lubił. Bezpieczeństwo, spokój, porządek. W każde czwartkowe popołudnie zanosił pościel do automatycznej pralni, w każdy sobotni wieczór jadał w chińskiej restauracji, na filmy pornograficzne chodził w poniedziałki, a w niedziele całe dni spędzał w łóżku, czytając „The Los Angeles Times”, od pierwszej do ostatniej stroniczki, łącznie ze wszystkimi reklamami.

Mniej więcej raz w miesiącu jeździł do Hollywood i wynajmował sobie dziewczę (im młodsza, tym lepsza) i płacił pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt dolarów za to, że spełniała jego nawet najbardziej niedorzeczne fantazje seksualne. Jeżeli przyrządzał sobie coś na ciepło, korzystał z elektrycznej maszyny. Na wewnętrznej stronie drzwi szafy z ubraniami nakleił fotografię

Chesty Morgan, dziewczyny o siedemdziesięciosześcioletnim biuście. Popatrzył na zegar.

Była 4.04. Przez przyciemniane szyby swego samochodu widział ludzi robiących zakupy i dzieciaki siedzące na schodach przed jakimś budynkiem. Żuły gumę, ale przede wszystkim głośno rozmawiały. Ziewnął. Tego dnia była to dopiero pierwsza oznaka znudzenia.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Vicki zobaczyła go pierwsza.

— Czy to on? — zawołała. — John, twój ojciec jest bardzo podobny do ciebie!

Tak, to był jego ojciec. Przechodził właśnie przez salę, w której wydawano bagaż; wysoki mężczyzna o siwych włosach, w brązowej marynarce i płaszczu przeciwdeszczowym, przewieszonym przez ramię. Na nosie miał okulary bez oprawek, a jego twarz była lekko pomarszczona, jednak jego podobieństwo do Johna nie pozostawiało wątpliwości, kim jest ten człowiek.

Gdy podeszli do siebie, Vicki, stojąc z boku, z przyjemnością przyglądała się ich powitaniu. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała tak szczerego, serdecznego powitania ojca z synem. John rozpostarł ramiona i objął ojca; ściskając go, natychmiast wyczuł zapach jego od dawien dawna ulubionego tytoniu, Jacob's Golden Returns.

— Ojczy — powiedział John. — Cholera, jak to dobrze, znów cię widzieć.

Ojciec odsunął go od siebie i ściskając jego dłonie, popatrzył na niego z dumą.

— Jakbyś odmłodził — zauważył. — Czy to klimat kalifornijski tak na ciebie podziałał, czy porzucenie architektury?

— Po prostu spokojne, uczciwe życie — wtrąciła Vicki i dopiero wtedy ojciec Johna popatrzył na nią po raz pierwszy.

— Czyżbyś nie zamierzał mnie przedstawić? — zapytał syna z wyrzutem w głosie. —

Zdaje się, że znalazłeś w Kalifornii coś więcej niż tylko słońce.

John wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— A ty wciąż jesteś taki sam, ten sam kochany ojculek, którego uwielbiam i podziwiam. Vicki, poznaj mojego ojca, Williama Cullena. Doktora Williama Cullena, żeby być dokładnym. Ojczy, przedstawiam ci Vicki Wallace.

William Cullen skłonił się przed Vicki, ujął jej dłoń i pocałował ją.

— My, ojcowie starej daty, zwykle w taki staroświecki sposób kłaniamy się poznawanym

damom. — Uśmiechnął się. Po chwili wszyscy troje śmiali się wesoło; Vicki nie była ani odrobinę zmieszana.

Pomogli Williamowi odebrać bagaż z taśmy. W tłumie innych podróżnych odzywali się do siebie niewiele. Śpieszyli się, żeby opuścić gwarne lotnisko i znaleźć się tylko we troje.

Jednak dość długo trwało, zanim ukazała się zielona walizka Williama Cullena. John ściągnął ją na posadzkę i wreszcie mogli udać się do wyjścia. Po chwili opuścili klimatyzowany hol portu lotniczego i ogarnęło ich gorące powietrze kalifornijskiego popołudnia.

— To dla mnie szok — powiedział William. — Czy wiesz, jaka temperatura jest teraz w Jersey? Osiem poniżej zera i ciągle spada.

— Nie myśl, że tutaj jest tak zawsze — odparł John. — Tego roku listopad jest wyjątkowo gorący.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spadł śnieg. Lubię odpoczywać, kiedy za oknami pada śnieg. A przecież od śmierci twojej matki nie miałem ani dnia urlopu.

— Tutaj odpocznesz. Ponieważ lubisz architekturę z lat czterdziestych, z pewnością spodoba ci się mój dom w Topanga Canyon.

Dotarli do chryslera i umieścili walizkę w bagażniku. William z podziwem obejrzał auto, po czym powiedział:

— A więc naprawdę pojedziemy taką maszyną? Widziałem ją już na fotografii, którą mi przysłałeś, jednak taką rzecz trzeba najpierw zobaczyć z bliska, żeby uwierzyć w jej istnienie.

— To auto symbolizuje triumf pieniądza nad zdrowym rozsądkiem — powiedział John, otwierając drzwiczki. — I to przede wszystkim ma dla mnie znaczenie w tym samochodzie.

— Zawsze miałeś nienormalny gust — stwierdził William, wsiadając do samochodu. —

Aż strach myśleć, co stałoby się w Ameryce, gdybyś został wziętym architektem. Nasze budowle byłyby... hm, wulgarne, to jest chyba najlepsze słowo. — Opuścił szybę i wystawił łokieć za szybę. — Kłopot, jaki sprawia twoja generacja, jest taki, że wszyscy myślicie, iż lata pięćdziesiąte nie były niczym innym, jak tylko rock and rollem i podkradaniem samochodowych kluczyków cierpiącym ojcom. Nie zastanawialiście się wtedy nad niczym innym. Najważniejsze były dla was szafy grające i zabawy.

— Czyżbyśmy na dzień dobry mieli wzniecić kłótnię międzypokoleniową? — zapytała Vicki, kiedy John zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Po chwili przecięli Manchester Avenue.

— Prawdę mówiąc, nie mam na to najmniejszej ochoty — przyznał William. — Zależy mi natomiast na gorącej kąpiel. Czuję się, jakbym od pięciu lat nie zmieniał koszuli. John pociągnął nosem.

— Hm — mruknął. — Coś w tym musi być.

Wszyscy się roześmieli. Osiemdziesiątą Trzecią Ulicę mijali sześć minut przed czasem, który wyznaczył im mężczyzna w grand prix. John, ogarnięty radością spowodowaną wizytą ojca, prowadził imperiała crowna szybko i z przyjemnością. Nie zauważył srebrnego auta, które wynurzyło się zza zakrętu i szybko podążyło za nim przez Sepulveda Boulevard w kierunku północnym.

— Ostatnio wiodę bardzo spokojne życie — powiedział William, wyciągając wrzoścową fajkę i swój stary, skórzany kopciuch do tytoniu. — Myślę, że mój jedyny kłopot polega na tym, iż jestem zbyt młody wśród kolegów — profesorów, a zbyt stary, niestety, dla moich seksownych studentek.

— Jak więc spędzasz czas? — zapytał John.

William uśmiechał się.

— Cóż, trochę zajmuję się polityką.

— Wciąż walczysz o równe prawa obywatelskie?

— Coś w tym rodzaju. Nasz ruch jednak trochę już okrzepł i zmadrał. Zmierzamy ku stanowi, który można określić jako społeczeństwo wzajemnego poszanowania. Chcemy, aby jednostki były szanowane przez swoje rządy, a patrząc w drugą stronę, pragniemy, aby rządy zyskały szacunek i zaufanie jednostek. To oczywiście długi, powolny i skomplikowany proces, kiedyś jednak go zrealizujemy. Rząd jest w dzisiejszych czasach tak bezosobowym, abstrakcyjnym tworem, że aby docierać do obywateli, musi czynić ogromne wysiłki.

— Idealistyczna wizja — zauważył John, zatrzymując samochód na światłach przed San Diego Freeway. Popatrzył w lusterko i ujrzał bezpośrednio za sobą srebrne grand prix. Nie dojrzał jednak twarzy kierowcy.

Światła zmieniły się na zielone i John przejechał pod wiaduktem, po czym znalazł się na rampie wjazdowej na autostradę. Grand prix przez cały czas podążał za chryslerem.

— Napisałem kilka artykułów o tym, jakie warunki powinniśmy postawić naszemu następnemu rządowi — powiedział William. — Mam nawet kilka przy sobie; pokażę ci je, jeśli zechcesz się nimi zainteresować. Naczelnemu „Trenton Liberal” się spodobały.

— Los Angeles jest o wiele dziwniejszym miastem niż Trenton — stwierdził John. — Tutaj znacznie chętniej publikuje się bzdury o dziwnych kultach i religiach niż proste, przystępne teksty liberałów. Pewnego wieczoru na przyjęciu spotkaliśmy z Vicki faceta, który twierdził, że jest zmartwychwstałym faraonem Tutanchamonem. Zaproponował nawet, że pokaże nam swoje bandażę. William odchrząknął.

— Nic nadzwyczajnego. Żona pewnego wykładowcy poprosiła mnie na przyjęciu, abym dotykał jej gorsetu.

— I skorzystałaś z oferty? — zapytała Vicki ze śmiechem. John popatrzył w lusterko.

Srebrny grand prix wynurzył się właśnie zza ciężarówki i powoli zaczął ich wyprzedzać. John wyciągnął rękę w kierunku radia i zapytał:

— Posłuchamy muzyki?

— Tak. Z przyjemnością posłucham wszystkiego pod warunkiem, że nie będzie to country and western — odparł William.

Grand prix jechał teraz równoległe z nimi, po ich prawej stronie. John pędził z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę i drugi samochód z łatwością utrzymywał tę samą szybkość.

Sunęli w ten sposób aż do krzyżówki z Santa Monica Freeway. Dopiero tam przed grand prix pojawiła się wielka ciężarówka coca-coli i srebrny samochód musiał zwolnić. John ani na chwilę nie zmniejszył prędkości.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. William siedział wygodnie, z ciekawością rozglądając się na boki.

— Kiedy ostatni raz byłem w Los Angeles, ta autostrada w ogóle nie istniała — powiedział. — Jazda samochodem była mordęgą.

John zjechał na skrajny lewy pas, wyprzedził długi sznur ciężarówek, po czym powrócił na swój pas. Po chwili wykonał identyczny manewr, wyprzedzając dużą furgonetkę. Kiedy spojrzął w lusterko, znów ujrzał za sobą srebrnego grand prix.

— To szalone, ale coś ci powiem — odezwał się do ojca. — Przed dzisiejszym spotkaniem byłem cholernie zdenerwowany. Nie wiedziałem, w jaki sposób się przywitamy, co w którym momencie powiem.

— Byłeś zdenerwowany? — William roześmiał się. — A mi podczas całego lotu pociły się ręce.

Grand prix znów ich dogonił i kiedy mijali zjazd na Santa Monica Boulevard, jechał niemal

równy z nimi. Znalazł się w takim punkcie, że John nie mógł go dojrzeć w żadnym z lusterek, i podązał kilka stóp za chryslerem, nie wyprzedzając go ani nie zostając w tyle. John jednak zdawał sobie sprawę z jego obecności. Jeszcze raz popatrzył w lusterko i na głos wyraził zdziwienie:

— Co ten tuman wyprawia?

Jechali w ten sposób prawie pół mili. Wreszcie William odwrócił się i powiedział:

— Ten facet trzyma się cholernie blisko nas.

Niespodziewanie usłyszeli suchy, metaliczny trzask.

— Co to było, do cholery?! — zawołał John, zdenerwowany.

Niemal natychmiast rozległ się drugi trzask i chryslerem zarzuciło, jakby ktoś uderzył w niego ogromnym młotem.

— John! On do nas strzela! — wrzasnęła Vicki. — On strzela do nas!

John mocniej nacisnął na pedał i chrysler wyrwał do przodu. Grand prix przyśpieszył jednak niemal równocześnie z nim; nie sposób było się od niego oderwać, mimo; że prędkościomierz przed oczyma Johna wskazywał osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt mil na godzinę...

W pewnej chwili John ujrzał przed sobą przyczepę campingową. Ciągący ją samochód poruszał się o połowę wolniej niż chrysler. W tym samym momencie grand prix znalazł się po jego prawej stronie. Po lewej była już tylko bariera dzieląca przeciwne kierunki ruchu.

— Co on robi? John, co on robi? On chce nas zamordować! — przeraźliwie krzyczała Vicki.

John z desperacją skręcił w kierunku grand prix. Samochody zderzyły się bokami, zgrzytając rozdzieraną blachą. Vicki znów krzyknęła i przyłgnęła do Johna, rzucona na niego impetem uderzenia. Gdy samochody znów się zderzyły, rozległ się jeszcze głośniejszy metaliczny odgłos. John widział jedynie asfalt przed sobą i samochody. Nie słyszał niczego poza zgrzytem blachy i wyciem klaksonów. Kierowcy, którzy obserwowali całą akcję, trąbili ze wszystkich stron.

Zawartość żołądka podeszła mu do gardła, kiedy odniósł wrażenie, że traci kontrolę nad pojazdem. Gwałtowny ruch kierownicą zapobiegł jednak ostatecznemu nieszczęściu.

Opanował chryslera jednak tylko po to, by znów zdać sobie sprawę z obecności grand prix.

Napastnik zawział się na niego niczym srebrzysty rekin, polujący na rannego, ociężałego wieloryba. Pojawił się tak blisko, że John w pewnej chwili mógłby przypalić kierowcy papierosa. Ujrzał w końcu twarz mężczyzny w lustrzanych okularach.

— Zjedź na prawo! — zawołał William charkotliwym głosem. — Gwałtownie zahamuj i zjedź na prawo. Tutaj jest zaraz zjazd z autostrady.

John zacisnął zęby i z całej siły nacisnął hamulec chryslera. Opony auta zapiszczały, protestując, i samochód przednim zderzakiem niemal dotknął asfaltu.

To, co nastąpiło wówczas, zdawało się jakby nierealne, rozgrywało się niczym w zwolnionym tempie. Hamujący chrysler uderzony został z tyłu przez dużą, zieloną ciężarówkę. W tym momencie John nie miał już szansy zapanowania nad autem. Bezwładny samochód, mijając bagażnik grand prix, został pchnięty na stalową barierę. Uderzył w nią, rozbijając zderzaki i całą przednią maskę. Bezsilnie kręcąc kierownicą, John widział, jak Vicki osłania twarz, słyszał jej krzyk, unoszący się ponad zgrzytem metalu, ponad wszelkimi innymi dźwiękami i odgłosami, które rozlegały się w tej przerażającej chwili. Widział także swojego ojca, kurczowo przytrzymującego się drzwi, widział jego przerażoną twarz i szeroko otwarte oczy.

Jednak w momencie, kiedy był prawie pewien, że wszystko się skończyło i przetrwali atak szaleńca, poczuł, jak do samochodu wpada coś jasnego i skrzącego i błyskawicznie uświadomił sobie, że są to kawałeczki szkła. Pchnął Vicki na podłogę i właśnie sięgał dłonią w kierunku głowy ojca, gdy ujrzał, jak jego siwiejąca czupryna eksploduje czerwienią. Na własne oczy zobaczył, jak od

twarzy ojca odpada fragment policzka i nosa. Krew ze zranionej głowy zaczęła tryskać na wszystkie strony. William, zdziwiony uniósł dłonie do twarzy, ale niemal natychmiast padł bez czucia na siedzenie samochodu.

Dopiero wtedy wszystko się skończyło. Zapanowała niej przenikniona, złowieszcza cisza.

Minęła chyba minuta, zanim ktoś szarpnął drzwiczki chryslera i zawołał:

— Ludzie, czy nic wam się nie stało? Hej, ludzie... Chryste, czy nic wam się nie stało?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Czekał w szpitalnej poczekalni niemal pięć godzin. Silne światło jarzeniówek sprawiło, że rozboleły go oczy. Obok krzeselka stał niski stolik, z postrzępionymi egzemplarzami „National Geographic” oraz popielniczką. Nie potrafił jednak skupić się na obyczajach myśliwskich Indian Daysk, a jakoś nie przyszło mu do głowy, żeby zapalić papierosa. Jakaś uczynna pielęgniarka z wystającymi zębami przyniosła mu kawę. Wypił ją, nie czując nawet jej smaku. Wiedział, że znajduje się w szoku powypadkowym, zamierzał jednak czekać tak długo jak długo ojciec pozostawał na sali operacyjnej, i być świadomym tego, co się dzieje.

Mniej więcej pół godziny wcześniej pozwolili mu popatrzeć na Vicki. Jej twarz była równie biała jak poduszki, na których spoczywała. Odłamki szkła poraniły jej czoło, poza tym miała rany na ramionach. Na szczęście jednak nie doznała żadnych poważniejszych obrażeń.

Lekarze powiedzieli, że najprawdopodobniej za kilka dni będzie mogła opuścić szpital. John, roztrzęsiony, pocałował ją, kiedy jednak próbowała pytać, co się wydarzyło, położył palec na jej ustach i przecząco potrząsnął głową.

Ze swego miejsca w poczekalni widział biurko pielęgniarki dyżurnej i drzwi windy.

Kilkakrotnie lekarze z poważnymi minami wychodzili z windy i szeptali coś do pielęgniarki, jednak do Johna nikt nie podchodził. Nerwowo wiercił na krześle, czując pustkę, bezradność i ogarniające go zmęczenie.

Krótko przed dziesiątą z windy wyszedł jakiś mężczyzna w zielonej marynarce. Przez chwilę rozmawiał z pielęgniarką, po czym ruszył w kierunku Johna. Miał ciemne policzki, brązowe oczy i mały, zielony kapelusik, który zupełnie do niego nie pasował. Przystanął nad Johnem i wyciągnął z kieszeni brązowy skórzany etui, w którym znajdowała się srebrna odznaka.

— Nazywam się Morello, jestem z policji w Los Angeles.

John wzruszył ramionami.

— Powiedziałem już wszystko, co widziałem i słyszałem. Chce pan dowiedzieć się ode mnie czegoś jeszcze?

— Zabiorę panu tylko kilka minut. Mogę jednak porozmawiać z panem dopiero jutro, jeżeli pan sobie tego życzy.

John potrząsnął głową.

— Niech pan usiądzie. Prawdę mówiąc, chwila rozmowy dobrze mi zrobi.

Detektyw usiadł naprzeciwko niego i mimowolnym ruchem wygładził stertę magazynów.

— Powiedział pan naszemu funkcjonariuszowi, że nie widział pan dobrze twarzy napastnika. Zdaje się, że wspominał pan o jego okularach przeciwsłonecznych.

— Tak. To były okulary o lustrzanych szklach.

— I to pan właśnie zobaczył? Czy nie dostrzegł pan żadnych charakterystycznych rysów twarzy? Czy może jakieś szramy? A może jest pan w stanie powiedzieć coś o budowie tego faceta? Waga, wzrost...

Ruchem zmęczonego człowieka John przetarł czoło.

— Przez cały czas próbowałem zachować kontrolę nad samochodem. To nie była przejażdżka, niech mi pan wierzy. Nie mogłem się przyglądać twarzy tego faceta.

Detektyw wyciągnął przed siebie nogi, obnażając białe, chude kostki.

— Ale jest pan pewny, że w tym samochodzie siedział tylko jeden człowiek, prawda?

Oprócz niego nie było tam nikogo innego?

— W każdym razie nikogo nie zauważyłem. Jednak, tak jak już panu powiedziałem, przede wszystkim zajęty byłem prowadzeniem samochodu.

— Uważamy, że to był jeden mężczyzna — powiedział detektyw Morello.

— Naprawdę?

Wszystko na to wskazuje. Strzelił do pańskiego samochodu cztery razy. Jedna kula uderzyła w przedni zderzak; to był pierwszy strzał. Druga trafiła w przednie drzwi, tuż poniżej klamki. Trzecia wpadła do kabiny samochodu przez tylną szybę, krótko po tym, jak uderzyła w was ciężarówka. No i była jeszcze czwarta kula; ta trafiła w pańskiego ojca.

John zakaszłał.

— Co oznacza, że zaatakował nas jeden człowiek? — chciał się upewnić.

— Już panu mówiłem, wszystko na to wskazuje. Na początku mocno spudłował, a biorąc pod uwagę, że znajdował się w odległości mniej więcej trzynastu stóp od celu, należałoby uznać, że jest kiepskim strzelcem. Strzelał z automatycznego colta, kaliber 38. Ta broń nie jest uważana za najcelniejszą na świecie, jednak nawet amator powinien z niej trafić w ludzką głowę z odległości trzynastu stóp. Przypuszczamy, że jednocześnie prowadził samochód i strzelał, tego nie uważamy napastnika za amatora. Po prostu działał sam.

John pokiwał głową.

— A więc poszukujecie maniaka działającego w pojedynkę.

— Właśnie. Szukamy maniakalnego zabójcy, który przypadkowo wybiera samochody, po czym atakuje je z zamiarem zamordowania podróżujących nimi osób.

— Czy coś podobnego zdarzyło się już w przeszłości?

— Nie czyta pan gazet? W ciągu ostatnich miesięcy mieliśmy już jedenaście wypadków na autostradzie, wszystkie podobne do pańskiego. Strzelano albo z samochodów, albo z przydrożnych krzaków. To jakaś epidemia.

John wstał i podszedł do okna. Przez lekkie, białe zasłony widział sznury samochodów sunących przez park McArthur osiem pięter niżej.

— I uważacie, że wszystko jest dziełem tego samego człowieka? Maniakalnego zabójcy?

— Nie jesteśmy tego do końca pewni, lecz wszystko na to wskazuje. W tych jedenastu wypadkach użyto tylko trzech różnych rodzajów broni: automatycznego colta, takiego, z jakiego strzelano do pańskiego ojca, a poza tym dwóch karabinów wojskowych: M-14 i M-16.

— Może więc być trzech maniaków.

Detektyw Morello wyciągnął z paczki papierosa i zapalił go. John obserwował jego ruchy, nie poprosił jednak, żeby go poczęstował. Może po opuszczeniu tego szpitala od razu wypali całą paczkę, kiedy dowie się, że ojciec z tego wyjdzie? A może już nigdy w życiu nie wypali ani jednego papierosa?

— Z równym powodzeniem tych maniaków może być jedenastu — zauważył detektyw Morello. — Powiem panu coś. Po każdym zabójstwie ten wariat następnego dnia dzwoni do „The Los Angeles Times”, podając swój kryptonim, który sam wymyślił, a który ogółowi jest nie znany, i przyznaje się do zabójstwa. Sam określa się jako „Łysy Orzeł”; tylko niech pan tego nikomu nie powtarza. My

nadaliśmy mu kryptonim „Ciastko z autostrady”.

John odwrócił się od okna i stanął nad policjantem niczym zmęczony adwokat, który nie wie już, jakie pytania powinien jeszcze zadać świadkowi.

— Ma pan już jakieś poszlaki? — zapytał jednak. — Jakież wskazówki, które mogłyby doprowadzić pana do zabójcy?

Detektyw Morello przecząco potrząsnął głową.

— W dzisiejszych czasach ludzie nie potrzebują żadnych powodów, żeby zabijać innych ludzi. Dawno już minęły czasy, kiedy szukaliśmy zabójców, znając motyw, które mogły nimi kierować. W ubiegłym tygodniu zatrzymałem dzieciaka, który przyznał mi się, że zadźgał nożem jakiegoś starego włóczęgę w parku Cahuenga, tylko dlatego, że się nudził.

Urwał się ze szkoły i zwyczajnie się nudził.

— Wróćmy do tych spraw na autostradzie. Co zamierzacie dalej robić? — zapytał John.

— Cierpliwie, krok po kroku, będziemy analizować wszystkie informacje, którymi dysponujemy.

— Ilu ludzi jeszcze zginie, zanim te informacje doprowadzą was do mordercy?

Detektyw Morello wyglądał na obrażonego.

— Mamy do czynienia z psychopatą — zauważył. — Tacy sprawcy działają w specyficzny sposób, ich zachowania powtarzają się, jednak w większości wypadków są to zachowania pozbawione sensu. Tropiłem pewnego psychicznego w ubiegłym roku; dusił kobiety, które akurat ubrane w określony rodzaj dzinsów. Niech mnie pan nie pyta, dlaczego to robił. Nie mam wątpliwości, że i w wypadku mamy do czynienia z podobnym sprawcą.

— A więc w tych zabójstwach nie ma niczego, co doprowadziłoby pana do zbrodniarza?

Detektyw Morello potrząsnął głową.

— Ofiary nie mają ze sobą nic wspólnego. Żadna z nich nie miała wrogów. Wszyscy byli szczęśliwymi, normalnymi, zrównoważonymi ludźmi. Po prostu zdarzyło im się znaleźć w niewłaściwym czasie, w niewłaściwym samochodzie, na niewłaściwej autostradzie, ot co. Ten facet wybiera swoje ofiary przypadkowo i czyni to jedynie dla czystej przyjemności zabijania.

John zagryzł wargi.

— Nie widziałem mojego ojca od trzech lat. Może miał jednak jakichś wrogów?

— Takich samych jakich miał Ken Galozzo. Pan Galozzo był sprzedawcą galanterii w Pasadenie. Jedną z zamordowanych, pani Helen Walker, była po prostu gospodynią domową z Sherman Oaks. Inny, Juan Fernando, pracował w myjni samochodowej w centrum Los Angeles. Ben Olivier z Missouli w stanie Montana był emerytowanym pilotem jednej z największych linii lotniczych; przybył do Kalifornii zaledwie na dwa dni. Ci wszyscy ludzie zginęli, panie Cullen, i nie potrafię panu podać najmniejszego sensownego powodu, dlaczego zginęli i dlaczego właśnie oni. Jedynym dla mnie wyjaśnieniem jest to, że mieli nieszczęście trafić na szaleńca, który wybrał sobie taką, a nie inną porę, żeby zabijać.

Przez długą chwilę John milczał. Wreszcie odezwał się:

— W porządku. Widzę, że stoi pan przed kamienną ścianą, w której nie widać żadnej wyrwy. Przykro mi.

— W końcu go dostaniemy, niech się pan nie martwi powiedział detektyw Morello. — Nie może pan jednak spodziewać się po nas cudów. Jesteśmy istotami ludzkimi, ścigającymi kogoś, kto niestety nie zachowuje się jak człowiek.

Znów zapadła cisza, którą zakłóciło dopiero pojawienie się siostry dyżurnej. Przystanęła przed Johnem i cichym głosem powiedziała.

— Panie Cullen?

— Co się stało? Czy operacja już się zakończyła? — zapytał John nerwowo.

Pielęgniarka lekko się uśmiechnęła.

— Proszę pójść za mną, panie Cullen.

John popatrzył na detektywa Morello, ten jednak tylko pokiwał głową i powiedział:

— Niech pan idzie. Jeżeli będę musiał jeszcze z panem porozmawiać, zadzwonię do pana do domu.

Pielęgniarka szła już korytarzem. Jej buty na gumowych podeszwach skrzypiały na wypolerowanym linoleum. John pośpieszył za nią. Minęła swoje biurko i skręciła za róg, prowadząc go w kierunku podwójnych drzwi. Niespodziewanie John przypomniał sobie o drzwiach w mieszkaniu pani Benduzzi; zdawało mu się, że od jego ostatniego pobytu tam minęły całe wieki.

W gabinecie, w którym się znaleźli, za biurkiem siedział lekarz w białym fartuchu i okularach w grubej rogowej oprawie. Na widok Johna wstał i wyciągnął rękę. Był bardzo niski i miał kręcone włosy; gdyby nie poważna twarz czterdziestolatka, można by odnieść wrażenie, że jest dzieckiem.

— Jestem doktor Nathan — powiedział. — Czy zechce pan usiąść, panie Cullen?

John niepewnie usiadł na skraju krzesła.

— Co jest z moim ojcem? — zapytał szeptem.

Doktor Nathan obszedł biurko i położył dłoń na ramieniu Johna.

— Chcę powiedzieć panu prawdę — oznajmił. Pachniał mydłem i środkami antyseptycznymi.

— Prawdę? Co to znaczy?

— Prawda jest taka, że pański ojciec już z tego, niestety, nie wyjdzie. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby go ocalić, jednak kula spowodowała nieodwracalne zmiany w mózgu. Panie Cullen, przykro mi, ale pański ojciec umiera.

John poczuł dławienie w gardle.

— Czy nie ma żadnej nadziei? — usłyszał własny głos. Zdawało mu się, że nie jest sobą, że jego mózg nie jest w stanie kierować jego poczynaniami. Czy naprawdę chodzi o jego ojca? Nie mógł tego zrozumieć.

— Przykro mi.

Nastąpiła długa, nieprzyjemna cisza, którą wreszcie zdołał przerwać John:

— Czy mogę go zobaczyć? — Był tak bliski łez, że z trudem mówił.

— Oczywiście. Niech pan pozwoli za mną. Siostró, czy pomoże nam pani?

To nie mogło być prawdą. To musiał być jedynie straszny sen. A jednak krok za krokiem John przemierzał szpitalny korytarz, mijał wózki ze sprzętem medycznym i grupy chorych, którzy odwracali się i patrzyli za nim. Wreszcie znalazł się przed drzwiami prowadzącymi do pomieszczenia o niebieskich ścianach.

Jego ojciec leżał na białym łóżku, ustawionym na samym środku pokoju, podłączony niezliczonymi przewodami i rurkami do sprzętu diagnostycznego. Bicie jego serca, słyszalne dzięki elektrycznemu wzmocnieniu, było słabe i nieregularne, zwiastowało ostatnie minuty.

Całą lewą połowę twarzy miał owiniętą bandażami, a prawe oko, poranione odłamkami szkła, było zamknięte.

John podszedł do łóżka.

— Tatusiu — powiedział.

— On pana nie słyszy — odezwał się doktor Nathan. — Jest w stanie śpiączki.

— Czy odzyska przytomność? Czy będę mógł jeszcze coś mu powiedzieć?

Doktor Nathan przecząco potrząsnął głową.

John znów popatrzył na łóżko, na którym spoczywał jego nieszczęsny ojciec. Wrócił myślami do swego dzieciństwa, gdy ten człowiek opiekował się nim, pomagał mu i uczył.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym razem poszli nad rzekę, żeby łapać kijanki, a on wpadł do wody i potem ojciec niósł go na rękach, mokrego i wystraszonego, przez całą drogę do domu.

Przypomniawszy sobie, jak puszczały latawce, a grube, ciemne chmury piętrzyły się nad ich głowami. Przypomniawszy sobie, jak ojciec po raz pierwszy opowiedział mu o seksie, ciepłym głosem, spokojnie, w taki sposób, że o wiele piękniejsza wydała mu się miłość niż samo kopulowanie. Przypomniawszy sobie radosne dni na meczach baseballowych i ich niekłamaną przyjaźń i porozumienie.

Łzy pociekły po jego policzkach. Czuł się najbardziej opuszczonym i najniezwyklejszym z ludzi i nie potrafił zwalczyć tego uczucia.

— Tatusiu — załkał. — Och, tatusiu, o Jezu Chryste...

Ujął zimną dłoń, spoczywającą na białym prześcieradle. Nie sprawiała już wrażenia dłoni prawdziwego, żywego człowieka. Pochylił jednak głowę i przyłożył do niej usta, jakby w ten sposób był w stanie przywrócić jej życie.

Sygnal bicia serca na moment wzmościł się, przyspieszył, ale zaraz osłabł, zwolnił.

— On odchodzi, doktorze — powiedziała pielęgniarka.

John nie odrywał oczu od twarzy ojca, jakby wierzył, że stanie się jakiś cud, że ojciec wstanie, a przynajmniej odezwie się, powie coś... On sam chciał w tej chwili powiedzieć ojcu, jak bardzo go kochał i jak bardzo będzie mu go brakowało do końca życia.

Sygnal z aparatury elektronicznej zanikł.

Nastąpiła głucha, pusta cisza.

John zacisnął usta, żeby się teraz nie rozplakać, żeby nie załkać głośno, nie mógł jednak powstrzymać łez, które strumieniami ściekały po jego policzkach. Pielęgniarka delikatnie otoczyła go ramieniem i wyprowadziła na korytarz. John usiadł na małym krzeselku pod ścianą i dopiero tam się rozplakał, głośno i rzewnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Klimatyzacja we wnętrzu białego fleetwooda dawała taki chłód, że kobieta siedziała dokładnie owinięta białą futrzaną etolą, przytrzymując ją pod szyją palcami, na których lśniły pierścionki z szafirami, rubinami i diamentami. Lubiła chłód. Lubiła myśleć o sobie jako o Królowej Śniegu, chłodnej władczyni, doprowadzającej męskie serca do takiego stanu, że zastygały jak lód, aż wreszcie pękały na tysiące drobnych cząsteczek. Mimo upływu lat, mimo tylu telewizyjnych powtórek Poprzez Yukon i Kochanków na niby i mimo że już większość stacji nadawała te filmy dopiero po drugiej nad ranem, wciąż była niezwykle atrakcyjna, wciąż emanowała świeżą kobiecością, a autorzy plotkarskich kolumn dotyczących wyższych sfer niemal we wszystkich gazetach określali ją jako „najbardziej dumną z kobiet, które kiedykolwiek rozbierały się na ekranach”.

Adele Corliss w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat była szczytowym osiągnięciem współczesnej chirurgii plastycznej. Jej doskonała twarz, szeroko rozstawione oczy i prosty, ostry nos były tak samo dziewczęce i wolne od zmarszczek jak wtedy, kiedy miała dwadzieścia dziewięć lat. Jej szyja była gładka i mocna, a jej dłonie wciąż wyglądały jak dłonie młodej dziewczyny. Jej piersi rysujące się pod białą, obcisłą sukienką, były sterczące i jędrne, brzuch płaski, a uda wysmukłe i gładkie. Nie wierzyła w starzenie się; coś takiego dla niej nie istniało. Wierzyła natomiast w potęgę pieniądza. Za pieniądze potrafiła kupić sobie również młodość.

Przeglądała się w poślacanym lusterku, które wyciągnęła z torebki. Miała długie, kręcone włosy w kolorze jasnego popiołu, spięte z tyłu złotą spinką. Jej oczy były brązowe, a skóra opalona na przyjemny, jasnobrązowy kolor. Wyglądała młodziej od własnej córki, która niedawno skończyła czterdzieści lat.

Za kierownicą fleetwooda siedział jej ciemnoskóry szofer, Mark. Ubrany był w lśniący, biały uniform i podśpiewywał sobie pod nosem, pewnie prowadząc auto po Laguna Canyon Road, mknąc ku Interstate numer pięć. Było gorące i słoneczne popołudnie. Mimo połowy listopada, niebo miało piękny, głęboki niebieski kolor. Tego piątkowego poranka Adele przemierzyła już trasę z Palm Springs do Laguna Beach, składając j comiesięczną wizytę swej matce, która miała osiemdziesiąt trzy lata i dożywała swoich dni w domu spokojnej starości.

Jak zwykle spędziły razem czas, siedząc na balkonie i obserwując morze, w którym odbijało się słońce. Pani Corliss, staruszka o rozwianych, siwych włosach, w okularach z grubymi szklami, jak zawsze opowiadała o minionych dniach, o jej domu w Anaheim (od dawna już nie istniejącym) i o nocy, podczas której wujek Richard wsadził nogę do cynkowego wiadra, a potem, nie mogąc jej z niego wyciągnąć, przez długie godziny maszerował wzdłuż Brookhurst Avenue do domu, taszcząc wiadro ze sobą.

Adele nie lubiła wspomnień z tamtych dni. Były to dni biedy, wilgotnych pokojów, a poza tym już dawno minęły. Złe czasy skończyły się, kiedy okrzyknięto ją cudownym dzieckiem, a potem gwiazdą kina. Czterokrotnie wychodziła za mąż, urodziła dwoje dzieci, trzykrotnie usiłowała popełnić samobójstwo, kupiła i sprzedała siedem domów, wypiła tysiące butelek szampana, rotrzaskała niezliczone lustra i jeździła całym zastępem cadillaków na dziesiątki premier. Poza tym dużo podróżowała, płakała, klóciła się, wrzeszczała, czasami prosiła, śmiała się; po tym wszystkim pozostał jej teraz luksusowy dom w Palm Springs, stały, wysoki dochód, młodzieńczy wygląd i dobre zdrowie. Była zadowolona z siebie, a radość jej życia stanowili kolejni, im młodszy, tym lepsi, mężczyźni, z którymi uwielbiała się pieprzyć.

— Czy dobrze się bawiłeś, Mark? — trochę sarkastycznie zapytała szofera, kiedy lśniący,

błękitny ocean pozostawili za sobą.

— Jak zwykle, pani Corliss — odparł Mark, spoglądając na odbicie jej twarzy we wstecznym lusterku.

Adele uśmiechnęła się.

— Odpowiedziałeś mi bardzo dyplomatycznie. Z taką pałą jak twoja nie powinieneś być się źle bawić.

— Dziękuję, pani Corliss — powiedział Mark.

Adele wygodniej rozparła się na białej tylnej kanapie fleetwooda.

— Nie musisz być taki skromny. — Rozmowa wyraźnie ją bawiła. — Czyż w Biblii nie jest napisane, że Ziemia należy do tych, których dobrze wyposażyla natura?

— Do ludzi łagodnego serca, za przeproszeniem, pani Corliss.

Zmarszczyła czoło.

— W takim razie jesteś zwycięzcą w obydwu konkurencjach.

— Dziękuję, pani Corliss.

Zbliżali się do skrzyżowania z El Toro Road. Adele nachyliła się właśnie, żeby otworzyć drzwiczki niewielkiego barku, który zainstalowany był w samochodzie, gdy niespodziewanie za szybą ujrzała autostopowicza. Nie trafiła dłonią na kluczyk. Mężczyzna machnął ręką na mijający go samochód i Adele niespodziewanie zawołała:

— Mark, zatrzymaj się. Mark!

Lśniący, biały fleetwood zwolnił i zjechał na zakurzone pobocze. Mark, cichy i posłuszny jak zawsze, wyłączył silnik. Po chwili we wnętrzu samochodu słyszeć było jedynie delikatny szum klimatyzacji, a potem rozległ się odgłos kroków autostopowicza, powoli zmierzającego w kierunku auta.

Mężczyzna niemal przyłożył twarz do przyciemnionej szyby i Mark grzecznie ją opuścił, naciskając guzik na konsoli umieszczonej obok fotela kierowcy. Mężczyzna był młody, miał kręcone, nieco wypłowiałe od słońca włosy, fiołkowe oczy i silnie zarysowaną szczękę amerykańskiego futbolisty. Prostą, czerwoną koszulę miał niemal całkowicie rozpiętą, przez co jego muskularna pierś i mocny, płaski brzuch były obnażone. Na szyi nosił trzy złote łańcuchy, a na przegubie prawej ręki złotą bransoletę. Płócienny worek przewieszony przez ramię był jednak poprzecierany i stary.

— Dziękuję, że się pani zatrzymała — powiedział. — Czekam tu już bardzo długo.

Adele zmierzyła go wzrokiem, w którym nie potrafiła ukryć podziwu.

— Zdaje się, że nie jest to najlepsze miejsce na łapanie okazji — zauważyła. — O mały włos, a bym pana przegapiła.

Chłopak podrapał się po nosie.

— Cóż, facet, który podwoził mnie z Laguna Beach, skręcał w El Toro. Powiedziałem mu, żeby mnie tutaj wysadził, a ja jakoś znajdę sobie auto, które zawiozłoby mnie prosto do Santa Ana. Nie lubię machać na samochody na autostradach; tam jest na to naprawdę za gorąco.

— A więc zmierzasz do Santa Ana? — upewniła się Adele.

Chłopak przecząco potrząsnął głową.

— Tak naprawdę to jadę do San Bernardino. Ale jeżeli jedzie pani na północ, to w Santa Ana znów sobie coś znajdę.

Adele uśmiechnęła się swym słynnym uwodzicielskim uśmiechem, znanym z ekranów kinowych.

— Wsiadaj — powiedziała. — Zmierzamy aż do Palm Springs i możemy wyrzucić cię na rozjeździe w Riverside. Mark, czy zechciałbyś otworzyć drzwi?

Mark nadusił przycisk odblokowujący zamki w drzwiach i autostopowicz nacisnął na klamkę. Wsiadł do samochodu i usiadł na tylnym siedzeniu, ostrożnie układając worek na podłodze wyłożonej białą wykładziną. Mark znów zablokował drzwi, podniósł szyby i fleetwood powoli ruszył.

— Jestem pani bardzo wdzięczny — powiedział chłopak, wycierając spocone czoło szarą chusteczką. — Już się bałem, że będę tutaj sterczał przez całą noc. — Urwał na chwilę. — Aha, jeszcze się nie przedstawiłem — przypomniał sobie. — Nazywam się Ken Irwin, pochodzę z Butte w stanie Montana.

— Och, bardzo mi miło — odparła Adele z sarkazmem, którego chłopak nie wyczuł w jej głosie.

— Przyjechałem w te strony w poszukiwaniu pracy. Pracuję w domach, wykonuję różne prace porządkowe i tak dalej. Z tego właśnie żyję, chociaż mam nadzieję, że tylko tymczasowo. Tak naprawdę to chciałbym kiedyś grać w filmach.

— Każdy by tego chciał — mruknęła Adele.

Ken zaczął zapinać koszulę.

— Dlaczego to robisz?

Posłał jej niepewny, pełen zmieszania uśmiech.

— Tutaj jest zimno, proszę pani. Przed chwilą stałem w pełnym słońcu, nie chcę się przeziębic.

Adele popatrzyła na niego swymi brązowymi, głębokimi oczyma. Ken niepewnie poprawił się na siedzeniu; nie wiedział, czy może kontynuować zapinanie koszuli, czy też powinien tego zaprzestać.

— Zapnij się — pozwoliła mu wreszcie Adele. — W końcu zdrowie jest najważniejsze.

— Dziękuję — mruknął.

Dotarli do Santa Ana Freeway i skręcili na północ. Po ich prawej stronie wyrastały góry Santa Ana; ich szczyty ukryte były głęboko w chmurach.

— Może dziś się wreszcie trochę ochłodzi — zauważył Mark na widok chmur. — Prawda, pani Corliss?

Ken Irwin popatrzył na nią. Podchwyciła jego spojrzenie. Na jej twarzy malował się wyraz otwarcie zachęcający do zadania pytania.

— Chyba nie mam przyjemności z tą panią Corliss? — zapytał. — Z panią Adele Corliss?

Skrzyżowała długie nogi. Jej biała sukienka podciągnęła się i Ken mógł ujrzeć nagie, wspaniale opalone udo.

— Oczywiście, że jestem właśnie tą Adele Corliss. — Próbowała udawać zdziwienie. — Czyżbyś mnie nie rozpoznał?

Ken zaczerwienił się.

— No... Cóż, tak sobie właśnie pomyślałem w pierwszej chwili, kiedy na panią spojrzałem, jednak...

— Co takiego? Czyżbym wydawała ci się zbyt młoda?

— Co? Nie, skądże, ale... Dotknęła jego dłoni.

— Co takiego?

Głośno przełknął ślinę.

— Pani jest śliczna — powiedział drżącym głosem. — Taka, jak w filmach, naprawdę.

Przez długą chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Ken chrząkał co jakiś czas niepewnie i siedział sztywno wyprostowany, zaciskając dłonie złożone na kolanach. Od czasu do czasu jedynie zerkał na nią, aby upewnić się, czy się na niego nie rozzłościła.

W końcu Adele roześmiała się.

— Ken — powiedziała. — Jesteś bardzo przystojny. Czy wiesz o tym?

— Nikt nigdy nie mówił mi, że jestem przystojny.

Wyciągnęła rękę i po kolei dotknęła palcami jego czoła, nosa i ust. Nie próbował całować jej palców, w przeciwieństwie do wielu mężczyzn, którzy tak właśnie czynili. Zdawał się zupełnie zбитy z tropu, oszołomiony Adele, jej sławą i emanującym z niej chłodnym seksem.

Pochyliła się ku niemu i zatrzymała twarz zaledwie o kilka cali od jego policzka.

— A więc ja mówię, że jesteś przystojny — wyszeptała. Czy to ci wystarczy? Czy wystarczy ci, że wielka Adele Corli uważa cię za przystojnego młodzieńca?

Znów niepewnie poprawił się na siedzeniu.

— Wystarczy mi, jasne. Pani mnie onieśmiela.

— Nie powinienes być nieśmiały. Powiedziałam prawdę.; A teraz bądź tak uprzejmy i otwórz ten barek. Napijemy się szampana.

Odetchnąwszy z ulgą, Ken uwolnił się od jej dotyku i pochylił się, żeby otworzyć barek.

Był oczywiście chłodzony i zawierał kilka butelek szampana i martini.

— Wypijemy z wysokich kieliszków — powiedziała Adele. — Tylko gwiazdeczki z Hollywood i Kanady używają innych naczyń do szampana. Jedynie z wysokich kieliszków nie uciekają bąbelki.

— Jasne — mruknął Ken i po chwili ostrożnie, niezgrabnie nalewał szampana do kieliszków.

— A więc — powiedziała Adele z uśmiechem — pijemy twoje zdrowie. Za twoje święto.

Ken wypił łyk chłodnego wytrawnego szampana.

— Nie bardzo wiem, co ja właściwie świętuję — zauważył.

— Oczywiście świętujesz przyjęcie do pracy. Zdaje się, że coś mi na ten temat powiedziałeś. Pracujesz w prywatnych domach, wykonujesz prace porządkowe...

— Tak, ale...

— Jakie ale? Chcesz pracować czy nie chcesz? Mam w Palm Springs dom z dwunastoma sypialniami. Ciągłe jest tam coś do zrobienia. Pastowanie, odkurzanie, czyszczenie, sprzątanie... Czy nie takie właśnie prace wykonujesz?

— Tak, ale...

Dotknęła jego ramienia takim ruchem, jakby właśnie pasowała go na rycerza.

— Dobrze, w takim razie wszystko może wyglądać inaczej. Będiesz moim mężczyzną.

Ken przygryzł wargi.

— Prawda jest taka, pani Corliss, że ja właściwie mam już pracę załatwioną.

— To odwołaj wszystko.

— Pani Corliss, ja naprawdę tym ludziom obiecałem...

— Odwołaj to. Zbyt mi się podobaasz, żebym cię, ot tak, puściła. Gdy ujrzałam cię na poboczu, pomyślałam sobie, że jesteś takim ognistym chłopakiem, jakiego potrzebuję. A jaka może być lepsza kombinacja niż lodowata kobieta i ognisty chłopak?

— Pani Corliss...

— Popatrz na mnie — zażądała. Wyprostowała się i pozwoliła, żeby futrzana etola opadła z jej ramion. Mark popatrzył na jej odbicie w lusterku i szybko powrócił wzrokiem na drogę przed sobą. Nie był zazdrosny. Ciało Adele należało w końcu wyłącznie do niej i jeśli nawet czasami pieprzyła się z nim, kiedy akurat czuła się stara i samotna, nie miał żadnych złudzeń co do swojej roli. Równie użyteczny był dla niej, gdy sprawdzał zawieszenie fleetwooda, jak wtedy, gdy leżał nagi w jej pościeli i słuchał zachwyty nad pięknem, jaki stanowi widok jego czarnych jaj pomiędzy jej białymi udami.

Ken Irwin jednak był zmieszany sytuacją, a przy tym był podniecony. Zdawał sobie sprawę, jaki musi być wiek tej kobiety. Przecież grywała już z Douglasem Fairbanksem juniorem! Mimo tej świadomości nie potrafił odwrócić wzroku od jej białej sukienki, która podkreślała jędrne, doskonałe, wzmocnione silikonem piersi. Zapłaciła tysiące dolarów za to, żeby mieć oszałamiająco seksowne ciało, i nie dawało się w żaden sposób, niezależnie od seksualnych upodobań, ignorować jej seksowności. Ken spojrzał jej w oczy. Były chłodne, jakby odległe, ale właśnie bijący z nich chłód był tym, co najbardziej podniecało mężczyzn.

— Pani Corliss — powiedział chrapliwym głosem — nie wiem, czy nie usiłuje pani zrobić ze mnie głupca. Nie jestem na tyle bystry, żeby się o tym przekonać. Prawda jest jednak taka, że podpisałem kontrakt z agencją w San Bernardino, a praca, którą mi zaoferowano, jest stała i uczciwa. Natomiast to, co mi pani proponuje, jest co najmniej dziwaczne i dziwne.

Znów zarzuciła na siebie etolę. Wciąż była tak samo chłodna dla Kena.

— Czy nigdy nie miałaś ochoty na odrobinę dzikości? — zapytała. — Nie mów mi, że twoim jedynym marzeniem jest sprzątanie mieszkań.

Jakby się spłoszył.

— Nie, oczywiście, podnieca mnie to, co wszystkich innych młodych mężczyzn.

Zaplanowałem sobie jednak coś i nie zamierzam zmieniać mojego planu.

Adele znów przez chwilę mu się przyglądała, po czym niespodziewanie położyła dłoń na jego udzie. Nerwowo na nią spojrzał, jakby za chwilę miała go ukąsić niczym jadowity skorpion.

— Boisz się, prawda? — zapytała Adele. — O to właśnie chodzi. Ty naprawdę się mnie boisz.

Zaczerwienił się.

Wyciągnęła w jego kierunku swój kieliszek z szampanem. Przejeżdżali właśnie przez Orange, szybko zmierzając do Riverside Expressway. Za szybami samochodu mijały białe domy, palmy i słupy telegraficzne.

— Skoro się boisz — powiedziała głosem, który niemal zmroził krew w żyłach Kena — zrobimy coś, żeby przywrócić ci odwagę.

Mark bezgłośnie westchnął.

— Nie jestem pewien, pani Corliss — powiedział Ken. — Chciałbym wsiąść na rozjeździe w Riverside, jeśli można.

Adele roześmiała się.

— Co za uparciuch! Prawdziwy facet z Montany. Napij się jeszcze szampana, na miłość boską, chłopaku! Szampan pomoże ci zapomnieć, kim jesteś.

Zapadał zmierzch, gdy fleetwood przejechał przez kute w żelazie wrota hacjendy, w której Adele Corliss zamieszkała po swoim czwartym rozwodzie. Bezchmurne niebo było purpurowoszare, a Ken Irwin musiał mocno wyteżać wzrok, aby przez przyciemniane szyby samochodu zobaczyć prywatny, wypielęgnowany raj starannie przyciętych trawników, równych rzędów juk, starannie utrzymanych drzew pomarańczowych, poinsecji i magnolii.

Nad ogrodami unosiła się różnokolorowa mgiełka z pracujących przez cały czas spryskiwaczy.

Znów podśpiewując pod nosem, Mark zatrzymał fleetwooda przed frontowym wejściem do domu. Dopiero po wyłączeniu silnika odblokował drzwi. Ken wysiadł ostrożnie. Po kilkugodzinnej jeździe klimatyzowanym samochodem powietrze w Palm Springs było wręcz pachnące. Popatrzył na budynek; była to zbudowana w kształcie litery „E” imitacja posiadłości hiszpańskich właścicieli winnic. Przed podjazdem znajdowała się fontanna, do której woda tryskała z pitolków czterech betonowych cherubinów, a z lewej strony widoczna była tafla basenu, otoczonego przez postaci nagich rzymskich nimf.

Gdzieś w ogrodzie ktoś przycinał żywopłot, a monotony szcęk nożyc rozbrzmiewał w powietrzu niczym nawoływanie zrozpaczonego ptaka.

Adele wyszła z auta, szeroko rozpostarła ramiona i przeciągnęła się.

— Bardzo miłe miejsce — zauważył Ken.

— Powiedziałeś to takim głosem, jakby ci się tutaj nie Podobało.

— Och, nie, skądże, tutaj jest wspaniale — powiedział szybko.

Adele podeszła do niego i chwyciła go za rękę. Kiedy stanęła obok niego, zdziwił się, że jest taka niska. Nawet w białych bucikach na wysokich obcasach nie mogła mieć więcej niż pięć stóp i dwa albo trzy cale wzrostu. Na ekranie zawsze wydawała się taka wysmukła; ale może, tak samo jak Alan Ladd, stawała na podwyższeniu. Mimo że znalazł się tutaj wbrew sobie, Ken poczuł nagle ochotę, aby otoczyć ją ramieniem, aby naprawdę zaopiekować się tą drobną, seksowną blondynką, która miała tyle lat, że mogłaby być jego babką. Ona jednak pociągnęła go za rękę i powiedziała:

— Chodź, wejdźmy do środka. Odświeżymy się i czegoś się napijemy. Co powiesz na tequillę?

— Prawdę mówiąc, wolę piwo.

Służący w średnim wieku, w kremowym tuksedo i brązowym krawacie, czekał już przy dębowych, rzeźbionych hiszpańskich drzwiach. Jego nos był tak zakrzywiony, że przypominał dziób ptaka. Siwiejące włosy miał wybrylantynowane i starannie zaczesane do tyłu.

— Dzień dobry, Holman — powiedziała do niego Adele. — Czy miałeś spokojny dzień?

W odpowiedzi służący tylko skinął głową, po czym niespodziewanie wyciągnął z kieszeni chusteczkę i głośno się wysmarkał. Następnie wskazał Kenowi drogę do środka, jakby ten był sprzedawcą szczotek albo hydraulikiem, który właśnie przyjechał, żeby sprawdzić instalację.

Hol wyłożony był brązowymi meksykańskimi płytkami, a w ścianach zamiast drzwi znajdowały się łukowate otwory; Ken ujrzał przez nie wielki salon, w którym na kominku wesoło trzaskał ogień, oraz równie wielką, mroczną jadalnię, z wielkim dębowym stołem, dumnie tkwiącym pośrodku. W powietrzu unosił się aromatyczny zapach drewna sandałowego oraz garbowanej skóry.

— Mój poprzedni mąż, Roger Smuter, wyobrażał sobie, że jest Emiliano Zapata — zauważyła Adele, wręczając etolę służącemu. — Na ścianach wisiały ohydne portrety meksykańskich bohaterów ludowych i sceny z walk byków. Po rozwodzie pozwoliłam mu to wszystko zabrać. Uwierz mi, Ken, pozbycie się tego sprawiło mi większą ulgę niż pozbycie się samego Rogera.

W jednym z łuków ukazała się meksykańska służąca, niedbale ubrana w podniszczoną, czarną suknię. Miała obojętny wyraz twarzy i grube nogi.

— Pani kąpiel? — zapytała.

— Nasza kąpiel, tak — poprawiła ją Adele, z łagodnym uśmiechem spoglądając na Kena.

— Jak pani sobie życzy, pani Corliss — powiedziała służąca głosem bez wyrazu i natychmiast odeszła, aby wypełnić życzenie swojej pani.

— I co, podoba ci się mój dom? — Adele zapytała Kena. — Pokażę ci go w całości, kiedy się odświeżymy. Na razie wszystko tutaj jest urządzone bez gustu, ale to się wkrótce zmieni.

Znow chwyciła go za rękę i pociągnęła w kierunku łuku, za którym znajdowały się główne schody. Wykonane również z drzewa, solidne i lśniące; miały sprawiać na gościach wrażenie, jakby hiszpański służący codziennie, już od trzech stuleci, dokładnie polerował każdy ich stopień.

— Okropne, prawda? — zapytała Adele. — Niestety, Roger preferował podrabiane nowości nad prawdziwe antyki. Nie rozumiał różnicy pomiędzy przedmiotem, który powoli, przez stulecia, okrywa patyna czasu, a czymś, co byle maszyna wyprodukowała przed rokiem w ciągu dziesięciu minut. Tak samo idiotycznie podchodził do naszego małżeństwa.

U szczytu schodów znajdowała się długa galeria. Okna były tutaj szeroko otwarte i do środka

wpadało gorące pustynne powietrze, mimo że pracujące przez cały czas spryskiwacze dodawały mu przyjemnego chłodu.

— Czy nie czuje się pani tutaj samotna? — zapytał.

Poprowadziła go w kierunku półprzymkniętych drzwi na końcu galerii, za którymi paliło się światło.

— Mój psychoanalityk powiedział, że samotność jest w moim wypadku naturalną manifestacją wyjątkowości — odpowiedziała. — Oczywiście, to są ich typowe brednie.

Samotność jest wyrażeniem faktu, że słynna gwiazda filmowa ma prawo spotykać w życiu tylko dwa rodzaje ludzi: wrednych pochlebców i zazdrosnych wrogów.

Nie jestem ani pani pochlebcą, ani wrogiem — oświadczył Ken.

Uśmiechnęła się.

— Cóż, mój drogi, zobaczymy. W tej chwili prawie zupełnie mnie nie znasz.

Gdy przekroczył próg sypialni, poczuł, jak dłoń Adele błądzi po jego plecach. Królowa Śniegu, chłodna i wyniosła, była teraz rozpalona i podniecona.

Sypialnia była pomieszczeniem równie wielkim jak wszystkie inne w tym domu.

Zaprojektowano ją tak, aby poprzec ni mąż Adele mógł czuć się tutaj hiszpańskim szlachcicem odpoczywającym po trudach dnia spędzonego na końskim grzbiecie przy nadzorowaniu zbiorów winogron. Pośrodku stało ogromne łóżko z rzeźbionego drewna z białą, jedwabną pościelą. Równie śnieżnobiałe były dywany, a na wszystkie, ścianach wisiały lustra w połączonych ramach. Dwie lampy z brązu, zwisające z sufitu, dostarczały ciepłego, żółtego światła.

Zza kolejnego łuku w ścianie dobiegł do Kena zapach płynu do kąpieli.

— Sprawdź, czy Dolores przygotowała już kąpiel — powiedziała Adele. — A potem ją stąd wyrzucę. Jest bardzo wścibska. Stałaby nad nami i podsłuchiwałaby, gdybym jej tego wyraźnie nie zabroniła.

Ken pozostał w sypialni, podczas gdy Adele weszła do łazienki. Szybko ogarnął wzrokiem małe biurczko. Stała nim kolorowa fotografia Adele, zapewne piętnaście lat młodszej, na tle szwajcarskich gór, mała srebrna szkatułka oraz zestaw szczotek do włosów. Poza tym leżał mały grzebień z kości słoniowej.

Ken rozejrzał się na boki, po czym otworzył szuflady stolika nocnego. Znajdowało się w nich kilkanaście egzemplarzy kieszonkowych wydań tanich romansideł, pudełko chusteczek, krople do nosa i kilka tubek pasty do zębów.

Szybko się wyprostował. Wraz z nim poruszyło się naście jego odbić na ścianach, przyprowadzając go o przyspieszone bicie serca. Zaraz jednak uspokoił się i uśmiechnął, natychmiast też na ścianach pojawiło się kilkanaście uśmiechów.

Po chwili z łazienki powróciła Adele. Za nią podążała Dolores z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Zanim zamknęła za sobą drzwi i zniknęła, uważnie się przyglądając Kenowi spod lekko opuszczonych powiek, wyczuł jej głęboką niechęć do niego.

Adele roześmiała się.

— Nie martw się tą dziewczyną. Osiągnęła już wiek, w którym dziewczica ma zaufanie tylko do księży, i to nie do wszystkich.

— A ty?

Było to pod każdym względem prowokujące pytanie; wówczas po raz pierwszy Adele przyszło do głowy, że Ken może nie być takim pierwszym lepszym autostopowiczem, jakiego udaje.

— Ja — odpowiedziała ostrożnie — jestem w takim wieku, w którym ma się zaufanie tylko do mężczyzn, którzy bardzo dobrze pieprzą i bardzo małą mówią.

Ściągnął z grzbietu koszulę i rzucił ją na dywan.

— Masz dla mnie jakiś płaszcz kąpielowy? — zapytał.

— Naprawdę potrzebujesz czegoś takiego? Wzruszył ramionami.

— Nie chciałbym, żebyś myślała, że jestem bezwstydnikiem.

— Bezwstydnikiem? Gdzie się nauczyłeś takiego słowa?

— W kościele.

— O cholera — westchnęła. — Teraz jednak nie jesteś w kościele, nie musisz się więc przejmować podobnymi bzdurami. Rozepnij mi sukienkę, dobrze?

Ken podeszedł do niej. Stał za nią, odgarnął włosy z jej szyi i powoli pociągnął w dół zamek błyskawiczny sukienki. Linia zamka kończyła się tam, gdzie zaczynało się wcięcie pomiędzy pośladkami. Adele odwróciła się i pozwoliła, żeby biały jedwab opadł z jej ciała na dywan.

Ken stał w bezruchu, na wyciągnięcie dłoni od niej, i przypatrywał się jej. Była drobna i miała zaokrąglone kształty; nierealność jej pięćdziesięciodziewięcioletniego, a tak świeżego ciała przywodziła mu na myśl gumowe lalki, sprzedawane w porno-shopach. Miała bardzo wysoko uniesione piersi, twarde i okrągłe, ze sterczącymi sutkami. Na jej płaskim brzuchu nie było ani jednego zbędnego mięśnia, ani grama tłuszczu. Krocze — co wzmagało wrażenie nierealności tego ciała — miała dokładnie ogolone, a jej kość łonowa była tak płaska, jakby nigdy w życiu nie rodziła. Całe ciało było równomiernie opalone, widać było, że używała do opalania najdroższych kosmetyków i że długie godziny spędzała nago nad swym basenem.

— Wyglądasz czarująco — powiedział Ken cichym głosem.

Lakonicznie uniosła brwi.

— A czego się spodziewałeś? Babci Adele?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Podeszła do niego i rozpięła wielką srebrną sprzączkę przy jego spodniach. Nie wiedział, czy już powinien być podniecony, czy też poczekać, jednak nie zależało to od niego; kiedy Adele opuściła do kostek jego spodnie i majtki, w obie dłonie ujęła wielką, czerwoną erekcję.

Ken ostrożnie pozbył się spodni. Adele wciąż trzymał jego penis.

— Czas na kąpiel, mój chłopczyku — szepnęła Kenowi do ucha.

Nadzy przeszli do łazienki. Wanna była ciemnoniebieska, a krany w kształcie wyskakujących z wody delfinów były połączane. I tutaj większość ścian zajmowały lustra w połączanych ramach. Na kilkunastu półkach i podstawkach stały donice z kwiatami.

Adele pierwsza weszła do wanny, po czym odwróciła się i wyciągnęła rękę do Kena, aby pomóc mu wejść. Ostrożnie podążył jej śladem, niepewny, nieśmiały, jednak nagle pociągnęła go mocniej i za chwilę po szyję znalazł się w pachnącej wodzie, rozpryskując ją dookoła.

— Namydlę cię — powiedziała, całując czubek jego nosa. — Lepiej więc wstań.

— Zrobię wszystko, byle nie utonąć, madame — odparł. Kiedy wypowiedział słowo „madame”, posłała mu szybkie, ostre spojrzenie, jednak gdy wstał i ujrzała jego silne, muskularne ciało ociekające wodą, postanowiła pozostawić wszelkie pytania i wątpliwości na później.

Stała przed nim i zaczęła nacierać jego ramiona truskawkowym mydłem. Całowała i gryzła jego wargi, a potem wpychała język do jego ust i lizała jego zęby. Czuł, jak dłońmi pieści jego barki, plecy i pośladki. Potem zajęła się klatką piersiową i brzuchem, powoli docierając do włosów łonowych i sztywnego penisa.

Przyklękła i namydliła jego mosznę, a potem śliskimi palcami zaczęła przesuwając wzdłuż członka. Ken zadrzał, jęknął, mimo że bardzo nie chciał okazywać, jak mu dobrze, chciał przeżyć to wszystko na zimno, chłodno, bez angażowania się.

W chwili gdy myślał już, że zaraz eksploduje, dała spokój jego penisowi. Cofnęła się i zanurzyła w wodzie. W jej oczach płonęły wesołe iskierki.

— No, chłopczyku — powiedziała. — Oplucz się i zajmij się mną. Teraz ty musisz mnie namydlić.

Ken przyklęknął, i bez uśmiechu, trzymając w ręku wąż z prysznicem, splukał mydło z ramion i pleców. Następnie wziął mydło i zaczął obracać je w dłoniach. Czynił to tak długo, dopóki jego ręce nie wypełniły się pianą.

Adele znów wstała i delikatnie złożyła ramiona na jego barkach.

— Jesteś przepięknym, prześlicznym chłopczykiem — powiedziała, starannie dobierając słowa i patrząc na niego z góry. — Wydajesz mi się zbyt piękny, abyś mógł pochodzić z Montany.

Ken wyciągnął dłonie i zaczął mydlić jej brzuch i plecy. Jej skóra wydała mu się o wiele młodsza, niż to sobie wcześniej wyobrażał. Odnosił wrażenie, że pieści nastoletnią dziewczynę. Gdy przesuwał palcami po jej udach i biodrach, Adele drżała z podniecenia.

— Zdarzają się w Montanie śliczni chłopcy — powiedział.

— Być może... — jęknęła.

Wstał i ujął w dłonie jej piersi. Masował je tak długo, aż sutki stały się sztywne, twarde i sterczące.

— Jestem grzecznym chłopcem — mówił. — Zrobię dla ciebie wszystko.

Szeroko otworzyła oczy.

— Kłamiesz — powiedziała. — Nie wiem dlaczego, ale kłamiesz.

Pocałował ją.

— Czy to smakowało jak kłamstwo? — zapytał ciepłym, pełnym żądz głosem.

Jej oczy wciąż były szeroko otwarte.

Każdy pocałunek jest kłamstwem. Ludzie całują tylko wtedy, gdy nie chcą okazywać swoich prawdziwych uczuć.

Ken przesunął palcem w rowku pomiędzy jej pośladkami, a potem między udami. Dotknął delikatnych warg jej pochwy, a potem rozsunął je jedną ręką, a palec wskazujący drugiej wsunął do środka.

Przywarła do niego. A Ken wsuwał palec coraz głębiej, docierał do coraz odleglejszych zakamarków jej ciała.

— Och... — jęknęła. Jej sprężyste piersi, śliskie niczym małe foki, przywarły do niego.

Niespodziewanie silnie ujęła jego przegub. Szybko otworzył oczy. Na twarzy Adele znów widniał znany mu już, zimny, wykalkulowany uśmiech. Uśmiech nie zakłócony pożądaniem i podnieceniem, uśmiech lodowaty jak mróz.

— O co chodzi? — zapytał.

Opuściła rzęsy.

— O ciebie — wyszeptała.

Zapadła nieprzyjemna cisza.

— Nie rozumiem — odezwał się wreszcie Ken z zakłopotaniem.

Uniosła głowę do góry i pocałowała go w otwarte usta.

— Chcę cię całego — powiedziała. — Całego, a nie tylko jednego palca, jednej ręki. Chcę widzieć, jak drżysz, chcę patrzeć, jak się starasz. Chcę, żebyśmy się pieprzyli do utraty zmysłów.

Mokra wyszła z wanny i wyciągnęła do niego rękę.

— Chodź — powiedziała. Zawahał się przez moment, zaraz jednak posłusznie podążył za nią bez słowa.

Weszli do sypialni, wciąż milcząc. Ken usiadł na skraju łóżka; momentalnie otoczyło go jego osiemnaście wizerunków odbitych w lustrach. Po chwili Adele, wciąż mokra, pchnęła go na białą jedwabną pościel. Następnie pochyliła się nad nim i wzięła do malutkiej rączki jego sztywny penis.

— Tego właśnie chcesz, prawda? — odezwała się. — To na to czekałeś przez cały czas przy drodze.

— Naprawdę uważasz, że czekałem na ciebie?

Przez chwilę z uwagą wpatrywała się w jego twarz.

— Nie jestem pewna — powiedziała wreszcie. — Ale to spotkanie jest zbyt piękne, żeby mogło być dziełem przypadku. Jesteś przystojniejszy niż wszyscy amanci tego świata razem wzięci.

Ostrożnie wcisnęła jego penis pomiędzy swe smukłe uda. Ich spojrzenia spotkały się, można z nich było wyczytać iż toczy się pomiędzy nimi jakaś dziwna walka; w spojrzeniach tych nie było przyjaźni, nie było miłości, a najwyżej strach i wzajemne zafascynowanie.

Adele powoli dosiadła Kena, opadając coraz niżej, zmysłowo poruszając biodrami, aż wreszcie jego członek znalazł się w niej tak głęboko, że dalej nie mógł już wejść. Była prawie tak ciasna jak dziewica; Ken doskonale zdawał sobie sprawę, że jej chirurdzy bardzo starali się również w tych miejscach, których nie widać zwykle gołym okiem.

Pochyliła się do przodu i zaczęła zasypywać pocałunkami jego twarz. Pamiętała o jej każdym fragmencie: oczach, policzkach, czole, ustach... Jej oddech był przyśpieszony, mimo to równy; bez wątpienia przez cały czas kontrolowała swoje zachowanie.

— Czyżbyś nie czuł się zaszczycony? — wymruczała. — Pieprzysz się właśnie z najsłynniejszą gwiazdą filmową dwudziestego wieku; być może tylko Greta Garbo była ode mnie lepsza.

Już od dłuższej chwili Ken milczał, nawet się nie poruszał. Pracował tylko jego penis, zagłębiony w jej wąskiej szparze.

— Garbo przy tobie to nieszczęsna mała dziewczynka — odezwał się wreszcie gardłowym głosem. — Nie dorasta ci nawet do pięt.

Zacząła energicznie go ujeżdżać, jakby był wierzchowcem unoszącym ją na przejażdżkę po lesie. Przymknęła oczy i skryła je za gęstymi rzęsami. Ken nie mógł nawet odgadnąć, w którym kierunku patrzy. Podskakiwała tak wysoko, że niemal wypadał z niej. Zawsze powracał do waginy, której silne mięśnie zaciskały się wokół niego niczym stalowe obręcze.

Długo nie trwało i Ken poczuł, jak przez całe jego ciało przepływa fala gorąca, a wszystkie mięśnie napinają się do stanu, w którym traci się nad sobą wszelką kontrolę.

A Adele ujeżdżała go coraz szybciej i coraz gwałtowniej. Długimi paznokciami wpiła się w jego brzuch tak mocno, że aż skrzywił się z bólu. Następnie pochyliła się bardziej do przodu i drapała jego szyję, twarz i klatkę piersiową. Ból był tak silny, że Ken aż krzyknął. W momencie gdy zaczęły ogarniać ją pierwsze fale orgazmu, chwyciła go włosy i zaczęła go szarpać tak silnie, że w jego oczach pojawiły się łzy.

Nastąpiła chwila, w której zdawało się, że świat dookoła zupełnie przestał istnieć, moment, w którym było wszystko i nic. Wszystko zamarło: jak dom, który za chwilę ma się stoczyć w przepaść, jak dłoń, która za chwilę ma poruszać się w geście ostatniego pożegnania, jak bomba, która za chwilę ma eksplodować, jak usta, które dopiero za chwilę się otworzą, żeby wypowiedzieć jakieś ważne słowa.

I wówczas Ken wytrysnął w nią, a ona krzyknęła i krzyczała długo i głośno. Jej ciało trzęsło się, drżało i podskakiwało, jakby za chwilę miało rozpaść się na tysiąc części.

Jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widział. Zsunęła się z niego i potoczyła się na jedwabne prześcieradła skracając się i krzycząc, przeżywając orgazm za orgazmem. Trwało to

jeszcze długo po tym, jak usiadł, a potem wstał i poszedł pod prysznic. Kiedy powrócił do sypialni i zaczął się jej przyglądać, stojąc nad łóżkiem, osiemnaście luster odbijało tę scenę, jakby osiemnaście razy namalował ją mistrz El Greco.

W końcu Adele ucichła i zaległa w bezruchu na plecach.

— Wszystko w porządku? — zapytał.

W odpowiedzi pokiwała głową.

Obszedł łóżko dookoła i usiadł na skraju. Na jej twarzy błyszczały krople potu.

Uśmiechnęła się do niego i ujęła jej dłoń.

— Muszę zadzwonić do mojej agencji w San Bernardino — powiedział.

— O tej porze?

— Tam się dzwoni dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Pochyliła się i pocałowała jego rękę.

— Ani trochę ci nie wierzę — powiedziała. — Wyglądasz na... Na bardzo podstępного chłopca.

— Podstępного? A niby na czym miałyby polegać moja podstępność?

— Nie wiem. Wietrzę jednak w tobie podstęp.

Ken zakaszłał.

— Daj spokój. Prawdę mówiąc, coś bym zjadł, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście, że nie. Kucharz zaraz przygotowuje kolację. Czy odpowiada ci comber jagnięcy?

Wstał i podrapał się po głowie.

— Czy masz może jakieś majtki?

— Majtki? Chcesz, żebym ci je ugotowała na kolację?

Popatrzył na nią, gotów się uśmiechnąć. Adele jednak wcale nie miała ochoty na śmiech.

Zbyt wiele razy już ją zdradzono, zbyt wielu mężów ją opuściło, żeby nie potrafiła rozpoznawać mężczyzn. Nawet jeżeli Ken Irwin był naprawdę tylko doskonałym ogierem i beztroskim młodzianem z Butte w stanie Montana, z pewnością krył w sobie jakąś tajemnicę.

Wiązało się z nim coś niezwykłego, nieodgadnionego i najprawdopodobniej niebezpiecznego.

— Mógłbyś ubrać tuxedo Rogera — powiedziała wreszcie Adele. — Zawsze tutaj ubieraliśmy się na kolację. Czyż to nie jest właściwa kolejność? Najpierw pieprzenie, a potem jedzenie.

Krótko przed kolacją, siedząc przy biurku w małej przebieralni Rogera, Ken Irwin zatelefonował do San Bernardino.

Telefon po drugiej stronie dzwonił przez długi czas, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

Nawet wówczas Ken musiał czekać jeszcze przez niemal minutę.

— T. F.? — zapytał wreszcie.

— Cześć, Ken — usłyszał.

— Cześć, T. F. Jestem w środku. Jest trochę postrzelona, ale właściwie nie ma się czym martwić.

Znów cisza, po czym głos z drugiej strony odezwał się:

— W porządku. Spotkajmy się. W umówionym czasie i miejscu.

Doskonale — powiedział Ken. — Czy są jakieś wiadomości, wiesz od kogo? Jak dotąd nic. Dobra. Będę w kontakcie.

Słuchawka po drugiej stronie została odłożona i po chwili Ken odłożył również swoją.

Kiedy wstał; ujrzał Adele, stojącą w progu.

— Już skończyłeś? — zapytała.

— Jasne. Powiedzieli mi, że nie ma sprawy, dadzą sobie radę beze mnie. Mają jakiegoś faceta, który może mnie za stąpić.

Adele popatrzyła na niego uważnie, lecz czule.

— Jestem pewna, że nikt nie zdoła cię zastąpić — odezwała się. — Jesteś wspaniałą. A teraz zjedźmy kolację. Muszę przecież dbać o to, żebyś był silny i zdrowy, prawda?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Od Atlantyku wiał ciepły, słony wiatr i wszystkie palmy w Miami Beach, poddając się mu, cicho szumiały. Była sobota, godzina ósma rano; najprzyjemniejsza pora dnia. Promienie bladego słońca prześlizgiwały się pomiędzy niskimi chmurami. Nad linią brzegu z głośnym piskiem przeleciały stado mew.

Na płaskim dachu hotelu Doral, przerobionym na teren rekreacyjny, w purpurowoczerwonych bermudach i starym, błękitnym podkoszulku z literami CXC na piersiach, Carl Chapman uprawiał swoje poranne ćwiczenia. Biegał w kółko w samotności i z uporem młodego psa. Właśnie robił to, co sam nazywał „codziennym zrzućaniem brzucha”.

Czynność ta miała nie tylko fizyczny wymiar. W trakcie ćwiczeń mógł w samotności spokojnie roztrząsać wszystkie problemy, które przynosił mu nadchodzący dzień. Tutaj nie przeszkadzały mu sekretarki, doradcy, telefony, telefaksy, a nawet żona. „Potrzebuję tej godziny na zrzućanie brzucha tak samo, jak inni co rano muszą jeść jajka na bekonie” — mawiał często. Niektórzy z jego przyjaciół twierdzili, że zbyt często i zbyt nachalnie.

Był ciężkim, zwalistym mężczyzną o stalowoszarych włosach i szerokiej, kanciastej twarzy, która przypominała ludziom twarze polityków z lat trzydziestych. A jednak mówiono o nim, że do większości ludzi żywi niemal ojcowskie uczucia. Był takim człowiekiem, który potrafi ująć bliźniego pod rękę i nauczać go, że powinien się dzielić z przyjaciółmi, ponieważ przyjaźń jest o wiele cenniejsza niż wszystkie dobra materialne na tej ziemi.

To właśnie taka postawa sprawiła, że już drugą kadencję był republikańskim senatorem z Minnesoty. Czasami można było odnosić wrażenie, że senator Carl X. Chapman przebywa jednocześnie w wielu miejscach i zewsząd słyhać jego rubaszny głos, rzucający nieprzebranymi żartami. Wydawało się, że zna wszystkie problemy swoich wyborców. Gdy przebywał w towarzystwie farmera albo gospodyni domowej, albo robotnika z fabryki, mógł pić piwo z puszki lub jeść rękami pieczonego kurczaka i przekonująco dowodzić, że ich problemy są właśnie tymi, którym poświęci resztę życia.

W maju skończył sześćdziesiąt sześć lat, ale lubił utrzymywać się w dobrej formie. Jego ojciec był alergikiem i dostawał uczulenia niemal od wszystkiego, począwszy od końskiego włosia, a jego matka zmarła na zapalenie płuc, gdy miał osiem lat. Spędził smutne, ciche dzieciństwo w brudnych bocznych uliczkach Rochester w Minnesocie, a jego ojciec pracował tam jako sprzedawca w jednym ze sklepików. Oczyma duszy wciąż wywoływał obraz ojca powracającego wieczorem do domu po dziesięciu godzinach pracy, zmęczonego mężczyzny o szarej twarzy i wąskiej klatce piersiowej. Wciąż wyobrażał sobie matkę na łożu śmierci, o twarzy bielszej niż poduszka, na której spoczywała jej głowa. Z całego dzieciństwa najgłębiej jednak utkwilo mu w pamięci inne zdarzenie. Wciąż pamiętał, jak pewnego dnia poszedł do ojca do sklepu zanieść okulary, których dziwnym trafem zapomniał zabrać ze sobą rano. Gdy znalazł się na miejscu i stanął przy stoisku, gdzie sprzedawano zamki, skoble i kłódki, zastał swego ojca płaczącego za ladą.

Nigdy się nie dowiedział, dlaczego ojciec płakał, nigdy go o to nie zapytał. Tego dnia wręczył

mu okulary i pobiegł do domu. W miarę jak dorastał, umacniał się w postanowieniu, że nigdy nie znajdzie się w takiej sytuacji. Nikt nie zmusi go do płaczu!

Kilkakrotnie wyrzucił do przodu pięści, jakby się z kimś boksował. Markował uderzenia, które należały się wszystkim cwaniaczkom i złodziejaskom odpowiedzialnym za to, że jego ojciec przez całe życie tak ciężko i bezsensownie pracował. Ojciec jednak nauczył Carla jednego: żadna agresja, żadne ciosy wymierzane przeciwnikom nie będą miały sensu, jeżeli zadawać je będzie człowiek słabo wykształcony, nieokrzesany, z którym w gruncie rzeczy nikt się nie liczy. Gdy z wyróżnieniem kończył uniwersytet, był już jednym z najbardziej znanych republikanów, a w wieku dwudziestu sześciu lat młody, przystojny i zawsze elegancko ubrany, został senatorem z Minnesoty; jednym z najmłodszych kiedykolwiek wybranych do senatu.

Dla swojej wizji bogatej Ameryki znalazł poparcie wśród przemysłowców, bankierów, prezesów wielkich korporacji i w roku 1946, kiedy to republikanie odnieśli oszałamiający sukces wyborczy, Carl X. Chapman, popierany i finansowany przez Horacego Ossenbackera z Ossenbacker Steel, ponownie został senatorem.

Horace Ossenbacker zmarł w 1951 roku; zdołał jednak jeszcze wyciągnąć z działalności Carla pieniądze, które wcześniej włożył w jego kampanię. W 1948 roku Ossenbacker Steel zostało oczyszczone z zarzutów o łamanie ustawy antytrustowej w sposób, który „The Wall Street Journal” uznał za niemal „cudowny”.

Carl X. Chapman tymczasem z animuszem i zaangażowaniem pograżył się w najbrudniejsze nawet polityczne gry i rozgrywki. Jego nazwisko pojawiało się wszędzie tam, gdzie w grę wchodziły skandale. Zarazem aktywnie włączył się w antykomunistyczne polowania na czarownice. Przez kilkadziesiąt lat było o nim w kraju głośno, a nawet bardzo głośno. Teraz do ukoronowania kariery pozostał mu już tylko jeden krok. Carl X. Chapman zamierzał zostać w 1980 roku prezydentem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Tak bardzo pragnął zasiąść na fotelu prezydenckim, że nawet przez moment nie wątpił, iż to zamierzenie mu się powiedzie.

— Czy Carl Chapman zostanie prezydentem w 1980 roku? — pytał głośno podczas przeróżnych przyjęć i spotkań. Po chwili sam sobie równie głośno na to pytanie odpowiadał:

— Przecież to jest tak samo oczywiste jak fakt, że Potomac wpada do Chesapeake.

Tego poranka, biegając po dachu z brzuchem podskakującym przy każdym kroku, Carl X. Chapman powracał myślami do tych ruchów, które już wykonał, chcąc otworzyć sobie w 1980 roku drzwi do Białego Domu. Kilku ludzi spośród tych, na których poparcie najbardziej liczył, wciąż się wahało; wiedział, że ten stan zmieni się tylko wtedy, jeżeli swoim poglądom na politykę zagraniczną nada atrakcyjniejszy kształt. Wiedział też, że w miarę zbliżania się prawyborów ta kwestia staje się pilniejsza. Na razie ważniejsze były inne problemy. W Ameryce zachodziły niekorzystne zmiany. Coraz mniej ludzi dzieliło z Carlem X. Chapmanem jego marzenie o silnym i bogatym narodzie. Zbyt wielu nie ogarniało wzrokiem swej ojczyzny jako ogromnego kolektywu, który powinien być dla wszystkich najważniejszą ideą, zbiorowością, która powinna być przedmiotem największej troski i dbałości. Zbyt wielu Amerykanów widziało swe szczęście jedynie w szczęściu swych rodzin, nie zauważając, że tego stanu nie osiągną, jeżeli przedmiotem ich dumy nie będzie cały kraj, który zamieszkują.

Ci Amerykanie byli uważani przez Carla X. Chapmana za wrogów.

Dochodziła godzina dziewiąta. Wiatr stopniowo rozganiał niskie chmury i słońce coraz bardziej przygrzewało. Carl zaczynał się pocić. Wiele pięter niżej, na przyhotelowym basenie zaczęły się pojawiać pierwsze starsze panie. Jedna z nich, osiemdziesięciosześcioletnia wdowa, ubrana była w pstrokaty kostium kąpielowy i okulary przeciwsłoneczne o kształcie żywo przypominającym tył

buicka z roku 1959.

Carl wciąż biegał i minęła jeszcze długa chwila, zanim się zatrzymał i oparł się na niskiej poręczy; z tego miejsca rozpościerał się doskonały widok na plażę. Przez kilka sekund wpatrywał się w dal, po czym wykonał kilkanaście przysiadów. Oddychał ciężko, niemal słyszał odgłos serca, szalejącego w jego piersiach niczym fale na wzburzonym morzu.

Podszedł do małego drewnianego stołeczka, wziął z niego ręcznik i wytarł twarz.

Nie zdążył odłożyć ręcznika, gdy dobiegł go suchy, zimny głos, należący do starszej kobiety:

— Dzień dobry, kochanie.

Po drugiej stronie dachu, z nikłym uśmiechem na ustach, pojawiła się jego żona, Elspeth.

Ubrana była w wyszywany, biały kaftan, powiewający na wietrze niczym żagiel. Czarne włosy miała rozpuszczone. Na jej twarzy, mimo zakrywających ją częściowo dużych, ciemnych okularów przeciwsłonecznych, wyraźnie odznaczały się głębokie zmarszczki. Była to twarz kobiety niespokojnej, nieufnej. Oparła się o balustradę i popatrzyła na męża.

— Wiedziałam, że cię tu znajdę — powiedziała. — Zdaje się, że usiłujesz dojść do siebie po ekscesach ostatniej nocy.

Carl nie odpowiedział, zwinął jedynie ręcznik i przewiesił go przez poręcz. Elspeth natomiast kontynuowała:

— Jak się ma Henry? — rzuciła pytanie. — Przyrzekł dodatkowe fundusze? A może powiedział ci, że jednak ich n dostaniesz? Długo go przekonywałeś? Zdaje się, że kandydaci na prezydenta muszą mieć dar przekonywania i mnóstwo sił witalnych. Podobnie zresztą jak cudzołóżnicy.

Carl westchnął ciężko i popatrzył na żonę.

— Znowu zaczynasz? Czy nie uważasz, że nadszedł czas, abyśmy w końcu porozmawiali o czymś innym? Na przykład o pogodzie albo o sytuacji w kraju...

Uśmiechnęła się szeroko, nie zbita z tropu.

— Nie ma problemu. Jeżeli ty przestaniesz cudzołóżyć, ja przestanę o tym rozmawiać.

— Elspeth, do cholery, jak długo jeszcze będziesz próbowała przyklejać mi wizytówkę starego satyra? Chciałbym mieć chociaż połowę tej energii, którą musiałbym dysponować, żeby pieprzyć te wszystkie kobiety, które mi wmawiasz. To wszystko dzieje się tylko w twojej wybujałej wyobraźni, Elspeth. W twojej chorej, wybujałej wyobraźni.

— Rozumiem, że Helen Pruitt, dwudziestoczteroletnia sekretarka, powstała też jedynie w mojej wyobraźni.

Carl westchnął, ale nie odpowiedział. Helen Pruitt była bardzo niebezpiecznym tematem, biorąc pod uwagę to, co dotychczas zostało już powiedziane.

— Posłuchaj, mój drogi, doskonale wiem, co chciałbyś teraz powiedzieć. Chciałbyś powiedzieć, że jestem starą, podejrzliwą babą, że nigdy cię nie kochałam i trwam przy tobie tylko po to, żeby się dostać do Białego Domu. Otóż możesz mi wierzyć albo nie, ale to nie jest prawda. Przypadkiem cię lubię, a gdybyś dał mi szansę, mogłabym ci to nawet udowodnić.

Carl odchrząknął.

— Jesteś dla mnie dzisiaj bardzo wspaniałomyślna. Co takiego w ciebie wstąpiło?

— Och, oszczędź sobie tego sarkazmu, Carl. Mówię to, co myślę, nawet jeżeli małe są szanse, że w to uwierzysz.

— Skąd więc ta wzmianka o cudzołóstwie? Zupełnie nie pasuje do twojego dzisiejszego nastroju.

Elspeth zdjęła okulary i przymrużyła oczy. Miały błękitny kolor świeżych bławatków.

Brwi i rzęsy Elspeth były starannie umalowane. Dawno, dawno temu w Minnesocie mówiono o

niej, że jest piękną kobietą.

— Mój nastrój będzie miał sens, jeżeli zostaniesz prezydentem i jeżeli będziesz się w miarę poprawnie zachowywał jako mój mąż. A przysłałam cię ostrzec: w tej chwili się nie zanosz ani na jedno, ani na drugie.

— Naprawdę? Dlaczego tak twierdzisz?

— Bo jesteś oszustem, i to oszustem tanim, prymitywnym. Każdy, kto chce, potrafi przejrzeć twoje oszustwa.

Carl przetarł oczy.

— Cóż to jest za oszustwo, jeżeli na moment zatrzymam wzrok na klatce piersiowej mojej sekretarki? Jestem mężczyzną, Elspeth, i chyba już czas najwyższy, żebyś sobie z tego zdała sprawę. Lubię kobiety i wszystko to, co dają one mężczyznom, to, czego ty dać mi już nie chcesz lub nie możesz.

Elspeth przysiadła na balustradzie i wyciągnęła papierosa. Wiedziała, że ten gest dodatkowo go rozdrażni. Osłoniła dłonią złoto–platynową zapalniczkę, aby wiatr nie zdmuchnął płomienia, i zapaliła papierosa. Po chwili dwukrotnie wypuściła nosem dym.

— Myślałam, że przylecieliśmy do Miami w interesach — powiedziała. — Jeżeli interesami można nazywać wyciąganie Pieniędzy z Henry’ego Ullerstama.

— Nie czepiaj się Henry’ego. Popiera nas od czterech lat.

Jasne. I jeszcze długo będzie popierał, pod warunkiem, że z każdego dolara, którego w ciebie właduje, będzie wyciągał dolara i piętnaście centów.

— Dla mnie liczy się tylko ta gotówka, którą mi przekazuje.

Elspeth znów się głęboko zaciągnęła papierosem i popatrzyła na męża z mieszaniną rozbawienia i rozczarowania. A więc ropa z Wauriki się nie liczy — powiedziała. — Pozwolenie Henry’emu na wiercenia w samym sercu obszaru znajdującego się pod ochroną ekologiczną to drobiazg.

— Nie drobiazg, lecz sprawiedliwa umowa.

— Umowa? Tylko dlaczego nic o niej nie wiedzą rządowe agencje zajmujące się ekologią?

Carl popatrzył na nią niemal z nienawiścią.

— Elspeth — wysyczał. — O co ci chodzi? Dlaczego się czepiasz? Chyba nie masz zamiaru zaszkodzić Henry’emu? Bo jeżeli masz...

Elspeth popatrzyła w przestrzeń.

— Po prostu myślałam, że jesteśmy tu w interesach, wszystko. Na kilka chwil zapomniałam, że interesy to także drobne przysługi i prezenty; przyznaję, to było głupie z mojej strony. Uczyniłeś Henry’emu już tyle przysług, że nie powinnam się dziwić, kiedy Henry w podobny sposób zrewanżuje się tobie.

— Nie rozumiem, co masz na myśli.

— Na przykład atrakcyjne towarzystwo podczas kolacji.

Carl przygryzł wargi.

— Ta atrakcyjność mogła, chociaż z trudem, polegać na obecności podczas kolacji Olive Ullerstam. I, do cholery, Elspeth, ona przynajmniej zjawiała się na tej kolacji. Tak jak i ty powinnaś się zjawić, a nie uczyniłaś tego.

Wzruszyła ramionami.

— Takie spotkania zawsze przyprawiają mnie o migrenę.

— Gównu mnie obchodzi twoja migrena.

Elspeth roześmiała się z rozbawieniem.

— Jesteś wspaniałą. W prywatnym życiu używasz takie samego języka jak w senacie.

— A ty mówisz mi to samo co swojemu psychoanalitykowi. Czy wmówiłaś mu już, że przeleciałem połowę atrakcyjnych dziewcząt w Ameryce?

— Nic ci do tego.

— W każdym razie przestanę płacić rachunki, które mi od niego przynosisz, jeżeli nie wybije ci z głowy tych wszystkich bredni.

Elspeth nagle się zdenerwowała.

— Lepiej zastanów się nad swoim doktorem Lipmanem. Czy do tej pory zrobił coś dla ciebie? Każda jego wizyta to wypite pół butelki whisky, kilkanaście wypalonych cygar i rachunek na dwieście pięćdziesiąt dolarów za dwie godziny pustej gadki.

Carl głęboko odetchnął, starając się opanować.

— Doktor Lipman jest geniuszem. W dużej mierze dzięki niemu jestem tym, kim jestem.

— A jakich to rad on ci udziela? Że powinieneś jak najczęściej sypiać z młodymi kurewkami, żeby nie tracić pewności siebie? Jeżeli coś takiego ci opowiada, to się cholernie myli. Młode kurewki wysącają z ciebie resztki sił i resztę tej męskości, która jeszcze w tobie drzemie, ty głupi Erneście Hemingwayu Chapmanie. Im więcej będziesz je pieprzył, tym szybciej się o tym przekonasz, a z geniuszu doktora Lipmana nic nie pozostanie.

— Elspeth — powiedział Carl zmęczonym głosem. — Nie mam ochoty na podobne rozmowy o godzinie dziewiątej rano. Poza tym wszystko, o czym opowiadasz, to kompletne bzdury.

— Jakie bzdury?

— Wszystko to, o czym opowiadasz.

— Mówię ci tylko, że młode dziewczyny to już nie jest towar dla ciebie. Uważasz to za bzdurę?

— Zdaje się, że już niemal powiedziałaś głośno i wyraźnie, że Henry dostarczył mi dziewczynę ostatniej nocy, prawda? O to ci chyba chodzi z samego rana, znów wmawiasz mi, że nie dochowałem ci wierności.

Elspeth powoli potrząsnęła głową.

— Zupełnie nie rozumiem, jak możesz z takim niewinnym wyrazem twarzy i szeroko otwartymi oczyma — odezwała się gorzko — opowiadać mi brednie, którymi usiłujesz się wykpić, i jeszcze posądzać mnie, że niesprawiedliwie cię oceniam.

— Elspeth, chyba nie sądzisz, że ostatniej nocy...

Machnęła ręką, jakby oganiała się przed natrętną muchą.

— A właśnie, że sądzę — powiedziała. — Ostatniej nocy i jeszcze podczas stu innych nocy. Czy uważasz, że jestem ślepa? Wracasz do mnie o trzeciej nad ranem, śmierdzisz perfumami jakiejś innej kobiety i przypuszczasz, że nie jestem w stanie niczego wyczuć? Jesz kolację w tym samym hotelu, w którym ja leżę chora, siedzisz przy oknie z Henrym, Olive i jakąś cizią w złotej sukni wieczorowej, o rudych włosach i cyckach, od których nie potrafisz oderwać wzroku, i uważasz że ja się niczego nie dowiem?

— Elspeth, na miłość boską!

— Och, nie bądź dziecinny. Wiem, że mnie od dawna nie kochasz. Nawet mnie nie lubisz.

Ale potrzebujesz mnie. Carl, potrzebujesz, w tej chwili twoja kariera beze mnie nie byłaby warta funta kłaków. A ja, Boże, dopomóż mi, też czegoś jeszcze chcę od życia, i żeby to osiągnąć, potrzebuję z kolei ciebie.

Po chwili milczenia Carl odezwał się spokojnym głosem, w którym nie było już ani cienia emocji:

— W porządku. Rudowłosa dziewczyna siedziała przy moim stoliku wczoraj wieczorem, ale trwało to tylko chwilę. Musiała szybko wracać do domu, do Northfield. Pytała mnie, co zamierzam

uczynić, żeby pomóc najbiedniejszym mieszkańcom jej okręgu.

Elsbeth wpatrywała się w niego przez kilka sekund z niedowierzaniem, po czym wybuchnęła głośnym, niepohamowanym śmiechem.

— Rozmawialiście o pomocy dla najbiedniejszych? Carl, co ty bredzisz? Dziewczęta w złotych sukniach i ze sterzcącymi cyckami z zasady nie interesują się biednymi ludźmi.

Gdybyś mi powiedział, że dyskutowaliście o dopuszczalności aborcji o narkomanii, być może nawet starałabym się uwierzyć. Ale o ubogich! Człowieku, chcesz być prezydentem, a nie potrafisz nawet wymyślić wiarygodnego kłamstwa!

Carl podszedł do niej i ścisnął jej ramiona.

— Czy przestaniesz wreszcie mnie prowokować? — warknął. Jego wzrok był zimny i twardy jak diament. — Czy dasz mi wreszcie spokój?

Gdy Elspeth popatrzyła mu w oczy, w jej wzroku był tylko smutek.

— Nie, nie dam ci spokoju — odpowiedziała. — I nie zaznasz go z mojej strony tak długo, jak długo będziesz próbował kreować siebie na kogoś zupełnie innego, niż naprawdę jesteś, na wzorec dla innych ludzi. W tej chwili nie możesz być słodziutkim wzorem dla całego narodu.

Puścił ją i zacisnął pięści, jakby miał ją za chwilę uderzyć, jednak nie uczynił tego.

Jedynie stał przed nią, drżąc i z trudem panując nad sobą.

— Nie ośmielisz się mnie tknąć — powiedziała cicho. — Jak by to wyglądało, przyszły prezydent bije przyszłą pierwszą damę Ameryki.

Po chwili Carl westchnął i odwrócił się od niej.

— Idę na śniadanie — oznajmił sucho. — Idziesz ze mną?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Zanim zjem z tobą jakikolwiek posiłek, będę chciała mieć pewność, że jesteś mi wierny, Carl. Będę chciała wiedzieć, że jesteś uczciwy wobec mnie, niezależnie od tego, co będzie nas łączyło do końca naszych dni.

Carl wbił spojrzenie w gumową wykładzinę.

— Elspeth — powiedział. — Oboje musimy przede wszystkim myśleć o ojczyźnie. Nasze osobiste problemy i nieporozumienia muszą znaleźć się na drugim planie.

— Co to znaczy?

Znów spojrzał na nią.

— Znaczy to, że jako prezydencki kandydat dźwigam na sobie potężne brzemie, Elspeth, i czasami pod jego ciężarem potykam się i upadam. Nie jestem świętym, szczerze to przyznaję.

Jednak zawsze robię i będę robił to, co w moim przekonaniu jest najlepsze dla Ameryki i dla ciebie. Jeżeli czasami oczekiwania mojego narodu i twoje będą się rozmijały z moimi poczynaniami, a może się tak zdarzać, cóż, będę jedynie mógł prosić o wybaczenie.

Przez bardzo długą chwilę stali naprzeciwko siebie w absolutnej ciszy. Wreszcie Elspeth odezwała się:

— Idź na swoje śniadanie, Carl, zanim zrobi mi się niedobrze od patrzenia na ciebie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Carl Chapman wziął prysznic, ogolił się i przebrał w czerwono-zieloną, prostą, sportową marynarkę, lekkie szare spodnie i białe buty. Pachnąc amerykańską wodą po goleniu, wjechał windą na dwunaste piętro, na którym, w swym na stałe wynajmowanym apartamencie, spędzał właśnie weekend Henry Ullerstam. Rosły ochroniarz z „Bayshore Oil” stał przy drzwiach apartamentu,

ubrany w wygnieciony, beżowy mundur; wyraz jego twarzy był równie obojętny jak hydrant. Gdy Carl zbliżył się, zagroził mu wejście ciałem.

— Czy pan Ullerstam jest u siebie? — zapytał Carl.

— A kto pyta?

— Powiedz mu, że przyszły prezydent.

Gdy Carl znalazł się w apartamencie, Henry Ullerstam, czterdziestoosmioletni prezes „Bayshore Oil”, stał przy oknie, ubrany w błękitny jedwabny porannik. Zajadał angielską bułeczkę i przyglądał się dziewczynie opalającej się w skąnym brązowym bikini na dachu sąsiedniego hotelu.

— Cześć, Carl — powiedział. — Co o tym sądzisz? — I ruchem głowy wskazał na dziewczynę.

Carl popatrzył we wskazanym kierunku.

— Dziękuję ci, ale nie dzisiaj — odparł.

Henry ze zdziwieniem zmarszczył czoło. Był wysokim, przystojnym mężczyzną, o gładko przyczesanych, czarnych włosach i jastrzębim nosie.

— Czy młoda Lollie dobrze się spisała? Czy zaprezentowała ci wszystkie swoje umiejętności? — zapytał.

Carl pokiwał głową.

— Lollie była dobra. To urocza dziewczyna. Mam jednak kłopot z Elspeth. Dowiedziała się o niej, cholera wie skąd i właśnie odstawiła mi swoje stałe przedstawienie. Już nie miała mnie gdzie dorwać; kłóciliśmy się na dachu podczas mojego porannego zrzucania brzucha.

— Dziwię się, że coś wyniuchwała — powiedział Henry. — Przecież Shapiro miał ją na oku przez cały czas i przysięga ani na chwilę nie wystawiła głowy ze swojego pokoju hotelowego.

Może wydostała się przez okno na powiązanych prześcieradłach?

Carl ciężko usiadł na jednym z żółtych pluszowych foteli. Teraz dopiero zaczął odczuwać zmęczenie spowodowane długim lotem do Miami (na samolot zdążył w ostatniej chwili i sześcioma godzinami trudnych negocjacji z Henrym i nocnymi zapasami z Lollie, której energia wydawała się niespożyta. Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze godzina ćwiczeń na dachu.

— Może jeden z kelnerów powiedział coś Elspeth przy śniadaniu — zauważył Henry. — To jest możliwe. Ale jeśli to prawda, moi ludzie wyrwą temu gnojowi jaja, a ja sprawię, że wyleci z hukiem z pracy.

Carl zakaszłał.

— To już nie są żarty, Henry. Elspeth właściwie trzyma mnie w garści. Przecież wiesz, jak wiele zależy od pierwszej damy.

Henry strącił okruchy z porannika.

— Zdaję sobie sprawę, że to poważna sprawa. Chociaż być może trochę za bardzo się obawiasz Elspeth. Przecież to tylko kobieta i zapewne tak samo chce zostać pierwszą damą jak ty rezydentem. Moim zdaniem nie zrobi nic, co by stało na przeszkodzie.

Carl ciężko westchnął.

— Chciałbym tak w nią wierzyć jak ty.

Henry uśmiechnął się i usiadł na krześle naprzeciwko Carla, opierając boscie stopy o niski szklany stolik. Na wielkim palcu jego lewej nogi widniał duży, czerwony odcisk.

— Może powinieneś poświęcać jej trochę więcej uwagi — zasugerował. — Kup jej czasami futro, jakąś biżuterię, pocałuj od czasu do czasu...

— Myślę, że masz rację. Tak powinienem postępować.

Henry sięgnął po marmurową papierośnicę, stojącą na stoliku, wyciągnął z niej jednego papierosa i zapalił. Dopiero po chwili odezwał się zza chmury siwego dymu:

— Zawsze się dziwię, jak ludzie, którzy stają na czele tego wielkiego narodu, są nieporadni we własnym życiu rodzinnym. Roosevelt, Kennedy, że wspomnę tylko tych ostatnich.

Carl milczał. Nikomu we wszechświecie nie wolno było w ten sposób z nim rozmawiać.

Nie podjął jednak tego wątku.

— Czy rozmawiałeś już ze swoimi finansistami? — zapytał natomiast.

Henry wydmuchnął kolejny obłok dymu.

— Och, jasne. Wszystkich wyrwałem z łóżek o piątej nad ranem.

— I co?

Henry wzruszył ramionami.

— Lubią cię i podoba im się to, co mówisz. Szczególnie twoja obietnica, że prywatni operatorzy otrzymają prawa do wierceń na federalnych polach naftowych.

— Ale?

— Ale cóż, mają pewne obiekcje.

— Jakie obiekcje? — zdziwił się Carl. — Ty nie miałeś obiekcji ostatniego wieczoru.

— Nie — odparł Henry ostrożnie — ale w końcu nie jestem księgowym. Nie mam ścisłego, ostrożnego umysłu księgowego.

— Co uczyniło ich takimi ostrożnymi?

Henry znów się uśmiechnął; tym razem był to jednak bardzo słaby uśmiech.

— Carl, chciałbym, żebyś zrozumiał, że to, co teraz powiem, nie ma nic wspólnego z moimi uczuciami do ciebie ani z moją opinią o tobie jako polityku czy po prostu człowieku.

Jedni moi księgowi uważają, że troszeczkę błędnie zawyżasz wielkość poparcia, jakie jesteś w stanie osiągnąć w roku 1980. Twierdzą, że... cóż, że jesteś trochę zbyt pewny siebie.

Carl nie odpowiedział mu. Nerwowo bębnił palcami po poręczy fotela.

— Nie potrafia zrozumieć — kontynuował Henry — na czym opierasz swoją niezachwianą pewność, że wygrasz wybory. Szafujesz szczegółowymi danymi, a tymczasem nie wiadomo nawet, jaka będzie frekwencja wyborcza w roku 1980. Nie przeprowadziłeś żadnego badania, nie dysponujesz żadnymi danymi o tym, co ludzie sądzą o tobie jako o kandydacie na prezydenta.

Carl jeszcze przez długą chwilę przypatrywał się Henry'emu, po czym wreszcie przemówił:

— Co oni próbują ci wmówić, Henry? Że ludzie mnie zaakceptują?

Henry uniósł ręce w geście zaprzeczenia.

— Musisz zrozumieć, że finansiści zawsze na wszystko spoglądają od najciemniejszej strony. To ich zawód: być wiecznym pesymistą. Wskazują mi na przykład, że w przeszłości wiązano twoje nazwisko z, jak by to najłagodniej ująć, osobami, które nie cieszyły się w społeczeństwie najlepszą opinią. I z tego chociażby powodu uważają, że wyborcy nie zechcą udzielić ci poparcia. — Zamilkł, po czym dodał, najłagodniejszym głosem, na jaki było go stać: — Carl, twój rodzinny stan to coś zupełnie innego niż wszystkie stany tego kraju.

George McGovern najboleśniej się przekonał o takiej różnicy.

Carl poczuł niemiły ucisk w piersiach, który tylko w niewielkim stopniu mógł być efektem przemęczenia.

— Wczoraj wieczorem — odezwał się — przysiągłem ci, że odniosę sukces, wygram wybory. Nie mówiłem o moich szansach, przewidywaniach. Ja ci to zagwarantowałem.

— Hmm — mruknął Henry. Ze zdziwieniem zobaczył kolejny okruch pieczywa, tym razem spoczywający na jego dłoni, i bezmyślnie wsunął go sobie do ust. — Ciekawe.

Chciałbym poznać źródło tej gwarancji.

— Nie mogę ci go ujawnić. Przynajmniej na razie.

— Carl. — Henry niemal szeptał. — To nie jest kwestia sprawdzenia twojego konta w banku ani kwestia twojej wiarygodności w takim znaczeniu, jakie ma to słowo w codziennych interesach. Mamy ci dać trzysta milionów dolarów, przypomnę, że cztery już dostałeś.

Czy wiesz, jakie to jest dla nas ryzyko? Jeżeli wejdziemy w twoją kampanię, będziemy musieli planować rozwój „Bayshore Oil” tak, jakbyś ty właśnie był już prezydentem. Dziwisz się więc, że chcemy mieć pewność?

Carl znów milczał przez niemal minutę. Dłonie trzymał złożone na brzuchu. Zdawało się, że jest głęboko zamyślony. Henry Ullerstam przyglądał mu się jednak z wyrazem twarzy, w którym mieszała się kpina z zainteresowaniem i ostrożnością. W pewnej chwili zgasił papierosa. W tym samym momencie Carl odezwał się:

— Jak wiesz, w polityce występuje zjawisko fali, a tą falą określamy wolę narodu. Raz chcą tego, a potem nagle powszechnym pragnieniem staje się coś zupełnie innego. Najpierw chcą cenzury, a potem zwołują dzikie manifestacje z transparentami wołającymi o wolność słowa.

— Zgadza się — przyznał Henry.

— Ta fala jest absolutnie nieregularna, tak zresztą jak wszystkie fale na morzu. Prawdę mówiąc, niczego nie można przewidzieć. Nie jesteś w stanie przewidzieć, że po dwudziestu latach popierania republikanów, naród nagle zwróci się ku demokratom. Dzieje się coś takiego niespodziewanie i właściwie nie wiemy, w jaki sposób zapobiegać takim zwrotom.

— Trafnie to ująłeś.

— Aż do tej pory — kontynuował Carl — kandydaci się rzucają w tę falę niczym butelki z informacjami, mając nadzieję, że fala poniesie ich we właściwym kierunku. Walka wyborcza to hazard, niepewność, bezradność, biznes, w którym jej się zdaniem tylko na zgadywanie, przypuszczenia. Przecież do prowadzenia interesów coraz częściej zaprzęgamy naukę, najwybitniejszych profesorów, którym płacimy za to, aby margines błędu w naszych poczynaniach był jak najmniejszy.

Henry był człowiekiem dobrze wychowanym, czarującym i jak na milionera miał niezwykle wyrobioną umiejętność uważnego słuchania innych ludzi; dlatego właśnie nie przerywał Carlowi X. Chapmanowi. Zdał sobie sprawę, że słowa, którym w tej chwili się przysłuchuje, mają ogromne znaczenie.

Carl wstał i podszedł do okna. Dziewczyna w brązowym bikini zdjęła stanik i leżała na plecach. Popatrzył na Collins Avenue, po której pośród palm leniwie sunęły nieliczne o tej porze samochody. Och, jak bardzo by chciał, żeby Elspeth nie wywoływała w nim tak często poczucia winy.

— Widzisz, Henry, jakieś półtora roku temu dowiedziałem się, że istnieją sposoby przewidywania, w którym kierunku opinia publiczna będzie zwracała się w przyszłości, nawet dość odległej. — Carl wypowiedział te słowa takim tonem, jakby właśnie ogłaszał coś o takiej wadze, że po zamknięciu należą mu się przynajmniej oklaski. Henry jednak zareagował inaczej. Nie klaskał, lecz spokojnym głosem, pozbawionym emocji i ironii, zapytał:

— I dowiedziałeś się o tym tylko ty, nikt inny?

— Żaden inny polityk. Widzisz, ludzie, którzy pracują polityki, którzy przepowiadają wyniki wyborów, często roi błędy, ponieważ rozumują tylko kategoriami politycznymi. Abstrahują od tego, że wyborcami są żywi, rozumni ludzie, często zmieniający zdanie niezależnie od tego, w jaki sposób toczy się życie polityczne.

Henry jeszcze przez chwilę milczał.

— I to wszystko? — chciał się upewnić. — Fale, plaże, butelki z informacjami i żywi ludzie?

— Próbuję wyjaśnić ci to w możliwie przystępny sposób — powiedział Carl. — Oczywiście,

sprawa jest o wiele bardziej skomplikowana.

— Jak bardzo?

Carl odwrócił się. Promienie słoneczne bijące zza okna utworzyły nad jego głową jakby aureolę i w tym momencie Henry niemal uwierzył, że oto niebiosy dały mu znać, by wszystkie swe siły i fundusze ulokował w politycznej przyszłości Carla X. Chapmana. A jednak zaraz się opanował. Był twardo stąpającym po ziemi nafciarzem i biznesmenem; nie wierzył w cuda.

— Chyba nie wątpisz w moje słowa, co? — zapytał Carl. — Chyba nie powiesz mi, że „Bayshore Oil” nie ma do mnie zaufania?

Henry potrząsnął głową.

— Carl, ufamy ci. Wierzymy w twoje umiejętności. Jednak prosisz nas, żebyśmy wydali trzysta milionów dolarów, z czego większość w sposób, który, delikatnie mówiąc, jest niezgodny z prawem. Inwestowanie w polityka musi być poparte oczywistymi gwarancjami.

A sprawy w tej chwili mają się tak, że z równym powodzeniem moglibyśmy włączyć trzysta milionów w jakiegoś nieznanego konia na wyścigach w Santa Anita.

Carl miał już powiedzieć coś ostrego, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Posłał Henry’emu słaby uśmiech i powrócił na fotel.

— Posłuchaj, Henry — powiedział, gdy usiadł. — W każdych wyborach prezydenckich dużą rolę odgrywają różne nieprzewidywalne czynniki. Czy ktokolwiek jest w stanie zagwarantować, że kandydat wytrzyma towarzyszące im stresy i zmęczenie? Czy ktokolwiek zagwarantuje, że z tłumu nie wyłoni się jakiś szaleniec i nie odda śmiertelnych strzałów? Nie, nikt nie da ci takich gwarancji. Ja natomiast, chcę, żebyś to wiedział, jestem w stanie ograniczyć do minimum wszystkie nieprzewidywalne czynniki, w tym ten najważniejszy: zmienną wolę wyborców. Przysięgam ci, że z dokładnością do pięciu milionów głosów już teraz mogę powiedzieć, w jaki sposób ten kraj będzie wybierał prezydenta w roku 1980.

Zakładając, że kandydatami będziecie Jimmy Carter i ty — zauważył Henry.

— Cóż, masz rację. Myślę, że wciąż jeszcze nie ma absolutnej pewności, jeśli chodzi o prawyborcy, ale jeśli się zastanowisz nad potencjalną opozycją przeciwko tym dwóm nominacjom. Przyznasz, że raczej nie jest ona wielka. W grę wchodzi oczywiście Mullins, ale ostatnio trochę umoczył na, nomen omen, hydroelektrycznym skandalu w Iowa. O nominację stara się Krolnik, ale, do cholery, kto kiedykolwiek słyszał o prezydencie USA noszącym nazwisko Krolnik? Jak to brzmi?

— Nie bądź taki pewny siebie — wtrącił Henry. — Krolnik to spryciarz.

— Spryciarz, jasne, jednak za mało sprytny. Dobrze mi idzie w Kolorado, ale jest przecież jeszcze zbyt młody. Poza tym wschód go nie lubi, a południe uważa, że to takie nowe wcielenie Richarda Nixona.

— Muszę się czegoś napić — westchnął Henry. — Dołączysz do mnie? — zapytał i potrząsnął małym dzwoneczkiem, który stał na stole.

Carl popatrzył na Henry’ego przymrużonymi oczami i powiedział:

— Musisz mi uwierzyć, Henry, musisz. Proszę cię o to, byś mi uwierzył. Proszę cię, żebyś poszedł do swoich ludzi: od finansów i powiedział im: „Carl X. Chapman w 1980 będzie prezydentem naszego kraju, więc musimy mu dać pieniądze”.

Henry uśmiechnął się.

— Chciałbym tak zrobić, ale nie mogę. Zdaje się, że w swoim wywodzie nie uwzględniłeś kilku ważnych punktów.

— Na przykład jakich?

— Och, Carl, doskonale je znasz. Na przykład nie powiedziałeś, w którym kierunku popłynie

fala w 1980 roku; czy z jej przebiegu skorzystasz ty, czy Jimmy Carter. Poza tym co zamierzasz zrobić, jeśli popłynie ona przeciwko tobie?

Carl znów przez chwilę milczał. Po chwili cichym głosem powiedział:

— Od pewnego czasu zastanawiam się nad tym i nad tym pracuję. Oczywiście, masz rację.

Jednak problem nie pole; na tym, by przewidzieć przyszłość, a raczej na tym, by kontrolować wydarzenia, które mają na nią wpływ.

— I w jaki sposób masz zamiar sprawować tę kontrolę? zapytał Henry z uśmiechem, w którym nie było jednak cienia humoru. — Zanim damy ci pieniądze, Carl, będziemy musieli to wiedzieć.

Carl popatrzył na Henry'ego wzrokiem zmęczonym, lecz pełnym napięcia. W twarzy przyszłego prezydenta Henry ujrzał całe długie lata politycznego doświadczenia, lata walki, dekady rozczarowań, sukcesów, ambicji, kłótni i walk na słowa. Kandydat na prezydenta wzbudzał swym wyglądem zaufanie, jednak Henry Ullerstam nie był pierwszym lepszym naiwniakiem z ulicy. Wiedział o wiele więcej o meandrach i przełomach walki o władzę, niż Carl mógłby przypuszczać.

— Jak dalece mogę ci ufać, Henry? — zapytał. — Czy mogę postawić na ciebie dorobek całego życia?

Henry wzruszył ramionami.

— Jeżeli zostaniesz prezydentem, całe moje życie będzie związane z twoim sukcesem.

Do pokoju weszła wysoka blondynka w krótkiej, niebieskiej sukience i świeżo wyprasowanym, białym fartuszku pokojówki.

— Czy pan mnie wołał, panie Ullerstam? — zapytała.

Henry skinął głową.

— Przyniesz nam karafkę wytrawnego martini, Trudy. Czy napije się pan martini, senatorze?

Carl znów usiadł i z zainteresowaniem przyjrzał się dziewczynie.

— Henry, zabijesz mnie jeszcze, zanim zdążę wygłosić inauguracyjne przemówienie — zażartował. — Oczywiście, napiję się z tobą martini.

Henry zapalił papierosa i nagle popatrzył na Carla z poważnym wyrazem twarzy.

— Jeżeli nie mielibyśmy do siebie odrobiny zaufania, Carl, nie zabrnęlibyśmy do punktu, w którym się znajdujemy. Ja po prostu muszę wiedzieć, czy potrafisz przewidzieć preferencje wyborców w 1980 roku i, jeżeli okażą się one dla ciebie niekorzystne, w jaki sposób potrafisz je zmienić.

Carl opuścił wzrok. Czuł się przy Henrym bardzo niepewnie, jakby ten był jego sumieniem.

Już dawno przekonał sam siebie, że wszystko, co robi, aby zostać prezydentem w 1980 roku, usprawiedliwione jest palącą potrzebą, aby Ameryka wybrała wreszcie silnego, sprawiedliwego przywódcę. Tym razem jednak przychodziło mu przekonywać o tym kogoś innego.

— Zanim ci powiem, chcę być pewien, iż rozumiesz, że nie rozmawiamy o niczym innym tylko o przyszłości Ameryki.

Wszystko, o czym ci opowiem, musisz rozpatrzeć właśnie z tego stanowiska.

— W porządku — zgodził się Henry. — Jestem gotów wysłuchać właśnie z tego stanowiska.

Carl wyglądał na niezbyt szczęśliwego. Jeszcze się wahał, nie był wcale pewny, czy powinien o wszystkim powiedzieć Henry'emu. Dążył jednak do swojego celu przez czterdzieści lat, pragnąc, aby nikt nigdy nie żył już w Ameryce tak, jak jego matka, aby nikt nie płakał w pracy tak jak jego ojciec w sklepie w Minnesocie. Nagle podjął decyzję.

— Może to cię zaszokować, może ci się wydać oburzające — zaczął mówić nieswoim, chrapliwym głosem. — Jednak jest pierwsza zdecydowana, długoterminowa akcja, która została podjęta, aby uratować ten naród przed samym sobą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ostrożnie zeszła po schodach prowadzących pod pokład jachtu i niepewnie rozejrzała się dookoła. Żaluzje w kabinie były opuszczone tak nisko, że docierało tu bardzo wiele światła, a mężczyzna, który na nią czekał, siedział w najciemniejszym kącie. Otaczały go gęste kłęby dymu z papierosa.

— Czy pan Radetzky?

— Wejdz. Spóźniłaś się — odparł.

Podeszła do niego bliżej, uważając na każdy krok. Buty na wysokich obcasach nie były najlepszym obuwiem na jacht pełnomorski. Głośno żuła gumę i roztaczała wokół siebie aurę braku zdecydowania, która charakteryzuje ładne dziewczyny o niskim wykształceniu.

Przyjrzała się swemu gospodarzowi i usiadła na stołeczku stojącym naprzeciwko niego.

Wyciągnęła przed siebie nogi ruchem całkowicie pozbawionym gracji.

— Nigdy jeszcze nie byłam na takiej łodzi — zauważyła. Uśmiechnęła się, wciąż żując gumę.

Mężczyzna odkaslnął, przysłaniając usta dłonią.

— Jeżeli mi pomożesz, być może kiedyś będziesz miała taką łódkę dla siebie.

Zachichotała, właściwie bez żadnego powodu. Była wysoką dziewczyną o ogniście rudych włosach, gęstych piegach i lśniących, zielonych oczach. Emanował z niej seks, lecz zdecydowanie brakowało jej klasy.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś z senatorem Chapmanem ostatniej nocy — powiedział mężczyzna.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

— Co to znaczy?

Mężczyzna ruchem ręki rozproszył dym, który unosił się wokół jego twarzy. Był młody, z całą pewnością nie przekroczył jeszcze trzydziestki. Miał okrągłą twarz o policzkach ciemnych od gęstego zarostu. Czarne włosy miał bardzo krótko ścięte, a ubrany był w niebieską marynarkę i białą koszulę. Sprawiał wrażenie człowieka, który zawsze wie, czego chce, i zawsze zdecydowanie zmierza do celu.

— Nie będziemy się bawili w ciuciubabkę, panno Methven — powiedział. — Wiem, co z nim robiłaś, i potrafię to udowodnić. Nie spotkałem się jednak z tobą, żeby ci za to grozić palcem ani też straszyć, że naskarzę twojej mamie.

Dziewczyna wyglądała na zdezorientowaną.

— Zrobiłam to, za co mi zapłacono — odparła. — I ciężko zapracowałam na swoje pieniądze.

— Jasne — potwierdził Radetzky chłodno. W iluminatorze za jego głową dziewczyna widziała błękitną wodę Biscayne Bay i sznur samochodów sunących nadmorską promenadą.

— Co znaczy to, jasne? — zapytała. — Po co właściwie pan mnie tutaj zaprosił? Czy mam dostać jakąś nagrodę, medal za ostatnią noc? Skoro nie jest pan szpiclem...

Mężczyzna niemal się uśmiechnął.

— Na medal z pewnością zasłużyłaś. Popatrz tylko na to.

Dotknął jakiegoś przycisku i z cichym szumem rozsunała się za nim ciemna kotara, odsłaniając biały ekran. Gdy dotknął kolejnego przycisku, włączył się projektor, rzucając najpierw na ekran jasny strumień światła, potem kilka cyfr, aż wreszcie, ku przerażeniu i fascynacji dziewczyny, prezentując szerokie hotelowe łóżko, a na nim rudowłosą dziewczynę i starszego mężczyznę o obwisłym brzuchu. Oboje byli nadzy.

— Och, mój ty Boże — wyszeptwała dziewczyna. — Jestem na filmie.

Na ekranie dziewczyna pieściła mężczyznę i całowała całe jego ciało. Długo trwało, zanim go dosiadła, zaczęła ujeżdżać i doprowadziła do wytrysku. Z ekranu nie biegały żadne dźwięki; głosów nie zarejestrowano.

Gdy film się skończył. Radetzky wyłączył projektor i z powrotem zasłonił ekran. Potem popatrzył na dziewczynę z nikłym uśmiechem.

— Nazywasz się Dolores Methven — powiedział. — Jesteś kiepską tancerką, a od czasu do czasu kurewką. Mieszkasz z matką w El Portal, twój ojciec nie żyje. Wczorajszego wieczoru wynajęli ci ludzie pracujący dla Henry'ego Ullerstama z „Bayshore Oil”. Zapłacili ci trzysta dolarów za żebyś poszła do pokoju 1126 w hotelu Doral i nie znanemu starszemu mężczyźnie zrobiła tak dobrze, jak mu jeszcze nigdy w życiu nie było.

Radetzky zakaszał i wydobył z kieszeni paczkę papierosów. Wyciągnął ją w kierunku Lollie Methven, ale ruchem głowy odmówiła; nadal żuła gumę.

— Jednak ani pan Ullerstam, ani ty nie mieliście pojęcia, że starszy mężczyzna znajduje się pod moją nieustanną, ścisłą obserwacją. Zanotowałem godzinę twojego przyjścia i wyjścia z hotelu, a na filmie zarejestrowałem wszystkie twoje wyczyny w pokoju numer 1126.

Lollie Methven niepewnie zamrugła oczami.

— Wykonywałam po prostu swoją robotę — powiedziała. Czy miałam zrezygnować z trzystu dolarów, które zaoferowano mi za głupią godzinę pieprzenia się z jakimś staruchem?

Czy popełniłam jakieś przestępstwo?

Radetzky uniósł rękę.

— O nic cię nie oskarżam, o nic nie obwiniam, nie potępiam. Jestem prywatnym detektywem, a nie gliniarzem. Pracuję dla pani Chapman, która zamierza wnieść pozew rozwodowy przeciwko swojemu mężowi, senatorowi Chapmanowi, to wszystko.

— No to ma pan dowód przeciwko niemu. O co jeszcze chodzi?

Radetzky westchnął. Lollie odnosiła wrażenie, że faceta męczy ta rozmowa i najchętniej zaraz by ją skończył. Nie miałanic przeciwko temu.

— Film, który zarejestrowałem ostatniej nocy, byłby doskonałym dowodem w każdej zwykłej sprawie rozwodowej. Pani Chapman to jednak nie wystarcza. Życzy sobie dowodów nie do zbiccia, że sposób, w jaki jej mąż zachowuje się w łóżku, i rozmowy, które w nim prowadzi, świadczyłyby, że... hm, że poszukuje czegoś więcej niż jedynie prostego zaspokojenia naturalnego popędu.

Lollie przerwała żucie gumy. Niczego nie rozumiała.

— To co właściwie chciałaby zobaczyć? — zapytała. — Jak ssam kutasa jej męża w jej obecności?

— Aż tak daleko nie musimy się posuwać. Chciałbym, żebyś w następną środę poleciała do Las Vegas, zameldowała i się w hotelu Scirocco, poszła do łóżka z senatorem Chapmanem i odbyła z nim stosunek. Wszystko inne możesz pozostawić mnie.

Lollie przymrużyła oczy.

— A więc szykuje pan na niego pułapkę? Nie chcę brać w coś takim udziału.

Radetzky znów westchnął.

— W niczym nie będziesz brała udziału. Po prostu jeszcze raz wykonasz swoją robotę, najlepiej jak potrafisz. A dostaniesz za to tysiąc dolarów w żywej gotówce.

Wyciągnął z kieszeni portfel, w którym Lollie ujrzała gruby plik banknotów studolarowych. Dwa z nich położył na stoliku. — To dla ciebie — powiedział cichym głosem.

— Zaliczka, w dowód zaufania, jakim cię obdarzyłem.

Lollie Methwen przez długą chwilę wpatrywała się w banknoty.

— Zapłaci pan za bilet lotniczy? — zapytała drżącym głosem.

Radetzky pokiwał głową.

— A więc zgoda — powiedziała. — Zrobię to. Co mi w końcu zależy na tym starym kutasie?

Wzięła banknoty, starannie je zwinęła i wsunęła za stanik.

Radetzky uśmiechnął się.

— Nie będziesz tego żałowała — zapewnił ją. — Obiecuję ci to.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W czwartkowy poranek John pojechał do szpitala, żeby odebrać Vicki. Był chłodny i pochmurny dzień, na dodatek smog pokrył Los Angeles grubym całunem szarości.

Zdezelowany pomarańczowy volkswagen, którym przyjechał John, wyposażony był w długą antenę CB-Radia i ozdobiony; przedniej masce niezwykle sugestywnym, czerwonym rysunkiem kobiecych ust.

Ciężko wydostał się z auta i ruchem bioder zatrzasnął drzwiczki. Najgorsze dni po śmierci ojca miał już za sobą. Od piątku zdażył wypić cztery butelki whisky, wielokrotnie wysłuchać płyty Santany, i to tak głośno, że aż bolały go uszy, odbyć kilka długich spacerów w górę kanionu, nawet w nocy, gdy niemal niczego przed sobą nie widział, i wreszcie wypalić kilka skrętów.

Był blady i przemęczony, jednak straszne chwile, jakie przeżył niedawno na autostradzie, z żywych koszmarów powoli przemieniały się w odległe wspomnienia. Próbował odsuwać od siebie myśli o tym, co się wydarzyło, mimo rozpaczony po stracie ojca i mimo to, że bardzo pragnął znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie zbrodni, której padł on ofiarą.

Czekała już na niego w szpitalnym holu, ubrana w ciemnoniebieski sweterek i białe dzinsy.

Ciemne włosy miała związane z tyłu, aby nie rzucały się w oczy, gdyż były brudne, a pod jej okiem wciąż widniał duży, żółty siniak.

Pocałował ją i przez chwilę trzymał w ramionach. Dopiero potem, wciąż bez słowa, odsunął dziewczynę od siebie i uważnie się jej przyjrzał.

— Myślę, że jeżeli możemy być za coś wdzięczni losowi, to przynajmniej za to, że dwoje z nas pozostało przy życiu — odezwał się wreszcie. Zdawał sobie sprawę, że w jego oczy lśnią łzy, i wiedział, jak sentymentalnie brzmią te słowa, jednak nic na to nie mógł poradzić. Tak właśnie się czuł.

— Chodźmy stąd — powiedziała Vicki. — Mam już dosyć tego miejsca.

Podniósł z posadzki jej torbę i powoli udali się na parking. Zachmurzone niebo nad nimi miało perłowy kolor.

— Jakim samochodem przyjechałeś? — zapytała Vicki.

— Mel pożyczył mi volkswagena.

— Czy w warsztacie powiedzieli ci coś o imperialu?

Wzruszył ramionami.

— Raczej nie wykazują optymizmu. Wręcz przeciwnie, nie dają mu dużych szans. Facet zajmujący się częściami zamiennymi powiedział, że przez jakiś czas nawet miał zawieszenie do chryslera imperiala z pneumatycznymi amortyzatorami, ale zaginęło podczas Wielkiej Powodzi.

Dotarli do zdezelowanego garbusa i John szarpnął za drzwiczki kierowcy.

— To auto dla masochistów, jak każdy niemiecki pojazd — stwierdził. — Jeśli wbijesz paznokcie w tapicerkę, pojedzie jakieś pięć mil na godzinę szybciej.

Vicki dotknęła jego dłoni. Odwrócił się i popatrzył jej w oczy. Były bardzo poważne.

— Nie musisz silić się dla mnie na dowcipy, John. Myślę, że jesteś teraz smutny, nie musisz więc na siłę zmieniać nastroju.

Pokiwał głową. Musiał odchrząknąć, zanim zdołał jej odpowiedzieć.

— Dziękuję ci — mruknął cicho. — Jeszcze ciąży nade mną to, co się wydarzyło. Ale już powoli dochodzę do siebie.

Podniósł fotel kierowcy i wrzucił torbę Vicki na tylne siedzenie. Następnie wsiedli do auta.

Siedząc ramieniem w ramię i patrząc przed siebie przez zakurzoną szybę, oboje zastanawiali się, co teraz powiedzieć.

— Czy ten samochód ma CB-Radio? — zapytała w końcu Vicki.

John przecząco potrząsnął głową.

— Mela stać było jedynie na antenę. Twierdzi, że radio dokupi w przyszłym roku.

Vicki dotknęła jego ręki.

— Co zamierzasz robić teraz, po śmierci ojca?

— Najpierw go pogrzebię.

— A potem?

Westchnął głęboko.

— Nie wiem. Policja mówi, iż intensywnie szuka zabójcy, ale zdaje mi się, że nie mają żadnych poszlak, żadnych śladów. Zresztą, skoro nie potrafią złapać Dusiciela, jaka jest szansa, że znajdą właśnie tego faceta? Nazwali go „Ciastkiem z autostrady”, uwierzyłabyś?

Stary dobry policyjny humor.

— Daj spokój, John, to są w końcu tylko policjanci i zachowują się jak policjanci. Jestem pewna, że zrobią co w ich mocy, żeby złapać mordercę.

John przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zaczął głośno pracować. Dwukrotnie przegazował, co dało taki efekt, że z rury wydechowej wyleciały grube kłęby czarnego dymu.

— Jakim prawem Mel uważa się za obrońcę środowiska, skoro jeździ takim zatrującym atmosfery jak ta piekielna maszyna? — zdziwił się John. — Nigdy tego nie zrozumiem.

Wrzucił wsteczny bieg, po czym, powoli manewrując, dojechał do szpitalnej bramy. Na chwilę się zatrzymał. Szarpał właśnie dźwignię, aby ponownie wrzucić pierwszy bieg, gdy

Vicki odezwała się:

— John...

Podniósł głowę. Obok samochodu stał detektyw Morello, w marynarce tak wygniecionej, że można było odnieść wrażenie, iż w niej spał, a potem jeszcze pożyczył dziadkowi, który również się w niej położył.

John opuścił boczną szybę.

— Tak?

— Dzień dobry, panie Cullen, miło mi pana widzieć. A ta dama obok to panna Wallace, mam rację?

— Zgadza się.

— A więc udało mi się panią rozpoznać. Wygląda pani już o wiele lepiej. Pan zresztą także, panie Cullen.

— Dziękuję — odparł John. Nagle zdał sobie sprawę, jak głośno ryczy silnik garbusa i jak ostry zapach spalanego oleju unosi się w powietrzu.

— Znaleźliśmy dzisiaj rano samochód mordercy — powiedział detektyw Morello. — Pożyczony w „Avisie” w Hollywood. Jakiś skaut natknął się na niego w Big Dalton Canyon.

Technicy teraz szczegółowo badają pojazd.

— Czy ma pan nadzieję, że znajdą coś istotnego? — zapytał John.

— Trudno powiedzieć. Na razie na nic interesującego się nie natknęli. Żadnych odcisków, żadnych śladów.

— Czy jest szansa, że znajdziecie zabójcę? — zapytała Vicki.

Detektyw Morello skrzywił się.

— Kto to wie? Wszystko zależy od tego, czy ten facet zrobi jeszcze coś bezmyślnego albo głupiego. Jak dotąd wszelkie ślady usuwa dosyć skutecznie.

— I mimo to wciąż przypuszczacie, że jest psychopata?

Detektyw Morello przymrużył oczy.

— A czy istnieje jakieś inne rozwiązanie tej zagadki?

— Nie wiem. Po prostu wydaje mi się dziwne, że facet niespełna rozumu potrafi zamordować dwanaście osób na trzech różnych autostradach i przez cały czas skutecznie ucieka policji.

— Uważa więc pan, że psychopata powinien za każdym razem pozostawiać za sobą wyraźne ślady?

— Chcę, żeby pan mi na to pytanie odpowiedział. To jest właśnie pytanie, które uważam za klucz do sprawy.

Detektyw Morello pochylił się i jego twarz ukazała się w oknie samochodu niczym głowa kukielki w teatrze lalek.

— Niech mnie pan posłucha — odezwał się do Johna grobowym głosem. — Przeciętny psychopata zabija w przekonaniu, że ma do spełnienia jakąś misję, polegającą na eliminowaniu innych ludzi. Z tego właśnie powodu morduje przypadkowych ludzi i zawsze robi to spokojnie, nie śpiesząc się. Przy każdej zbrodni jest w stanie przemyśleć wszystkie szczegóły aż do takich drobiazków, na które normalny człowiek nawet by nie wpadł.

— Na przykład? — Vicki zadała to pytanie tak cichym głosem, że nie była pewna, czy detektyw Morello ją usłyszał.

— Potrzebne pani przykłady? Jakies sześć czy siedem lat temu poszukiwaliśmy podobnego maniaka. Po każdej zbrodni mył opony swojego samochodu wodą z mydłem, a potem przejeżdżał przez piach, który specjalnie miał wysypany na tyłach swojego domu. Piach miał z Sausalito; tam mieszkała jego matka, w związku z czym brudne opony stanowiły dowód, że w momencie gdy dokonywano morderstwa, był u swojej matki. W końcu jednak dotarliśmy do sedna. Jeden z techników słusznie zauważył, że gdyby facet naprawdę był u matki, miałby na oponach kurz z całej autostrady międzystanowej numer pięć, a nie tylko z Sausalito.

John uśmiechnął się.

— Rozumiem — powiedział. Nie miał w tej chwili ochoty na dłuższą pogawędkę z policjantem. Volkswagen trząsał się i charczał, a w jego wnętrzu zaczynało się robić gorąco i

John czuł, jak na jego czoło występują krople potu. — Zawiadomi nas pan, jeśli dowie się pan czegoś nowego? — zapytał detektywa.

Morello skinął głową.

— Jasne. Oprócz tego chciałbym, żeby państwo obejrżeli w komisariacie kilka fotografii, możliwie prędko. Być mi rozpoznaćie zabójcę.

— Ale kiedy będzie miał pan nowe informacje o motywach działania tego faceta, skontaktuje się pan z nami, dobrze?

Detektyw Morello wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zaczął składać ją, żeby wysmarkać nos.

— Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem — zauważył.

— Widzi pan, któregoś dnia chciałbym się dowiedzieć, mój ojciec wcale nie umarł dlatego, że się zaczął na niego ja nieobliczalny maniak, albo z powodu zwykłego pecha.

Jestem przekonany, że jego śmierć ma zupełnie inną przyczyną i chciałbym ją poznać.

Wierzę, że tą przyczyną mogły być poglądy ojca albo funkcje, które pełnił.

Detektyw Morello głośno wyczyścił nos.

— Przykro mi, panie Cullen, z powodu pańskiego ojca. Bardzo niewielu ludzi umiera w taki sposób.

John przypatrywał mu się przez chwilę, po czym podrapał się po szyi.

— Ma pan rację — powiedział. — Nie chciałbym, aby odniósł pan wrażenie, że kwestionuję pańskie kompetencje zawodowe. Po prostu trudno mi jest zaakceptować przypuszczenie, że mój ojciec umarł ot tak, bez żadnego powodu.

— Może pana pocieszę. Dzisiaj rano pewna kobieta jechała do pracy swoim pinto i na skrzyżowaniu Santa Monica Boulevard z La Brea jakiś pijak w ciężarówce nie zatrzymał się na czerwonym świetle. Pinto zostało dosłownie staranowane a kobieta zginęła na miejscu.

Niech pan o tym pomyśli, takie wypadki dzieją się codziennie.

— Myślę, że John ma już i tak nad czym się zastanawiać — zwróciła mu uwagę Vicki. — Musimy już jechać.

Detektyw Morello wyprostował się.

— Będę z państwem w kontakcie — obiecał. — Moglibyście jednak zrobić mi przysługę.

— Co takiego?

— Wyregulujcie ten samochód. Nie chcę, żeby policja drogowa zatrzymała moich najważniejszych świadków za zanieczyszczanie środowiska.

John pokiwał głową i wrzucił pierwszy bieg. Wyjeżdżając ze szpitala na ulicę, nie wiedział, czy się śmiać, czy milczeć, czy też zanurzyć twarz w dłoniach i rozplakać się nad losem tych wszystkich ludzi, którzy stracili życie z powodu cudzej bezmyślności i złośliwości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Dużo czasu upłynęło, nim zajechali pod dom w Topanga Canyon. Przez całą drogę mały garbus się krztusił niczym stary astmatyk. Wreszcie jednak John zaparkował go pod drzewem przed werandą i wysiadł. Przeciągnął się, głęboko wciągnął w płuca świeże powietrze i popatrzył na blade niebo...

— John, to auto jedzie z powrotem! — zawołała Vicki.

John się odwrócił i natychmiast rzucił się w kierunku pojazdu. Szarpnął drzwiczki i zaciągnął ręczny hamulec niemal w ostatniej chwili. Dopiero wówczas odezwał się do Vicki:

— Przynieś mi kilka cegieł, dobrze? Zapomniałem, że Mel zabronił mi parkować na pochyłym terenie. Opowiadał mi, jak to auto przejechało kiedyś przez parking i wyjechało na Sunset, na szczęście nie zahaczając o nic. Tak przynajmniej twierdzi Mel, a wiesz, jaki jest Mel.

— Jaki? — zapytała Vicki.

Mel był otyłym i brodatym facetem, nosił okulary w rogowych oprawkach i flanelowe kowbojskie koszule, które z trudem opinały jego wydatny brzuch.

Mel to wspaniały człowiek, uczynny i mądry, pod warunkiem, że nie każe przyjacielom ryzykować życia w zdezelowanych pojazdach. O, proszę, o wilku mowa.

W tym momencie ujrzeni sąsiada, zbliżającego się do nich a wyraz zwawym, jeżeli wziąć pod uwagę jego tuszę, krokiem, podszedł do Vicki i pocałował ją.

— A więc żyjesz, kochanie — powiedział. — Tak się cieszę. Cześć, John. Jak się masz?

— Powoli dochodzę do siebie, dzięki. Przyniosłeś wino?

— Oczywiście, możecie liczyć na drobny prezencik w związku z powrotem do domu.

Wiem, że w szpitalu ani nie karmią, ani nie poją najlepiej.

— Właśnie to było najgorsze.

John wyciągnął z samochodu torbę Vicki i wszyscy troje weszli po zielonych stopniach na werandę, a później do budynku. Dom był cichy, opustoszały, pachniał drewnem. Zbudował go przed dwudziestu laty jakiś emerytowany artysta malarz, zamierzając tutaj właśnie ukryć się przed resztą świata, a przy okazji jeszcze coś namalować. Budynek zdołał przetrwać kilka groźnych pożarów lasu, które szalały w okolicy, i dzięki temu był jednym z najstarszych w kanionie. Miał pochyły dach, drewniany ganek, ogrodzony rzeźbionymi drewnianymi poręczami, i drewniane okiennice.

Już od dłuższego czasu John i Vicki cierpliwie i starannie pracowali nad odnowieniem tego domu. Salon, do którego teraz wkroczyli, był już niemal gotowy. Znajdował się tu już kominek, podłoga z sosnowych desek lśniła jak szkło, a przy stole stały eleganckie krzesła obite aksamitem w kolorze ciemnych winogron. Taki sam kolor miały zasłony na oknach. Nie były zaciągnięte do końca, można więc było dojrzeć drzewa i kolorowe kwiaty w ogrodzie. Vicki wyciągnęła z szafy trzy wysokie szklanki z zielonego szkła, a John otworzył butelkę wina.

— Czy znacie może jakiegoś faceta o jasnych włosach? — zapytał Mel. — Facet sprawia wrażenie surfisty albo piłkarza.

— Nie, nie znam nikogo takiego — odparł John, nalewając wino. — Mógłby to być Sammy, ale on, zdaje się, spędza właśnie urlop na Hawajach.

— Ja też nie rozpoznałem tego faceta. Dzisiaj rano, kiedy was nie było, kręcił się tutaj.

Chodził po podjeździe, oglądał dom, ale w końcu sobie poszedł.

John wręczył Vicki szklankę, i popatrzył z uwagą na Mela.

— Czy sądzisz, że może to mieć związek z wydarzeniami na autostradzie? — zapytała. — Że to był człowiek, który zabił twojego ojca?

John potrząsnął głową.

— Nie wiem. Najprawdopodobniej jakiś turysta oglądał okolicę. Nie sądzę, żeby maniak, który wyznaczył sobie nas na cel na autostradzie, teraz podążał za nami, dokądkolwiek się ruszymy.

Vicki wypła łyk wina.

— To wszystko śniło mi się w nocy w szpitalu. — Miałam koszmary, w których widywałam mężczyzn o czarnych włosach; ścigali mnie samochodami, chcieli mnie zabić...

— Ten facet był jednak blondynem — zauważył Mel. — Kręcił się tutaj blondyn, typowy, przeciętny, spokojny Amerykanin.

Vicki podeszła do okna. Jej blade odbicie w szybie sprawiało wrażenie, jakby za oknem pojawił się duch.

— Obyś miał rację — powiedziała. — Teraz jednak wydaje mi się, że już nigdy nie będę spać spokojnie.

— Opisz mi dokładniej tego blondyna — poprosił John Mela. — Był młody czy stary...?

— Trudno go dokładnie określić — odparł Mel. W zamyśleniu podrapał się po rudej brodzie. — Sprawiał wrażenie małomównego i był dobrze zbudowany. Raczej wziąłbym go za faceta, który rzuca oszczepem niż za biegacza. Miał na sobie koszulę i dżinsy. Gdybym ujrzał go w tłumie, z pewnością nie zwróciłbym na niego uwagi. Połowa facetów w Kalifornii tak wygląda; druga połowa podobna jest do mnie.

Vicki gwałtownie odwróciła się od okna.

— Nie lubię takich zagadek — oznajmiła. — Musimy to wyjaśnić.

John uśmiechnął się.

— Z pewnością wkrótce znajdziemy jakieś proste wytłumaczenie. A teraz, moja droga, może byś się wykapała, bo jeszcze trochę i w całym domu będziemy pachniało szpitalem. Ja tymczasem mam zamiar przyrządzić kilka doskonałych, domowych hamburgerów. Mel, czy przyjmiesz moje zaproszenie na domowego hamburgera?

Mel odchrząknął.

— To tak jakbyś zapytał, czy mam zamiar za chwilę wziąć kolejny oddech.

— A więc odetchnij sobie, jeśli wolisz. Oddychanie jest tańsze.

— Szybko się wykapię — zdecydowała Vicki. — Tylko nie zjedzcie wszystkiego, kiedy będę pod prysznicem.

Mel uniósł szklankę i w chwili gdy Vicki miała zniknąć za drzwiami, uniósł ją w jej kierunku i zawołał:

— Vicki!

Odwróciła się. Chmura zakryła słońce i w pokoju na moment zrobiło się trochę ciemniej.

— Chciałbym wnieść toast — powiedział Mel. — Chciałbym wypić twoje zdrowie i obiecać ci, że mimo strasznych chwil, które przeżyłaś, teraz już będziesz bezpieczna. I tak jak John cieszę się, że już do nas wróciłaś. Było nam bardzo snutno bez ciebie.

Vicki pokiwała głową, a jej oczy jakby zasły mgłą. Zawróciła, podeszła do Mela i pocałowała go w czoło, po czym wyszeptła:

— Niech Bóg cię błogosławi, Mel. Niech Bóg błogosławi wszystkich moich przyjaciół.

John dolał wina do swojej szklanki i powoli przeszedł do kuchni, do której nie prowadziły drzwi, lecz wąskie przejście pod łukowatym sklepieniem. Wyjął z lodówki zamrożone mięso, po czym zaczął kroić cebulę i inne warzywa. Otworzył okno i po chwili w kuchni zapachniało kalifornijską jesienią. Do Johna dołączył Mel. Ze szklanką wina w ręce oparł się o stół.

— Zdaje się, że Vicki ciężko to przeżyła.

John popatrzył na niego.

— O wiele ciężej, niż to po niej widać.

— Czy ona chodzi do psychoanalityka albo do kogoś, kto pomógłby jej wydobyć się z depresji?

— Oboje nie wierzymy w takie rzeczy — odparł John. — Obejdzie się bez psychoanalityka.

Jestem pewny, że Vicki sama da sobie radę ze sobą.

— Oby. A ty? Chyba najgorsze masz już za sobą?

John wylał olej na metalową płytę i włączył gaz.

— Dotarło już do mnie, że ojciec nie żyje. Jednak samo zabójstwo wcale nie wpłynęło na mnie tak przynębiająco. Najtrudniej jest mi zaakceptować bezsens tej zbrodni. Jakoś nie może to do mnie dotrzeć, że ojciec jest przypadkową ofiarą maniaka, że zginął zupełnie bez powodu. Rozmyślam o nim często i jawi mi się w myślach jako miły, uprzejmy, przeciętny człowiek. Chyba łatwiej zaakceptowałbym jego śmierć, bym wiedział, że pracował dla mafii albo Ku-Klux-Klanu, albo gdyby był zaangażowany w działalność związków zawodowych.

Ale nie, był przecież zwykłym, spokojnym człowiekiem.

— Czy jesteś pewien, że policjanci są z tobą szczerzy? Że mówią ci tylko prawdę?

— Na przykład o czym?

— Chociażby o „Ciastku z autostrady”. Czy naprawdę wierzysz, że ten facet zabija przypadkowych ludzi?

John zmarszczył czoło. Olej na płycie już skwierczał. John włożył fartuszek w białe i niebieskie paski i zawiązał go na karku. Po kuchni zaczynały rozchodzić się coraz bardziej smakowite zapachy.

— Nie wiem, co chcesz mi zasugerować. Morderca jest psychopatą, i to wszystko. Zabija ludzi, ponieważ odczuwa potrzebę zabijania. Nieważne jest dla niego, kogo zabija, po prostu musi to robić.

Mel zdjął z nosa okulary i przetarł szkła. Jego oczy miały kolor bladego błękitu.

— Nie wiem, czy pamiętasz, kiedyś jednak odbyłem kurs myślenia analitycznego — powiedział. — Czasami było to dziwaczne, ale w końcu nauczyłem się natychmiast odrzucać wszelkie przypuszczenia, które miałyby swoje źródło w zjawiskach pozaziemskich, nadprzyrodzonych i niesłychanych.

— Facet zabija na autostradach dwanaście osób, zupełnie ze sobą nie związanych, a ty uważasz za niesłychane przypuszczenie, że jest psychopatą?

— Tak, to przypuszczenie pozostanie bezsensowne tak długo, dopóki nie znajdziemy dowodów. A zdaje mi się, że Policja na razie niezbyt się stara, żeby znaleźć cokolwiek, co by potwierdzało ten fakt. Opierają się na swoim doświadczeniu, a to chyba trochę za mało.

— Szukają zabójcy. Czego jeszcze od nich wymagasz? Mogliby zacząć myśleć analitycznie. Na przykład dokładnie przyjrzeć się wszystkim ofiarom.

John odwrócił smażącego się hamburgera na drugą stronę i powiedział cicho:

— Co by im przyszło z przyglądania się mojemu ojcu? Leży właśnie w domu pogrzebowym.

Mel pokiwał głową.

— Wiem o tym, John. Bądź jednak pewien, że wcale nie chodzi mi o sypanie soli na twoje rany. Nigdy nie wierzyłem w przypadki, a więc i teraz nie wierzę, że jakiś facet jeździ po autostradzie i morduje przypadkowe osoby. Dlatego właśnie uważam, że policja powinna jeszcze raz uważnie przeanalizować ofiary: kim były te osoby, czym się zajmowały, co miały ze sobą wspólnego.

John popatrzył na niego. W jego spojrzeniu widoczny był smutek i zmęczenie, Mel jednak nie miał wątpliwości, że John bardzo chciałby się dowiedzieć, iż śmierć jego ojca miała jakiś powód.

— Pierwsza wspólna cecha jest taka, że zamordował ich ten sam osobnik — powiedział

John.

— Co dalej?

— Nic. Nic więcej ich nie łączyło. Była wśród nich gospodyni domowa, sprzedawca galanterii, mechanik samochodowy i pracownik firmy ubezpieczeniowej. Różnili się wiekiem i pochodzeniem społecznym.

— Gadasz jak gliniarz — zauważył Mel.

— Do cholery, nie rozumiem, co masz na myśli.

— Gadasz jak gliniarz, ponieważ opisujesz tych ludzi od zewnątrz, zamiast od wewnątrz.

John wyciągnął z szafy bułki do hamburgerów.

— Ciągle cię nie rozumiem. Mów jaśniej.

— W porządku, będę mówił jaśniej. Zdaje się, że twoja praca polega na wychodzeniu z psami na spacer, prawda?

— Prawda.

— A teraz, gdybyś wypełniał ankietę dla biura matrymonialnego, chcąc spotkać damę swojego serca, czy określiłbyś siebie jako faceta, który zawodowo wychodzi z psami na spacer?

John przez chwilę zastanawiał się, po czym odparł:

— Chyba nie. Napisałbym, że jestem facetem, który bardzo lubi psy, chociaż... Nie wiem.

— Chryste! Co byś więc napisał?

— Mówię ci, że nie wiem. Może: „Nostalgiczny, liberalny, charyzmatyczny mężczyzna, uwielbiający dziwaczne samochody, muzykę Strawińskiego i zabawy na plaży...”

— No właśnie, wreszcie dotarłeś do sedna — stwierdził Mel. — Opisy policyjne ofiar są kompletnie bezsensowne, bo tyczą tylko tego, co widać u tych osób z daleka, od zewnątrz.

Gospodyni domowa, sprzedawca i mechanik; wiesz może coś więcej o tych osobach? Może ktoś z nich uwielbiał Strawińskiego albo stare samochody, albo lubił poswawolić na plaży?

Skąd wiesz, że nie łączyło ich coś, co sprawiało, że ten facet ich zabił?

— Mel — westchnął John. — Jeśli mój ojciec i ci ludzie mieli wspólne cechy, które sprawiły, że zginęli, twoja sugestia musi sięgać dalej. Otóż w tej sytuacji wszystkie te morderstwa były wykalkulowane, starannie zaplanowane. Facet, który zamordował mojego ojca, musiał go śledzić i doskonale wiedzieć, do kogo strzela.

Mel dolał wina do pustych szklanek.

— Nie sugeruję niczego, John. Wskazuję ci tylko na jedną z możliwości wyjaśnienia śmierci twojego ojca. Jak dotąd policja tej możliwości w ogóle nie wzięła pod uwagę.

John usiadł na taborecie obok Mela. W zamyśleniu podrapał się po głowie.

— Rozumiem twój nastrój, John — kontynuował Mel. — I uwierz mi, wcale nie zamierzam namawiać cię do robienia czegoś, co ci nie odpowiada. Mam nadzieję, że znasz mnie na tyle dobrze, by mi uwierzyć. Widzisz, od dnia, w którym zginął twój ojciec, nieustannie zastanawiam się nad motywami działania mordercy, i wcale nie wygląda mi on na psychopatę.

— Dlaczego?

— Na przykład psychopata wcale nie zadawałby sobie tyle trudu. Sprawdziłem w „Los Angeles Times”; patrz, tutaj mam wycinki na ich temat. — Wyciągnął z kieszeni kilkanaście kartek wydartych z gazet. Starannie rozłożył je na stole. — Przeczytaj na przykład to. Chodzi o gospodynię domową. Zabiła ją kula z M-16, kiedy jechała do domu na Hollywood Freeway, po odwiezieniu córki do szkoły. Wjechała na autostradę z Buffside Drive i jechała zaledwie do Wstępnego zjazdu na Primera Avenue. Snajper, który ją zastrzelił, musiał dotrzeć z karabinem do Universal City Studios, uniknąć wykrycia przez czas, którego potrzebował do ustawienia się w punkcie, skąd widać było autostradę, zastrzelić kobietę, a następnie jeszcze uciec. I wszystko to mu się udało. Policja twierdzi, że akcja zabrała mu piętnaście minut, a ja uważam, że mógł być nawet szybszy. W każdym razie wszystko

musiał starannie przemyśleć, zaplanować. Czy uważasz, że facet, który tak wiele wysiłku wkłada w przygotowania do zbrodni, zabija później pierwszą lepszą osobę, zamiast starannie upatrzonej?

John w ciszy przeczytał wycinek z gazety.

— A teraz masz następne morderstwo. Chodzi o mechanika. Zabity został na Ventura

Freeway. Strzał padł z czerwonej chevy, który podążał za ofiarą od Pasadeny do Sherman Oaks. Są świadkowie, którzy zauważyli chevroleta jadącego za nim w obydwu tych miejscowościach. W gazecie napisano, że mechanik zjechał na chwilę z autostrady w North Hollywood, żeby uzupełnić paliwo. Zabójca musiał więc także zjechać z autostrady, poczekać na niego i powrócić na trasę.

John podszedł do piecyka i zaczął układać hamburgery.

— Ale to wciąż nie dowodzi, że zabójstwa zostały zaplanowane — powiedział. — To, co przeczytałeś, może przecież dowodzić, że morderca jest jeszcze większym psychopata, niż sobie wyobrażałem. Może upatruje sobie ofiarę, a później śledzi ją przez dłuższy czas, upajając się myślą, że wkrótce ta osoba zginie.

Mel potrząsnął głową.

— Akurat. Gdyby tak właśnie postępował, to wszystkie morderstwa wyglądałyby właśnie w ten sposób. A wcale tak nie jest. Zabójca zmienia metody postępowania, zależnie od tego, kto jest ofiarą. Jeśli zginąć ma osoba, która regularnie przejeżdża autostradą o jakiejś określonego porze, strzał pada z pobocza. Jeśli jednak zwyczajnie ofiary nie są dokładnie znane zabójcy, podąża on za nią autostradą i zabija, strzelając z samochodu do samochodu. Tak jak zabił na przykład twojego ojca.

John ułożył przygotowane hamburgery na talerzu. Mel od razu wziął jednego do ręki.

— Zdaje się, że poważnie się nad tym wszystkim zastanawiałeś, Mel — zauważył John.

— Myślenie to moje hobby, a szczególnie myślenie o moich przyjaciółkach.

John przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się z powagą.

— I naprawdę uważasz, że dotarłeś do sedna sprawy? Naprawdę uważasz, że ci wszyscy ludzie mogli mieć ze sobą coś wspólnego?

Mel ugryzł hamburgera i zaczął go przeżuwać.

— Mmm... Wspaniały. Gdyby Bóg kiedykolwiek przygotowywał hamburgery, tak właśnie by smakowały.

— Zdaje się jednak, że masz nikłe dowody na potwierdzenie swoich przypuszczeń — zauważył John. — To, że facet starannie przygotowuje się do morderstw, wcale nie oznacza, że za każdym razem ma zamiar zabić konkretną osobę.

— Nie, przyznaję, nie oznacza. Ale nie oznacza też, że nie powinniśmy sprawdzić moich domysłów.

John pokiwał głową. Myśl, że ojciec zginął, ponieważ łączyło go coś z jedenastoma osobami, których nawet nie znał, wywołała w nim kolejną, zupełnie inną falę bólu. Był to już jednak ból bardziej do zaakceptowania niż ten wywołany przekonaniem, że ojciec zamordowany został zupełnie przypadkowo, bez powodu.

Z talerzem hamburgerów przeszli do salonu. Po chwili zjawiała się tam również Vicki, wykąpana, z umyтыми, rozpuszczonymi włosami, w czarnej sukni ściśle przylegającej do ciała. Czerni sukni podkreślała bladość jej skóry.

Przysunęli krzesła do małego stolika pod ścianą i pochyłili się nad hamburgerami.

— Nie myślałam, że będę głodna — odezwała się Vicki. — Ale patrząc teraz na te pyszności, odnoszę wrażenie, że byłabym zdolna zjeść ich nawet pięć.

Przez długą chwilę jedli w milczeniu, które w końcu przerwał Mel.

— Czy nie uważasz, że moglibyśmy porozmawiać z kilkoma osobami? — zapytał Johna.

— Jakimi osobami? — zdziwił się John.

— Tymi, które były związane z ofiarami. Z krewnymi, Przyjaciółmi, kimkolwiek.

Vicki, niczego nie rozumiejąc, niespokojnie popatrzyła na Johna, który odłożył hamburgera.

— Mel uważa, że te zabójstwa na autostradach wcale nie są przypadkowe. Twierdzi, że wszystkie ofiary mogły mieć ze sobą coś wspólnego, coś, co sprawiło, że ten maniak wszystkich zastrzelił.

Vicki, zaszokowana, jeszcze przez chwilę milczała.

— A co ty o tym sądzisz? — zapytała wreszcie.

John wzruszył ramionami.

— Nie jestem pewien. Nie potrafię zrozumieć, co mój ojciec mógł mieć wspólnego z którymkolwiek z tych ludzi, Mel jednak trafnie zauważył, że właściwie niczego o tych osobach nie wiemy.

— Zdaje się, że byli to prości, zwykli, niewinni ludzie, prawda? — zapytała Vicki.

— Jasne, niewinni, na to wskazuje przynajmniej logika i zdrowy rozsądek. Ale przecież mogli być winni jakiejś zbrodni, którą wyimaginował sobie ich zabójca. Skoro musi to być jasno określona zbrodnia, w każdym wypadku taka sama.

— Zbrodnia? — zdziwiła się Vicki.

— W psychopatycznym mózgu wszystko może się okazać zbrodnią — powiedział Mel. — Słyszałem o wypadku, ja pewna kobieta zabiła osobnika podobnego do dawnego kolegi z klasy; przypomniało się jej, że ten kolega zawsze robił jej głupie kawały. A pewien facet z Medellin, w Kolumbii, zaszytował osiem osób, bo ich nazwiska znajdowały się przed jego własnym w książce telefonicznej.

— Ale przecież policja o tym wszystkim wie. Dlaczego więc mamy się mieszać?

— Policjanci myślą zbyt konwencjonalnie — stwierdził John. — Przynajmniej taka jest opinia Mela. A jeśli chodzi o mnie, zgadzam się z nim.

— A więc chcesz bawić się w detektywa?

— Przecież to nie jest ani trochę gorsze od wychodzenia na spacer z psami.

— Ale o wiele bardziej niebezpiecznie. Co się stanie, je ten psychopata dowie się, co robisz?

— A w jaki sposób miałby się dowiedzieć?

— A w jaki sposób wyszedł i zastrzelił twojego ojca?

— Nie wiem. Chciałbym jednak się dowiedzieć.

Vicki odłożyła hamburgera i dotknęła dłoni Johna.

— John — powiedziała cicho.

Opuściła oczy.

— Zostaw to wszystko John — poprosiła. — Pochowaj spokojnie ojca i pozwól policji; aby sama ściagała jego zabójcę. W przeciwieństwie do ciebie oni wiedzą, jak się do tego zabrać. Przecież rozwikłali już setki i tysiące takich spraw.

— Oni nie potrafią myśleć analitycznie — wtrącił Mel.

Vicki nie zareagowała, jedynie bardzo cicho powtórzyła:

— Zostaw to wszystko, John. Proszę cię. Zrób to dla mnie.

John uściśnął jej ramię.

— Pozwól mi porozmawiać z krewnymi chociaż jednej z ofiar. Muszę się dowiedzieć, czy w przypuszczeniach Mela tkwi choć ziarno prawdy. Chcę wiedzieć, czy mój ojciec zginął zupełnie przypadkowo, czy też jednak wszedł komuś w drogę.

Vicki wyprostowała się na krześle. Mel popatrzył na nią, a potem na Johna. Za oknem

rozpościerał się zielony ogród. Poprzez liście wysokich drzew do pokoju przenikały promienie słoneczne, oświetlając wnętrze wesołymi, tańczącymi ognikami.

Vicki przyłożyła dłonie do ust. Po chwili po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Usiadł na drewnianym krześle w swoim pokoju przy San Juan Avenue z rozłożonym M-14 na kolanach. Szeroko rozsunął poplamione zasłony, dzięki czemu mógł obserwować poranny ruch na ulicy. Słońce było wciąż bardzo blade z powodu zasłaniającego je smogu, robiło się jednak coraz cieplej; prognozy pogody zapowiadały na dzisiaj do siedemdziesięciu stopni Fahrenheita.

Doskonale znał i kochał swoje M-14. Do tego zadania, do którego właśnie się przygotowywał, M-14 było idealną bronią. — Strzał miał osiągnąć celu z odległości dziewięćdziesięciu stóp, z ostrego kąta, przez wąską szczelinę. Gdy trenował w górach, potrafił z tej odległości trafić w upatrzone źdźbła trawy albo przecinać łodygi kwiatów, które uprzednio sobie wybrał.

Na ekranie telewizora Clark Gable mówił właśnie coś bardzo poważnego w odtwarzanym po raz nie wiadomo który Powrocie do domu, oczywiście w wersji czarno-białej. Wysoki mężczyzna z zaczesanymi do tyłu włosami widział już ten film cztery razy, jednak powtórki, o dziwo, uspokajały go, zamiast nudzić. Na skraju łóżka leżał egzemplarz „Hustlera”, otwarty na rozkładówce. Mężczyzna pomyślał, że następnym razem musi zabrać go na swoje ćwiczenia; był ciekaw, ile kul z M-14 może trafić w rozwartą, nienaturalnie różową cipkę dziewczyny wpatrującej się w niego z fotografii.

Ostrożnie, uważnie zaczął składać karabin. Zamierzał brać ze sobą na akcję również M-16, na wypadek gdyby musiał strzelać z bliższej odległości ogniem o większej sile rażenia. Nie lubił jednak M-16. Szczególnie denerwował go horyzontalny odrzut tej broni i niewygodny, pistoletowy uchwyt. Używał jej tylko na autostradach, gdzie cel znajdował się zawsze blisko niego i chodziło raczej o siłę ognia niż o dokładność przy strzelaniu.

Ulicą przejechał policyjny samochód. Mężczyzna spoglądał za nim tak długo, dopóki auto nie zniknęło za rogiem Electric Avenue. Dopiero wówczas uniósł karabin pod światło i jeszcze raz uważnie go obejrzał. Był nieskazitelnie czysty i doskonale wyważony. Ktoś kiedyś powiedział mu, że każdy egzemplarz broni palnej śmierdzi śmiercią; jego M-14 czuć było jedynie metalem i oliwą.

Zaczął myśleć o jedzeniu i seksie. Był czwartek, a w czwartki chodził zwykle na

Hollywood Boulevard oglądać filmy pornograficzne. Lubił takie, w których dziewczyny były wiązane i bite. Fascynowały, go również filmy ze złotymi deszczami, chociaż przeważnie pozostawiały niesmak. Po filmach wchodził zawsze do kawiarni na kawę i przekąskę i obserwował dziewczyny krążące po chodnikach. Zastanawiał się, czy któraś z nich pozwoliłaby, żeby na nią nasikał za dodatkowe dziesięć dolców. Zakaszłał.

Nad jego głową, z apartamentu pani Santini, rozległy się dźwięki samby, którym towarzyszyły niepewne kroki ucznia pani Santini; właśnie zaczynała się kolejna lekcja hiszpańskiego tańca. Pani Santini miała twarz wściekłego myszołowa i niezliczoną liczbę błyszczących spinek w czarnych, tłustych włosach. Za jedną lekcję samby brała pięć dolarów, rumbi — sześć pięćdziesiąt, za cały kurs flamenco — piętnaście dolarów i pięć centów, w tym podatek.

Wysoki mężczyzna wstał i zaciągnął zasłony. Potem przez dwie lub trzy minuty stał w bezruchu, jakby nie wiedział, teraz ma robić. Z bezruchu wyrwał go dzwonek telefonu. Ten niespodziewany dźwięk sprawił, że z trudem przełknął ślinę.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Był to jeden z tych schludnych, pomalowanych na biało, jednopiętrowych budynków przy Szóstej Ulicy, pomiędzy San Vincente a Fairfax. Przed domem parkował trochę już podniszczony, beżowy cutlass, a w ogródku bawił się mały chłopiec. Zajechali wciąż charczącym volkswagenem Mela i po chwili stanęli przed furtką. Było parne i gorące popołudnie, kilka minut po piętnastej.

John i Vicki szli jako pierwsi, dopiero o dwa kroki za nimi trzymał się Mel. Z ogródka przyglądał im się chłopiec, mrużąc oczy przed ostrymi promieniami słońca.

— Czy twoja mama jest w domu?! — zawołał John.

Chłopiec pokiwał głową.

— Masz ładnego pieska — powiedział Mel. Dopiero teraz Vicki i John spostrzegli szczeniaka śpiącego na trawniku.

Chłopiec znów pokiwał głową.

— Czy on potrafi stawać na dwóch łapkach i prosić?

Tym razem chłopiec zaprzeczył.

— Nie, ale jeśli podejdzie pan do niego zbyt blisko, odgryzie panu nogę.

Mel zakaszłał. W tym momencie otworzyły się drzwi do budynku i w progu stanęła wysoka kobieta o bladej twarzy i siwych włosach. Ubrana była w spraną, podniszczoną, kolorową suknię. Na jej twarzy malowało się zmęczenie i głębokie zniechęcenie do wszystkiego.

— Czy pani Daneman? — zapytał John.

Kobieta uważnie zlustrowała wzrokiem przybyszów. Jej wygląd świadczył, że nigdy nie była specjalnie ładną kobietą. Jej włosy były szorstkie, a nos szeroki. Sprawiała wrażenie wysuszonego, wypłowiałego kwiatu, który właśnie wyciągnięto spomiędzy kart jakiejś grubej książki.

— Czy ja was znam? — zapytała.

John odchrząknął, troszeczkę zmieszany.

— Nie chcielibyśmy być natrętni, jednak przyjechaliśmy do pani z nadzieją, że udzieli nam pani pomocy.

Pani Daneman przez cały czas mrużyła oczy, jakby była przyzwyczajona do pomieszczeń, w których zasłony na oknach są zawsze zaciągnięte, a wieczory spędza się jedynie na oglądaniu telewizji lub czytaniu książki.

— O co wam chodzi? Chcecie namawiać mnie, żebym została mormonką czy jak?

— Nic z tych rzeczy. Jesteśmy takimi samymi przeciętnymi obywatelami jak pani — odpowiedział Mel. — Chodzi o to, że pan Cullen, tutaj obecny, stracił ojca w taki sam sposób, jak pani straciła męża.

Pani Daneman popatrzyła na Johna z odrobiną zaciekawienia.

— Zastrzelono go? — zapytała.

— W ostatni piątek. Pisano o tym w gazetach.

— Ach, przypominałam sobie. Zdaje się, że pański ojciec był nauczycielem, prawda? Tak, teraz sobie przypominam. Zapadła niezręczna cisza, którą przerwała pani Daneman. Cóż, bardzo mi przykro. To najtrudniejsza rzecz na świecie przeżyć stratę kogoś bardzo bliskiego.

— Prawdę mówiąc, mamy nadzieję, że opowie nam pani coś o śmierci męża — odezwał się Mel. — Widzi pani, uważamy, że może istnieć jakiś związek pomiędzy tymi wszystkimi morderstwami na autostradach.

Pani Daneman kilkakrotnie zamrugała oczyma.

— Nie rozumiem — powiedziała z wahaniem. — W ogóle nie znałam pańskiego ojca, panie

Cullen, i jestem pewna, że Charles również go nie znał. A przynajmniej nigdy nie wspominał mi o nikim o nazwisku...

— William Cullen, proszę pani — odpowiedział jej John.

— Nie. Nie słyszałam o nikim takim.

— Pani Daneman — ciągnął Mel — nie przypuszczamy, żeby pani mąż znał pana Williama Cullena. Wierzmy jednak, że mogło ich coś łączyć. Na przykład poglądy na życie, hobby, towarzystwo, w jakim się obracali... Może należeli do tych samych lub podobnych organizacji, może mieli takie same poglądy na temat armii.

Pani Daneman przez chwilę jeszcze przyglądała się całej trójce, po czym przeniosła wzrok na trawnik.

— Tego dnia wyjechaliśmy z domu zupełnie bez celu, jedynie po to, by zaczerpnąć gdzieś świeżego powietrza. Po drodze Charles zaproponował, żebyśmy pojechali do Descanso Gardens, przy La Canada, wiecie, gdzie to jest. Mijaliśmy właśnie Griffith Park, jadąc Ventura Freeway, a Andy, mój synek, cicho podśpiewywał sobie pod nosem. Westchnęła.

Zaczęła nerwowo zaciskać dłonie, do tej pory nieruchome. — Nawet nie wiem, jaki to był samochód — wyszeptała. — Nigdy się nie znałam na markach. Wiem, że my jechaliśmy pontikiem, to wszystko. Ten człowiek, który nas zaatakował, jechał białym autem, tyle wiem. Potem już widziałam tylko rozpryskujące się szkło i wnętrze naszego pontika całe we krwi Charlesa. — Jakby się uśmiechnęła. — Policjanci powiedzieli mi, że Andy i ja mamy szczęście, że przeżyliśmy. Nasz samochód zatrzymał się na barierze oddzielającej autostradę od przepaści. Już wtedy wiedziałam, że Charles nie żyje, jednak czekałam na oficjalną wiadomość ze szpitala.

— Czy będzie miała pani coś przeciwko temu, że wejdziemy do środka? — zapytał łagodnie John. — Trochę niezręcznie jest rozmawiać tutaj, przed domem.

— Jeśli wam na tym zależy, proszę bardzo — odparła. — Przepraszam z góry za bałagan.

Od śmierci Charlesa nie mogę sobie dać rady z mieszkaniem.

Gdy znaleźli się w małym przedpokoju, John popatrzył z ukosa na Mela. Było tu ciemno, ponuro, pachniało stęchlizną i kwaśnym mlekiem. Na stoliku przy telefonie leżała popielniczka pełna zduszonych niedopałków; wciąż nie uprzątnięta pamiątka po zmarłym.

Vicki kurczowo zacisnęła dłoń na ramieniu Johna, a Mel trzymał się za nimi. Czuli się, jakby wkraczali do rodzinnego mauzoleum.

Największy pokój, pełniący funkcję salonu, był cichy i zatopiony w półmroku. Ściany wyklejone były żółtą tapetą, a jedyną ich ozdobą była umieszczona w ramkach fotografia

Przedstawiająca tancerkę z wyspy Bali, z obnażonymi piersiami. W przeszklonej szafce znajdowały się golfowe trofea Charlesa oraz tani serwis do kawy, zapewne prezent ślubny. Na telewizorze stała fotografia łysiejącego mężczyzny o pokrzepionych wąsach, uśmiechającego się do aparatu. W koszu na śmieci spoczywały aluminiowe opakowania po posiłkach do

Ogrzewania w kuchence mikrofalowej.

Pani Daneman usiadła pierwsza na skrzypiącym krześle i sięgnęła po paczkę papierosów.

Zapaliła jednego i mocno się zaciągnęła.

Mel znalazł sobie miejsce w wielkim fotelu, natomiast Vicki i John usiedli na niewielkiej zielonej kanapie.

— Nie wiem, co chcielibyście ode mnie usłyszeć — przerwała milczenie pani Daneman.

— Mój mąż był uczynnym i kochającym człowiekiem, ale poza tym bardzo przeciętnym.

— Czy mogłaby pani dokładniej go nam opisać? — zapytał Mel. — Chcielibyśmy usłyszeć jak najwięcej o jego charakterze, zainteresowaniach, upodobaniach. Jaki on był?

Spojrzała na Mela, po czym wbiła wzrok w szary dywan.

— Był uczynny i wrażliwy. Nie wiem, co jeszcze powiedzieć. Miał czterdzieści sześć lat i sprzedawał polisy ubezpieczeniowe. Kochał mnie, kochał Andy'ego i miał nadzieję, że Andy'emu będzie lepiej w życiu niż nam.

— Gdzie się urodził? — zapytał John.

— W Acmetonii, niedaleko od Pittsburgha.

— Czy kiedykolwiek rozmawiała pani z jego rodzicami?

— Tak, oczywiście. Przecież byli na ślubie. Jego ojciec był chirurgiem w klinice dla górników. Dokonał nawet jakichś poważnych odkryć, które usprawniły leczenie ich chorób zawodowych. Chodziło o choroby płuc.

John pokiwał głową. Zaczynał zdawać sobie sprawę, jak trudno będzie znaleźć jakikolwiek wspólny czynnik w życiu dwunastu tak różnych ludzi. Nawet najmniej kontrowersyjny z nich, Charles Daneman, sprzedawca polis ubezpieczeniowych, związany był z tysiącami miejsc i tysiącami ludzi. Pni Daneman pokazała mu album z fotografiami męża. Oto Charles Daneman w szkole średniej, a oto jako żołnierz w oddziale piechoty morskiej. A tu na plaży w Les Tunas z niedawno poślubioną Betty Daneman. I następna fotografia przedstawiająca go w ogrodzie przed domem, trzymającego w ramionach syna, który dopiero się narodził.

Takie było jego życie, uwiecznione na słowiałyach fotografiach. Jaki mógł mieć związek z Williamem Cullenem z Trenton w stanie New Jersey, żyjącym trzy tysiące mil od niego, uwiecznionym na zupełnie innych fotografiach, przechowywanych w innych albumach, wspomnianym przez zupełnie innych ludzi?

Mel wiedział jednak, po co tutaj przyjechał, i cierpliwie zadawał pani Daneman pytanie po pytaniu. Wypytywał o szczegóły jego nauki, ulubione przedmioty, osiągnięcia sportowe, przyjaciół, ulubioną muzykę i o to, co najchętniej jadał na śniadanie. Dokładnie dowiadywał się, gdzie Danemanowie spędzali wakacje podczas ostatnich dwudziestu trzech lat.

Dowiedział się, jakie były ulubione książki, filmy, czasopisma i programy telewizyjne pana Danemana. Dowiedział się, że pan Daneman uwielbiał Jackie Coogana, co wieczór wypijał trzy puszki coorsa i chodził do kościoła baptystów.

W chwili gdy John czuł, że nie wytrzyma już dłużej duchoty panującej w pokoju, gdy Vicki niemal podjęła decyzję, że wyjdzie do ogrodu wypalić słabego skręta, padło kolejne pytanie Mela:

— Pani Daneman, co Charles myślał o świecie? Świecie jako takim, ogólnie. Jakie były jego poglądy polityczne?

Pani Daneman wzruszyła ramionami. W popielniczce obok niej spoczywała sterta piętnastu niedopałków, a w pokoju było aż siwo od dymu.

— Chyba nie miał żadnych poglądów — odparła. — Przynajmniej politycznych. Nie lubił polityki. Uważał jednak, że wszyscy ludzie są sobie równi, tak jak mówi konstytucja; myślę, że nauczył go tego ojciec.

— Ojciec?

— Tak. Mój teść pracował z górnikami, którzy przedwcześnie umierali na różne choroby spowodowane pracą pod ziemią. Złościło go, gdy patrzył, jak giną. Mawiał, że gdyby rząd dotował opiekę medyczną górników przynajmniej połową kwoty, którą na leczenie wydają jego członkowie, można by rocznie ocalić więcej ludzi, niż zginęło ich podczas pracy pod ziemią w całej historii Ameryki.

— Czy Charles zgadzał się z tym?

— Chyba tak, chociaż nie był fanatykiem na tym tle. Kiedy jednak jego ojciec zmarł w ubiegłym

roku, poczuł, tak przypuszczam, że musi podjąć się tego samego zadania, które nosił ojciec na swych barkach, i głośniejszy nawoływać do powszechnej równości społecznej.

Napisał kilka listów do gazet, chociaż żadna nigdy żadnego z nich nie wydrukowała.

— Czy należał do jakiegoś stowarzyszenia politycznego? — uparcie pytał Mel.

Pani Daneman przecząco potrząsnęła głową.

— Nie. W ogóle nie chciał angażować się w żadną walkę polityczną. Uważał jednak, że rząd zbyt długo zwodzi obywateli, twierdził, że najważniejsi urzędnicy w kraju są cyniczni wobec narodu. Mówił, że wszyscy, którzy przysięgali wierność fladze Stanów

Zjednoczonych, powinni być traktowani przez rząd z większym szacunkiem i respektem.

John niemalże wyobraził sobie swego ojca, jak siedzi obok niego w samochodzie i mówi zdecydowanym głosem: „Zmierzamy do tego, co najlepiej można by określić społeczeństwem wzajemnego szacunku. To znaczy, pragniemy, aby jednostki szanowane były przez swój rząd, zarówno w kategoriach prawa, jak i moralności”.

— Dosyć, Mel — odezwał się John.

Mel popatrzył na niego.

— Czy masz jakieś skojarzenia?

— Nie jestem pewien. Musimy o tym porozmawiać.

Pani Daneman popatrzyła na Johna, a potem znów na Mela, zdziwiona i niepewna.

— Może napijcie się kawy? — zapytała. — Niestety, nie mam piwa.

John przecząco potrząsnął głową.

— Myślę, że dowiedzieliśmy się od pani wszystkiego, co nam pani powiedzieć. Naprawdę bardzo nam pani pomogła i jesteśmy za to serdecznie wdzięczni. Mam nadzieję, że nie niepokoiłiśmy pani zbyt długo i natrętnie. Wiem, jak trudno było pani mówić o mężu.

— Wcale nie — odparła ze słabym uśmiechem na ustach. — Myślę, że ta rozmowa raczej dobrze za mnie wpłynęła.

Wszyscy powstali i pani Daneman odprowadziła gości do przedpokoju. W drzwiach jeszcze powiedziała:

— Kochałam go, bardzo kochałam, jednak nie mogę twierdzić, że mój mąż był kimś wyjątkowym na tym świecie. Wiedział, że ludzie uważają go za dobrego człowieka i dobrego męża, i to go cieszyło. Był bardzo dumny ze swego postępowania i muszę powiedzieć, że miał ku temu powody. Był dobrym człowiekiem.

Mel uściśnął jej rękę.

— Szkoda, że o tak niewielu ludziach możemy w ten mówić — powiedział. — Bardzo pani dziękuję za rozmowę.

— Niech się pani nie załamuje — dodał John. Popatrzył na Andy'ego i dorzucił: — Ma pani wspaniałego syna, dla którego warto żyć.

— Tak — odparła pani Daneman bez przekonania. Jej głos zabrzmiał tak, jakby chciała powiedzieć: „Cóż z tego, że Andy jest wspaniały, skoro nie ma ojca?”

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Siedział w samochodzie zaparkowanym na ulicy przy skrzyżowaniu z La Jolla, w brązowym firebirdzie wynajętym w „Avisie”. Na głowie miał zieloną czapeczkę golfową z długim daszkiem, a jego oczy ukryte były za okularami przeciwsłonecznymi o lustrzanych szklach. Niecierpliwił się i co chwilę spoglądał na zegarek. Dziś wieczorem, piętnaście pó szóstej, w jednym z kin

pornograficznych miała się rozpocząć projekcja Szwedzkiej ekstazy i nie chciał się spóźnić na film.

Widział ich, jak wchodzili do tego domu: panią Daneman, młodego Cullena, ciemnowłosą dziewczynę o wielkich cycach i grubasa z brodą. Nie wiedział, dlaczego zasiedzieli się w środku aż tak długo. Cóż interesującego mogło być w tej szarej, przeciętnej Daneman?

Na fotelu pasażera obok niego, luźno przykryty ręcznikiem kąpielowym, spoczywał naładowany karabin M-16. Radio w samochodzie nastawione było bardzo cicho, dlatego do jego uszu dobiegały tylko niektóre dźwięki odtwarzanej właśnie przez którąś ze stacji

Dziewczyny z Ipanemy. Mężczyzna bębnił palcami po kierownicy; była to widoczna oznaka jego zniecierpliwienia.

W końcu, gdy słońce powoli zaczynało kryć się za palmami, cała trójka wyszła z domu i po krótkich pożegnaniach ruszyli w kierunku zdezelowanego, pomarańczowego, garbusa. Nie słyszał, o czym mówią, jednak najwyraźniej się nie spieszyli.

Była piąta siedemnaście, gdy wreszcie Cullen otworzył drzwi volkswagena i pomógł dziewczynie wsiąść na tylne siedzenie. Brodaty grubas, śmiejąc się, zasiadł w fotelu kierowcy. Cienie na ulicy wydłużyły się i w miarę jak znikало słońce, w powietrzu zaczynał unosić się coraz wyraźniej ten specyficzny dla Los Angeles zapach spalin i tropikalnej roślinności.

Silnik volkswagena ożył i jednocześnie zapłonęły jego światła. Mężczyzna w firebirdzie natychmiast przekręcił kluczyk w stacyjce, oczekując na moment, kiedy będzie mógł ruszyć. Volkswagen oderwał się od krawężnika i skierował się San Vincente. Mężczyzna natychmiast zawrócił, przecinając ciągłą linię na środku ulicy, i podążył za nim. Do kierowania samochodem używał tylko lewej ręki; prawa spoczywała już na M-16.

Gdy zatrzymali się przed czerwonymi światłami na rogu San Vincente, mężczyzna w firebirdzie znalazł się tak blisko za volkswagenem, że widział w lusterku tego samochodu odbicie twarzy dziewczyny i profilu Cullena. Właściwie już w tym momencie mógł zabić ich trzema szybkimi strzałami i byłoby po sprawie.

Światła szybko zmieniły się z czerwonych na żółte i volkswagen ruszył, zostawiając za sobą potężną chmurę czarnego dymu. Smród spalanego oleju wdarł się w otwory wentylatorów firebirda i mężczyzna niemal się zakrztusił. Musiał zdjąć dłoń z karabinu i szybko przetrzeć twarz ręcznikiem kąpielowym, odstawiając na moment broń. Garbus tymczasem skręcił w lewo. Zaczynali go denerwować, tacy cholernie zadowoleni z siebie i rozgadani, nie przeczuwając że właśnie nadchodzi ich ostatnia chwila. Mężczyzna nigdy nie miał przyjaciół, nigdy nikomu nie ufał i oznaki przyjaźni pomiędzy innymi ludźmi, oznaki zadowolenia i zaufania denerwowały go bardziej, niż byłby w stanie opisać.

Spokojnie jechał za volkswagenem aż do Burton Way, ścigana przez niego trójka skręciła na zachód, w kierunku Santa Monica i, jak odgadywał, San Diego Freeway. Odprężył się trochę. Kilka kul na autostradzie nareszcie skończy z tą bandą. Żałował, że nie ma pocisków zapalających; gdyby je posiadał, strzeliłby w bak z paliwem i nikt nawet by się zorientował, co się naprawdę stało. Widział kiedyś, jak kobieta płonęła w roztrzaskanym samochodzie na autostradzie; kilkadziesiąt osób stało wokół wraka, zaledwie kilka jardów niego, obserwując ze zgrozą płomienie i nie będąc w stanie pomóc smażącej się żywcem kobiecie.

Pomarańczowy volkswagen i brązowy firebird, oddalone od siebie zaledwie o pięćdziesiąt stóp, sunęły powoli Santa Monica Boulevard w godzinie największego ruchu, zatrzymując się na tych samych czerwonych światłach, równolegle ruszając, równolegle przyśpieszając. Gdy dotarły do zjazdu na San Diego Freeway, było już niemal zupełnie ciemno, i wysoki mężczyzna zdjął okulary przeciwsłoneczne.

Uparcie jechał za garbusem, który kierunkowskazem pokazał, że za chwilę skręci w lewo, w kierunku północnym. Wysoki mężczyzna przyśpieszył, popatrzył w lusterko i zjechał na zewnętrzny pas. Uniósł karabin w prawej ręce i oparł lufę o krawędź okna od strony pasażera.

Stopniowo doganiał pomarańczowego garbusa.

Nie mógł jednak doścignąć go tak szybko, jak zamierzał, ponieważ na jego pasie leniwie jechał przed nim cadillac. Minęło kilkanaście sekund, zanim przednie koła firebirda znalazły się na wysokości tylnych volkswagena. Mężczyzna znów zauważył głowę dziewczyny; mówiła coś do grubasa, siedzącego za kierownicą. Nie widział natomiast dobrze Cullena.

Odbezpieczył M-16 i powoli przesunął językiem po wyschniętych wargach.

Cadillac odrobinę zwolnił i mężczyzna musiał zrobić to samo, tracąc doskonały widok na garbusa. Volkswagen tymczasem przyśpieszył i mężczyzna zaklął, gdy sylwetka auta niemal zniknęła mu z oczu. Spróbował przejechać na pas, którym sunął garbus, jednak kierowca jadącego równolegle z nim buicka był nieustępliwy i dwukrotnie zagrzmiał klaksonem, nie dając mu zajechać sobie drogi. Musiał pozostać na swoim miejscu, za nie śpieszącym się cadillakiem.

Autostrada zaczęła piąć się pod górę, łagodnymi łukami pokonując wzniesienia gór Santa Monica. Ruch na zewnętrznym pasie stawał się coraz wolniejszy. Mężczyznę zaczęła opanowywać rozpacz, gdy niespodziewanie samochody na sąsiednim pasie również zwolniły; ujrzał volkswagena zaledwie trzy auta przed sobą. Znów chwycił karabin, oceniając dystans dzielący go od garbusa, prędkość, czas. Po strzale będzie musiał natychmiast znaleźć się przed garbusem, gdyż wiedział, że brodaty grubas nie opanuje pojazdu i z całą pewnością spowoduje kolizję z samochodem na jednym z bocznych pasów.

Od ściganego pojazdu dzieliły go już tylko dwa auta. Mężczyzna przyśpieszył, wjeżdżając niemal na tylny zderzak cadillaca, zyskał w ten sposób niemal dwie lub trzy stopy odległości do garbusa. Mógł teraz zauważyć twarze grubasa i Cullena. Grubas wystawił łokieć za okno i bębnił palcami po dachu samochodu. Cullen mówił coś, wymachując przy tym energicznie rękami.

Firebird tymczasem jechał już niemal równolegle do volkswagena. Mężczyzna mógł już strzelić do dziewczyny, którą widział w tylnym oknie auta, chodziło mu jednak o tych, których głowy widoczne były w przedniej szybie. W tak gęstym ruchu, jaki teraz panował na autostradzie, dziewczyna i tak nie miała szansy przeżyć po nagłej śmierci mężczyzn siedzących z przodu.

Stopniowo, cal po calu, wylot lufy M-16 przesunął się wzdłuż karoserii garbusa, aż wreszcie karabin celował wprost w głowę brodatego Mela. Zupełnie nagle jednak rozjarzyły się jaskrawą czerwienią światła stopu cadillaca i mężczyzna musiał błyskawicznie nadusić pedał hamulca. Karabin wypadł mu z ręki, samochód z piskiem opon zjechał w lewo.

Mężczyzna z trudem odzyskał nad nim kontrolę.

Przez kilka długich sekund nie mógł odgadnąć, co wydarzyło, ale niespodziewanie usłyszał odgłos klaksonu volkswagena i ujrzał, jak zmienia pas ruchu, oddalając się niego jeszcze bardziej. W tym momencie dopiero mężczyzna zebrał się w sobie i ruszył za garbusem, wywołując wyraża naciskaniem klaksonów wściekłe protesty kierowców jadących za nim.

Na chwilę stracił garbusa z oczu, zaraz jednak zobaczył go na wewnętrznym pasie, przyśpieszającego, aby wyprzedzić ciężką ciężarówkę, która z rury wydechowej wypuszczała kłęby smrodliwego dymu; garbus był przy niej samochodem ekologicznym.

Mężczyźnie w firebirdzie udało się wsunąć za volkswagena, a gdy ten wyprzedził ciężarówkę i zjechał na swój pas, ścigający ustawił się na pasie po jego prawej stronie. Znów jechał równolegle z nim. Ujrzał twarz Cullena w przednim oknie i głowę dziewczyny w tylnym. Najprawdopodobniej była zmęczona, bo opierała czoło o przednie siedzenie.

Mężczyzna uniósł M-16 i tym razem oparł lufę o krawędź okna po swojej stronie. W tym momencie został dostrzeżony.

Grubas prowadzący volkswagena gwałtownie zahamował, wywołując zdenerwowanie kierowcy ciężarówki jadącej za nim. Natychmiast rozległ się z niej donośny sygnał klaksonu.

Mężczyzna w firebirdzie strzelił, jednak niecelnie; kula przeleciała po prostu nad autostradą.

Ciężarówka jeszcze raz zatrąbiła.

Garbus tymczasem niespodziewanie przyśpieszył, wyprzedzając firebirda i zjeżdżając na środkowy pas ruchu. Wysoki mężczyzna chciał pojechać za nim, jednak nie starczyło mu miejsca, gdyż drogę zajęła mu ciężarówka.

Strzelił jeszcze raz, w ślad za oddalającym się garbusem, również ten strzał nikomu nie uczynił krzywdy. Zrozumiawszy beznadziejność sytuacji, mężczyzna rzucił karabin na siedzenie i głośno zaklął:

— Kurwa mać.

Zwolnił i po chwili skręcił w zjazd prowadzący na Rimerton Road. Znalazłszy się na niej, zahamował przy krawężniku i wyłączył światła firebirda. Był spocony, a w ustach miał sucho.

Zapadła niemal zupełna cisza. Jedyńm dźwiękiem, który dochodził do uszu mężczyzny, był ledwie słyszalny szum samochodów jadących po autostradzie. Dokładnie wytarł twarz ręcznikiem, po czym ciężko i głęboko westchnął.

Może powinien ich zastrzelić, kiedy wychodzili z domu tej kobiety? A może powinien odstrzelić ich głowy, kiedy stali na czerwonym świetle na skrzyżowaniu San Vincente? Nie o to jednak chodziło. Ci wszyscy ludzie powinni ginąć w prywatnych sanktuariach swoich samochodów, publicznie, na zatłoczonych autostradach. Przecież cała akcja miała być właśnie inwazją na amerykańską macicę, masową aborcją tych, którzy bezmyślnie korzystali z dobrodziejstw tego kraju, w dodatku sprzeciwiając się działaniom zmierzającym do poprawy sytuacji przeżeranego głupotą i niekompetencją narodu.

Pozwolił sobie na pięć minut odpoczynku. Dopiero po tym czasie znów uruchomił silnik i pojechał na wschód w kierunku Mulholland Drive. Nie był pewien, czy ma dzisiaj ochotę na film pornograficzny, czy też nie. Był spięty, sfrustrowany i zniechęcony. W tym stanie wszelkie przeżycia erotyczne wydawały się raczej niemożliwe.

Była osiemnasta trzydzieści jeden. Postanowił kupić sobie jakieś danie na wynos w chińskiej restauracji i zjeść posiłek samotnie, w zaciszu swojego mieszkania. Zaparkował firebirda na Yucca Street, przy północnym krańcu Hollywood Boulevard, a M-16 zapakował z powrotem do skórzanego futerału, który leżał do tej pory na tylnym siedzeniu auta.

Następnie wysiadł z samochodu, zamknął drzwiczki na klucz i ruszył w kierunku Hollywood Boulevard w poszukiwaniu taksówki. Kluczyki od firebirda cisnął do najbliższego ogrodu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Volkswagen kaszlał i charczał, wspinając się pod górę drogą prowadzącą przez Topanga Canyon. W chwili gdy znalazł się na podjeździe przed zielonym drewnianym domem Johna, silnik zgasł. Auto odmówiło posłuszeństwa. Mel zaciągnął hamulec ręczny, a tymczasem John wysiadł i w ciemności usiłował znaleźć cegły, aby je podłożyć pod koła. Dopiero gdy je znalazł, Mel i Vicki wysiedli. Vicki podeszła do Johna i otoczyła go ramionami. Stali tak w milczeniu przez trzy długie minuty. Vicki drżała, wciąż jeszcze przerażona, a jednocześnie szczęśliwa, że jednak żyje.

Mel wyciągnął ze schowka w samochodzie latarkę i uważnie zlustrował karoserię garbusa.

— O, tutaj jest — powiedział po chwili cichym głosem. To musiał być ten pierwszy strzał.

Vicki i John podeszli, aby przyjrzeć się śladowi na dachu auta. Kula musiała odbić się od tego miejsca i polecieć w przestrzeń.

— Czy zawiadomimy policję? — zapytała Vicki.

— Jasne — odparł John. — Z góry wiem, co powiedzą, ale muszą dowiedzieć się o tym wydarzeniu. Napijemy się czegoś?

Mel pokiwał głową.

— Napiłbym się Jacka Danielsa, bez wody, prosto z butelki.

Weszli po drewnianych schodach do domu i Vicki pozapalała światła. Gdy wraz z Melem znalazła się w salonie, John poszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

Na moment zamknął oczy i przycisnął czoło do zimnych drzwiczek zamrażalnika. Zadrżał nagle. Ogarnął go strach, ale strach przemieszany z uczuciem ulgi, że uniknął śmierci, że przeżył, pomimo śmiertelnego niebezpieczeństwa, które mu groziło. Dziękował Bogu, że wciąż żyje, dziękował Bogu, że wciąż żyje Vicki, i dziękował Mu, że Mel jest tak doskonałym kierowcą.

Wyprostował się i otworzył oczy. Teraz był już pewny, że Mel miał rację i że psychopata z autostrady nie wybiera swoich ofiar na zasadzie ślepego przypadku. Przecież gdyby tak było, nie próbowałby zabić jego i Vicki po raz kolejny. Chociaż... Może za pierwszym razem zobaczyli go zbyt dokładnie i teraz próbuje za wszelką cenę pozbyć się niewygodnych świadków? Ale tego typu zbrodnie charakteryzują raczej profesjonalistów, mafie, zorganizowane bandy, a nie samotnych psychopatów.

John podciągnął rękawy swej niebieskiej koszuli i nalał do pełna trzy szklanki czystej whisky. Odnosił wrażenie, że z dziwaczego świata starych kobiet typu pani Benduzzi, ich zwariowanych piesków i woskowanych samochodów przeniósł się do świata, w którym rządzi autentyczny strach, prawdziwa, nagła śmierć i zbrodnia. Poczul nagle, że istnieje świat, w którym wszystkie te okropności, o jakich codziennie można przeczytać w gazetach, są rzeczywistością.

Przeniósł szklanki do salonu. Vicki stała przy oknie, wpatrując się w ciemność, a Mel, zamyślony, siedział na krześle przy stole.

— Czy masz telefon do detektywa Morello? — zapytała Vicki.

— Jest zapisany na kartce przy aparacie — odparł John. — Zaraz do niego zadzwonię.

Chcę tylko najpierw się uspokoić.

Vicki wzięła szklankę od Johna i wypila duży łyk alkoholu. Zakrztusiła się, oczy zaszyły jej łzami, ale na ustach pojawił się uśmiech. Tego John się nie spodziewał. Pocałował ją w policzek, a ona delikatnie zmierzwiła jego krótko obcięte włosy.

— Interesuje mnie, skąd on wiedział, dokąd pojechaliśmy — odezwał się Mel.

— Nie rozumiem — powiedziała Vicki.

— Przecież musiał jechać za nami, zanim znaleźliśmy się na autostradzie. Przecież nie jeździł tamtędy całymi dniami w tę i z powrotem w nadziei, że któregoś dnia natknie się na nas. Sądzę, że śledził nas już od domu pani Daneman; w przeciwnym wypadku nie wiedziałby, którą drogą pojedziemy. Przecież sami nawet zdecydowaliśmy w ostatniej chwili, wybierając San Vicente zamiast La Cienega.

— A więc wiedział, że spotykamy się z panią — Daneman zauważył John. — Skoro wiedział o tym, musiał więc wiedzieć także, że sami podejmujemy działania, by go wytropić.

— Co więcej, bardzo go to zaniepokoiło. A skoro zaniepokoiło, nie możemy już mieć wątpliwości, że istnieją jednak związki pomiędzy ofiarami z autostrady, związki, które on za wszelką cenę pragnie ukryć.

— To są chyba jednak czyste spekulacje — powiedział! Vicki. — Nie mamy żadnych dowodów.

— Jeszcze nie, kochanie — stwierdził Mel. — Mamy jednak załączki dowodów, między innymi takie, że Charles Daneman i William Cullen mieli przynajmniej sześć albo siedem cech wspólnych. Obaj mieli związek z piechotą morską, obaj czytali „Newsweeka”, obaj regularnie chodzili do kościoła, obaj lubili cheeseburgery i obaj uważali, że między rządem i obywatelami powinien istnieć wzajemny szacunek. — Mel popił whisky i kontynuował: — Musimy teraz porozmawiać jeszcze z bliskimi pozostałych ofiar i dowiedzieć się, czy te wspólne cechy Danemana i ojca Johna pasują do ich zmarłych bliskich. Oczywiście, skupiłbym się przede wszystkim na poglądach politycznych, ale nie wykluczałbym też związków z piechotą morską albo „Nesweekiem”. Duże tygodniki mają swoje listy wysyłkowe i te listy zwykle można kupić. Niewykluczone, że nasz psychopata zabija ludzi, których nazwiska znajduje na takiej właśnie liście.

— A co z cheeseburgerami? — zapytała Vicki. Zadała pytanie ostrym głosem, jakby niechętnie odnosiła się do przypuszczeń Mela.

Ten wziął jednak jej pytanie za dobrą monetę.

— Psychopaci zabijają z najbardziej nieprawdopodobnych powodów — odparł. — Być może ten nie lubi ludzi, którym smakują cheeseburgery. Chociaż w to akurat wątpię.

Vicki milczała przez chwilę, po czym ruchem świadczącym o skrajnym zmęczeniu przyglądała włosy na głowie.

— Boję się — powiedziała. — Boję się o was i o siebie.

John otoczył ją ramieniem.

— Złapiemy tego maniaka. Odkrył się dzisiaj, ścigając nas. To był chyba jego pierwszy błąd. Jestem przekonany, że popełni ich więcej. Jestem pewny, że wkrótce zrobi coś takiego, co pozwoli policji przygotować na niego pułapkę.

Vicki uśmiechnęła się niepewnie.

— Obyś miał rację — powiedziała.

Tej nocy po raz pierwszy od tygodnia kochali się na swym wielkim mosiężnym łóżku przykrytym patchworkową narzutą.

Byli dla siebie bardzo czuli i delikatni. Tej delikatności wymagały rany na ciele Vicki i nie zaleczone koszmarne wspomnienia. Całowali się powoli, nieśmiało, a kiedy John po raz pierwszy dotknął piersi Vicki i zaczął całować jej sutek, cicho westchnęła, o wiele ciszej i spokojniej niż zwykle.

Delikatnie rozsunął dłońmi jej uda i delikatnie w nią wszedł, wywołując to samo ciche, pełne miłości westchnienie. Niemal w absolutnej ciszy zbliżali się do orgazmów, a kiedy one nastąpiły, były jak brylantowe kręgi na powierzchni cichego stawu, rozchodzące się powoli po spokojnej wodzie, aby zniknąć w mroku nocy.

Nad ich głowami wisiała makatka, na której nieznana ręka wyszyła hasło: „Cierpienia zbliżają nas do doskonałości”.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

W jasnym brzasku środowego poranka detektyw Morello i trzech techników starannie oglądali garbusa należącego do Mela, pochylając się nad nim z taką uwagą, jakby był to co najmniej najnowszy model forda. Technicy ubrani byli w lekkie marynarki i koszule porozpinane pod szyją — natomiast detektyw Morello jakby chciał wyglądać bardziej odświętnie niż zazwyczaj: miał

kremową, odprasowaną marynarkę, starannie zawiązany krawat i jasnoniebieskie spodnie.

John siedział na stopniach swojego domu, ubrany w koszulę i dżinsy. Czekał. Vicki siedziała na werandzie kołysząc się w swym bujanym fotelu i szydełkując. Miała na sobie dżinsy i obcisły sweterek z białej, cienkiej, lśniącej wełny. Mel cierpliwie stał przed garbusem, obserwując pracę policjantów. Minę miał raczej znudzoną, a ręce splótł na piersiach.

Po długich minutach, podczas których absolutnie nic się nie działo, jeden z techników odezwał się wreszcie:

— Jest!

Otworzył drzwi volkswagena, odchylił fotel kierowcy i powtórzył:

— Jest. Utkwiła w tylnym fotelu.

Wydobył z kieszeni pęsetę i po chwili mógł zaprezentować kulę, która przebiwszy klapę bagażnika, wbiła się w tylne siedzenie; w zdenerwowaniu, podczas ucieczki, nikt tego nie zauważył.

— Miała pani szczęście — odezwał się detektyw Morello do Vicki. — Gdyby te fotele były troszeczkę cieńsze...

Wziął kulę od technika i zaczął ją uważnie oglądać.

— Wiesz, co to za pocisk? — zapytał po chwili.

— Trudno powiedzieć, jest bardzo odkształcony, myślę jednak, że to kula z karabinu. M-14, a może M-16.

Detektyw Morello zrobił zniechęconą minę.

— Dobra. Przekaż to do laboratorium i postaraj się, żebym miał pełny opis najszybciej, jak to tylko możliwe.

Technicy umieścili znaną kulę w plastikowej torebce i zniknęli. Detektyw Morello podszedł natomiast do Johna. Usiadł obok niego i z kieszeni na piersi wyciągnął małe cygaro.

— Czy widział pan napastnika? — zapytał. — Czy rozpoznałby go pan? Czy to ten sam, który zabił pańskiego ojca?

John przecząco potrząsnął głową.

— Ostatnim razem nosił przeciwsłoneczne okulary. Teraz ich nie miał. To mógł być ktokolwiek, nie sądzę, żebym mógł go rozpoznać. Poza tym teraz miał na głowie taką czapeczkę golfową z długim daszkiem. Prawie wcale nie widziałem jego twarzy.

— A samochód?

— To był brązowy firebird. Nie zauważyłem numerów rejestracyjnych.

— Ale może zauważył pan chociaż, czy to była rejestracja z Kalifornii?

— Myślę, że tak.

— To znaczy?

— Myślę, że to była rejestracja z Kalifornii.

Detektyw Morello zapalił cygaro i schował do kieszeni zapalniczkę.

— Odnoszę wrażenie, że coś pan przede mną ukrywa — odezwał się niespodziewanie.

— Niby co?

— Pan ma mi to powiedzieć. To pan coś ukrywa.

John wzruszył ramionami.

— Zdaje się panu — powiedział.

— Naprawdę? A może pan jednak zauważył coś, czego nie chce mi pan powiedzieć? Może ma pan jakiś ciekawy pogląd na tę sprawę?

— Cóż, Mel, właściciel tego volkswagena, i ja jesteśmy przekonani, że wszystkie te morderstwa na autostradzie były wcześniej starannie zaplanowane. Uważamy, że nikt spośród tych

ludzi, włączając w to mojego ojca, nie zginął przypadkowo.

— Co skłania pana do takiego wniosku? Czy to, że ścigano pana ostatniego wieczoru?

— Między innymi.

— A więc wierzy pan, że wszystkie dwanaście ofiar, w tym i pański ojciec, miały ze sobą coś wspólnego, coś, czego tępi gliniarze nie zauważyli w śledztwie. Nie wie pan, co to takiego, ale być może zabójca jest przekonany, że już pan do tego dotarł. Wczoraj wieczorem więc próbował pana zgładzić, żeby uniknąć zdemaskowania.

John popatrzył uważnie na detektywa Morello.

— Jest pan lepszym policjantem, niż się wydaje — zauważył.

Dziękuję panu. A teraz niech mi pan powie, dlaczego pojechał pan do pani Daneman?

— Wie pan, że u niej byłem?

Dzwoniła do nas, kiedy pan od niej wyjechał. Chciała sprawdzić, czy pan wraz ze swoim towarzyszem pod kogoś się nie podszywacie. W końcu ma syna, o którego bezpieczeństwo musi się troszczyć.

— Rozumiem.

W tym momencie podszedł do nich Mel i powiedział:

— W każdym razie odkryliśmy, że Charles Daneman i ojciec Johna mieli wiele wspólnych cech. Cech, na które pan wcześniej nie zwrócił uwagi.

Detektyw Morello przez chwilę z zainteresowaniem wpatrywał się w koniuszek swego cygara, jakby spodziewał się ujrzeć tam coś niezwykłego. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos nie pozostawiał wątpliwości, że bardzo się stara, aby nad sobą panować.

— Osobiście sprawdziłem wszystko, co można było sprawdzić w wypadku wszystkich dwunastu ofiar. Zrobiłem to z taką starannością, o jaką zapewne nigdy byście policji nie podejrzewali.

— I czego się pan dowiedział? — zapytał John.

— Dowiedziałem się, że każda osoba na tym świecie zawsze ma coś wspólnego z drugą, dowolnie wybraną. Naszych dwanaście ofiar rzeczywiście miało wiele wspólnych cech.

Jednak jestem całkowicie przekonany, że żadna z tych cech nie jest warta zbrodni. —

Zaciągnął się cygarem, po czym kontynuował: — Nie odrzuciliśmy możliwości, że ci ludzie zginęli ze względu na coś, co ich łączyło. Przyjmujemy, że powodem śmierci mogło być nawet coś zupełnie idiotycznego, coś, co tylko w chorym umyśle może być powodem do zbrodni. Jednak jeśli ci ludzie zginęli właśnie z takiej przyczyny, zabójcą musi być jakiś samotny maniak. A jeżeli jest właśnie tak, przyczynę zbrodni poznamy dopiero wtedy, gdy złapiemy zbrodniarza i zapytamy go o nią.

— Czy rozważał pan motywy polityczne? — zapytał John. — Mój ojciec był...

— Pański ojciec był odrobinę lewicującym liberałem, tak jak i większość ofiar z autostrady oraz zdecydowana większość ludzi żyjących na tym świecie.

— A więc rzeczywiście rozważał pan również możliwość politycznego motywu zbrodni? — zapytał Mel.

— Rozważałem każdy motyw — odparł detektyw Morello. — Jednak uważam, że ofiarą zbrodni politycznych padają jedynie osoby, które mają w polityce jakieś znaczenie.

Tymczasem niczego takiego nie da się powiedzieć o naszych ofiarach. Zaledwie trzy z nich należały do jakichś politycznych ugrupowań. Pięć z nich nigdy w życiu nie brało udziału w wyborach.

Mel zdjął okulary i starannie przetrął szkła chusteczką.

— Chyba winien jestem policji przeprosiny — wystękał. — Nie jest pan wcale tak tępy, jak mi

się zdawało.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę — odezwał się John. — Skąd zabójca wiedział wczoraj, że będziemy u pani Daneman? Przecież nie ma wątpliwości, że właśnie przed jej domem zaczął się na nas i właśnie od jej domu za nami jechał.

— Skłaniałbym się raczej ku przypuszczeniu, że śledził was aż stąd — powiedział detektyw Morello. — Może też być tak, że regularnie jeździ Szóstą Ulicą i natknął się na was przez przypadek. To by również tłumaczyło śmierć Danemana.

John w zamyśleniu potarł policzek.

— Nie wiem. Nic tu do siebie nie pasuje.

Detektyw Morello wstał.

— A wie pan dlaczego? Moim zdaniem powód jest jeden: mamy do czynienia z psychopatą, w którego zachowaniu trudno doszukiwać się logiki. Zabójca kieruje się zasadami i motywami postępowania, których ani pan, ani ja, jako normalni ludzie, nie jesteśmy w stanie pojąć. Drodzy panowie, a teraz mam prośbę. Trzymajcie się od tego wszystkiego z daleka i pozwólcie prowadzić śledztwo policji. Nie życzyłbym sobie, abyście swoim działaniem spłoszyli mordercę, a jeszcze bardziej nie życzyłbym sobie, aby przytrafiło się wam coś złego.

W tym momencie odezwała się Vicki, od jakiegoś czasu Przysłuchująca się rozmowie:

— Dziękujemy panu, detektywie Morello — powiedziała po prostu.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Leżał na plecach w rozbebeszonej pościeli, całkowicie ubrany. Był spocony i krańcowo wyczerpany. Obok niego leżała naga dziewczyna, najwyżej trzynasto- lub czternastoletnia.

Miała długie, kręcone, jasne włosy. Spała z wpółotwartymi ustami. Nie był pewien, który to dzień. Wszystko mu się poplątało, to, co robił wczoraj — a zjadł chiński posiłek na wynos, potem poszukał dziewczyny — nie pasowało mu do żadnego normalnego dnia w tygodniu.

Młodziutka blondynka i wysoki mężczyzna niewiele zdziałali wspólnie tej nocy. On był zmęczony i rozkojarzony; jej próby, aby go odprężyć i podniecić, spęzły na niczym. W końcu ją odepchnął. Wzruszyła ramionami, zwinęła w kłębek i wkrótce zasnęła. Podczas gdy spała, on oglądał telewizję, zjadł precle z torebki, a potem wyczyścił swoje dwa smith and wessony kaliber 38.

Popatrzył na zegarek. Była siódma dwadzieścia trzy. Wtorek. Przed wysokim mężczyzną rysowało się widmo ciężkiego dnia, pełnego trudnych zadań i komplikacji. Na początku musiał wypożyczyć nowy samochód. Stoczył się z łóżka, podszedł do zlewu i spryskał twarz wodą. Później z szuflady biurka wyciągnął dwa zmięte banknoty studolarowe; było ich tam o wiele więcej.

Ujrzał odbicie swej twarzy w lustrze nad biurkiem. Jego oczy były ciemne, nieprzeniknione, a pokryte gęstym zarostem policzki dodawały mu tajemniczości. Przez chwilę w bezruchu przypatrywał się swemu odbiciu, po czym niespodziewanie odwrócił się i zamrugał oczyma, jakby nagle obudził się z głębokiego snu.

Jego M-14 czekał na niego w rogu pokoju za szafą. Podszedł do karabinu i uśmiechnął się na jego widok niczym ojciec wpatrujący się w ukochanego syna.

— Jak się masz, stary? — wyszeptał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Zawsze będzie pamiętała, niemal co do sekundy, moment, w którym się zakochała. Tego

środkowego poranka on zszedł po schodach misji katolickiej na Merchant Street, otoczony przez podskakujące, roześmiane czarne dzieci. Nawet w starej, czarnej marynarce i nie wypastowanych butach wyglądał na człowieka, który życie całkowicie poświęcił swojemu celowi. Był jednak również przystojny; miał jakby smutną twarz upadłego anioła, kręcone, czarne włosy i krótki nos, przypominający postaci z dzieł Michała Anioła.

Ulica skąpana była w promieniach słońca stojącego wysoko nad horyzontem, a jednak zaciemnionego przez wszechobecny smog. W tej oto atmosferze, wśród tanich barów i od dawna nie remontowanych domów, widząc go otoczonego dziećmi, zrozumiała, że właśnie zakochała się tak, jak kobieta może się zakochać w mężczyźnie, nie w księdzu.

Nieśmiało pomachał do niej ręką i powiedział:

— Cześć. Jak się masz?

— Przyszłam, żeby zapytać cię, czy nie potrzebujesz pomocy — odpowiedziała. Zdawało się jej, że to nie są jej własne słowa, że odtwarza tylko tekst jakiejś sztuki teatralnej.

Wiedziała, że wszystkie one brzmią sztucznie. Zastanawiała się, dlaczego on nie spojrzy jej w oczy i nie zapyta, czemu kłamie.

— To bardzo miło z twojej strony — stwierdził. — Zawsze się cieszę, gdy któraś z naszych chórzystek chce mi pomagać.

Uśmiechnęła się.

— Czyżbyś tak właśnie o mnie myślał? „Jedna z chórzystek”?

— Śpiew to zaledwie jeden z twoich atrybutów — powiedział. — Jesteś bardzo aktywna nie tylko w chórze, lecz we wszystkim, co robimy, i to mi się bardzo podoba.

— Dziękuję ci, dobry kapłanie.

— Mam teraz trochę czasu. Czy napiłabyś się ze mną kawy? — zapytał. — Dwa budynki dalej jest takie miłe miejsce, gdzie oprócz kawy serwują doskonałe, słodkie pączki.

Skinęła głową i ruszyli, mijając stare, zdezelowane samochody, zaparkowane przy krawężniku, oraz sterty śmieci walających się na chodniku. Jakiś obdartus, siedzący na progu

Jednego z domów, poznał księdza i pozdrowił go, machając do niego ręką:

— Hej, ojcze!

Dotarli do Sal's Coffee House, hałaśliwej, taniej i zatłoczonej kawiarni na rogu ulicy.

Zniszczone linoleum i lepiące się stoły nie zachęcały do rozgoszczenia się w tym miejscu.

Większość klientów stanowili eksperci pewnej dziwacznej dziedziny wiedzy: mistrzowie w możliwie najdłuższym przesiadywaniu w kawiarni nad jednym pączkiem i jedną kawą. Sal, właściciel tego przybytku, tkwił za barem z nierdzewnego metalu i z przymrużeniem oka patrzył na to zjawisko. Bieda w tej dzielnicy była tak wielka, że nie mógł się spodziewać lepszych klientów.

Ojciec Leonard kupił dwa pączki i dwie kawy, po ostrożnie zaniósł tacę na stolik, przy którym Perri zdążyła już zasiąść.

— Właściwie to powinnam bardzo uważać, żeby nie przytyć — powiedziała, kiedy ojciec Leonard usiadł naprzeciwko niej. Wymownym wzrokiem wskazała na pączki.

— Przesadzasz. Na razie jesteś chuda jak tyczka. Zresztą wcale nie musisz być chuda, żeby wejść do królestwa niebieskiego.

Zamieszała kawę.

— Nie jestem pewna, czy się tam znajdę.

Miała dwadzieścia trzy lata, ale dopiero niedawno zaczęła zyskiwać wygląd, jaki powinna mieć młoda dziewczyna. Była bardzo drobna, miała niemal trójkątną twarz o ostrych rysach i krótkie, proste włosy, wypłowiałe w słońcu na kolor, który można by określić jako platynowożłoty. Miała

duże, ciemnofioletowe oczy i usta o takim kształcie, iż zawsze się, że nieznacznie się uśmiechają.

Dwudziesty drugi rok życia był dla Perri Shaw rokiem straconym; jakby ktoś powyrywał gwałtownie wszystkie kartki z kalendarza. Stało się to za sprawą jej męża, Pokochała Ricka, gdy była na pierwszym roku studiów. On wówczas studiował już na trzecim roku — długowłosa, pewny siebie, zbuntowany. Gdy już została studentką drugiego roku, ośmieliła się któregoś dnia podejść do Ricka i powiedzieć mu jak bardzo go pragnie; nie minął tydzień, jak zostali kochankami. Rick był silny, czasami brutalny w łóżku, lecz gwarantował ekscytujące wrażenia. Uwielbiała go, kochała.

Ich pierwszy romans nie trwał długo. Rick porzucił studia ekonomiczne na początku ostatniego roku; porzucił też Perri. Słyszała później, że był strażnikiem w puszczy Wenatchee w stanie Waszyngton. Jego zadaniem było alarmowanie straży pożarnej w wypadku pożaru.

Tak minęły dwa lata, podczas których Perri widywano z poważnym studentem z Anglii, chłopakiem o imieniu Garth. Był on słodki, łagodny i bardzo kochał Perri.

Zupełnie przypadkowo spotkała Ricka na jakimś przyjęciu w Venice, dokładnie rok i jeden dzień po tym, jak ukończyła nauki polityczne na uniwersytecie. Troszeczkę rozmawiali przy szampanie, śmiejąc się, po czym Rick odzyskał Perri, bez słowa wyciągając ją na balkon, gdzie gwałtownie i szybko ją przeleciał.

Mimo że rodzice Perri nie byli temu zbyt przychylni, wkrótce zaręczyli się, a następnie pobrali. Po ślubie zamieszkali w Westwood Village.

To małżeństwo było piekłem. Za późno pojęła, że Rick jest poważnie uzależniony od kokainy. Bywał bardzo gwałtowny, już nie tylko w łóżku. Bił ją niemal codziennie, w najmniej spodziewanych momentach, bez najmniejszego powodu. Czasami znikał na całe długie dni i noce, a gdy wracał, chciał tylko seksu i jedzenia. Zwykle był nie umyty, ordynarnie przeklinał i miotał się bez przerwy z miejsca na miejsce, oszalały od narkotyków.

W dwudziestym drugim roku życia Perri zapisała się na uniwersyteckie seminarium na temat małżeństwa, chociaż właściwie nie miała żadnej nadziei, że wyniesiona stamtąd wiedza zmieni coś w jej życiu. Tam poznała ojca Leonarda. Nie był wcale starszy od niej. Został jej przyjacielem i pomagał jej przetrwać długie tygodnie bicia i strachu. Dał jej siłę potrzebną, aby w końcu przeciwstawić się Rickowi i uzmysłowić mu, jaką jest szmatą.

Ojciec Leonard głęboko wierzył w Boga, był spokojny i piękny. Swe życie tak bardzo poświęcił wierze, że czasami Perri wyobrażała go sobie wiszącego na krzyżu albo przebitego strzałami jak św. Sebastian.

Teraz Leonard osłodził kawę dwiema łyżeczkami cukru. Obserwując jego ruchy, Perri nie potrafiła odpędzić od siebie uczucia, jakie ku niemu zaczęła żywić, nie potrafiła odegnąć tego, co — ze wstydem to przed sobą przyznawała — było seksualnym pożądaniem. Miłość nagle odebrała jej mowę. Nie wiedziała, co powiedzieć. Na szczęście pierwszy odezwał się ojciec Leonard:

— Wczorajem znów się spotykam z kobietami. Mam nadzieję, że te spotkania pomogą im zrozumieć, iż i one mają prawo do własnego ja, do własnej osobowości. Kobiety nie są przecież żebrami wyciągniętymi z ciał swoich mężów. Są ludźmi, zarówno w rozumieniu praw ludzkich, jak i boskich.

— Niestety, nie przyznają tego ich mężowie — powiedziała Perri. — Czyż nie uważasz, że to, o czym mówisz kobietom, złości ich mężów, gdyż to uznają za zaprzeczanie ich męskości?

Ojciec Leonard ugryzł pączka i żuł go przez chwilę.

— Czasami uznają — stwierdził, popijając kawę. — Przeważnie jednak nie na długo.

Potem na ogół zmieniają się, widząc, że żony nadal ich kochają. Choć oczywiście zdarzają się wypadki. Ostatnio na Industrial Street, dwie kobiety zostały ciężko pobite przez mężów, którzy

właśnie powetowali sobie kilka dni „słabości”. Sądzę jednak, że większość kobiet zdaje sobie sprawę, iż musi przez coś takiego przejść, żeby sytuacja się poprawiła.

— Chciałbym, żebyś zamiast mnie wziął udział w konferencji Ruchu Wyzwolenia Kobiet.

O wiele lepiej ode mnie przemawiał.

Przecząco potrząsnął głową.

— To ty jesteś delegatką, nie ja. Poza tym nie chciałabyś chyba, żeby z konferencyjnej trybuny mężczyzna przemawiał do kobiet, wołając o to, by twardo stanęły na gruncie swoich praw, by nie ulegały gwałtownym mężczyznom. Zresztą, mógłbym nawoływać do seksualnego równouprawnienia kobiet? Nie, do tego potrzebny jest ktoś taki jak ty, ja się do tego nie nadaję. Nawet krzykiem nic bym nie wskórał. Poza tym pamiętaj, że nie jestem przecież kobietą.

Perri uśmiechnęła się.

— Nie wyobrażam sobie ciebie krzyczącego — powiedziała. — Zawsze jesteś taki spokojny, opanowany, chciałoby się powiedzieć, że święty.

— Trudno zachować świętość wobec pani Hunter, niestety. Nawet biskup przyznał mi w zaufaniu, że gdy w pobliżu pojawia się ta pani, on ma ochotę znaleźć się gdziekolwiek, byle jak najdalej.

— No cóż, to kobieta, która lubi dominować.

— „Dominować” to chyba zbyt słabe słowo. W świecie według Hilary Nestor Hunter kobiety rządzą wszystkim, włączając w to skalpy mężów i dochody kochanków. Przeciwno takiemu właśnie pogładowi będziesz walczyć, Perri, gdy znajdziesz się na konferencji.

Niestety, obawiam się, że twoja walka będzie bardzo trudna.

Perri ugryzła pączka. Był zadziwiająco kruchy i słodki.

— Zrobię, co potrafię — powiedziała. — Ktoś przecież w końcu musi się przeciwstawić niepoważnym buntowniczym — kom z prawego skrzydła.

Ojciec Leonard uśmiechnął się, widząc zapał Perri.

— Chcę jedynie, żebyś pamiętała, iż jesteś reprezentantką kościoła i kościelnego poglądu na sakrament małżeństwa. Cokolwiek powiesz na konferencji, może być identyfikowane ze stanowiskiem kościoła.

— Wiem, ojczu. Dlatego przez cały czas będę spokojna i zrównoważona.

Ojciec Leonard zdziwił się, że się nie odezwała do niego po imieniu. Zrozumiał jednak jej intencję i roześmiał się.

Przez chwilę jedli i pili w ciszy, którą Perri przerwała pytaniem:

— Nigdy dotąd cię o to nie pytałam, jednak teraz chciałabym wiedzieć. Jak długo już tutaj pracujesz?

Wyjrzał przez brudne okno na zaśmieconą ulicę.

— Mniej więcej osiem lat — odparł.

— I nigdy nie czułeś się tym wszystkim zmęczony albo zrezygnowany?

— Wiele razy. Jednak za każdym razem prosiłem Boga o wsparcie. Nie wiem, jaki miał w tym cel, ale nigdy mi go nie poskąpił.

— Nigdy nie rozważałeś możliwości przeniesienia się do jakiejś spokojniejszej parafii?

Pokręcił przecząco głową.

— Zbyt wiele pracy jeszcze przede mną.

— Mógłbyś przecież pracować wśród bogatych. Oni także mają dusze.

— Bogaci mają łatwiejszą drogę do zbawienia. Nie jestem im aż tak bardzo potrzebny.

Perri rysowała palcem jakieś niewidoczne wzory na blacie stolika.

— Czy kiedykolwiek rozważałeś możliwość porzucenia stanu kapłańskiego? — zapytała po chwili milczenia.

Ojciec Leonard zmarszczył czoło.

— Dlaczego pytasz?

— Nie wiem. Po prostu się zastanawiałem, czy kiedykolwiek coś takiego przyszło ci do głowy.

Wyprostował się, zdziwiony.

— Tak, raz się nad tym zastanawiałem — powiedział powoli. — Było to w dniu, w którym zaatakowała mnie ulicy banda czarnych wyrostków. Ciężko mnie pobili. Moje rany jednak szybko się zagoiły i w tym momencie zniknęły także wątpliwości.

— A czy nie przychodziło ci do głowy, by zrezygnować z kapłaństwa z innych powodów?

— A jakie inne powody mogłyby wchodzić w grę? Nie chciała naciskać zbyt mocno, nie chciała zagnać go w ślepy zaułek. Jednak gdy tak siedział przed nią z wyrazem zastanowienia na twarzy, z niewinną miną człowieka nie rozumiejącego, do czego ona zmierza, wydał jej się jeszcze bardziej atrakcyjny niż zazwyczaj. Słowa wymknęły się jej z ust, zanim zdążyła je przemyśleć.

— Czy nigdy się nie zakochałeś? — zapytała cicho.

Przez długą chwilę milczał. Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie. Nie miała wątpliwości, że ojciec Leonard wie, co jest przyczyną jej pytania. Zakrył palcami usta, a spojrzenie ciemnych oczu wbił w jej twarz.

— Czytałam o tym w gazetach — powiedziała niepewnie. — Czytywałam o księżach, którzy się zakochali.

Powoli pokiwał głową.

— To się zdarza — przyznał.

— A tobie?

Pochylił się nad stolikiem, odsuwając na bok swój talerzyk. Starannie dobierając słowa, zapytał:

— Perri, czyżbyś żywiła jakieś uczucia wobec mnie?

Roześmiała się nerwowo.

— Twój głos brzmi, jakbyś pytał mnie, czy popełniłam ciężkie przestępstwo.

— Pytam cię bardzo poważnie. Czy żywisz wobec mnie jakieś uczucia? Czy zadurzyłaś się we mnie?

Jej palec na blacie stolika krążył coraz szybciej.

— Myślę, że tak — powiedziała z trudem. — Myślę, że to jest coś innego niż zadurzenie.

— Czyżbym pociągał cię fizycznie, seksualnie?

— Więcej, ojcze. Zakochałam się w tobie. Autentycznie, szczerze, całkowicie się w tobie zakochałam.

— Przykro mi. Przepraszam.

— Ojcze, nie masz za co mnie przepraszać. Ani ja ciebie.

— Powinienem był zdać sobie z tego sprawę wcześniej. Głupi byłem, że tego nie zauważyłem.

— A niby w jaki sposób mogłeś zauważyć? To narastało we mnie od tygodni. Sama uświadomiłam to sobie bardzo niedawno.

Ojciec Leonard dotknął jej dłoni. Miał długie, blade palce, przypominające palce skrzyпка.

Jedynie jego paznokcie były brzydkie, niekształtne; efekt ciężkiej pracy fizycznej.

— Jako mężczyzna — powiedział — czuję się dumny.

Spojrzała mu w oczy.

— Jednak jako kapłan — kontynuował — muszę powiedzieć ci, że wszelka ziemską miłość

kobiety wobec mnie jest sprawą beznadziejną.

Perri czuła się dziwnie: trzymała jego rękę i spoglądała głęboko w jego oczy, wiedząc, że jego miłość do Boga uczyniła go dla niej niedostępnym. Miała straszną ochotę zrobić coś, co go zaszokuje, zadziwi; na przykład tu i teraz, w tej obskurnej kawiarni, rozerwać sobie bluzkę i obnażyć przed nim piersi. Albo sięgnąć pod stołem i chwycić jego genitalia przez te cienkie, zniszczone spodnie.

— Czy nigdy nie kochałeś kobiety? — zapytała. — Nigdy?

Pokiwał głową.

— Kochałem. Kiedy byłem bardzo młody.

— Czy przez nią zdecydowałeś się zostać księdzem?

— Nie. — Uśmiechnął się. — Zdecydowałem się na stan kapłański, ponieważ Bóg mnie wezwał i ponieważ kocham Boga, Jezusa Chrystusa i Marię, Matkę Bożą. Kocham ich ponad wszystko.

— I nigdy nie czułeś ochoty na...

— Ochoty na co? Możesz to śmiało powiedzieć, nie bój się. Od ośmiu lat pracuję w najbiedniejszej dzielnicy Los Angeles, zatem żadne słowa już mnie nie szokują.

Ochoty na to, żeby się kochać. — Pochyliła się w jego kierunku. — Gdybym teraz powiedziała do ciebie, że możesz mnie mieć, że możesz się ze mną kochać, czy coś byś poczuł?

Wciąż trzymał jej rękę.

— Oczywiście, że bym coś poczuł. Jesteś śliczną dziewczyną. Ale długie lata samodyscypliny dałyby mi siłę, żeby ci odmówić.

— Nie rozumiem, dlaczego musiałbyś odmówić.

— Z tego powodu, że jestem sługą Boga, sługą, który może spełniać swoją misję, jedynie żyjąc w celibacie.

Cofnęła się i delikatnie wysunęła swoją dłoń z jego uścisku. Nawet nie zauważyła, że w jej oczach błyszczą łzy.

— Uratowałeś mi życie — wyszeptała. — Ocaliłeś przed piekłem.

— Mam nadzieję, że uratuję jeszcze wiele innych istnień.

— Ale czy ja mogę uratować ciebie? — zapytała.

— Ja nie potrzebuję ratunku. Potrzebuję jedynie ochrony przed moimi ludzkimi słabościami; taką ochronę zapewni mi Jezus Chrystus, który poprzez swoją śmierć na krzyżu odkupi grzechy tego świata.

— Ale tak być nie może! — westchnęła Perri. — Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś piękny. Nie zdajesz sobie sprawy, ile tracisz z życia.

Wyciągnął z kieszeni skórzaną portmonetkę i wyjął z niej monetę dziesięciocentową.

Położył ją na stoliku, pod swoim talerzykiem.

Uśmiechnął się do Perri.

— Wiem, ile tracę, uwierz mi. Żyję jednak wiarą w to, co czeka na mnie w życiu pozagrobowym.

— Nie musisz jednak żyć w celibacie, żeby iść do nieba.

— Nie.

— A więc dlaczego? Przecież to wszystko, co robisz dla ludzi, mógłbyś nadal robić jako świecki działacz, prawda? Wcale nie musisz być do tego księdzem. Nie będąc księdzem, żyjąc z kobietą, mógłbyś w dalszym ciągu być tak samo oddany Bogu jak dotąd.

— Chyba mnie nie rozumiesz. Jeżeli całkowicie, ciałem i duszą, nie poświęcę się Bogu, nie

będę miał siły, aby wypełniać swoją misję. Swą siłę znajduję w poświęceniu i skromności.

Nie chcę jej utracić poprzez oddanie się ziemskim przyjemnościom, ziemskiej miłości, seksualnym rozkoszom.

— Chryste — znów westchnęła Perri.

Wyszli z kawiarni i ponownie znaleźli się na ulicy. Powietrze było parne i ciężkie. Minał ich patrol policyjny w samochodzie. Kierowca kilkakrotnie nacisnął na klakson, zobaczywszy ojca Leonarda. Ten pozdrowił go, machając ręką.

— Muszę już iść — powiedział do Perri. — Muszę odwiedzić panią Paloma w szpitalu.

Wczoraj wieczorem spadła ze schodów. Ma pęknięty obojczyk i kość biodrową.

Perri otarła oczy chusteczką.

— Powinnam cię przeprosić — powiedziała.

Otoczył ją ramieniem i potrząsnął głową.

— Jesteś pełną miłości, piękną dziewczyną, Perri. Z całą pewnością znajdziesz w życiu właściwego mężczyznę.

— Już dwukrotnie myślałam, że go znalazłam — powiedziała przez ściśnięte gardło. —

Pierwszy jednak okazał się diabłem, a drugi świętym. Dwóch mężczyzn, dwa błędy.

— Czy wciąż będziemy przyjaciółmi? — zapytał ojciec Leonard.

— Och, tak. Bardzo tego pragnę.

— Zadzwoń więc do mnie wieczorem, porozmawiamy o Konferencji Kobiet. Mam przyjaciela, który pracuje dla CBS. Mówi, że jeśli się postaramy dobrze przyłożyć pani Hilary Nestor Hunter, on to nagłośni w telewizji. A wiesz, jakie znaczenie dla tego, co tutaj robimy, miałby czas na antenie w najlepszych godzinach?

— A więc masz jednak ludzkie słabości — uśmiechnęła się Perri. — Chcesz być sławny.

— Nie, wcale nie chcę być sławny. Chcę, żeby sławne były pokrzywdzone przez los kobiety z tej dzielnicy, i chcę, żeby w równym stopniu szanowano prawa obydwu płci.

Perri wspięła się na palce i pocałowała go w policzek.

— Nie martw się — powiedziała. — Nawet jeżeli jeszcze mnie nie kochasz, po

Konferencji Kobiet poczujesz się ze mnie tak dumny, że nie będziesz miał wyboru.

Ojciec Leonard roześmiał się. Jednak gdy się rozstali i rozpoczął samotny marsz w kierunku przystanku autobusowego. Marszczył czoło, zastanawiając się nad czymś intensywnie, wreszcie się zatrzymał przed jakimś oknem wystawowym i z zainteresowaniem przyjrzał się odbiciu w szybie, przedstawiającemu człowieka, którego Perri z takim żalem określiła mianem świętego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Wyszła przed terminal portu lotniczego w Las Vegas, ściskając w dłoni niemal pustą, białą torbę podróżną. Ostrożnie stawiała stopy w krzykliwych złotych butach na wysokich szpilkach. Rude włosy miała spięte w kok. Ubrana była w skąpą, żółtą koszulkę i dzinsy, tak mocno opinające pośladki, że bagażowy, który taszczył za nią ciężką walizkę, potrafił oderwać od nich oczu.

Niepewnie rozejrzała się po betonowym parkingu.

— Ktoś po mnie przyjedzie — odezwała się do bagażowego. — Obiecano mi, że wyjedzie po mnie samochód.

Bagażowy, niski, pryszczaty chłopak, odparł:

— W porządku, mogę poczekać.

Zaczął udawać, że się rozgląda po parkingu. Krótkie, szybkie ruchy głową pozwalały mu co

chwilę zerknąć na jej cycki, wielkie jak piłki plażowe.

— Jest tutaj tak gorąco — narzekła Lollie. — Cholera, że ten facet nie potrafi przyjechać na czas. Cały makijaż mi się topi.

— Cóż, hm, przepraszam, ale może ten ktoś utkwiał w korku przed lotniskiem — odezwał się bagażowy, w duchu modląc się, żeby facet nigdy nie przyjechał i żeby cycata laleczka z tego powodu pozwoliła mu się zawieźć do jego kawalerki, gdzie przez całą noc tak by ją rznął, że trzęsłyby się wszystkie meble.

Niespodziewanie jednak z dali rozległ się dwukrotny dźwięk klaksonu i po chwili przy krawężniku przed Lollie zahamował biały monarch. Otworzyły się drzwiczki i z auta wysiadł David Radetzky.

— Jak się masz, Lollie?! — zawołał i otworzył bagażnik, pozwalając bagażowemu, którego marzenia w jednej chwili runęły w gruzy, umieścić w środku walizkę dziewczyn.

Lollie wsiadła do samochodu, głośno żując gumę.

— U mnie wszystko w porządku. Chcesz gumę do żucia?

— Nie, dziękuję.

Przełączyła klimatyzację w samochodzie na maksymalne chłodzenie i założyła okulary przeciwsłoneczne. Nagły skadek temperatury sprawił, że jej sutki zeszywniały, jeszcze wyraźniej odcinając się na materiale koszulki, jednak David Radetzky albo tego nie zauważył, albo po prostu się nie zainteresował. Znow miał na sobie błękitną koszulę, a jego policzki miały ten sam niebieski odcień, jak wówczas na jachcie; jakby się ogolił bardzo starą, tępą żyłką.

Jechali w kierunku centrum Las Vegas. Oślepiające słońce biło niemal prosto w przednie szyby samochodu. Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał czwartą czterdzieści pięć. Lollie z ciekawością rozglądała się dookoła, żuła gumę i zastanawiała się, jaki właściwie jest cel jej życia.

— Zarezerwowaliśmy ci pokój w hotelu Scirocco — powiedział David. — Mieszka tam już dwóch specjalistów od zdjęć i jeden od dźwięku. W tej chwili w całym pokoju nie ma już miejsca, w którym można by przebywać, nie będąc sfilmowanym i nagrany na taśmie dźwiękowej.

— A łazienka?

— To samo z łazienką.

— A jeśli on będzie chciał właśnie tam...

— To co?

Lollie zarumieniła się.

— Cóż, zwykle biorę dodatkową dwudziestkę za zabawę w tym miejscu.

David Radetzky westchnął.

— W porządku, jeżeli będziecie się pieprzyć w łazience, dostaniesz dodatkowe dwadzieścia dolców. Ale tylko pod takim warunkiem.

Zajechali przed hotel, wielki blok z białego betonu ze szkarłatnym neonem „Scirocco” rysującym się na tle błękitnego nieba. David poprowadził Lollie przez hali prosto do windy.

Gdy wsiedli, natychmiast nacisnął guzik.

— Czy senator Chapman jest już tutaj? — zapytała Lollie.

— Spodziewamy się go za godzinę. Ma tutaj spotkanie w sprawie budowy hoteli w Minneapolis.

— Co mam zrobić, żeby go znowu spotkać? Przecież nie natknę się na niego w mieście.

David przecząco potrząsnął głową.

— Zadzwońisz do niego i powiesz mu, że przyjechałaś do tego miasta, bo wiedziałaś, że i on tutaj jest, powiesz, że tęsknisz za nim. To powinno chwycić.

Winda zatrzymała się i oboje przeszli korytarzem pod drzwi z napisem „Pompadour House”. David otworzył je kluczem, który wyciągnął z kieszeni, i zaprosił Lollie do środka.

To, co wcześniej określił jako pokój, było wielkim apartamentem. Główne pomieszczenie było wysokie i zostało zaprojektowane w stylu, z którym dekorator z całą pewnością musiał kojarzyć osiemnastowieczną Francję. Łóżko było bogato zdobione złoconymi postaciami rzeźbionych cherubinów i nagich nimf. Niebieskie, grube dywany zaścielały podłogę, a ściany pokryte były grubymi, ciemnymi draperiami.

Na podłodze, przy podwiniętym rogu dywanu, pochylali się dwaj mężczyźni, starannie układając cienkie druty. Jeden z nich niewątpliwie był Meksykaninem. Drugi był chudy i ponury. Miał cienki, orli nos.

— Jak leci, Duke? — zapytał David, ściągając marynarkę i rzucając ją na łóżko.

— Chyba wszystko w porządku — odparł chudy. — Sprawdziałem właśnie fonię z łóżka.

Niby dobra, ale mogłaby być lepsza.

— W czym problem?

— Cholera, ta pościel za bardzo szeleści. Kiedy dwoje ludzi będzie się tutaj ciupciało, ich odgłosy pomieszane z szelestem pościeli i zgrzytem sprężyn dadzą dźwięki, spośród których trudno będzie wyodrębnić to, o co nam chodzi.

— Duke pracował dla Claya McCorda, reżysera filmów pornograficznych — wyjaśnił David Lollie. — Jest najlepszy na świecie w swoim fachu.

Duke wstał, pozwalając, aby róg dywanu znalazł się na właściwym miejscu.

— Moglibyśmy poprawić sytuację, gdybyśmy umiejscowić mikrofon w ciele dziewczyny.

Zrobiliśmy tak w pewnym filmie, kiedy sześcioro ludzi pieprzyło się naraz w jednym łóżku i uzyskaliście znakomite efekty.

Lollie niepewnie podrapała się po nosie.

— Chcecie we mnie wsadzić mikrofon? Niby gdzie?

— Na pewno nie do twojej cipy. Takie rzeczy kosztują setki dolarów, a nie chcielibyśmy utracić tego mikrofonu na zawsze — powiedział Duke z sarkazmem.

Lollie popatrzyła na Davida Radetzky’ego i zapytała:

— A to co za piździelec?

— Uspokójcie się, oboje — powiedział David. — Musimy mieć możliwie najlepszy odbiór; jeśli oznacza to, że mikrofon powinien się znaleźć w twoim ciele, to się tam znajdzie.

— Najlepszy byłby pępek — zauważył Duke. — Umieścimy mikrofon na pępku, a potem zamaskujemy go lateksem w kolorze skóry. Kiedy facet cię przerznie i będzie miał dość, ułożysz jego głowę na swoim brzuchu i pozwolisz mu się wygadać.

— Ma mówić do mojego pępka?

— Niekoniecznie prosto do pępka — odparł Duke niecierpliwie. — Nie musisz pokazywać mu palcem brzucha i zachęcać: „Poproszę o kilka słów w tym kierunku, senatorze”. Pamiętać musisz jedynie o tym, żeby podczas rozmowy nie leżeć na brzuchu.

David popatrzył na zegarek.

— Zdaje się, że senator niedługo przyjedzie — powiedział. — Lollie, chcę, żebyś zadzwoniła do niego natychmiast, kiedy się zamelduje w hotelu, bo w przeciwnym wypadku załatwi sobie na noc jakąś inną dziewczynę; facet jest w tym szybki. Jego żona została w domu w Minnesocie, facet więc z całą pewnością będzie chciał sobie poużywać.

— Myślałem, że ludzie, którzy rządzą tym krajem, mają jakieś poczucie moralności — zauważyła Lollie. Wyjęła gumę z ust i przykleiła ją pod blatem marmurowego stolika.

— Juan, daj mi mikrofon z tej niebieskiej torebki — powiedział Duke do Meksykanina. — Do tego lateks i to pudełeczko z napisem „Wydział Charakterystyki MGM”.

David podszedł do okna, rozsunął firanki i wyjrzał na ulicę.

— Zdaje się, że właśnie podjeżdża nasz senator — powiedział. — Tym razem czarnym fleetwoodem. Cholera, ale obstawa. Tak, to na pewno on.

— Już zapomniałam, jak facet wygląda — stwierdziła Lollie — Z całą pewnością wiem jednak, że w łóżku strasznie sapie i charczy.

— Zdejmij koszulkę — poprosił ją Duke. — Chcę zainstalować ci ten mikrofon, zanim do niego zadzwonisz. Juan, sprawdzisz przewody.

Lollie bez skrzępowania wykonała polecenie. Wszyscy trzej mężczyźni przyjrzeni się jej z zainteresowaniem. Jej piersi okrągłe i jędrne. Pomiędzy nimi widać było kilka rudych piegów, które chłopak Lollie nazwał kiedyś sezonowymi.

Nie proszona Lollie rozpięła spodnie i również ich się pozbyła. Miała gęste, rude owłosienie łonowe. Nie nosiła majtek.

Zapadła dłuższa cisza, którą przerwał Duke:

— Juan, cholera, sprawdź te przewody!

Lollie położyła się na plecach na łóżku i Duke przystąpił do pracy. Umieszczenie mikrofonu w pępku dziewczyny nie zajęło mu wiele czasu. Starannie zamaskował urządzenie

lateksem, odpowiednio go kształtując.

— Twoja matka byłaby dumna — powiedział w końcu do Lollie. — A teraz sprawdźmy, czy wszystko działa. Juan, zbliż się do pępka tej damy i powiedz coś.

Juan uniósł wzrok znad przewodów.

— A żebyś, kurwa, wiedział, że zaraz coś powiem.

Gdy Duke i Juan skończyli swoją robotę, David Radetzky uniósł słuchawkę bladoniebieskiego telefonu w stylu rokoko i wykręcił numer apartamentu senatora Chapmana.

— Chodź tutaj. — Skinął na Lollie. Dziewczyna posłusznie podeszła do niego i chwyciła słuchawkę.

— Nikt nie odpowiada — zauważyła.

— Duke, wzmacniacz — wyszeptał David.

Duke włączył wzmacniacz leżący na stoliku. W pokoju rozległ się głośny dźwięk sygnału telefonicznego, a po chwili odgłos podnoszonej słuchawki. Po dłuższej ciszy senator

Chapman odezwał się nieuprzejmym tonem:

— Halo. Kto tam?

— Czy to senator Chapman? — zapytała Lollie głosem małej dziewczynki.

— Tak. Kto mówi? Kto dał ci ten numer? To jest numer zastrzeżony.

— Dalej, nie wahaj się — szepnęła David do Lollie. — Powiedz mu, kim jesteś i dlaczego tutaj przyjechałaś.

— Mówi Lollie, senatorze Chapman. Lollie Methven z Miami, z Florydy. Czy pamięta pan hotel Doral, pokój 1126?! Nie szczędził mi pan pochwał.

— Lollie Methven?

— Tak, kochany senatorze. Pamiętasz, jak wspaniale wysłałam ci kutaska? Wysłałam ci go, aż się spuściłeś po sam sufit.

Nastąpiła dłuższa cisza po drugiej stronie.

— Pamiętam — przyznał senator. — Ale co, do diabła, tutaj robisz?

Lollie niepewnie popatrzyła na Davida Radetzky'ego, ten jednak zaraz pośpieszył jej z pomocą.

— Powiedz, że go kochasz — wyszeptał. — Czytałaś o nim w gazetach. Pojechałaś za nim aż tutaj.

Lollie cicho zachichotała, po czym odezwała się:

— Kochany senatorze, prawda jest taka, że nie mogę przestać o panu myśleć. Wiem, że to jest głupiutkie, ale cholernie się w panu zakochałam. Przeczytałam w „Miami Herald”, że leci pan do Las Vegas, zastawiłam więc mój sprzęt stereo, żeby kupić bilet na samolot, i oto jestem tutaj.

Senator znów długo milczał.

— W porządku, znalazłaś mnie tutaj — powiedział wreszcie. — Czego chcesz?

— Och, ciebie, kochany senatorze. Chciałabym ściągnąć z ciebie wszystkie łąszki i znów całować całe twoje ciało. Chciałabym jeszcze raz wyssać ci twojego wspaniałego kutasa.

Senator odchrząknął niepewnie.

— Hm... Lollie, jestem dzisiaj bardzo zajęty. Wieczorem mam kilka spotkań. Nie jestem pewien...

— Musisz — nalegała Lollie. — Tak bardzo za tobą tęskniłam, tak bardzo cię pragnę, tak bardzo chciałabym znowu być z tobą w łóżku... Senatorze, kocham cię. Jesteś najwspanialszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek się mną zainteresował. Jesteś taki seksy...

— Naprawdę tak uważasz? — przerwał jej senator.

— Tak, senatorze.

— Gdzie moglibyśmy się spotkać? Skąd dzwonisz?

— Zarezerwowałam apartament „Pompadour” w „Scirocco” — powiedziała Lollie, reagując na rozpaczliwe znaki dawane jej przez Davida Radetzky’ego, który nerwowo wskazywał na nazwę apartamentu wydrukowaną na okładce hotelowego przewodnika. — Jestem gotowa tutaj się z tobą spotkać, Senatorze.

— W moim gniazdku miłości — odpowiedział jej Radetzky

— W moim gniazdku miłości — powtórzyła Lollie.

Senator Chapman przez długą chwilę nie wiedział, zareagować. Gdy odezwał się ponownie, był już zdecydowany.

— Mogę się zjawić u ciebie pół godziny po północy — powiedział. — Co ty na to?

— Och, senatorze, będę liczyła godziny — odparła

— Wspaniale. Ja też będę się niecierpliwił. Do zobaczenia.

— Do zobaczenia, ukochany senatorze.

David odebrał słuchawkę z ręki Lollie i odłożył ją widełki.

— Cholera, stary erotoman — odezwał się Duke. — I taki cymbał ma rządzić naszym krajem.

— Nie obchodzi nas senator Chapman jako polityk — upomniał go David, ocierając chusteczką pot z czoła. — Jesteśmy tu tutaj jedynie po to, żeby zdobyć dla jego żony dowody pozwalające na uzyskanie rozwodu.

Lollie westchnęła i zapytała:

— No i jak wypadłam? W porządku?

— Byłaś doskonała. Teraz masz czas na prysznic, na żeby przebrać się w coś seksownego i zamówić sobie do pokoju coś do jedzenia. Polecam steki, chociaż cheeseburgery z hotelowego baru też nie są złe.

— Kiedy się znów zobaczymy, panie Radetzky? Kiedy będzie po wszystkim?

David zabrał z łóżka swoją marynarkę.

— Już się nie zobaczymy, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Im rzadziej się spotykamy, tym lepiej. Ale jeśli coś sknocisz, będziemy musieli powtórzyć próbę.

— Co z moją forszą?

— Kiedy skończysz z senatorem Chapmanem, zamów sobie taksówkę na lotnisko. Podejdź do stanowiska United Airlines i poproś o paczkę zaadresowaną do ciebie. Będą w niej twoje pieniądze. Plus premia, jeśli spiszesz się naprawdę dobrze.

— I dwadzieścia dolców, jeżeli...

David pokiwał głową.

— Tak, tak, oczywiście.

Ich rozmowę przerwał Duke:

— Jesteśmy gotowi, panie Radetzky — zameldował.

— W porządku — powiedział David. Otoczył ramieniem nagą talię Lollie, chociaż w geście tym nie było ani odrobiny czułości; traktował dziewczynę jak wypożyczony przedmiot.

— Postaraj się, Lollie. I sama przy okazji dobrze się zabaw.

Lollie pocałowała go w policzek.

— To tylko praca, panie Radetzky, niestety. Z panem to bym się zabawiła.

Odsunął się od niej i uśmiechnął się niepewnie.

— Pewnie tak — powiedział, zapinając marynarkę. — Ale przecież nie po to tutaj jesteśmy, prawda?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ken Irwin pływał w basenie na nadmuchiwanym łóżku. Słońce prażyło niemiłosiernie, więc oczy miał zamknięte. Jego włosy już wyschły po ostatniej kąpieli. Łóżko powoli krążyło po basenie, a Ken nie poruszał się, jakby spał. Spoglądały na niego rzymskie statuy, a z głębi ogrodu dobiegał cichy świst spryskiwaczy do trawników.

Obserwowała go już od jakiegoś czasu z okna na piętrze. Nie była pewna, czy naprawdę śpi. Był nagi, opalony na brązowo. Przez dłuższą chwilę przyglądała się jego penisowi spoczywającemu swobodnie na udzie.

Cofnęła się w głąb chłodnej sypialni. Był to pokój gościnny, urządzone na zielono, bardzo rzadko używany. Na środku stało dębowe łóżko, pod ścianą dwa dębowe krzesła. Obraz na ścianie przedstawiał pole gorzycy we Francji. Z jakiegoś powodu ten właśnie pokój przypominał Adele dzieciństwo.

Na głowie miała koronkową czapkę z naszytymi perłami. Przyodziana była w biały negliz, przejrzysty jak dym; specjalnie dla niej zaprojektował tę szatę Marokańczyk, Abid.

Pod spodem ubrana była jedynie w białe bawełniane Majteczki.

W Kenie Irwinie tkwiło coś, co denerwowało ją i nie pozwalało jej spokojnie spać. Był sprawnym, cichym kochankiem. Gdy trzeba było, pomagał służbie w pracach w domu i był w tym równie dobry jak w łóżku. A jednak, zważając na to, że zabrała go z zakurzonej drogi i w ciągu jednego popołudnia przeniosła do jednego z najbardziej luksusowych domów na

Zachodnim Wybrzeżu i biorąc pod uwagę to, że był teraz ogierem jednej z najśłynniejszych gwiazd w historii Hollywood zachowywał się nienaturalnie. To wszystko jakby absolutnie na niego nie wpłynęło. Ken Irwin wciąż był sobą, przyjmował wszystko z taką obojętnością, jakby stanowiło to naturalną kolej rzeczy.

Kochankowie, których Adele miała przed Kenem, byli zupełnie inni. Wszyscy bywali oszołomieni i wstrząśnięci łaską, jaka na nich spadała. Wielbili ją, wpatrywali się nią w niemal jak w boginię, a w łóżku nie pozostawiali wątpliwości, że dają z siebie wszystko. Ani na chwilę jej nie opuszczali, starali się dogadzać jej na każdym kroku. A Ken? Wypełniwszy swoje domowe obowiązki, nie poświęcał jej ani odrobiny uwagi. Najlepszy dowód: leżał sobie teraz środku basenu na nadmuchiwanym łóżku i najprawdopodobniej spał.

Adele wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Po spiralnych dębowych schodach zeszła do wyłożonego kafelkami hallu i wyszła z domu przez tylne drzwi. Słońce świeciło oślepiająco jasno i od razu pożałowała, że zapomniała okularów przeciwsłonecznych.

Stąpając na palcach, podeszła do brzegu basenu.

Łóżko Kena powoli sunęło po powierzchni wody.

— Jak pięknie rosną moje lilie — powiedziała Adele głośno.

Ken poruszył się i odrobinę otworzył oczy.

— Wyglądasz bardzo seksownie — kontynuowała Adele. — Ale jeżeli jeszcze trochę pozostaniesz w tej pozycji, niemiłosierne słońce przypiecze twojego kutasika i co za pożytek będę miała z ciebie w nocy?

Ken uśmiechnął się.

— Niebezpieczeństwo zażegnane — powiedział. — Właśnie się obudziłem.

— Cieszę się. Zaczynam się zastanawiać, czy się przypadkiem mną nie znudziłeś.

Ken zsunął się do wody. Wystarczyło kilka silnych rzutów ramion i znalazł się przy brzegu basenu. Lekko unióśł się na rękach i pocałował nagle stopy Adele.

— Jesteś boginią — powiedział. — Czy mężczyźni może znudzić się bogini?

— Żeby tak samo mówił mój drugi mąż — westchnęła — Ile zaoszczędziłabym pieniędzy i rozterek.

Ken wyszedł z basenu i otrząsnął się z wody niczym mokry pies. Następnie sięgnął po gruby turecki ręcznik, przewieszony przez ramię jednej z rzymskich nimf, i przewiązał go sobie wokół talii. Pocałował Adele. Cienki materiał jej negligiu przylgnął do jego mokrego ciała.

— Holman powiedział mi, że bardzo mu pomagasz w pracach domowych — powiedziała Adele, kiedy przechodzili przez patio. — Mówi, że dobrze ci idzie.

— Cieszę się.

— Nie wiem, czy już ci o tym powiedział, ale w sobotę wieczorem wydajemy przyjęcie.

Na cześć Tony'ego Seidena. Słyszałeś zapewne o Tony'm Seidenie, tym słynnym reżyserze.

W piątek kończy kolejny film i wraz z przyjaciółmi stwierdziliśmy, że dobrze będzie wyciągnąć go z Hollywood na kilka chwil relaksu.

— Zdaje się, że reżyserował Tajemne noce, prawda?

— Tak. Wyreżyserował i wyprodukował ten film. Podobnie jak i ten najnowszy. Nie ma jeszcze tytułu. Seiden mówi o nim Siedemnasty.

— Zdaje się, że ten facet miesza się do polityki, prawda? Nigdy nie widziałem Tajemnych nocy, ale słyszałem, że to jest film polityczny.

Przez otwarte drzwi Adele weszła do budynku.

— Tony zawsze był cięty na polityków. To on właśnie zrobił ten demaskatorski dokument o burmistrzu Daley'u z Chicago. Jest poza tym bardzo niezależnym człowiekiem; dlatego zawsze sam jest producentem swoich filmów. Nie lubi, jak ludzie Podpowiadają mu, co powinien robić.

Kiedy znaleźli się w salonie, Ken wytarł głowę ręcznikiem. Holman, służący, już tam był i nalewał sherry do szklanek. Spojrzawszy na niego, Adele powiedziała:

— Holman, przynieś nam również lodu.

— Tak, proszę pani — odparł służący.

— I jeszcze coś.

— Słucham?

— Pan Irwin pracuje dla mnie, Holman, ale poza tym jest również moim gościem i przyjacielem. Tak jak i twoim, mam Nadzieję.

Holman wbił wzrok w podłogę.

— Zaraz przyniosę lód, proszę pani.

Służący udał się do kuchni. Kiedy znikł im z oczu, Adele tanecznym krokiem przemierzyła cały pokój. Ken znów dojrzał zarys jej płaskiego brzucha, idealne piersi i wysmukłe uda.

— Nie martw się Holmanem — powiedziała. — Zawsze musi mieć powód do zmartwień, inaczej jest cały nieszczęśliwy. To taka choroba wszystkich służących.

Ken usiadł w ciężkim, wzorowanym na hiszpański, fotelu. Ręcznik luźno przerzucił sobie przez uda. Z pudełka stojącego na stole wziął papierosa i zapalił go zapalniczką w kształcie hełmu konkwistadora.

— A na co chorują słynne gwiazdy filmowe? — zapytał.

Adele uśmiechnęła się. Wciąż tańczyła.

— Wiem, na co chorują młodzi, przystojni chłopcy — powiedziała.

— Naprawdę? — zdziwił się Ken. — Co to za choroba?

— Nadmiar pewności siebie. Wiara w potęgę własnej urody. Pewność, że stara kochanka jest tak przywiązana do chłopaka, że nigdy nie zdobędzie się na porzucenie go.

Ken zastygł w bezruchu.

Adele jeszcze przez chwilę krążyła po pokoju, po czym podeszła do Kena. Pochyliła się nad nim i dotknęła czubka jego prostego, zimnego nosa.

— Zdażyłeś już o czymś zapomnieć — powiedziała, delikatnie wbijając czubek polakierowanego paznokcia w nos Kena. — Jestem Królową Śniegu. Zamiast serca mam zamrożony kamień.

Ken oblizwał wargi. Spojrzał w głębokie, brązowe oczy Adele i ujrzał w nich jej bogatą przeszłość: lata doświadczeń, sławy i rozczarowań, lata walki o pozycję.

— Wcale nie twierdzę, że mam cię na stałe — powiedział nagle zachrypniętym głosem.

— Pewnie nie — odparła Adele. — Ale tak się właśnie zachowujesz.

— Co chcesz ze mną zrobić? — zapytał.

Wyprostowała się i odeszła kilka kroków od niego. Jej nagie stopy kleiły się do parkietu.

— Nic nie chcę zrobić. — Uśmiechnęła się. — Zdaje się, że za bardzo cię lubię, żeby zrobić ci krzywdę. Poza tym wydaję przecież przyjęcie w sobotę; mam zamiar zaprezentować przyjacielom mojego nowego ogierka. Niektóre damy zzielenieją z zazdrości, kiedy cię zobaczą.

— Chyba nie sądzisz, że specjalnie stałem wtedy przy drodze, oczekując na przejazd gwiazdy filmowej? — zapytał Ken. — Nasze spotkanie jest absolutnym przypadkiem.

Wzruszyła ramionami.

— To akurat nie ma znaczenia. Nie jesteś znowu taki ważny, żeby musiała się przejmować, co robiłeś w upalny dzień na zakurzonej szosie.

Ken głęboko zaciągnął się papierosem. Adele odniosła wrażenie, że chce coś powiedzieć, jednak milczał.

— W sobotę będziesz gwoździem mojego programu — powiedziała. — Musisz wyglądać tak, aby wszystkim kobietom, które tutaj się zjawiają, odjęło mowę. Będziesz miał białą jedwabną koszulę, rozpiętą aż do pępka. Ubierzesz białe jedwabne spodnie, tak ciasne, że wszyscy będą widzieli kształt twojego przyrodzenia. Na nogach będziesz miał białe sandały.

Będziesz osobistym niewolnikiem zimnej Królowej Śniegu.

— Do cholery, za kogo ty mnie uważasz? Za pajaca czy co?

Roześmiała się krótkim, dźwięcznym śmiechem.

— Nie, wcale nie. Coś ci jednak powiem. Z jakiegoś powodu, którego kompletnie nie potrafię pojąć, chcesz tutaj zostać jak najdłużej. Musisz tu być, a ja nie wiem dlaczego.

Zresztą, prawdę mówiąc, przyczyna zupełnie mnie nie interesuje. Jesteś bardzo dekoracyjną górą mięśni i jesteś dobry w łóżku. Jednak, widzisz, światem rządzą pewne prawa, kręcą się po nim kupujący i ci, którzy sprzedają. W tym układzie ja jestem sprzedawczynią. Mam ci do zaoferowania miejsce w moim domu. Oferuję ci je, ale jeżeli naprawdę chcesz tutaj pozostać, możesz pozostać jedynie na moich warunkach. A moje warunki są takie, że będziesz się kręcił w sobotę wieczorem po tym domu w rozpiętej koszuli i w obcisłych spodniach, doprowadzając moje przyjaciółki, damy w średnim wieku, do spazmów zazdrości.

Do pokoju wszedł Holman z lodem w kryształowej miseczce, dostawił ją na stole i znów wszedł, cicho jak duch.

— Oczywiście, zawsze masz prawo wyboru — kontynuowała Adele. — Możesz mnie opuścić.

Znów spojrział na nią i odezwał się zachrypniętym głosem:

— Wcale mnie nie kochasz, prawda?

— Miałabym cię kochać? A niby dlaczego?

— Myślałem, że... Chociaż trochę.

— Mój drogi, jak coś takiego mogło ci w ogóle przyjść i głowy? Ja się nie zakochuję w prostych ludziach.

Ken wstał, ponownie przepasując biodra ręcznikiem. Na jego twarzy malowało się zrezygnowanie i smutek.

— Myślę, że zachowuję się tak, jak się zachowuję, dlatego właśnie, że z całych sił powstrzymuję się przed zakochaniem się w tobie.

Adele, która właśnie podnosiła szklaneczkę ze stołu, postawiła ją z powrotem.

— Co takiego powiedziałeś?

Odwrócił się w jej kierunku i posłał jej krótki, smutny uśmiech.

— A wcale nie chciałem się zakochać. Chodziło mi zaledwie o kilka dni życia w luksusie.

W Montanie takie życie jakie ty prowadzisz, jest niewyobrażalną fantazją. Ludzie nie uwierzyliby, że w ten sposób naprawdę można żyć, nawet gdybyś pokazywała im fotografie.

Cóż, przydarzyło mi się nieszczęście, Adele. Zakochałem się w tobie. Zawładnęłaś nie tylko moim ciałem, ale i sercem.

Adele wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Nagle zdecydowanym krokiem podeszła do niego tak blisko, że piersią otarła się o niego.

— Nie wierzę ci — powiedziała. — Naprawdę, nie wierzę. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam, żeby ktoś opowiadał takie bzdury.

Ken milczał. Jedynie jego pierś unosiła się i opadała w przyśpieszonym tempie; był zdenerwowany, oddychał szybko i gwałtownie. W którymś z pokoi zegar wybił głośno godzinę czwartą po południu.

Po chwili milczenia Adele odezwała się łagodniejszym tonem.

— Możesz jednak tutaj zostać tak długo, jak tylko będziesz chciał. Nie mogę się doczekać widoku twarzy Hilary Nestor Hunter, kiedy zobaczy cię tutaj w sobotę. Taki widok wart jest milion dolarów, a to, czy mnie kochasz, czy też nie, blednie przy możliwości przeżycia takiej przyjemności.

Ken znów nieznacznie się uśmiechał. Nagle opuścił ręcznik na podłogę i Adele ujrzała jego nabrzmiały, sztywny penis.

Niecałe półtorej godziny później czerwony džip AMC zatrzymał się na poboczu zakurzonej szosy pomiędzy Cathedral City a Rancho Mirage. Za kierownicą siedział Ken Irwin, w dżinsach i płóciennej koszuli. W jego ustach tkwił tłący się papieros, oczy zakrywały mu przeciwsłoneczne okulary. Radio w samochodzie grało bardzo głośno; dobiegające z głośników dźwięki muzyki rockowej zupełnie nie pasowały do otoczenia.

Nie musiał długo czekać. Wkrótce od Rancho Mirage nadjechało żółte pinto i zaparkowało przy dżipie. Wówczas Ken wyłączył radio, otworzył drzwiczki i szybko przesiadł się do drugiego samochodu. Za kierownicą pinto siedział wysoki mężczyzna o czarnych włosach, zaczesanych do tyłu i posmarowanych brylantyną. Jego oczy osłaniały lustrzane okulary.

Ubrany był w czerwoną koszulę, rozpiętą pod szyją i czarne spodnie ze sztruksu.

— Jak ci idzie, Ken? — zapytał.

— W porządku, T. F. A co u ciebie?

— Cholera, prześladuje mnie pech. To jest największy samochód, jaki mogłem pożyczyć.

Musiałem pójść do „AAA”. Ani w „Avisie”, ani w „Hertz” na razie nie mogę pokazać gęby.

Ken podrapał się po głowie.

— Byłem u tych Cullenów — powiedział. — Moja kochanka nie ma na szczęście nic przeciwko temu, że używam jej dżipa.

— Czego się dowiedziałeś?

— Niewiele ponad to, co już od dawna wiemy. Cullen przez większość tygodnia wyprowadza psy starych, bogatych bab, i czyści im samochody. Dziewczyna przeważnie jest w domu i coś tam grzebie w ogródku.

— A co z brodatym grubasem?

— Nazywa się Mel Walters. Mieszka niedaleko od nich. Zdaje się, że są przyjaciółmi; w każdym razie przynajmniej raz lub dwa razy w tygodniu jada u nich kolację. Zwykle we wtorki i w czwartki.

— A więc jutro wieczorem wszyscy troje będą w domu Cullena?

Ken wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

— Chyba tak. Dom stoi w takim miejscu, że jest niemal niewidoczny. Mógłbyś postawić słonia przed ich drzwiami i nikt obcy przez długi czas by się o tym nie dowiedział.

T. F. odwrócił się i z tylnego siedzenia samochodu podniósł długą skórzaną torbę. Położył ją sobie na kolanach i otworzył. W środku, zawinięty w miękkie tkaniny, spoczywał karabin M-14.

— Czy jesteś pewien, że potrafisz bezpiecznie to ukryć u niej w domu? — zapytał Kena.

— Jasne. Nikt mnie tam przecież nie śledzi. Ta baba jest zadowolona, jeśli ją raz na dobę porządnie przetrzę. Poza tym moim obowiązkiem jest snucie się po domu i pomaganie służącemu w sprzątaniu. Adele twierdzi, że jestem w równie dobry jak w łóżku.

T. F. zamknął torbę.

— Uważaj na to. To jest moja ulubiona zabawka. Wiele dla mnie znaczy, rozumiesz?

— Rozumiem, T. F. Chcesz papierosa?

T. F. przyjął od niego papierosa i włożył go do ust.

— Bardzo źle zniosę rozstanie z tym karabinem, wiesz? — powiedział, wpatrując się w horyzont.

— Nie martw się. Będę o niego dbał jak o własny.

T. F. pochylił się, przyjmując ogień zaoferowany mu przez Kena. Zaciągnąwszy się papierosem, szybko wydmuchnął dym i powiedział:

— Żebyś tylko wiedział, ilu ludzi posłałem na tamten świat za pomocą tego cacuszka.

Jestem z nim bardzo związany.

— Na miłość boską, T. F.!

T. F. popatrzył na niego i Ken ujrzał swoją twarz, wydłużoną i zaokrągloną, w ciemnych szybach okularów przeciwsłonecznych.

— Lepiej już pojedę — powiedział T. F. — Mam jeszcze robotę dzisiaj wieczorem w San Clemente.

— Zadzwoń do ciebie jutro o trzeciej.

— Dobra. Będę czekał na telefon.

Ken wysiadł z pinto i gdy tylko zatrzasnął drzwiczki, T.F. odjechał. Ken stał jeszcze chwilę przy drodze, obserwując chmurę kurzu unoszącą się za znikającym w oddali chodem.

Wreszcie wolnym krokiem podszedł do dżipa, ostrożnie trzymając w prawej ręce skórzaną torbę z karabinem. Wsiadł do auta i ułożył ją na podłodze między siedzeniami; starannie nakrył ją podróżnym kocem. Dopiero wtedy przekreślił kluczyk w stacyjce.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Za oknem powoli wschodziło słońce. Carl X. Chapman przywitał brzask czwartkowego poranka w ramionach Lollie Methven. Jego ciężka głowa spoczywała pomiędzy wielkimi piersiami

dziewczyny. Delikatnie masowała jego skronie, sprawiając mu rozkosz niemal równą tej, jakiej zaznawał przez kilka ostatnich dzikich godzin. W biało–niebieskim pokoju hotelowym było już jasno.

— Jesteś wyjątkową dziewczyną, wiesz? — odezwał się senator.

Przerwała na chwilę masaż i popatrzyła na niego.

— Co ty opowiadasz? Nie jestem nikim niezwykłym, po prostu ciężko pracującą dziewczyną.

— Ciężko pracujące dziewczyny są bardzo różne — kontynuował. — Ty jesteś najlepszą spośród tych, które spotkałem.

— Zdaje się, że trochę ich było, co?

Odchrząknął.

— Setki. Setki od dnia, w którym się ożeniłem. Wysokie, niskie, czarne, białe. Blondynki, brunetki i rude, takie jak ty.

Lollie odrobinę poprawiła się na łóżku. Chciała, aby jego usta znalazły się jak najbliżej jej pępka.

— I wszystkie je pieprzyłeś? To znaczy, chciałam powiedzieć, czy miałeś z nimi stosunki?

— A co myślałaś? Że grywałem z nimi w golfa?

Roześmiała się.

— Jesteś rozkoszny, Carl. Chcę, żebyś to wiedział. Jesteś naprawdę rozkoszny, rozkoszny, rozkoszny.

Senator podparł głowę na łokciu.

— A ty jesteś cholernie piękna, Lollie. Poza tym masz najbardziej seksowne usta na całej półkuli zachodniej. Gdybym mógł zabrać cię ze sobą do Waszyngtonu, z całą pewnością bym to zrobił.

Delikatnym ruchem z powrotem ułożyła głowę Carla na swoich piersiach.

— Szkoda, że nie mogę tam z tobą pojechać. Naprawdę, bardzo tego żałuję.

Westchnął.

— Polityk, który chce odnosić sukcesy, musi mieć żonę, kochanie. A przynajmniej sprawiać wrażenie żonatego i szczęśliwego w małżeństwie. Naród musi być przekonany, że jego przedstawiciel jest człowiekiem statecznym i uczciwym, chrześcijaninem oraz heteroseksualistą.

— Czy to naprawdę jest takie ważne?

— Bardzo ważne. Szczególnie, jeżeli mierzy się w Biały Dom. Pewnego dnia będę prezydentem, Lollie, a prezydent potrzebuje swojej pierwszej damy. Przede wszystkim z tego powodu tak długo trwa moje małżeństwo. Trudno już właściwie ten związek nazywać małżeństwem, chociaż, Bóg mi świadkiem, kiedyś stanowiliśmy dobraną, świetnie rozumiejącą się parę. Teraz jest to jedynie rodzaj wzajemnego porozumienia; łączą nas tylko interesy. Nie kochaliśmy się chyba od roku. Ostatnim razem powiedziała mi, że w łóżku zachowuję się jak zwierzę. Jak bydlę z Minnesoty, dokładnie tak powiedziała.

— Naprawdę chcesz być prezydentem? — zapytała Lollie. Znów oparł głowę na łokciu.

— Tak. I będę nim. Jest to tak samo pewne jak fakt, że po czwartku nastąpi piątek.

— Cholera. — Lollie westchnęła z zachwytem. — A więc leżę w łóżku z przyszłym prezydentem Stanów Zjednoczonych!

Senator leniwie skinął głową.

— Naprawdę nie kpisz ze mnie?

— Nie, nie kpię. — Znów opuścił głowę na jej piersi.

— Dlaczego jesteś taki pewny? Przecież najpierw musisz wygrać wybory, a to wcale nie jest takie łatwe.

— Jasne, że najpierw muszę wygrać wybory. Mam jednak na to sposób. Niezawodny.

— Potrafisz więc zawczasu przewidzieć wynik wyborów prezydenckich?

— Coś w tym rodzaju.

Carl przetoczył się przez nią i wstał z łóżka. Lollie próbowała go zatrzymać, chcąc, aby przez cały czas znajdował się jak najbliżej mikrofonu, podszedł jednak do okna i zaczął przypatrywać się ulicom Las Vegas i pustyni majaczącej w oddali. Na tle okna wyraźnie rysował się jego obwisły brzuch i wielkie owłosione jaja. Lollie pomyślała, że senator wygląda ja mądry, stary orangutan.

— Kiedy będę prezydentem — odezwał się — przywrócę wielkość temu krajowi. Znow będzie silny, dumny i czysty.

Lollie, chcąc, aby wszystkie jego słowa nagrały się jak najlepiej, wyskoczyła z łóżka, podbiegła do niego i otoczyła go ramionami. Pocałowała jego owłosione ramię.

— Jeszcze nigdy w życiu nie spotkałam prezydenta — powiedziała.

— Oto więc go masz. Będziesz miała co opowiadać swoim dzieciom.

— Nie masz pojęcia, jaka jestem dumna.

Carl przycisnął ją do siebie.

— Ten kraj woła mnie, wiesz? Ten kraj woła człowieka, który jest w stanie go poprowadzić naprzód, człowieka na miarę wyzwania, jakie stawiają dzisiejsze czasy.

Człowieka, który poprowadzi kraj ku świetności, nie oglądając się na boki ani do tyłu, człowieka, który przenigdy nie dopuści do hańbiących kompromisów. Człowieka, który sam będzie dla tego narodu świetlanym przykładem. Państwo jest jak jedna wielka rodzina. Ta rodzina potrzebuje w tej chwili dobrego, stanowczego ojca.

Głęboko odetchnął i popatrzył na Lollie. Jego oczy lśniły; podnieciły go jego własne słowa.

— Możesz mi wierzyć albo nie, ale właśnie ja jestem tym upragnionym ojcem Amerykanów.

Lollie uśmiechnęła się, jednak jej uśmiech momentalnie znikł, gdy zorientowała się, że Carl mówi to wszystko zupełnie poważnie.

— Wróćmy do łóżka — powiedziała. — Jest dopiero szósta. Może uda nam się jeszcze jeden numer.

— Chcesz jeszcze? — zapytał Carl z niedowierzaniem.

Zachichotała.

— Lubię robić to z tobą. Gdybyś nie musiał iść do pracy, Moglibyśmy zostać w łóżku i kochać się przez cały dzień.

Carl uśmiechnął się z zadowoleniem, pokręcił jednak przecząco głową.

— Nie mam już czasu. Za pół godziny, na śniadaniu, mam pierwsze ważne spotkanie.

Muszę się jeszcze wykapać i ubrać.

— A może jednak? Tak szybciotko? — zapytała Lollie głosem małej, rozkapryszonej dziewczynki.

— Nie, nic z tego. I tak moi doradcy pewnie dostają już białej gorączki.

Usiadł na skraju łóżka i popatrzył na Lollie. Poranne słońce oświetlało jej sylwetkę, sprawiając, że lśniły jej długie, rude włosy. Jasne promienie podkreślały też biel jej skóry i doskonale kształty dużych, prężnych piersi oraz ud.

Podeszła do Carla i zatrzymała się przed nim, kładąc dłonie na jego ramionach. Pocałował jej płaski brzuch; w tym momencie jego usta znalazły się zaledwie w odległości pół cala od mikrofonu, zamaskowanego w pępku.

— Powiem ci coś, Lollie, coś, co chciałbym, żebyś zapamiętała na długie lata. Będę największym, najwspanialszym prezydentem, jaki rządził tym krajem. Stanie się tak dlatego, że już

gdy się urodziłem, wiedziałem, iż moją misją życiową jest przewodzenie Ameryce.

Pogłaskała go po twarzy.

— Zadziwiasz mnie — powiedziała. — Naprawdę mnie zadziwiasz. Jesteś tak bardzo pewny siebie...

Carl uśmiechnął się.

— Jestem pewny siebie, ponieważ wiem, że zwyciężę. Jestem pewny siebie, ponieważ będę pierwszym prezydentem wybranym dlatego, że ludzie go potrzebują, a nie dlatego, że chcą.

Tym razem Lollie uśmiechnęła się; był to jednak bardzo niepewny uśmiech.

— Nic nie rozumiesz, prawda? — raczej stwierdził, niż zapytał.

— Nieważne — odparła Lollie. — Nigdy nie byłam dobra w szkole, dlatego i teraz wcale nie muszę cię rozumieć. Bardzo jednak lubię słuchać twojego głosu.

Carl uniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

— Bywają wybory i wybory, Lollie. Wybory tak bardzo różnią się jedne od drugich, jak bardzo różnią się pomiędzy sobą pracujące dziewczyny. — Mówił teraz wprost do mikrofonu.

Każde słowo wymawiał tak starannie, jakby był telewizyjnym spikerem. — Wybory bardzo rzadko pozwalają poznać prawdziwe poglądy narodu. Na głosujących ludzi zbyt wielki nacisk wywierają środki masowego przekazu. Zbyt wiele w wyborach zależy od mody i od czysto teatralnych gestów ludzi, którzy w nich startują.

— Nic z tego nie rozumiem — stwierdziła Lollie.

— Spójrz tylko — kontynuował Carl — telewizja i prasa opowiadają tylko to, co ludzie chcą usłyszeć. A ludzie chcą słuchać tylko tego, co podpowiadają im emocje. Cóż, naród powinien oddawać swoje głosy na to, co jest dla niego najlepsze, a nie na to, co mu się akurat najbardziej podoba.

— W jaki sposób jednak zmusisz ludzi do głosowania na tych kandydatów, których akurat nie chcą?

Carl uśmiechnął się łagodnie.

— To bardzo proste — odparł. — W każdym społeczeństwie nastroje i emocje ludzi generowane są przez stosunkowo małe grupy, przez liderów, za którymi podążają inni.

— Wiem — powiedziała Lollie. — Tak jak owce.

— No, jest to troszeczkę bardziej skomplikowane. Wśród ludzi zamieszkujących na przykład Los Angeles funkcjonują przywódcy na przeróżnych poziomach, wypowiadający się w najprzeróżniejszych sprawach i na różne sprawy mający wpływ. Masz tam przywódców grup etnicznych, liderów lokalnych organizacji partyjnych czy przywódców związkowych.

Niektórych nawet możemy uważać za liderów z takiego prostego powodu, że ich słuchają i poważają sąsiedzi.

— Ciekawe — odezwała się Lollie. Zrobiła mądrą minę, starając się wyrzucić na Carlu wrażenie, że nadaża za tym, co on mówi.

Carl tymczasem delikatnie zsunął jej dłonie ze swoich ramion i wstał.

— Są to jednak sprawy, którymi ty nie powinnaś łamać sobie głowy — powiedział. — Ty powinnaś zajmować się tym, co robisz najlepiej.

— Ale to jest fascynujące!

Rozejrzał się za majtkami; leżały na podłodze, dokładnie tam, gdzie je rzucił, kiedy przyszedł tutaj w nocy. Włożył je i powiedział:

— To od przywódców właśnie zależą wyniki wszelkich wyborów i głosowań. Z tego wynika, że ten, kto potrafi się dowiedzieć, w jaki sposób głosować będą przywódcy, formalni i nieformalni, z

wyprzedzeniem pozna wyniki wyborów w skali całego kraju. Naród zawsze podąża za przywódcami. — Ubrał podkoszulek. — Dzisiaj jestem w stanie dowiedzieć się, jak będą głosowali przywódcy, dzięki czemuś, co bardzo uczenie nazywa się krzywą Sweetmana.

Lollie zachichotała.

— Krzywa Sweetmana? To brzmi podniecająco.

— Podniecająco, rzeczywiście, jednak mnie to podnieca w zupełnie inny sposób niż ciebie.

Dla mnie jest to skuteczne narzędzie, które utoruje mi drogę do Białego Domu. Dzięki krzywej Sweetmana jestem w stanie w skuteczny sposób wpłynąć na przebieg wyborów prezydenckich.

Lollie podeszła do niego i otoczyła go ramieniem.

— Czyżbyś zamierzał przekupywać liderów? — zapytała.

Pocałował czubek jej nosa.

— Coś w tym rodzaju.

— A jeśli będą ci odmawiali? — wyszeptała mu do ucha.

— Spróbujemy czegoś innego.

— Na przykład czego?

W oczach Carla niespodziewanie pojawił się chłód. Zacisnął dłonie na przegubach Lollie i warknął:

— Zadajesz za dużo pytań.

Zaczerwieniła się.

— Bo interesująco opowiadasz.

— Jakim cudem pracującą młodą dziewczynę nagle aż tak bardzo zainteresowała polityka?

— Puść, to mnie boli — poprosiła.

— Zadałem ci pytanie, kochana. Dlaczego, do cholery, nagle się tym wszystkim zainteresowałaś?

— Nie odpowiem ci, dopóki mnie nie puścisz.

— Powiesz mi, kurwa mać, albo zaraz obiję ci mordę.

Lollie była zdezorientowana i przestraszona. Carl najwyraźniej się zdenerwował, z każdą sekundą coraz bardziej tracił nad sobą kontrolę; stało się to nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, w chwili, w której się tego zupełnie nie spodziewała. Przez chwilę jeszcze miała nadzieję, że to wszystko jest gra, że Carl się przed nią zgrywa, ale spojrzenie w jego lodowate oczy szybko przekonało ją, że tak nie jest. Jego dłonie, coraz mocniej zaciskające się na jej przegubach, świadczyły dobitnie, że sytuacja staje się niebezpieczna.

— Posłuchaj — odezwała się — skoro masz zostać prezydentem, skoro naprawdę masz zostać prezydentem, warto chyba należeć do grona twoich przyjaciół, prawda?

— Tak.

— Dlatego chciałam to wszystko wiedzieć. Chciałam być pewna, że się ze mnie nie nabijasz.

Jeszcze przez chwilę trzymał ją, po czym niespodziewanie poluźnił uścisk. Wreszcie puścił ją i oznajmił groźnym głosem:

— Pamiętaj, ja nigdy nie żartuję. A teraz po prostu ci nie wierzę.

— Ale to prawda, Carl, tak jest naprawdę. I wiem teraz przynajmniej, że wszystkie opowieści o twoim rozwodzie to brednie.

Carl, pochylony, szukał właśnie skarpetek. Usłyszawszy ostatnie słowa, wyprostował się i popatrzył na Lollie, jakby była wariatką.

— Rozwodzie? — zdziwił się. — Jakim rozwodzie?

Lollie spostrzegła, że powiedziała za dużo.

— No, o rozwodzie. O tym, że żąda go twoja żona...

— Co takiego? Nic o tym nie wiem.

Lollie sięgnęła po płaszcz kąpielowy i starannie się nim owinęła.

— To nie ma znaczenia — powiedziała drżącym głosem. — Po prostu myślałam, że wiesz.

Carl szybko podszedł do niej i złapał jej włosy w garść. Szarpnął jej głowę i wbił spojrzenie w jej oczy; jego twarz była tak blisko, że Lollie nie była w stanie skupić na niej wzroku.

— Myślałaś, że o czym wiem?

— Nic, Carl. Żartowałam.

— Żartowałaś? Skąd by ci przyszedł do głowy taki żart?

Spróbowała się wyrwać, jednak Carl zbyt mocno zaciskał dłoń na jej włosach. Nie była nawet w stanie poruszyć głową.

— Carl, na miłość boską, to mnie boli! — krzyknęła.

— Bo ma boleć. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym żarcie. Na przykład, kto go wymyślił i dlaczego.

— Chodzi... chodzi o twoją żonę. Potrzebuje niezbitych materiałów, że ją zdradzasz — wystękała Lollie. — W tym pokoju... w tym pokoju są kamery i mikrofony.

Carl uniósł głowę i rozejrzał się dookoła.

— Mikrofony? — wyszeptał. — I kamery?

— Właśnie. Pozakładał to wszystko prywatny detektyw. Nazywa się David Radetzky.

— Radetzky?

— Tak! Chryste, puść mnie w końcu.

Carl uwolnił Lollie i pchnął ją na łóżko.

— Zostań tam! — rozkazał i podszedł do telefonu. Podniósł słuchawkę i natychmiast wykręcił jakiś numer.

Chwilę czekał na połączenie, po czym odezwał się:

— Umberto? Tu Carl. Tak, wiem, że spóźnimy się na spotkanie. Cholera, zapomnij o tym.

Posłuchaj, chcę, żebyś natychmiast zjawił się w apartamencie „Pompadour”... Bo tak mi się podoba. Zabierz ze sobą Vala. Tak. I jeszcze jedno. Zadzwoń do pana Domani, mieszka w Lucky Stallion, i powiedz mu, że w mieście przebywa prywatny detektyw o nazwisku Radetzky, David Radetzky. Powiedz mu, że bardzo zależy nam, aby pan Radetzky pozostał w granicach miasta do czasu, kiedy będziemy mogli się z nim spotkać. Tak. I, do cholery, pośpiesz się.

Z trzaskiem odrzucił słuchawkę na widełki telefonu i popatrzył na Lollie.

— Ty tania dziwko — warknął. — Gadaj, gdzie są te kamery, gdzie te mikrofony?

Błada i drżąca Lollie odparła:

— Nie pokazali mi. Gdy się tutaj znalazłam, wszystko było już zainstalowane.

— Tak. Zresztą nie ma to znaczenia — westchnął Carl. — Niedługo dorwiemy tego całego Radetzky’ego i on nam wszystko pokaże osobiście. Potem wszystkie taśmy położymy na talerz, pokropimy ketchupem i każemy mu je zjeść. Jeżeli myślisz, że żartuję, jesteś w błędzie.

— Nie, wiem, że nie żartujesz — powiedziała Lollie cicho.

Przez dłuższą chwilę Carl ubierał się. Dopiero gdy był gotowy, odezwał się znów do Lollie:

— Usłyszałaś dzisiaj ode mnie kilka szczerych opinii na tematy polityczne, kochanie. O wyborach, głosowaniu i o tym, w jaki sposób można wyborami manipulować. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż były to tylko naciągane teorie. Jedynie teorie, nic, co można by kiedykolwiek zastosować w praktyce. Jeżeli cokolwiek z tego zapamiętałaś, musisz natychmiast wyrzucić to z mózgu. Musisz zapomnieć każde moje słowo, a jeżeli kiedykolwiek i komukolwiek

szeptniesz chociaż jedno zdanie, w którym zawarte będą słowa „krzywa Sweetmana”, osobiście dopilnuję, żeby skręcono ci kark.

— Będę milczała jak kamień, Carl, obiecuję ci to.

Poprawił węzeł krawata.

— Leży to w twoim własnym, zasranym interesie — powiedział.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i Carl poszedł otworzyć. Do pokoju wkroczyli dwaj wysocy, ciemnowłosi mężczyźni. Jeden z nich ubrany był w nienagannie skrojony biały garnitur, miał wąsik a la Rudolf Valentino i starannie uczesane, obficie posmarowane brylantyną włosy. Drugi nosił wytarte dżinsy i niebieską koszulkę z wydrukowanym na piersiach napisem „Fraklin and Marshall College”. Był nie ogolony, a jego blisko siebie osadzone oczy nieodparcie przywodziły na myśl przypuszczenie, że jest osobnikiem niezbyt zrównoważonym psychicznie.

— Mamy tu problem — powiedział Carl. — Ta głupia dziwka zwabiła mnie wczoraj do tego pokoju pod pretekstem, że jestem najlepszym kochankiem na świecie. Teraz powiedziała, że cały apartament nafaszerowany jest elektroniką; są tu zarówno kamery, jak i mikrofony.

Mężczyzna w marynarce ze zdziwieniem uniósł brwi i popatrzył na Lollie.

— Powiedziałaś jej coś ważnego? — zapytał Carla.

— A jak myślisz? — warknął Carl w odpowiedzi. — Przeszukajcie cały ten burdel i znajdźcie wszystko, cokolwiek tutaj zainstalowano. Jeżeli uważacie, że nie dacie rady tego zrobić, musicie tutaj pozostać, dopóki Domani nie złapie dla nas tego prywatnego detektywa.

— Co z dziewczyną?

— Jest wasza. Zróbcie z nią, co chcecie.

Mężczyzna pokiwał głową.

— W porządku. Czy pójdziesz na to poranne spotkanie?

— Najpierw mam zamiar się przebrać i wziąć prysznic. Jeżeli będziecie mieli jakiegokolwiek problemy, kontaktujcie się z Philem.

— Phil poszedł w twoim zastępstwie na spotkanie. Czeka na ciebie.

— W takim razie łapcie go tam. Nie życzę sobie jednak, żebyście cokolwiek spaprali.

Macie znaleźć wszystkie taśmy, macie złapać Radetzky’ego i zlikwidować zagrożenia.

— Jasne. — Mężczyzna w białej marynarce skinął głową.

Carl otworzył drzwi wyjściowe, ale w progu jeszcze się zatrzymał i popatrzył na Lollie.

Dziewczyna, skulona w rogu łóżka, odezwała się:

— Carl, chyba mnie nie opuścisz.

Uśmiechnął się.

— Moi koledzy zadbają o ciebie. Będą dla ciebie równie czuli, jak ty byłaś dla mnie. Żegnaj, Lollie.

Po chwili zamknął za sobą drzwi i w hotelowym apartamencie pozostały tylko trzy osoby.

Mężczyzna, który do tej pory rozmawiał z senatorem, zdjął marynarkę i starannie zawiesił ją na wieszaku na drzwiach. Uczyniwszy to, odsunął krzesło od stolika i postawił je przy łóżku przed Lollie. Usiadł na nim okrakiem, składając łokcie na oparciu. Ciemnymi, lśniącymi oczyma przez chwilę wpatrywał się w Lollie. Mężczyzna w dżinsach zatrzymał się kilka kroków za krzesłem. Z niczym nie zmaconym spokojem obgryzał paznokcie.

— Mam na imię Umberto — powiedział mężczyzna siedząc na krześle. — A ty?

— Lollie — odparła dziewczyna niepewnie.

Umberto pokiwał głową, zadowolony z odpowiedzi.

— Lollie, to bardzo ładne imię. Aha, mój kolega ma na imię Val. Trzeba brać na niego małą

poprawkę; mamusia porzuciła go, kiedy był dzieckiem. Było to dla niego straszonym szokiem!

— Co mi zrobicie? — zapytała Lollie. — Carl powiedział, że jestem wasza. Chyba nie zamierzacie zrobić mi krzywdy?

Umberto na chwilę zamknął oczy, a potem zaraz je otworzył.

— Krzywdy? W żadnym wypadku. Ja i Val potrafimy robić pięknym kobietom tylko przyjemne rzeczy.

— Wstań, dziecino — powiedział cicho Val.

Lollie popatrzyła na Umberto, pragnąc u niego znaleźć pomoc, on jednak powiedział:

— Śmiało, Lollie. Rób to, czego życzy sobie Val.

Wstała. Na przemian opanowywały ją fale gorąca i dreszcze; przez moment przebiegła jej przez głowę że to chyba popsuka się klimatyzacja. Gdy stanęła na pod łodze, Val podszedł do niej i zaczął ją obchodzić, jakby była posągiem.

— W porządku — odezwał się po chwili. — Masz ładną figurę. A teraz zrzuć płaszcz kąpielowy.

Lollie nie posłuchała go; otuliła się jeszcze ciaśniej.

Val wciąż krążył dookoła niej, ale wreszcie się przed nią zatrzymał. Wyraz jego twarzy był nieodgadniony, wzrok miał błędny, nie był w stanie ani na sekundę skupić go w jednym miejscu. Oblizywał wargi, jakby był spragniony. Z kącika ust wyciekała mu ślina.

— Hm, powiedziałem, żebyś zrzuciła z siebie ten przydzwiek — odezwał się niemal grzecznym tonem.

Lollie nie wykonała żadnego ruchu, żadnego gestu. Poczwała, że jej serce bije coraz szybciej.

Val, którego Umberto obserwował z pełnym politowaniem uśmiechem, podszedł tak blisko do Lollie, że poczuła jego stęchły oddech. Z całą pewnością zjadł na śniadanie dużo cebuli.

Zupełnie nagle, jednym gwałtownym, brutalnym ruchem, zerwał z Lollie płaszcz kąpielowy. Odrzucił go pod okno, cofnął się i z odległości kilku kroków, coraz głośniej dysząc, przyglądał się nagiej Lollie. Dziewczyna, panicznie przestraszona, drżała i wpatrywała się przerażonym wzrokiem w oczy swojego oprawcy.

— Masz wspaniałe ciało, Lollie — odezwał się Umberto głosem, w którym brzmiało szczere uznanie. — Czy ktoś ci już to powiedział? Aż mi szkoda tego ciała.

Val w milczeniu ściągnął koszulkę przez głowę, obnażając owłosioną klatkę piersiową.

Następnie w pośpiechu ściągnął z siebie dzinsy. Śmierdział zjełczałym potem, ale Lollie nagle przestało to przeszkadzać. O, Boże, pomyślała, a więc on chce mnie tylko przelecieć, nic więcej. Dzięki ci za to, Boże!

— Umberto, czy zabawisz się razem ze mną? — zapytał Val kompana. Mówił to takim tonem, jakby pytał go, czy wypije filiżankę herbaty.

— Nie, Val, baw się dobrze, ja sobie posiedzę i popatrzę.

Val pchnął Lollie na łóżko.

— W porządku. No, to zabawmy się, mała.

Lollie padła na plecy i Val wspiął się na nią. Pocałował ją i poczuła na twarzy jego nieprzyjemny, twardy zarost, jednak nie protestowała. Przez cały czas powtarzała w myślach: przecież to tylko seks, tylko seks, niedługo będzie po wszystkim i oni sobie pójdą.

Val zacisnął dłonie na jej piersiach, a po chwili zaczął je ssać. Starła się nie krzyczeć, jednak nie była w stanie się powstrzymać, kiedy ją ugryzł. Zareagował, celowo sprawiając jej zębami jeszcze większy ból. Po chwili poczuła pomiędzy nogami jego rękę; szarpał jej włosy łonowe, jakby zamierzał je wyrwać. Gdy wsadził palec do jej pochwy, ogarnęła ją fala gorąca, jej policzki

zapłonęły. Zdała sobie sprawę, że jest podniecona.

Po pierwszym palcu wtargnął w nią następny, a potem jeszcze jeden. Używając trzech palców, Val zaczął posuwać dłonią w tę i z powrotem w pochwie Lollie. Niespodziewanie wsunął kciuk w jej odbyt i od tej chwili tak manipulował ręką, aby kciuk i pozostałe palce znalazły się wewnątrz dziewczyny jak najbliżej siebie. Lollie odniosła wrażenie, że oprawca chce z niej wyrwać wnętrzności.

W końcu wyciągnął rękę i położył się na Lollie całym ciężarem swojego ciała. Gwałtownie wtargnął w nią sztywnym penisem. Członek był tak długi, że sprawił jej ból. Zaciśnęła oczy.

Nie chciała patrzeć na gwałciciela, wystarczyło, że czuła jego wstrętny zapach, czuła na sobie jego ciężar i czuła, jak jego penis porusza się w niej coraz szybciej i gwałtowniej. Chciała sobie wmówić, że to wszystko jest tylko koszmarem, z którego zaraz się obudzi, że to nie dzieje się naprawdę. Jednak nie mogła uciec od wstrętnej świadomości, że nadchodzi prawdziwy, rzeczywisty orgazm. Wygięła ciało w łuk, drząc z rozkoszy i jednocześnie łkając.

Jej orgazm nie dotarł do Vala; sapiąc i pochrzäkując, ujeżdżał ją jeszcze przez kilka długich chwil. Gdy wreszcie wytrysnął w nią długimi strumieniami gorącej spermy, Lollie przeżyła orgazm po raz drugi. Jęcząc i łkając jednocześnie, zaczęła rzucać głową z boku na bok. Na kilka chwil cały świat przestał dla niej istnieć.

Gdy oprzytomniała, zobaczyła, że stoi nad nią Umberto i się onanizuje. Z niedowierzaniem wpatrywała się w jego czerwonego koguta. Pod oknem stał Val i głośno sapał, wyczerpany odbytym stosunkiem. Umberto przez cały czas się uśmiechał. Uśmiechał się również wtedy, gdy trysnął spermą na jej twarz.

— Och, Boże — jęknęła Lollie. Ośmieliła się jednak obetrzeć twarz prześcieradłem dopiero wtedy, gdy nie było wątpliwości, że Umberto skończył.

Nie odważyła się jednak zejść z łóżka; nie otrzymała od mężczyzn takiego polecenia, a wydarzenia ostatnich minut podpowiedziały jej, że jedyną szansą dla niej jest ściśle wykonywanie tego, co zażyczą sobie Umberto i Val.

Umberto wyciągnął z kieszeni ciemnozieloną jedwabną chusteczkę i odwróciwszy się tyłem do Lollie, głośno wydmuchał nos. Dopiero wtedy odezwał się:

— Jak widzisz, jesteśmy mężczyznami, którzy potrafią dogodzić pięknym dziewczętom.

Val tymczasem włożył dzinsy i powiedział do Umberto:

— Przygotuję kąpiel.

Lollie, krańcowo przerażona, leżała w bezruchu. Usłyszała szum wody docierający z łazienki. Umberto zaczął nerwowo krążyć po pokoju, jakby nagle coś go zaniepokoiło. Co chwilę jednak posyłał Lollie ciepły uśmiech.

— Czy byłaś już wcześniej w Las Vegas? — zapytał w pewnej chwili.

Lollie w milczeniu pokręciła przecząco głową.

— Tak, to jest szczególne miejsce w Ameryce — stwierdził Umberto. — Niektórzy powiadają, że to jest taka amerykańska Gomora. Ale są też tacy, którzy bardzo dobrze się tutaj czują.

Val wyszedł z łazienki i oznajmił:

— Wszystko gotowe.

Pomogli Lollie wstać z łóżka i wzięwszy ją pomiędzy siebie, zaprowadzili ją do łazienki.

Jeszcze nie rozumiała, jakie są ich zamiary. W łazience było gorąco, z wypełnionej wodą wanny unosiła się gęsta para. Jak przez mgłę Lollie ujrzała swoje ciało w zaparowanym lustrze. Tam, gdzie podrapał ją bądź pogryzł Val, miała ciemnoczerwone ślady.

Pomogli jej wejść do wanny. Stała w wodzie sięgającej jej pocolana. Założyła ręce na piersi

i powiedziała:

— Ta woda jest za gorąca. Nigdy nie kąpię się w takiej gorącej wodzie.

— Woda jest w sam raz — stwierdził stanowczo Umberto. — Nie denerwuj się. Spokojnie usiądź w wannie i się zrelaksuj.

Gdy przykucnęła, Val niespodziewanie popchnął jej głowę, która momentalnie znalazła się pod wodą. Woda była bardzo gorąca, a Lollie, całkowicie zaskoczona, momentalnie się nią zachłysnęła. Usłyszała, jak Val uderza kolanami o zewnętrzną ściankę wanny. Wypuściła całe powietrze z płuc. Otoczyły ją bąbelki, wypływające z jej ust.

Jakimś cudem udało się jej wysunąć na moment twarz spod wody i wydała przerażający krzyk. Val jednak zaraz pchnął ją mocniej; tym razem użył tyle siły, że nos i usta dziewczyny przylgnęły do dna wanny. Wówczas zdała sobie sprawę, że za chwilę umrze.

Tym razem zachowała odrobinę powietrza w płucach. Przytrzymała je w nich najdłużej, jak tylko potrafiła, jednak wkrótce płuca zaczęły jej ciążyć, jakby ktoś naładował do nich ołowiu. Wówczas wypuściła resztę powietrza i po chwili w straszliwych męczarniach skonała.

Val i Umberto stali nad jej zwłokami jeszcze przez prawie pięć minut. Nie rozmawiali ze sobą, nawet na siebie nie patrzyli. Gdy byli pewni, że dziewczyna jest martwa, pozostawili jej zwłoki spoczywające twarzą w dół w wodzie, i wrócili do pokoju.

— Teraz zabierzemy się za mikrofony — powiedział Umberto. — Szukaj przewodów pod dywanami i mikrofonów pod łóżkiem. Ja sprawdzę lustra i wszystkie ozdoby na ścianach.

Może znajdzie kamery.

Val ciężko westchnął.

— Wiesz co, szkoda mi tej dziewczyny. Zginęła przez własną głupotę. A była taka śliczna.

Idiotka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Drewniany zegar w salonie wybijał godzinę ósmą. Był środowy wieczór. John zgasił lampkę stojącą na stole, przetarł oczy i przeciągnął się. Vicki, która haftowała, siedząc na fotelu w drugim końcu pokoju, odezwała się:

— Koniec na dzisiaj?

Zmęczonym wzrokiem popatrzył na stertę gazetowych wycinków, leżących przed nim.

— Myślę, że tak. Chyba stoję przed problemem, którego w żaden sposób nie można rozwiązać. Zdaje się, że odgaduję jakieś odpowiedzi, znajduję powiązania, jednak w żadnym wypadku nie jestem w stanie znaleźć wystarczająco przekonujących dowodów.

Wstał i zrobił kilka kroków w kierunku Vicki.

— Napiję się piwa — postanowił. — Też chcesz?

— Jeżeli wypiję piwo, natychmiast zacznie mi się kręcić w głowie i cały ten skomplikowany haft szlag trafi. Pamiętasz, jak próbowałam cerować twoje skarpetki na rauszu?

John wszedł do kuchni i otworzył lodówkę.

— Pamiętam! — zawołał. — Jakże mógłbym zapomnieć? Jeszcze nikt nigdy nie zacerował tak wspaniale skarpetek. A to, że były przyszyte do poręczy fotela, nie ma najmniejszego znaczenia. — Wrócił do pokoju i pocałował Vicki we włosy. Silnie pachniały szamponem i młodą skórą dziewczyny. — Czy mówiłem ci już dzisiaj, że cię kocham? — zapytał.

Uniosła głowę i pocałowała go w usta.

— Mówiłeś — odparła cicho. — Właśnie przed chwilą. John usiadł w wielkim wiktoriańskim

fotelu na biegunach i przez chwilę się kołysał.

— Czy Mel przyjdzie jutro? — rzucił kolejne pytanie.

— Myślę, że tak — odpowiedziała Vicki. — Odwiedzi nas, jeżeli nie przestraszyłeś go na śmierć swoimi konspiracyjnymi teoriami.

— Niby ja miałem go przestraszyć? Przecież to wszystko było pomysłem Mela.

Vicki odłożyła robótkę i popatrzyła na Johna.

— Teraz jednak Mel się boi. Dziwisz mu się? Po tym, jak detektyw Morello stanowczo oświadczył, że osobiście dokładnie zbadał wszystkie związki pomiędzy ofiarami i wciąż jest przekonany, że zabójstwa są dziełem szaleńca?

John wypił łyk piwa i wzruszył ramionami.

— Ja jednak jestem przekonany, że Mel od początku miał rację. Nie potrafię przyjąć do wiadomości, że ci wszyscy ludzie zginęli przypadkowo, bez najmniejszego uzasadnionego powodu.

— Być może Mel miał rację. Nie zapominaj jednak, że on ma żonę i córeczkę, którą bardzo kocha. Nie zapominaj też, że Mel otarł się o śmierć; tak samo zresztą jak i my oboje.

— Chcesz więc się z tego wycofać?

— Jasne, że chcę się wycofać. Nie zrobię jednak tego tak długo, jak długo ty będziesz się przy tym upierał.

John przez chwilę zastanawiał się nad czymś, po czym przemówił:

— Musi być jakiś powód tych wszystkich zabójstw. Musi istnieć coś, co łączy ofiary i jest w stanie wyjaśnić powody ich śmierci. Początkowo myślałem, że może chodzić o politykę, ale w tym punkcie detektyw Morello może mieć rację. Żadna z ofiar nie była zanadto zaangażowana w działalność polityczną, a nawet ci, którzy byli, mieli bardzo umiarkowane poglądy. — Wstał z fotela i podszedł do stołu. — Wszyscy ludzie, których sprawdziłem, mieli liberalne, centrowe poglądy. Byli nauczycielami, wykładowcami, sprzedawcami, urzędnikami, trafiła się nawet gospodyni domowa, nigdzie nie pracująca. Wszyscy byli w miarę wykształceni i sprawiali wrażenie osób, które nigdy niczego nie przyjmą za pewnik, nie będąc do tego czegoś przekonani...

— Chcesz mi powiedzieć, że zginęli właśnie z tego powodu?

— A potrafisz znaleźć inny?

— Nie wiem, John. Ale szczerze chciałabym, żeby rację miał detektyw Morello. Bo jeśli jego teoria jest prawdziwa, to przynajmniej nie znajdujemy się w niebezpieczeństwie. — Po chwili milczenia Vicki dodała cicho: — Kocham cię, John, Jesteś pierwszym mężczyzną, który dał mi prawdziwe szczęście. Nie chcę, żebyś zginął, uganiając się za jakąś iluzją. Czy potrafisz mnie zrozumieć?

John pokiwał głową.

— Jasne, że potrafię cię zrozumieć — dodał. — Chciałbym jednak, żebyś ty zrozumiała, że jeśli istnieje jakiś spisek, który spowodował, że zginęło już tak wielu niewinnych ludzi, należy ten spisek zdemaskować. W imię sprawiedliwości i dobra tego kraju. — Podniósł ze stołu kilka wycinków. — Posłuchaj tylko — kontynuował. — Oto mamy dwudziestopięcioletniego doktoranta z Madison w stanie Wisconsin. Został zastrzelony, kiedy pewnego poranka wypływał swoją łodzią żaglową na jezioro Waubesa. Następny to czterdziestodwuletni kierownik drogerii, zastrzelony w samochodzie, kiedy oczekiwał na zmianę świateł, jadąc do domu w Pennsauken w stanie New Jersey. I jeszcze jeden.

Dziewiętnastoletni listonosz z Hattiesburga w stanie Missisipi; zastrzelony podczas pierwszego dnia pracy. — John odłożył wycinki na stół. — Żadnego z tych ludzi nie obrabowano. Wszyscy zostali zamordowani przez nieznanego sprawcę, motywy zabójstw są również nieznanne. Wszyscy

zostali zastrzeleni albo przez snajpera, albo przez kierowcę przejeżdżającego właśnie samochodu.

Vicki ze smutnym wyrazem twarzy przyglądała się Johnowi.

— Uwierz mi, dodzwoniłem się do tylu krewnych i znajomych ofiar, do ilu tylko mogłem — mówił John. — Rozmawiałem z policją w piętnastu stanach. W każdym wypadku powtarza się to samo. Strzał z karabinu będącego na wyposażeniu armii, przeważnie M-14.

Ofiara zawsze ma podobne cechy: spokojny, nikomu nie wadzący liberał, lubiany przez otoczenie, poważany. Czasami wydaje mi się, że powodem zabójstw była właśnie ich popularność.

— Czy to jest naprawdę twoje zmartwienie? — zapytała Vicki.

— Zależy, jaką treść kryjesz pod słowem „zmartwienie”. Jeżeli zmartwieniem dla ciebie jest tylko troska o własne cztery litery, a poza tym jesteś zupełnie obojętna na los bliźnich, to jak najbardziej cię rozumiem. Te wszystkie zbrodnie nie są moim zmartwieniem, kierując się twoimi kryteriami. Ktoś jednak zastrzelił mojego ojca, Vicki, i ten ktoś zabije jeszcze wielu ojców, braci, siostr i kochanków. Nie mogę tak po prostu przyjąć, że ci ludzie zginą. Zrobię wszystko, co leży w mojej mocy, żeby ich uratować.

Podszedł do niej i pogłaskał ją po głowie.

— Ale przecież to wszystko naprawdę mogą być przypadki — westchnęła Vicki. — Przecież w tym kraju tak wiele osób ginie codziennie w nie wyjaśnionych okolicznościach.

— Wiem o tym. To również brałem pod uwagę.

— No i co?

Niestety, liczba nie wyjaśnionych zbrodni, popełnionych przy użyciu broni palnej, w ostatnich dwóch latach zwiększyła się czterokrotnie.

— Co to oznacza?

— A jak myślisz? Po prostu przez ostatnie dwa lata wielu Bogu ducha winnych ludzi zostało w naszym kraju zastrzelonych bez żadnego widocznego powodu. Nie dowodzi to jeszcze niczego, ale przekonany jestem, że ci ludzie padli ofiarą jakiegoś zagadkowego spisku, którego istoty nie rozumiem.

Vicki wyciągnęła rękę i sięgnęła po słuchawkę telefonu.

— Zadzwońmy do FBI. Przecież w tej sytuacji właśnie to jest naszą obywatelską powinnością.

— I co im powiemy?

— To wszystko, co przed chwilą usłyszałam od ciebie. Potem cały kłopot spoczywać będzie już tylko na ich głowie. Przypuszczam, że coś już wiedzą na temat tych zbrodni; czterokrotnego wzrostu zabójstw przy użyciu broni palnej nie da się ukryć, nawet w Stanach Zjednoczonych. John, weź słuchawkę i porozmawiaj z nimi. W końcu to na nich płacimy podatki, oni są od tego, żeby zapewniać nam bezpieczeństwo.

— A jeśli mnie wyśmieją? Albo nie, nie wyśmieją, lecz nie kiwną palcem, żeby wyjaśnić moje podejrzenia?

— John — nalegała Vicki. — Zadzwoń do nich.

Odebrał od niej słuchawkę i odłożył z powrotem na widełki telefonu.

— Nie, najpierw chcę coś jeszcze sprawdzić. W Mar Vista mieszka pewna kobieta, której syn został zastrzelony na Santa Monica Freeway. Telefonowałem do niej dzisiaj rano i obiecałem, że przyjadę i porozmawiam z nią. Zanim zadzwonię do FBI, chcę dotrzymać tej obietnicy.

Vicki wbiła spojrzenie w podłogę i po chwili powiedziała z rezygnacją w głosie:

— No, dobrze. Ale obiecujesz...

— Przysięgam.

Vicki otoczyła go ramieniem i pocałowała. Był to długi, czuły pocałunek.

— Nie chcę cię stracić — wyszeptała. — Nie będzie zależało mi na tobie, jeżeli będziesz martwy, John. Ty musisz żyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Był to narożny budynek, z którego okien widoczny był plac zabaw dla dzieci w Mar Vista.

Gromada dzieciaków grała w piłkę, a najmłodsze bawiły się w piaskownicach. Kiedy John zahamował przy krawężniku, kilku wyrostków zaczęło się przyglądać jego samochodowi z nie tajonym zainteresowaniem. John wyszedł na ulicę i starannie zamknął drzwiczki na klucz.

Przyjechał do Mar Vista lincolnem capri z 1958 roku. Wypożyczył go z warsztatu, który naprawiał karoserię jego imperiała. Warsztat ten specjalizował się bowiem w samochodach z lat pięćdziesiątych, a John był tutaj jednym z najbardziej szanowanych klientów. Gdy tego ranka wyjechał lincolnem na autostradę, mknąc do Mar Vista, uporczywie się zastanawiał, jak długo musiałby wyprowadzać psy starszych pań, żeby pozwolić sobie na takie auto. Pojazd wprost lśnił bielą, na biało pomalowane były nawet boki opon, a przednia maska kształtem przywodziła na myśl chińskiego smoka.

Podszedł do niego jakiś czarny dzieciak i zaskoczony John usłyszał pytanie:

— A pan tu z księżycy czy co?

John uśmiechnął się.

— Przybywam z planety Mongo. A oto wręczam ci ćwierć dolara, żebyś czujnie strzegł mojego pojazdu kosmicznego.

Wbiegł po brudnych schodach, prowadzących do drzwi wejściowych i zatrzymał się przed przyciskami domofonów. Nazwisko K. Perlman widniało przy guzikach mieszkańców trzeciego piętra. John nacisnął przycisk i po chwili usłyszał zniekształcony kobiecy głos dobiegający z głośnika:

— Kto tam?

John przedstawił się i po chwili drzwi frontowe stanęły przed nim otworem. Wszedł na klatkę schodową, potykając się o porzucone w przedsionku rowery i dziecięce wózki. Unosił się tu nieprzyjemny zapach stęchlizny. Powoli wszedł po skrzypiących schodach na trzecie piętro i zapukał do drewnianych drzwi, pokrytych łuszczącą się brązową farbą.

Znów musiał czekać. Wreszcie drzwi odrobinę się uchyliły i ukazała się w nich pomarszczona twarz starej kobiety. Staruszka była krzykliwie umalowana. Oprócz wulgarnego makijażu miała również ufarbowane na jaskrawoczerwony kolor włosy. Jej wargi, grubo pociągnięte szkarłatną szminką, wręcz lśniły.

— Czy pani Perlman? Jestem John Cullen.

— Wiem — odparła. — Chciałam jedynie sprawdzić, czy wygląda pan podejrzanie, czy też nie.

Uśmiechnął się.

— Rozumiem. I co pani zobaczyła?

— Może być — odparła pani Perlman i zwolniła łańcuch zabezpieczający drzwi.

Na większości ścian mieszkania pani Perlman wisały dagerotypy europejskich i amerykańskich krajobrazów. Krajobraz wyhaftowany był również na dużej serwecie, która przykrywała okrągły stół, znajdujący się na środku salonu. Pani Perlman poprowadziła Johna właśnie do tego stołu i odsunęła dwa krzesła.

— Czy napije się pan kawy? — zapytała go. — W ostatni piątek kupiłam świeżą puszkę maxwell house.

— Z przyjemnością się napiję. To bardzo miło z pani strony — odpowiedział.

Czekając, aż zaparzy kawę, rozglądał się po pokoju. Tanie zasłony w kwieciste wzory były odsunięte na boki i jasne promienie porannego słońca jak przez siwą mgłę wdierały się do pokoju przez brudne szyby. Na kredensie stała porcelanowa patera z owocami i oprawiona w ramki fotografia dziesiętnastoletniego, a może trochę starszego chłopca; portret z całą pewnością wykonany w studio fotograficznym. W przeszklonej szafce na książki spoczywały jedynie starannie ułożone egzemplarze „Vogue’a” — co najmniej kilka roczników.

Po kilku minutach pani Perlman powróciła, szurając nogami. Niosła drewnianą tacę, na której znajdowały się dwa kubki z kawą rozpuszczalną oraz talerzyk z ciasteczkami orzechowymi. Postawiła tacę na stole, po czym, z ciężkim westchnieniem, usiadła.

— Cukru, panie Cullen?

— Nie, dziękuję.

Wzięła z talerza ciasteczko i zanurzyła je w kawie. Trzymała tak długo, dopóki nie nasiąknęło. Dopiero potem nadgryzła je.

John bez zapału upił łyk ledwie ciepławej kawy, po czym uznał, że najwyższy czas rozpocząć rozmowę.

— Czy policja powiedziała pani, w jaki sposób umarł pani syn? — zadał pytanie.

Pokiwała twierdząco głową, nawet na niego nie spojrzawszy.

— Na autostradzie, kiedy jechał do domu po pracy. Wie pan, że był laborantem w wytwórni filmowej? Kiedyś pracował nawet nad Silver Streak z samym Gene’em Wilderem i Gene Wilder powiedział mu, że jest najlepszy w swoim fachu.

— To bardzo miłe — stwierdził John. Na kilkanaście sekund zapadła cisza.

— Policjanci powiedzieli, że nie są w stanie doszukać się żadnej przyczyny, dla której strzelano do niego — odezwała się wreszcie pani Perlman. — On po prostu jechał do domu i w pewnym momencie zrównał się z nim jakiś samochód. Padł tylko jeden strzał. Prosto w głowę biednego Nathaniela.

— Czy byli jacyś świadkowie?

— Nie. W obliczu niebezpieczeństwa wszyscy nagle robią się ślepi. Tym sposobem łajdak, który zamordował mojego syna, wciąż jest na wolności. Pewnie nigdy go już nie złapią.

— Proszę pani, jakie były poglądy polityczne pani syna? Czy można by nazwać go na przykład liberałem?

— Liberałem? Tak, chyba tak, chyba ma pan rację — odparła pani Perlman. — Zawsze postępował jak najprawdziwszy liberał. Zorganizował jakiś klub, stowarzyszenie dla ludzi, którzy zawodowo zajmowali się tym samym co on. Twierdził, że ludzie pracujący w laboratoriach są dla filmów równie ważni jak reżyserzy, zawsze jednak pozostają bezimienni, i to jest niesprawiedliwe. Mówił, że wielkie wytwórnie zupełnie o nich nie dbają, źle ich opłacają, źle traktują.

John wyciągnął z kieszeni mały notes i zapisał tę uwagę. Nathaniel Perlman, lat trzydzieści jeden, laborant w wytwórni filmowej, liberał. Zamordowany na autostradzie przez nieznanego osobnika z przejeżdżającego samochodu, bez żadnego powodu. W ciągu dwóch dni, telefonując, a w trzech wypadkach składając nawet osobiste wizyty rodzinom ofiar, John sprawdził dwadzieścia siedem takich wypadków. Wybrał je losowo z notatek zamieszczonych w gazetach. Nathaniel Perlman był numerem dwudziestym ósmym na jego liście.

Rozmawiał jeszcze z panią Perlman przez prawie dwie godziny. Gdy wybiła jedenasta, podziękował za kawę i pożegnał się. Wiedział, że teraz musi dotrzymać przyrzeczenia, które dał Vicki, i zatelefonować do FBI. Żałował, że nie ma już czasu, aby sprawdzić jeszcze więcej

wypadków nie wytłumaczalnych zabójstw; bardzo pragnął samodzielnie dojść do tego, co jest przyczyną fali morderstw najwyraźniej spokojnych, nikomu nie wadzących, niewinnych obywateli.

Schodził po schodach, gdy niespodziewanie otworzyły się drzwi któregoś z mieszkań na niższym piętrze i wyszedł z nich młody blondyn w dżinsach i płóciennej koszuli. John spróbował go wyminąć, jednak młodzieniec nagle chwycił poręcz przed nim i zastąpił mu drogę. John ostrożnie cofnął się i zmierzył wzrokiem od góry do dołu młodego człowieka.

— Czy zechce mnie pan przepuścić? — zapytał go.

Blondyn był mocno opalony i muskularny.

— Czy nazywasz się John Cullen? — warknął.

— A bo co?

Młodzieniec przez chwilę milczał, po czym warknął jeszcze raz, teraz o wiele groźniej:

— Czy nazywasz się John Cullen?

— Tak — odparł wreszcie John. — A teraz, do diabła, powiedz, jak ty się nazywasz.

Bez żadnego ostrzeżenia młodzieniec uderzył go pięścią w żołądek. Zaskoczony i zamroczony John zgął się wpół i padł na schody. Wówczas blondyn jeszcze dwukrotnie go kopnął: w nogi i w zębra.

John zsunął się na piętro i zaległ w bezruchu, z twarzą przyklejoną do zniszczonego linoleum. Ból w żołądku był niemal nie do zniesienia; w głowie mu szumiało. Jak przez mgłę widział stopy młodzieńca przy swojej twarzy.

Z napastnika jakby wyparowała wszelka agresja. Niespodziewanie łagodnie odezwał się:

— Przykro mi z powodu tego bicia, panie Cullen. Powiedziano mi jednak, żebym, zanim udamy się we wspólną podróż, wprowadził pana w stan skłonności do współpracy.

Wierzchem dłoni John otarł krew ciekącą mu z kącika ust.

— Podróż? — zapytał gardłowym głosem. — Jaką podróż? Dokąd?

Młody człowiek wyciągnął do niego rękę i podniósł go na nogi.

— Dowie się pan, kiedy będziemy na miejscu. Tymczasem będę wdzięczny, jeżeli zechce pan nie utrudniać mi zadania. Niech pan powoli ruszy schodami przede mną. Po wyjściu z budynku, proszę skrócić w lewo, w kierunku brązowego buicka century, zaparkowanego przy Rose Avenue.

John jeszcze przez chwilę stał w miejscu, przytrzymując się poręczy schodów, żeby nie upaść. Wciąż był zamroczony, z trudem łapał oddech. Młodzieniec zaczął się niecierpliwić.

Kciukiem wskazał mu drogę i ponaglił go:

— Szybciej, panie Cullen. Aha, i niech pan pamięta, że mam przy sobie pistolet.

John na kilka sekund wbił spojrzenie w oczy napastnika. Tego to jednak zupełnie nie zraziło. Uśmiechnął się nawet.

— Niech mi pan wierzy, nie ma dla mnie znaczenia, czy pana zabiję, czy też nie. Niech się pan więc ruszy, jeżeli panu życie miłe.

John powoli ruszył schodami w dół. W holu nieopatrznie potrącił jakiś wózek, wywołując hałas, na który jednak nikt spośród mieszkańców parteru nie zwrócił uwagi. Wreszcie otworzył frontowe drzwi i znalazł się przed domem. Było już bardzo gorąco, słońce przedpołudnia prażyło niemiłosiernie. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na swego prześladowcę, zszedł po kamiennych stopniach i skręcił w lewo, w kierunku Rose Avenue. Młody człowiek ruszył dopiero jakieś dwadzieścia pięć stóp za nim, szybko i nerwowo rozglądając się dookoła.

Niespodziewanie przez ulicę przebiegł czarnoskóry chłopak, który do tej pory pilnował lincolna capri Johna. Dopadł go i ruszył krok w krok z nim.

— Proszę pana, pilnowałem pana pojazdu kosmicznego, dobrze go pilnowałem, bardzo się

staralem.

John szybko obejrzał się przez ramię na podążającego za nim blondyna. Ten ruchem głowy pokazał mu, żeby przyspieszył.

Poruszając jedynie kącikiem ust, cicho, aby blondyn niczego nie spostrzegł, John odezwał się do dzieciaka:

— Czy chciałbyś zarobić całego dolca?

Chłopak jedynie z entuzjazmem pokiwał głową.

— A więc posłuchaj, co powinieneś zrobić. Pójdiesz tej budki telefonicznej na rogu, wykręcisz numer 625-3311 i poprosisz o rozmowę z policją. Kiedy uzyskasz połączenie, powiesz, że mnie porwano, że muszą tutaj szybko przyjechać i w ogóle ścigać tego brązowego buicka, który tutaj stoi.

— Żartuje pan sobie ze mnie? — zdziwił się chłopak.

— Cullen, pośpiesz się! — krzyknął blondyn. — I powiedz temu gówniarzowi, żeby się od ciebie odczepił.

— On po prostu opiekował się moim samochodem! — od krzyknął mu John. — Właśnie poprosiłem go, żeby jeszcze trochę go popilnował.

— Ale teraz powiedz mu, żeby się odczepił.

— Zjeżdżaj, chłopaczku — powiedział John głośno.

— A co z moim dolcem, człowieku? — zapytał chłopak.

— Zapłacę ci później, jeżeli policja mnie uratuje.

— Och, tak, jasne! — zawołał chłopak z sarkazmem. — Już nieraz słyszałem tę bajkę. Masz mnie, człowieku, za idiotę?

Blondyn podbiegł do nich i warknął groźnie:

— Cullen, zamknij wreszcie jadaczkę. A ty, gówniarzu, spierdalaj stąd wreszcie, bo powyrywam ci nogi z dupy i użyję ich jako wykałaczek.

Czarnoskóry natychmiast odbiegł, a bandyta pchnął Johna brutalnie w kierunku buicka.

Otworzył tylne drzwi i wepchnął go do środka. Za kierownicą siedział jakiś mężczyzna: grubas o szerokich barach i byczym karku. Niecierpliwie bębnił palcami po kierownicy.

— W porządku, Merton, ruszamy — powiedział blondyn. — Kieruj się na Ventura Freeway.

— Dla ciebie wszystko, Ben — odparł Merton i włączył silnik. Samochód zawrócił i ruszył w kierunku Federal Avenue. Dotarłszy do niej, skręcił w prawo, w National Boulevard i wkrótce wjechał na San Diego Freeway.

I Ben, i Merton milczeli, kiedy samochód pędził przez zachodnie Los Angeles.

— Cieszę się, że was wreszcie spotkałem, chłopaki — odezwał się wreszcie John. Żaden z porywaczy nie zaszczycił go odpowiedzią.

John popatrzył przez boczną szybę auta. Buick szybko wymijał samochody jadące prawym pasem. Ani ich kierowcy, ani pasażerowie nie zdawali sobie sprawy, że jego życie jest zagrożone.

— Myślę, że zorientowaliście się, co robiłem u pani Daneman — znów się odezwał.

Ben popatrzył na niego, ale wciąż milczał.

— No cóż — kontynuował uparcie John. — W sumie było to głupie z mojej strony.

Niepotrzebnie wtykałem nos w nie swoje sprawy. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Niestety, chłopaki, wkrótce przyskrzyni was FBI.

Ta groźba wreszcie wywołała reakcję. Grubas, siedzący za kierownicą, wysyczał ze złością:

— Zamknij się, dobra?

— Przepraszam, ale staram się jedynie nawiązać rozmowę.

Usłyszawszy to, Ben uśmiechnął się.

— To nie jest film, panie Cullen. Pewnie myślisz, że trochę z nami pogadasz, zdenerwujemy się i popełnimy jakiś błąd? Nic z tego, człowieku. Tak dzieje się tylko w filmach.

— Powiedzcie mi chociaż, co zamierzacie ze mną zrobić.

— A jak myślisz? — zdziwił się Ben. — Zabijemy cię, to oczywiste.

— Powiedzcie mi chociaż, dlaczego.

— Doskonale wiesz dlaczego — odparł Merton zza kierownicy. — Przed chwilą się wygadałeś.

— A więc mam rację? To wy jeździcie po autostradach i zabijacie ludzi?

— Nie odpowiadaj mu, Merton — powiedział Ben spokojnie.

— Ani myślę — odparł Merton. — Mam dzisiaj wieczorem randkę z Beą i muszę oszczędzać oddech.

Ben padł na oparcie i popatrzył na Mertona ze złośliwym uśmiechem na ustach.

— Dałbym milion dolców, żeby zobaczyć, jak się pieprzysz z Beą. Zdaje się, że wygląda to tak, jakby się zderzały dwa Zeppeliny.

Merton nie obraził się, wręcz przeciwnie, zachichotał radośnie.

— Powiedzcie mi, dlaczego zabijacie tych wszystkich ludzi — wciąż mówił John. —

Przecież zabiliście również mojego ojca. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego zginął.

Ben popatrzył na niego z wyrazem zniecierpliwienia twarzy.

— Daj sobie spokój, Cullen. To naprawdę nie robi żadnej różnicy, czy wiesz, czy też nie.

John umilkł. Popatrzył na swoje dłonie, które zaciskał kolanach, i zobaczył, że kostki na nich zbieleły. Mięśnie przez cały czas miał naprężone i czuł chłód w całym ciele. Powoli docierało do niego, że jest śmiertelnie przestraszony. Za chwilę ci dwaj mężczyźni bez wahania, z zimną krwią, zamordują go. Mężczyźni, którzy nie znają go, nie mają pojęcia, kim jest. Po prostu rozkazano im, żeby go zgładzili.

Dotarli do Ventura Freeway i skierowali się na wschód. Merton opuścił na przednią szybę osłonę przeciwsłoneczną i kilkakrotnie pociągnął nosem. John znów popatrzył na Bena, jednak ten przez cały czas przyglądał mu się bez zainteresowania, pilnując jedynie, żeby nie zrobił niczego, co sprawiłoby kłopot jemu albo Mertonowi. Obojętność obu bandytów była tym, co wzbudzało w Johnie największe przerażenie. Nie miał wątpliwości, że ich zawodem było zabijanie.

Merton włączył radio. Po kilku minutach wiadomości i reklam z głośników samochodowych rozległa się muzyka klasyczna. John z goryczą pomyślał, że w ostatniej drodze towarzyszą mu żałobne dźwięki Mantovaniego.

Po lewej stronie autostrady z lekkiej mgły późnego poranka wyłoniły się błękitnawobrunatne zarysy San Gabriel Moutains. Gdy John przypatrywał się im, niespodziewanie odezwał się Merton:

— Ben, co byś powiedział na wyprawę na ryby w przyszłym tygodniu, kiedy skończysz robotę w Palm Springs?

Propozycja Mertona nie wzbudziła w Benie wielkiego entuzjazmu. Wzruszył ramionami.

— A wynajęłeś już łódź?

— Mogę jutro to zrobić. Bea pewnie chętnie popłynęłaby z nami.

— Bea z tobą na jednej łodzi? Co ty chcesz wynająć? „Queen Mary”?

Merton zarechotał. Wciąż się śmiał, kiedy zjeżdżali z Ventura Freeway w kierunku Griffith Park, a potem w lewo do Travel Town, gdzie na otwartym powietrzu wystawiono naturalnej wielkości modele lokomotyw i wagonów Union Pacific i Southern Pacific, aby dzieci mogły sobie do woli biegać po nich. Nie zdołali jednak dotrzeć do wystawy, gdy niespodziewanie drogę zajechała im ciężarówka dostawcza supermarketu Hughesa i Merton zmuszony został do gwałtownego naciśnięcia

na hamulec.

Zdenerwowany grubas wysunął głowę przez okno i krzyknął na kierowcę ciężarówki:

— Ty dupku zasrany!

Usłyszawszy wyzwisko, kierowca celowo zatrzymał swój pojazd w poprzek jezdni i wyskoczył z kabiny. Był zbudowany równie potężnie jak Merton i miał czerwoną twarz, na której teraz malowała się złość. Z całą pewnością nie przywykł do puszczania płazem obelg.

Powoli podszedł do buicka, oparł się dłonią o dach i pochylił nad Mertonem.

— Mówiłeś coś, grubasie? — zapytał. Widać było, że ma ochotę na zaczepkę.

— Niczego nie mówiłem — westchnął Merton. — Jestem spokojnym człowiekiem. A teraz bądź pan łaskaw usunąć swój pojazd z mojej drogi.

Kierowcy ciężarówki najwyraźniej nigdzie się nie śpieszyło.

— Ucieszę się, jeżeli wyjdzie pan z samochodu i powtórzy te słowa — oznajmił. —

Ponieważ, jeśli powiedział pan to, co myślę, że pan powiedział, za chwilę stanie się pan najchudszy gruby człowiekiem, jaki kiedykolwiek stapał po ziemi.

Pocąc się, John w napięciu siedział na tylnym fotelu. Nerwowo spoglądał to na kierowcę ciężarówki, to na szyję Mertona, to na Bena. W pewnej chwili jego wzrok padł na klamkę przy drzwiczkach; lśniła zapraszająco zaledwie kilka cali od jego ręki. Ben z całą pewnością był bezwzględny osobnikiem, czy jednak odważy się zastrzelić swoją ofiarę na oczach świadka? Czy zastrzeli również świadka?

Bardzo pana przepraszam — mówił Merton. — Po prostu nieporozumienie. Jeżeli życzy pan sobie, żebym pana przeprosił, bardzo serdecznie pana przepraszam.

Cenny czas upływał z szybkością wichury. Kierowca ciężarówki wydawał się już udobruchany, bo powoli zdjął ciężką łapę z dachu buicka. Johnowi pozostało już tylko kilka krótkich sekund na podjęcie decyzji.

Następne chwile przeżył tak, jakby wszystko, rozgrywało się w zwolnionym tempie.

Uniósł dłoń, aby otworzyć drzwiczki, i ujrzał swoje palce zaciśnięte na klamce. Nagle szarpnął ręką i całe ciało rzucił w kierunku drzwiczek. Otworzyły się i w następnej sekundzie zdał sobie sprawę, że turla się po czarnym, twardym asfalcie.

Szybko powstał. Odwrócił się i zobaczył, jak kierowca ciężarówki i dwaj zabójcy gapią się za nim. Nie mógł jednak tracić czasu na przyglądanie się im; zaczął co sił biec w kierunku muzeum transportu. Biegł wzdłuż drucianego płotu, oddzielającego szosę od terenów muzeum, pragnąc znaleźć w nim jakąś dziurę, przez którą mógłby wbiec do środka, w tłum ludzi, w którym mógłby zginać z oczu prześladowcom.

Nagle silnik buicka zawył i auto na wstecznym biegu ruszyło w kierunku Johna. Merton nie potrafił prowadzić prosto i prowadził pojazd łukami, od krawężnika do krawężnika. John uciekał; płuca mu wręcz eksplodowały od wysiłku, mięśnie z każdą chwilą stawały się coraz słabsze, a jednak strach dodawał mu sił i sprawiał, że uciekał z coraz większą szybkością.

Ujrzał zakręt na centralny parking Travel Town i pobiegł w jego kierunku. Mertonowi wydawało się że już dopadł uciekiniera. Wykonał niespodziewany zwrot i tyłem najechał na płot, mając nadzieję, że przyskrzyni do niego Johna. Ten jednak w ostatniej chwili umknął i buick jedynie rozerwał siatkę.

Usłyszawszy po chwili ponownie ścigającego go buicka, John zaczął biec zygzakiem, co chwilę przeskakując z jezdni na chodnik. Znów ocalił życie w ostatniej chwili. Merton jeszcze raz wjechał samochodem w płot, tym razem jednak zderzak samochodu zahaczył o nogę Johna, zrzucając z niej but.

Podskakując i potykając się, John ruszył przez parking w kierunku wejścia do muzeum, obserwowany przez zdziwionych i turystów. Przebiegł przez bramę i znalazł się w środku.

Stały tam dziesiątki pojazdów szynowych, w których mógł się ukryć. Bez namysłu pobiegł w kierunku luksusowego wagonu Union Pacific i wspiął się na niego po tylnych schodkach.

Dopiero teraz usłyszał, że buick hamuje przed bramą prowadzącą do muzeum.

Pocąc się, ciężko i głośno dysząc, John przeszedł przez wąski wagon i wszedł do kolejnego. Był to wagon sypialny, po kolei szarpał za klamki wszystkich przedziałów, pragnąc się ukryć, żadne drzwi jednak się nie otworzyły. Znalazłszy się na końcu wagonu, przez zakurzoną szybę zobaczył, jak Merton i Ben wchodzą na teren muzeum i czujnie rozglądają się dookoła.

Przeszedł do ostatniego wagonu i zaczął obserwować oprawców, aby stwierdzić, od czego rozpoczną swoje poszukiwania. Na moment przymknął oczy i spróbował się uspokoić.

Zdawało mu się, że jego oddech i bicie serca są w tej chwili najgłośniejszymi dźwiękami w całym parku. Nawet radosne pokrzykiwania dzieci i nawoływania ich rodziców wydawały mu się teraz bardzo odległe i ciche.

Znów zobaczył Bena. Bandyta trzymał dłoń za koszulą i szerokim łukiem, ostrożnie obchodził jakiś samolot. Skoro Ben wybrał tę drogę poszukiwań, z całą pewnością Merton znajdował się o wiele bliżej. John ostrożnie zrobił kilka kroków w kierunku drzwi i wystawił głowę na zewnątrz.

Popułnił błąd. Merton stał zaledwie pięć stóp przed wagonem.

— Ben! Ben! On jest tutaj! — wrzasnął bandyta.

John natychmiast się cofnął, wyskoczył z wagonu z drugiej strony i zaczął biec wzdłuż pociągu. Merton ruszył równoległe z nim. Ben, biegnący na pomoc grubasowi, zawołał:

— W porządku, Merton, już leczę!

John dotarł do wielkiej, czarnej lokomotywy Union Pacific i po metalowych schodkach dostał się do kabiny.

— Mam cię, Cullen! — zawołał za nim Merton uradowany, zobaczywszy ten manewr. — Wyłaź stamtąd, nie masz najmniejszej szansy.

Znalazłszy się w lokomotywie, John przywarł całym ciałem do stalowej podłogi. Słyszał, jak Merton głośno sapie i pomyślał, że i tak przecież jest szybszy od grubasa. Tamten jednak był z całą pewnością uzbrojony, a to dawało mu przewagę, której uciekający nie mógł nadrobić.

John czekał, powoli uspokajając oddech.

Usłyszał, jak do Mertona podbiegł Ben.

— Czy on tam jest? — zapytał blondyn.

— Tak — z trudem odpowiedział Merton. — Skurwysyn odebrał mi chyba trzy lata życia.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Ben zawołał:

— Cullen, wyłaź z tej lokomotywy. Zanim doliczę do trzech, masz wyjść na zewnątrz z rękami nad głową!

John czekał i pocił się, wiedząc doskonale, że jeżeli teraz spróbuje ucieczki, zastrzelą go jak psa. Jeżeli spełni ich polecenie i wyjdzie z rękami nad głową, też go zastrzelą. Zaczął cicho szeptać sam do siebie:

— Przebacz mi, Vicki...

Podjąwszy decyzję, powoli podczołgał się w kierunku wyjścia z przeciwnej strony, niż znajdowali się bandyci.

— No, Cullen?! — zawołał Ben. — Jeden... Dwa...

John już go nie słuchał. Jak z katapulty wyskoczył z lokomotywy, lądując dziesięć stóp od niej. Zahaczył przy tym o poręcz, boleśnie tłukąc ramię, ale nawet nie poczuł bólu. Zaczął biec przez

Travel Town. Usłyszał świst powietrza koło ucha i niejasno zdał sobie sprawę, że strzelają do niego z pistoletów z tłumikami. Skręcił w kierunku bramy prowadzącej na parking, modląc się w duchu, aby Merton pozostawił kluczyki w buicku.

Nie zdołał jednak dotrzeć do samochodu. W bramie kotłowała się co najmniej pięćdziesięcioosobowa grupa dzieciaków. Grzecznie, lecz stanowczo zaczął rozsuwać je na boki, torując sobie pomiędzy nimi drogę, jednak trwało to stanowczo za długo. Ben był coraz bliżej. W chwili gdy John przedarł się przez gromadę, Ben znajdował się już tylko o kilka stóp od niego. John musiał zmienić decyzję: pobiegł przez parking w kierunku rozciągającego się za nim dzikiego parku, w nadziei, że tam zgubi swych prześladowców na dobre. Porzucił zamiar dotarcia do samochodu.

Był w połowie drogi, kiedy dotarł do niego skowyt silnika samochodu bandytów. Znów ruszyli w pogoń. John zdał sobie sprawę, że nie dotrze do zbawczego gąszczy i skręcił w kierunku bramy wyjazdowej. Wiedział, że jeszcze kilka chwil i opuszczą go wszystkie siły.

Był cały mokry, dyszał ciężko, nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

Wybiegł z parkingu. Buick z piskiem opon przejechał przez bramę zaraz za nim i John kolejny raz tego dnia zrozumiał, że za moment zginie. Tym razem nie miał najmniejszych szans uciec z linii strzału.

Niespodziewanie usłyszał odgłos klaksonu i nagle jak spod ziemi wyrósł przed nim wielki zielony mercury, ciężarówka po brzegi załadowana skrzynkami z coca-cola. Merton musiał gwałtownie skręcić, aby uniknąć czołowego zderzenia, John natomiast tylko uskoczył na chodnik. Merton gwałtownie szarpnął kierownicą; u buicka z ogromną prędkością wpadł do rowu i dwukrotnie przeokołkował.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, po czym buick eksplodował. W niebo wystrzelił pomarańczowy słup ognia.

John zobaczył, jak otwierają się drzwiczki po stronie pasażera i osmalony Ben próbuje wydostać się z wozu.

— Ratujcie kierowcę! On nie może się wydostać zza kierownicy! — krzyknął rozzwierając.

Kolejny wybuch, chociaż już o wiele słabszy, uciszył go na zawsze. A we wnętrzu buicka żywcem płonął Merton, uwięziony za kierownicą. Zgubiła go tusza.

Nikt nie był w stanie pomóc nieszczęśnikom. Od ogarniętego ogniem samochodu bił taki żar, że nie można było podejść do niego bliżej niż na odległość dziesięciu jardów. Żółte płomienie zaczęły się mieszać z czarnym dymem, gdy pożar objął opony i plastikowe siedzenia. Wokół auta zgromadziła się spora grupa gapiów, z przerażeniem obserwujących płonące auto. Tłum zamarł, gdy z wnętrza dobiegł krótki, żałosny krzyk Mertona. Wkrótce z pobliskiej autostrady dotarły odgłosy syren samochodów straży pożarnej, śpieszących na miejsce wypadku.

Jakiś starszy mężczyzna odezwał się do Johna:

— Widział pan, co tu się stało? Widział pan? Taka okropna śmierć...

Aż do Hollywood podwiózł go jakiś gadatliwy hurtownik, który akurat dostarczał towar do sklepiku z pamiątkami w Travel Town. Stamtąd John wziął taksówkę do Mar Vista, gdzie wciąż parkował jego pożyczony lincoln capri. Dochodziła godzina trzecia po południu i John był kompletnie wykończony.

Kiedy otworzył drzwiczki auta, podjechał do niego na rowerze chłopak, któremu nad ranem powierzył pilnowanie lincolna. Chłopak zatrzymał się i powiedział:

— Cześć.

— Jak się masz? — zapytał John. — Dlaczego nie zatelefonowałeś po gliny, tak jak cię prosiłem?

— Pewnie bym zadzwonił — odparł chłopak. — Mój ojciec jednak ciągle mi powtarza, żebym nie ufał białym i glinom.

— I co?

— Mój ojciec ma zawsze rację.

John ciężko opadł na fotel za kierownicą.

— Ile masz lat, dzieciaku? — zapytał.

— Dziesięć.

— Przyjmij więc moje gratulacje. Jesteś najmłodszym rasistowskim bigotem, jakiego znam.

Chłopak zamyślił się na chwilę.

— Czy dasz mi tego dolca? — zapytał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Gdy John dotarł do domu, był tam już Mel. Siedział werandzie i sączył piwo z butelki.

Kiedy John zatrzymał lincolna na podjeździe, Mel zbiegł szybko po schodach i ruszył w stronę przyjaciela. Było ciepłe popołudnie. W powietrzu unosił się łagodny zapach kwitnących drzew i trochę silniejszy zapach obiadu, który Vicki właśnie przygotowywała w kuchni.

— Czy to naprawdę jest samochód? — zdziwił się Mel, obchodząc lśniący chromem automobil. Na jego twarzy widać wyraz niedowierzania i podziwu.

— Tak, to jest z całą pewnością samochód — powiedział John. — Lincoln capri landau z 1958 roku z siedmiolitrowym silnikiem, o mocy 375 koni mechanicznych.

— Kupiłeś go czy pożyczyłeś?

— Obecnie używam go, uciekając przed kłopotami.

Mel spojrzał uważnie na Johna.

— Znowu ktoś do ciebie strzelał?

— Prawie. Byłem w odwiedzinach u pewnej kobiety w Mar Vista. Jej syn został zastrzelony na autostradzie. Kiedy niej wyszedłem, osaczyło mnie dwóch zbirów i próbowało mnie porwać. Chodź, wejdziemy do środka, to ci wszystko opowiem.

Po chwili znajdowali się już w salonie. Vicki była w kuchni. Ubrana była w krótkie, obcisłe spodenki ze sztruksu oraz w głęboko wyciętą koszulkę. Na szyi miała egipski amulet na złotym łańcuszku, подарowany jej przez Johna na Święto Dziękczynienia.

John pocałował ją, a potem zajrzał po kolei do wszystkich garnków.

— Mniam, mniam — powiedział. — Jak to wszystko będzie się nazywać, kiedy już będzie gotowe?

Vicki wzruszyła ramionami.

— Wołowa niespodzianka. Niespodzianka polega na tym, że danie będzie nie z wołowiny, a z baraniny.

Po chwili milczenia dodała:

— Dlaczego nie było cię tak długo? Wyglądasz trochę niesamowicie.

— Niesamowicie?

— Jesteś bardzo blady. Co się stało?

Podszedł do lodówki i wyciągnął puszkę piwa.

— Nic ważnego. Postanowiłem jednak, że postąpię zgodnie z twoją radą.

— John, coś się stało, prawda?

Otworzył puszkę i pociągnął potężny łyk piwa. Następnie otarł usta wierzchem dłoni i pokiwał

głową.

— Co nieco powiedziałem już Melowi. Dwóch bandytów próbowało mnie porwać.

Zupełnie nie wiem, dlaczego. Wieźli mnie do Griffith Park, twierdząc, że tam mnie zamordują.

— Porywacze? O, mój Boże, och, John! — W oczach Vicki pojawiły się łzy i zaczęła się trząść, jednocześnie łkając. — Ja już tego dłużej nie zniosę!

John objął ją.

— Vicki, uspokój się. Nic się przecież nie stało, uciekłem im. Wszystko jest w porządku!

Vicki pocałowała go. Łzy spływały po jej policzkach, wciąż drżała. John, pamiętający, co jeszcze tak niedawno mu groziło, sam z trudem zachowywał spokój.

— Zadzwońię do FBI — powiedział. — I do detektywa Morello. Opowiem im wszystko i wycofam się z tej cholernej sprawy. Nieważne, co się dookoła dzieje, to wszystko jest cholernie poważne i śmierdzące; zwykli śmiertelnicy, tacy jak ty i ja, nie są w stanie tego ogarnąć.

— Ale oni wrócą po ciebie! — zawołała Vicki. — Wiem, że wrócą. Oni są szaleni!

— Nie, nie wrócą. Nie wrócą, bo już nie żyją. Próbowali mnie gonić, ale wtedy przydarzył im się przykry wypadek. Ich samochód wybuchł i obaj spłonęli żywcem.

— To jeszcze gorzej! Teraz ktoś będzie chciał ich pomścić.

— Nie wiem, być może — przyznał John. — W każdym razie mam zamiar wszystko opowiedzieć policji. Ta cała sprawa sięga o wiele głębiej, niż początkowo przypuszczałem.

— A więc naprawdę jesteś przekonany, że chodzi o spisek? — zapytał Mel. Stał w progu kuchni i do tej pory przysłuchiwał się rozmowie Johna i Vicki.

— Zdaje się, że to coś gorszego — odparł John. — Wygląda na to, że ktoś stara się usunąć wszystkich ludzi w Ameryce, którzy prezentują pewną określoną postawę wobec życia i wobec polityki. Chodzi o miłych, łagodnych, liberalnych osobników, poza tym szarych i zwyczajnych. Im bardziej popularni są wśród znajomych i przyjaciół, tym gorzej dla nich. Chryste, Mel, to niemal ludobójstwo! Odkryłem w gazetach ponad setkę takich nie wyjaśnionych egzekucji z użyciem broni palnej, zaledwie w ciągu ostatniego miesiąca. A jak wielu morderstw gazety nie odnotowały? Ile razy władze orzekały, że chodziło o samobójstwa albo o wypadki drogowe?

— Nie widzę w tym za grosz sensu — odparł Mel. — Chociaż nie mam już cienia wątpliwości, że istnieje wspólna przyczyna śmierci tych ludzi. Zresztą na początku, kiedy wszystko się zaczęło, wysnułem takie przypuszczenie. Ci ludzie giną więc dlatego, że są spokojni i mają umiarkowane poglądy, i to właśnie jest najdziwniejsze. Kto i po co zabijałby takich właśnie ludzi?

— John, co ci się stało w nogę! — zawołała Vicki.

Dopiero teraz John popatrzył na swoją nogę. Była opuchnięta, a skarpetka zakrwawiona.

Vicki zmusiła go, żeby usiadł, i uważnie obejrzała stopę. John skrzywił się z bólu, kiedy naciskała opuchnięte miejsce, po kilkuminutowych oględzinach wreszcie orzekła:

— Moim zdaniem kość nie jest naruszona. Jednak z całą pewnością masz naciągnięte więzadła.

— Zawiozę cię do lekarza, John — zaproponował Mel. — Vicki przygotowuje obiad, a my szybko się uwiniemy. Przy okazji zabierzemy ode mnie trochę wina mojej roboty. Już jest gotowe, a nie będzie chyba lepszej okazji, żeby go spróbować.

Dom doktora Pickawaya znajdował się zaledwie o milę od domu Johna, w górę kanionu, w kierunku Woodland Hills. Doktor uważnie zbadał chorą kostkę Johna i w końcu orzekł:

— To nic poważnego. Ma pan niewielką ranę, a stopa jest lekko skręcona. Dam panu maść, która szybko zlikwiduje opuchliznę. Po dwóch lub trzech dniach noga powinna być już zupełnie zdrowa.

— Czy przez te trzy dni powinien leżeć w łóżku? — zapytał Mel.

Doktor Pickaway uśmiechnął się.

— Raczej powinien kilkakrotnie przebiec kanion. Jak wyzdrowieje, również.

Utrzymywanie sprawności fizycznej jest najlepszym lekarstwem przeciwko wszystkim chorobom.

— Nie byłbym w stanie zrezygnować z samochodu — powiedział John, niepewnie podnosząc się z krzesła. — Ćwiczenia fizyczne to piękna sprawa, ludziom jednak bardziej imponuje facet jeżdżący w pozeraczu paliwa z lat pięćdziesiątych niż biegacz w najwspanialszych butach.

Doktor Pickaway wzruszył ramionami.

— Cóż, panie Cullen, ja zajmuję się ludzkimi organizmami, a nie maszynami. Uważam, że większości chorób, z którymi do tej pory miałem do czynienia, można było uniknąć, gdyby ich ofiary utrzymywały swe organizmy w należyтым stanie. Niestety, ludzie nie wierzą w zbawczą rolę rekreacji fizycznej, w zbawienny wpływ systematycznych treningów na organizmy ludzkie. Ludzie jedzą za dużo, za dużo palą i piją, za często prowadzą samochody.

Niech pan tylko spojrzy na siebie, panie Walters — powiedział do Mela. — Ma pan co najmniej sześćdziesiąt funtów nadwagi. Na starość będzie to panu ciążyło, a śmierć dopadnie pana o sześć lat wcześniej, niżby to się stało, gdyby pan był szczupły.

— Och, niech pan przestanie, doktorze — westchnął Mel. — Różni ludzie mają różne organizmy. Znam wielu grubasów, dla których czas jakby stanął, gdy tymczasem chudzi w ich wieku od dawna już wążają kwiatki od spodu.

— Do pewnego stopnia ma pan rację. Jednak współczesna medycyna potrafi już bezbłędnie określać, który tłuścioch umrze w stosunkowo młodym wieku, a który dożyje późnej starości. W rzeczywistości można już dzisiaj określać spodziewaną długość życia danego osobnika z dokładnością więcej do trzech lat. Oczywiście, jeśli nie przydarzy mu nieszczęśliwy wypadek.

— W jaki sposób? — zainteresował się John.

Doktor Pickaway uniósł brwi, po czym wstał i podszedł i półki z książkami. Przez chwilę ze zmarszczonym czołem przyglądał się grzbietom, po czym wyciągnął egzemplarz jakiegoś magazynu medycznego i powrócił do biurka.

— Oto jeden z numerów „Analytical Medicine”. Nakład tego periodyku wynosi nie więcej niż dwa tysiące egzemplarzy, prenumeruję go jednak, bo lubię być na bieżąco z pewnymi zagadnieniami nowoczesnej medycyny.

— Jeśli o mnie chodzi, to prenumeruję „Rolling Stone”? — oznajmił Mel z uśmiechem.

Doktor Pickaway zlekceważył tę uwagę. Przerzucił kilka kartek i w końcu odezwał się:

— Ten numer opublikowany został mniej więcej półtora roku temu, ale jeden z artykułów komentowany jest szeroko jeszcze do tej pory. Mimo że to jest kwartalnik, w każdym numerze, od półtora roku, pojawiają się uwagi i listy czytelników na jego temat.

— Tak, to bardzo ciekawe, ale musimy już iść, doktorze — zdecydował John. — W domu czeka na nas gorący obiad.

— Chwileczkę, nie zajmę panom dużo czasu, a sprawa jest naprawdę warta zainteresowania — powstrzymał go lekarz. — Proszę bardzo, niech pan tylko posłucha:

„Demograficzne krzywe dokładnie określają fizjologiczny i psychiczny rozwój grup społecznych”.

Mel zrobił zdziwioną minę i popatrzył na Johna. Obaj niczego nie rozumieli.

— Przedstawię to panom najprościej, jak będę potrafił. Otóż nauka znalazła możliwość sporządzania komputerowych wykresów do bardzo dokładnego określenia spodziewanej długości

życia dowolnego człowieka, biorąc pod uwagę takie czynniki, jak pochodzenie, usposobienie, styl życia, wcześniej przebyte choroby, otoczenie i jeszcze ze dwie setki innych elementów. Mamy w tej chwili nawet takie możliwości, by określić, na co dana osoba zachoruje i kiedy najprawdopodobniej to się wydarzy.

— A więc można na przykład na tydzień przed wakacjami uzyskać informację, że się niedługo zachoruje na grypę i że w związku z tym nie warto nigdzie wyjeżdżać? — zapytał Mel.

Doktor Pickaway roześmiał się.

— Tu chodzi o sprawy znacznie poważniejsze niż zwykła grypa podczas urlopu — powiedział. — Potrafimy, badając pięcioletniego chłopca, przewidzieć, że w wieku siedemdziesięciu dwóch lat umrze na raka. Zaznaczam, z dokładnością osiemnastu miesięcy w jedną albo w drugą stronę.

— Niewiarygodne — jęknął John. Od dłuższej chwili słuchał doktora z zainteresowaniem.

— Tak, niewiarygodne, badania trwały jednak przez trzydzieści lat, zanim opublikowano ten materiał. Jak dotąd diagnozy stawiane według metody, o której panom opowiadam, sprawdzały się w osiemdziesięciu sześciu procentach. Takiego wyniku nie można po prostu zlekceważyć. Jeden z badaczy w 1954 roku przewidział, że w 1967 umrze na raka kości i rzeczywiście tak się stało. Pewnej kobiecie powiedziano, że dożyje osiemdziesiątki, mimo że jej rodzice zmarli bardzo młodo i sama spodziewała się rychłej śmierci; dożyła osiemdziesięciu dwóch lat.

— Mówił pan, że w grę wchodzi określanie rozwoju zarówno fizjologicznego, jak i psychicznego — zauważył John. — W jaki sposób określa się rozwój psychiczny?

— Prawie identycznie jak fizjologiczny — odparł doktor Pickaway. — Wykreśla się krzywą demograficzną na podstawie znanych tendencji do zachowań i sposobów myślenia ludzi na przestrzeni przyszłych lat; oczywiście, im ta przestrzeń jest krótsza, tym krzywa dokładniejsza. Tę krzywą można by, jak sądzę, z powodzeniem wykorzystywać na przykład w kampaniach reklamowych. Można naukowo zbadać, jak ludzie będą reagować na nowe proszki do prania, nowe samochody i inne rzeczy. Można towary dostosowywać do przyszłych gustów. Znając sposób myślenia potencjalnych klientów, można odpowiednio projektować kampanie promocyjne.

— Za pomocą komputerów? — zapytał Mel.

— Tak.

— Ale przecież każdy komputer potrzebuje informacji. W jaki sposób można komputerowi dostarczać informacji o tak wielkiej liczbie osób, o każdej oddzielnie?

Doktor Pickaway zerknął na artykuł.

— Tutaj jest napisane — powiedział. — Zresztą, chcę, żebyście wiedzieli, że to nie są moje pomysły, że przez cały czas cytuję badaczy i naukowców o wiele mądrzejszych ode mnie. Jeśli znany jest czyjś wiek, rasa, zawód, wykształcenie i jeszcze kilka innych, pomniejszych drobiazgów, informacje te wystarczają dla określenia, jakiego proszku do prania ta osoba najchętniej będzie używała w ciągu najbliższych pięciu lat. Mało, można też określić, jak ta osoba będzie głosowała w wyborach.

— Głosowała? — powtórzył John.

Doktor Pickaway twierdząco pokiwał głową.

— Tak — potwierdził. — O, tutaj jest napisane: „Można również przygotować krzywą demograficzną dla tych członków społeczeństwa, którzy wywierają największy wpływ polityczny na innych; zbiór krzywych w sposób nie budzący wątpliwości wykaże, na kogo naród będzie oddawał swoje głosy w nadchodzących wyborach, z zastrzeżeniem, że nie pojawią się polityczne skandale typu Watergate”. Są tutaj jeszcze dodatkowe uwagi: „Wpływ polityczny nie oznacza aktywności politycznej. Ludzie wywierający wpływ polityczny na innych to tacy, którzy swoim zachowaniem

wywierają wpływ na zachowania i przekonania polityczne najbliższej rodziny, sąsiadów i przyjaciół”. Widzicie więc, że chodzi o ludzi zajmujących pewną pozycję, ale jedynie w niewielkich zbiorowościach.

John czuł się, jakby właśnie obudził się w środku nocy, spocony, w mokrej i zimnej pościeli.

— Kto napisał ten artykuł, doktorze? — zapytał.

— Autorem jest profesor Arlnikow z Berkeley, ale idea krzywych jest oryginalną tezą profesora Aarona Sweetmana z San Diego. Wspaniały facet, chociaż już bardzo stary.

Spotkałem go kiedyś na kongresie medycznym w Atlancie. Czarujący i błyskotliwy człowiek.

Tak, ten artykuł prezentuje praktycznie jego autorskie idee.

Kiedy minęli ostatni zakręt, nie mieli już wątpliwości, że coś jest nie w porządku.

Przerażeni ludzie biegali dookoła bez celu, a nad drzewami unosił się czarny dym.

— Cholera, znów las się pali! — krzyknął Mel. — Zaraz przy kotlinie, sądząc po wysokości dymu.

Nacisnął mocniej na pedał gazu i pomarańczowy garbus przyśpieszył, charcząc i kaszłąc.

Wkrótce ujrzeli poprzez drzewa jasnopomarańczowe płomienie; jednocześnie poczuli zapach ostrego, gryzącego dymu, unoszonego przez wiatr.

— O Boże! — zawołał John, gdy Mel zbliżył się do zakrętu prowadzącego na podjazd przed jego domem. — Zdaje się, że płonie cała cholerna kotlina!

Na podjeździe parkowały już dwa samochody straży pożarnej, a strażacy lali wodę z węży daleko przed siebie. John szybko wysiadł z samochodu i pobiegł w ich kierunku. Mel jak cień podążał za nim.

Jakiś strażak wybiegł zza wozu i zagroził im drogę.

— Nie możecie tam iść, panowie — oznajmił. — Staramy się zlokalizować ogień. Tam jest teraz bardzo niebezpiecznie. I tak nic byście nie zobaczyli.

— Do cholery, czy ja wyglądam na bezmyślnego gapia?! — zawołał John. — Tam jest mój dom!

— Przykro mi, ale mimo wszystko nie przepuszczę pana.

— Zejdź mi z drogi, człowieku! — wrzasnął John. — Tam jest mój dom, a w nim moja dziewczyna!

— Cóż, widzi pan, proszę pana...

Mel podszedł do strażaka i chwycił go za mundur na . Patrząc mu prosto w oczy, warknął:

— Normalnie jestem bardzo spokojnym człowiekiem, ale w tej sytuacji... Dostaniemy się tam za wszelką cenę.

Stanowczość jakby uleciała ze strażaka.

— No, chodź już — ponaglił John Mela. Minęli strażaka, który przestał protestować, i już po chwili biegli dalej, przeskakując przez węże strażackie. Ziemia była mokra; brnęli w wodzie niemalże po kostki. Ogień huczał, niemal zupełnie zagłuszając nawoływania strażaków i rozkazy przekazywane przez walkie-talkie.

— Zalejcie wodą te krzaki po prawej stronie! — krzyczał jeden z ratowników. —

Pośpieszcie się, tam musimy zatrzymać ogień. Jeżeli wiatr przybierze na sile, wkrótce będziemy tutaj mieli pandemonium!

— Lejcie bardziej na prawo! — nawoływał kolejny chrapliwy głos. — Mówię w prawo, do jasnej cholery!

Z głębi kanionu rozległy się syreny kolejnych wozów śpieszących z pomocą pracującym już

jednostkom. John usłyszał jak jeden ze strażaków wzywa helikopter. Najwyraźniej był dowódcą całej ekipy.

— Jeżeli ograniczymy pożar do kotliny, wszystko będzie w porządku! — krzyczał. — Ruszcie więc dupy i przyślijcie tutaj ten cholerny helikopter.

John z Melem dotarli do ostatniego łuku podjazdu. Wtedy, ku nieopisanemu przerażeniu Johna, zobaczyli, że jego dom, wypieszczony, wspaniały, staroświecki drewniany dom... stał w płomieniach. Nie było już werandy, nie było właściwie niczego poza wielkim słupem ognia. Płomienie błyskawicznie pożerały deski i elementy wyposażenia domu, w mgnieniu oka zamieniając wszystko w czarny popiół.

Trzech strażaków lało wodę na dach, dom jednak płonął już tak intensywnie, że nie na wiele się to zdawało; nie byli już w stanie niczego ocalić. W tej chwili usiłowali jedynie powstrzymać ogień przed rozprzestrzenieniem się na całą dolinę, w której stał dom Johna.

John podbiegł do tej trójki i krzyknął:

— Gdzie jest dziewczyna? W tym domu była dziewczyna!

Jeden ze strażaków uważnie zmierzył go wzrokiem.

— Nie mieliśmy szans, proszę pana — powiedział. — Nawet, gdyby w środku była jakaś dziewczyna, nie uratowalibyśmy jej. Kiedy się tu zjawiliśmy, ten dom płonął już jak pochodnia. Nie sposób było się do niego zbliżyć.

— Ale w środku jest Vicki! — jęknął John. Twarz miał rozpaloną ze wzburzenia i od wysokiej temperatury, jaka panowała wokół. — Ona tam jest! Musicie ją wydostać!

Mel położył ciężką rękę na jego ramieniu.

— John, to już nie ma sensu — powiedział spokojnie. — Jest za późno, żeby ją ratować.

John strząsnął z siebie jego dłoń.

— Mel, ona jest w tym płonącym domu! Może jeszcze żyje, może jest tylko uwięziona i nie jest w stanie wyjść!

— Przykro mi, że muszę to powiedzieć, proszę pana — odezwał się strażak — nie ma jednak najmniejszej nadziei, że ktokolwiek mógłby przeżyć w tej temperaturze nawet minutę.

Jeżeli pańska dziewczyna rzeczywiście była w środku, to, niestety, już nie żyje.

— Udało nam się uratować samochód — wtrącił drugi strażak. — Taki wielki, stary, biały lincoln. Stoi kawałek dalej. Czy to pańskie auto?

John nie odpowiedział. Wzrokiem oszalałym z rozpaczyny wpatrywał się w płomienie.

Miotła nim taka rozpacz, że nie był w tej chwili w stanie ani mówić, ani myśleć, ani się poruszać. Jego ukochany dom płonął niczym pochodnia z najbardziej mrocznego koszmaru.

W miejscu, z którego obserwował tę tragedię, zrobiło się nagle tak gorąco, że z trudem można było oddychać.

W pewnej chwili z gwałtownym hukiem zapadła się część dachu. Z budynku dochodziły trzaski płonących mebli. Gdy zapadł się ceglany komin, rozległ się kolejny potężny huk.

Mel otoczył Johna ramieniem i przytulił go do siebie. W jego oczach błyszczały łzy. Nie był w stanie powiedzieć niczego, co złagodziłoby rozpacz przyjaciela. W tej strasznej chwili żadne słowa nie miały znaczenia.

Podszedł do nich dowódca strażaków. Na głowie miał czarny kask. John przyjrzał mu się i mimochodem stwierdził, że ma duże, niebieskie oczy.

— Powiedziano mi, że to twój dom, przyjacielu — odezwał się do Johna.

John opuścił głowę. Zamknął na chwilę oczy i próbował sobie, że to wszystko jest tylko złym snem, z którego za chwilę się obudzi, że ten koszmar jest nieprawdą, że zaraz otworzy oczy i wróci

do swojego domu. Usiądzie z Vicki przy kominku, a potem razem zjedzą kolację.

— Tak, proszę pana, to jego dom — odparł Mel zamiast Johna. — W środku była jego dziewczyna.

Strażak przez chwilę wpatrywał się w płonący budynek i słup czarnego dymu unoszący się wysoko ku niebu.

— Przykro mi — odezwał się wreszcie. — Gdybyśmy mieli najmniejszą szansę dostania się do środka, weszlibyśmy tam. Niestety...

— Czy wie pan, co było przyczyną pożaru? — zapytał Mel.

Szef strażaków zaprzeczył ruchem głowy.

— Przyczyn mogło być wiele. Ostatnie dni były suche i gorące. W zasadzie wystarczyłaby mała iskra elektryczna lub niedopałek papierosa.

— Chryste — westchnął Mel. Nie potrafił ukryć przerażenia.

— Idźcie stąd, panowie — poprosił strażak. — Istnieje możliwość, że wkrótce zmieni się kierunek wiatru. Jeżeli to rzeczywiście nastąpi, będziemy tu jeszcze mieli ręce pełne roboty.

Czy ma pan gdzie spędzić tę noc? — Popatrzył na Johna.

— Jasne — odparł Mel. — W najgorszym razie w hotelu.

— W porządku więc. Proszę tylko zostawić numer telefonu w naszej centrali.

Skontaktujemy się, jeżeli tylko będziemy mieli jakieś ważne wiadomości.

— Dziękuję — powiedział Mel. Uścisnął ramię przyjaciela i dorzucił: — Chodźmy stąd, John. Nie ma sensu tu sterczeć. Chodźmy.

John spoglądał na swój dom ze łzami w oczach. W tej chwili był on już tylko powoli dogasającym pogorzeliem, jakby górą popiołów, pozostałych po jakiejś rytualnej kremacji.

Nie mógł uwierzyć, że gdzieś wśród tych popiołów spoczywa spalone ciało Vicki. Wiedział jednak, że nic nie mogło jej uratować. Wiedział, że niezależnie od tego, jak bardzo będzie rozpacział, już nigdy jej nie zobaczy, nigdy już jej nie dotknie, nie usłyszy jej głosu.

W milczeniu stał jeszcze przez minutę, po czym w końcu odezwał się do Mela:

— Dobrze. Chodźmy stąd.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tej nocy syreny wozów strażackich zawodziły w Topanga Canyon do samego świtu. Do gaszenia najgroźniejszego od kilkunastu lat pożaru w kanionie skierowano olbrzymią ilość sprzętu i ludzi. Gorący wiatr podsycał płomienie, a suche drzewa i krzaki paliły się jak zapalki. Łuna pożaru widoczna była z odległości wielu mil. Wracając swym jasnożółtym pinto do pokoiku w Venice, T. F. napotkał nawet trzy wozy strażackie, zmierzające do pożaru aż z Anaheim.

Zaparkował wóz na San Juan Avenue, zamknął drzwiczki na klucz i poszedł na górę do swego pokoju. Futerał na karabin oparł o szafę i natychmiast rzucił na łóżko cztery magazyny pornograficzne, które tego dnia kupił w Hollywood. Włączył telewizor, wyłączając dźwięk, usiadł na łóżku i zaczął ściągać buty.

Niespodziewanie zadzwonił telefon. T. F. odczekał chwilę i dopiero po pięciu sygnałach podniósł słuchawkę.

— Słucham? — odezwał się.

— T. F.? To ja, Ken.

— Co się stało?

— Chłopcy mieli dzisiaj kłopoty z Cullenem. Rano był u pani Perlman; węszył i zadawał

podchwytliwe pytania.

— No i co?

— Wydaliśmy polecenie zlikwidowania go.

— No i co?

— Ben i Merton zabrali go do jakiegoś parku, żeby go tam sprzątnąć, ale im zwał. A chłopcy mieli bardzo nieprzyjemny wypadek drogowy. Usmażyli się w płonącym samochodzie.

T. F. wyciągnął papierosa i powoli, jakby chcąc zyskać na czasie, zapalił go. Wypuścił nosem kłęb dymu i dopiero potem kontynuował rozmowę:

— Do cholery, co to jest za facet? Nie uzbrojony, samotny, a te łazęgi dały mu się wyprowadzić w pole. I na dodatek, durnie, sami przy tym zginęli.

— T. F., to był wypadek. Głupi, cholerny wypadek.

— Czy policja się tym zainteresowała?

— Jasne, jednak nie mieli się do czego przyczepić. Ci nieszczęśnicy chcieli ominąć jakąś ciężarówkę i wypadli z drogi.

— No dobrze, jednak to mała pociecha. Co dalej?

— Nie podarowałem temu Cullenowi. O piątej osobiście podpaliłem jego dom. Zajął się jak pochodnia; to z tego powodu wozy strażackie jeżdżą dookoła jak oszalałe. Jeszcze trochę i będzie się palił cały Topanga Canyon.

— Dobrze, lubię taką spektakularną robotę. Pewien facet z Seattle zawsze powtarzał, że jeśli chcesz załatwić człowieka i ukryć motywy, najlepiej w tym samym czasie załatwić pięciu innych.

— W każdym razie cała trójka się usmażyła. Cullen, dziewczyna i ten grubas.

— Szkoda dziewczyny — stwierdził T. F. ze smutkiem. — Była w moim typie. Chętnie bym ją przerznął.

— Twoja zabawka jest już w domu. — Ken szybko zmienił temat rozmowy. —

Schowałem ją pod podłogą w mojej sypialni.

— To dobrze. Tęsknię za nią, Ken.

— Czy chcesz, żebym przed sobotą zadzwonił jeszcze raz?

— Nie, jeżeli nie wyniknie nic pilnego. Powinniśmy zobaczyć się dopiero w sobotę.

— W porządku, T. F. Tymczasem.

— Tymczasem, Ken.

T. F. odłożył słuchawkę. W milczeniu wypalił papierosa, po czym zajął się swoimi magazynami. Jeden z nich nosił tytuł „Mokre Przyjęcie” i był pełen kolorowych fotografii dziewcząt w czarnych pończochach i pasach, wzajemnie na siebie siusiających. Kolejny zatytułowany był „Psia Miłość”. T. F. oglądał fotografie z wyjątkowym u niego brakiem zainteresowania. Przypatrywał się dziewczynom niewidzącym wzrokiem; jego myśli skupione były na czymś zupełnie innym niż seks. Jedno tylko zdjęcie przyciągnęło jego uwagę. Przedstawiało filigranową brunetkę, która, szeroko otworzywszy oczy i usta, przyjmowała mocz rozkraczonego nad jej głową wielkiego psa.

Wreszcie T. F. wstał z łóżka i schował magazyny na dnie szafy z ubraniami. Stwierdził, że jest głodny, nie bardzo jednak wiedział, na co właściwie ma ochotę. W ostatnich dniach głód nękał go kilka razy dziennie. T. F. jednak nie był do końca przekonany, czy posiłek go zaspokoi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

John obudził się przed świtem z kacem, który ciążył mu niczym tona mokrego żwiru.

Otworzył oczy i zdał sobie sprawę, że leży w dziwnym, wąskim łóżku, w zupełnie obcym

pokoju. Czy miał spuchnięte, a w głowie huczało mu od bólu.

Gdy usiadł, pierwszą rzeczą, która dotarła do jego świadomości, była śmierć Vicki. Potem przypominał sobie, że znajduje się w pokoju numer 21 jakiegoś taniego hotelu na Franklin Avenue w Hollywood. Mel przywiózł go tutaj poprzedniego wieczoru jego pożyczonym lincolnem capri, a potem poszedł do supermarketu na rogu Franklin i Highland. Po dziesięciu minutach wrócił z dwiema butelkami „Jacka Daniela” i kilkoma piwami Old Milwaukee na popicie.

Przez długie godziny pili, rozmawiali, sprzeczali się, płakali i wspominali. O drugiej nad ranem, otumaniony i tak pijany, że Już nie wiedział, gdzie się znajduje, John padł bez życia na podłogę, a Mel przetransportował go na łóżko.

Teraz opuścił nogi na podłogę pokrytą zniszczonym, szarym dywanem. Pokoik był niewielki i w miarę czysty. Całe heblowanie stanowiło tu łóżko, stół i dwa krzesła. Przez okno widać było podwórze i budynek sąsiadujący z hotelem.

We wnęce kuchennej John znalazł ekspres do kawy i zabrał się do jej przyrządzania.

Domyślny Mel pozostawił mu również tabletki od bólu głowy. John połknął teraz od razu dwie. Popił je wodą z kranu. W głowie wciąż mu szumiało. Po chwili usłyszał delikatne pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Mel.

— Jak się czujesz? — zapytał bez wstępu.

— Cholernie źle. A ty?

— Tak samo.

— Robię kawę. Napijesz się?

Mel przecząco potrząsnął głową.

— Nie, dziękuję. Gdybym teraz wypił kawę, pewnie zarzygałbym ten miły apartamencik.

— Może to by ci pomogło na kaca.

Mel odsunął krzesło i usiadł przy stole.

— Obudziłem się i miałem nadzieję, że to wszystko było jedynie koszmarnym snem — powiedział. — Wmawiałem sobie, że to nie może być prawda.

— Ja też — potaknął John. — Jednak nic z tego. Vicki nie żyje, nie mam domu...

Przez chwilę milczeli.

— Co zamierzasz teraz zrobić? — zapytał Mel.

— Nie wiem. Nie pochowałem jeszcze ojca, a teraz spadło na mnie kolejne nieszczęście.

Straciłem dach nad głową i wszystko, co miałem: meble, obrazy... A przede wszystkim Vicki.

— John, to nie była twoja wina. Cholera, uganiają się za tobą jacyś diablo zawzięci bandyci. Nie masz szans, żeby ich powstrzymać.

— Mogłem pójść do FBI, tak jak mówiła Vicki. Mogłem poprosić policję o ochronę. Ale nie, chciałem się zabawić w cholernego detektywa, chciałem zgrywać bohatera. Mam za swoje. Ale co była temu winna Vicki?

Znów obaj zamilkli.

— Czy teraz pójdziesz do FBI? — zapytał Mel. — Zdaje się, że masz im do przekazania kilka istotnych informacji. Ja je mogę potwierdzić, jeśli będziesz chciał.

John wzruszył ramionami.

— Musisz im wszystko opowiedzieć — kontynuował Mel. Jeżeli nadal będziesz postępował tak, jak dotychczas, w końcu zginiesz i ty. Pamiętaj, nie masz szans w walce przeciwko tym mordercom. To zadanie dla FBI albo dla policji.

— Nie sądzę, żebym zdołał kogokolwiek przekonać, że te zbrodnie są dokładnie zaplanowane. Oni wciąż wierzą samotnego maniaka.

Mel ciężko westchnął.

— John, opamiętaj się. Choć wszystko na to wskazuje, że pomiędzy ofiarami istnieją jakieś powiązania, nawet my nie jesteśmy jeszcze w stu procentach do tego przekonani.

Znaleźliśmy jedynie bardzo prawdopodobny, ale tylko prawdopodobny, powód ich śmierci.

— Nie masz racji. Z całą pewnością przyczyną zabójstw były polityczne postawy i przekonania tych ludzi.

— Większość nie prezentowała żadnych politycznych postaw.

— No właśnie. To byli spokojni ludzie o umiarkowanych poglądach, może odrobinę skierowanych w lewo. Wszyscy cieszyli się poważaniem w swoich środowiskach, i to oni mogliby zdecydować o wyniku przyszłych wyborów.

Mel zrobił zdziwioną minę.

— Nie rozumiem cię, John. Przecież w najbliższym czasie nie czekają nas żadne wybory.

— Na razie nie. Ale pamiętaj, co powiedział nam Pickaway o krzywej demograficznej i o tym, jak można przewidywać postawy wyborców. Pamiętaj, co mówił o politycznie wpływowych ludziach, o tym, że nie należy ich mylić z politycznie aktywnymi.

— Tak, ale...

— Ale co? Jak dotąd wszystko mi pasuje. Wszystkie ofiary były spokojnymi, zwykłymi, zyczliwymi, miłymi osobami. Miały wpływ na innych dlatego, że były lubiane. To właśnie decydowałyby w wyborach; przyjaciele i znajomi głosowałiby tak jak oni.

— W porządku, to jest nawet dobra teoria. Zapominasz jednak, co doktor Pickaway mówił o tym swoim magazynie. Czytuje go co najwyżej kilka setek ludzi i połowa, przyjmę każdy zakład, niewiele z niego rozumie.

John potrząsnął głową.

— Doktor powiedział też, że artykuł o krzywych demograficznych wywołał spore zainteresowanie. Jego treść z całą pewnością znana jest już nie tylko w kręgach medycznych.

— No i co z tego? — zawołał Mel. — Myślisz, że ktoś, kto przeczytał ten artykuł, pozbywa się teraz z jakiegoś powodu niewygodnych mu ludzi?

— Być może. Muszę się dowiedzieć, czy tak właśnie jest.

Mel podrapał się po brodzie.

— Dla mnie to brzmi bez sensu. Kto w tym kraju zdecydowałby się na wymordowanie setek, a może tysięcy ludzi, żeby zmienić jego polityczne oblicze?

— Historia zna takie przypadki — powiedział John. — Nie jest to więc niemożliwe.

Zgodzę się z tobą, że bardziej prawdopodobnym miejscem takiej akcji byłaby na przykład Uganda, ale z jakiej racji miałbym przypuszczać, że ludźmi dążącymi do władzy w Ugandzie kierują inne instynkty niż tymi, którzy chcą władać Ameryką?

Mel zamilkł na długą chwilę, po czym zapytał:

— John, czy wyświadczyłbyś mi przysługę?

— Jaką?

— Zadzwoń do FBI. Nie mieszaj się w to wszystko. Nie chcę, żeby i tobie coś się stało.

— Przykro mi, Mel, ale muszę ci odmówić.

— John, to twój obowiązek.

— Obowiązek? Wobec kogo?

— To twój obowiązek jako obywatela. Nigdy nie zdołasz dopaść tych morderców. A FBI może to zrobić.

— Obowiązek to ja mam wobec mojego ojca. I wobec Vicki.

Mel trzasnął pięścią w stół.

— Ale masz też obowiązek wobec siebie samego. Pozostałeś jedynym żyjącym człowiekiem w swojej rodzinie...

— Dziękuję ci, pamiętam o tym.

Zrozpaczony Mel ciężko westchnął.

— Co więc zamierzasz, do cholery? — zapytał.

John usiadł przy stole i przetarł oczy.

— Po pierwsze, mam zamiar kupić sobie broń; myślę, że w najbliższych dniach będzie mi potrzebna jakaś zabawka do strzelania. Po drugie, mam zamiar złożyć wizytę profesorowi Aaronowi Sweetmanowi.

— Przecież to jest szalone! Niebezpieczne.

— Niebezpieczniej będzie, jeżeli tego zaniecham.

Mel przez długą chwilę przypatrywał się Johnowi.

— Wiesz co? Powiem ci to tylko raz — odezwał się. — Widzę, że już się zdecydowałeś, jednak muszę ci to powiedzieć. Ty i Vicki byliście moimi najlepszymi przyjaciółmi, teraz, gdy Vicki odeszła, pozostałeś mi jedynie ty. Dlatego chcę, żebyś to wszystko przeżył, żebyś się opamiętał i zrezygnował z samotnej walki z wiatrakami.

— Nie mogę, Mel — odparł bardzo cicho John.

Mel pokiwał głową.

— Wiem — powiedział.

KSIĘGA DRUGA

UPADŁY

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Magazyn „People” nazwał ją kiedyś „skrzyżowaniem aniołka Charliego z walkirią”. Miała prawie sześć stóp wzrostu i długie, jasne włosy. Jej barki były niemalże tak szerokie jak męskie. Nosiała tweedowe marynarki i spodnie ze sztruksu, wpuszczone w wysokie skórzane buty. Na przegubach miała mnóstwo bransolet, a na palcach pierścienie z wielkimi ametystami i skrzącymi brylantami.

Jej twarz, surowa i niemal kwadratowa, odznaczała się wydatnymi, jakby opuchniętymi policzkami. Spojrzenie jej bladoniebieskich oczu było przenikliwe i świdrujące; zaszczyceni nim osobnicy odnosili wrażenie, że oto przenika ich promień lasera. Pod marynarką nosiła zazwyczaj szyfonową bluzkę, tak przejrzystą, że gdy marynarka rozchyłała się, widać było sterczące sutki jej bardzo małych piersi. Hilary Nestor Hunter miała trzydzieści siedem lat, tytuł doktora prawa i była przewodniczącą Ligi Wyzwolenia Kobiet. W jej najgłębszym przekonaniu mężczyznom na tym świecie nic się nie należy, nie mają prawa do niczego, a już przede wszystkim do kobiet.

Wokół niej skupiały się kobiety, ponieważ przerażała mężczyzn. To przerażenie sprawiało, że mężczyźni z kolei bywali nią zafascynowani; straszliwe zjawiska często wywołują taki stan ducha. Jej przyjaciel i protektor, Carl X. Chapman, często jej powtarzał:

— Zbyt wielu polityków popełnia ten sam oczywisty błąd: Są zbyt mili dla ludzi i zawsze na tym tracą, gdyż takich milusich typów nikt nie traktuje poważnie. Jedyne sposoby na to, by ludzie cię szanowali, polega na przestraszeniu ich na śmierć, dopiero wtedy wszyscy będą się za tobą oglądać, starannie wyszukując twoją dupę, by w odpowiednim momencie ją pocałować.

Gdy Hilary Nestor Hunter pojawiła się w Centrum Kongresowym na Figueroa Street, gdzie odbywał się kongres Ligi Wyzwolenia Kobiet, natychmiast rzucili się w jej kierunku fotoreporterzy, ze wszystkich stron strzelając fleszami lamp błyskowych. Hilary dumnie kroczyła do sali obrad, otoczona przez ochronę, składającą się ze ślicznych, lecz celowo nie podkreślających swojej urody dziewczyn. Nie zawiodła fotografów, przystając na chwilę w wejściu i unosząc w górę zaciśniętą pięść.

Sala była już pełna, a w powietrzu unosił się jazgot kobiecych głosów niczym bzykanie pszczoł czekających na królową. W chwili gdy już miało się okazać, że czas oczekiwania się kończy, Hilary wystawiła ich cierpliwość na jeszcze jedną próbę, niespodziewanie przystając i improwizując konferencję prasową. Jej groźne spojrzenie zarejestrowały wszystkie kamery filmowe. Jeden z dziennikarzy rzucił pytanie:

— Pani Hunter, ostatnio pani męscy zwolennicy, mam na myśli homoseksualistów, bardzo na panią naciskali, aby Liga Wyzwolenia Kobiet opowiedziała się po stronie praw lesbijek.

Co zamierza pani dzisiaj powiedzieć tym kobietom?

Wyraźnym, dźwięcznym głosem Hilary Nestor Hunter i odpowiedziała:

— Nie zamierzam przypominać im, że Liga Wyzwolenia Kobiet jest ruchem wszystkich kobiet, a nie ruchem, który stawiałby sobie za cel egzekwowanie praw seksualnych czy to większości, czy mniejszości. Przedmiotem naszej troski i walki są przede wszystkim prawa polityczne i prawa społeczne kobiet, a nie osobiste problemy na tle erotycznym.

— Brzmi to bardzo surowo i bezlitośnie, proszę pani.

— Kobiety nie wstępują do naszego ruchu dlatego, że oferujemy im litość. Włączają się do

niego, ponieważ pragną uzyskać w naszym społeczeństwie takie prawa, które do tej pory przyznawano tylko mężczyznom.

Po tej odpowiedzi do pierwszego rzędu reporterów wysunęła się jedna z najbardziej znanych dziennikarek telewizyjnych, aby zadać najważniejsze pytanie wieczoru:

— Pani Hunter, odnoszę wrażenie, że będzie pani musiała dzisiaj stawić czoło jednej lub dwu oponentkom, przekonanych, iż ruch, któremu pani przewodzi, jest organizacją zbyt ekstremalną. Co chciałaby pani tym osobom powiedzieć?

Zapadła cisza jak makiem zasiał, oczy wszystkich dziennikarzy spoczęły na ustach Hilary Nestor Hunter.

Hilary natomiast uniosła głowę i odezwała się:

— My wszyscy, pragnący wcielić w życie wielkie idee, narażeni jesteśmy na krytykanckie głosy niezadowolonych dysydentów. Zawsze znajdują się ludzie, którzy zamiast tworzyć, wolą krytykować. Nie dbam jednak o to. Nikt i nic nie jest w stanie zniechęcić mnie na mojej drodze do urzeczywistnienia wielkiego marzenia wszystkich kobiet. Cieszę się zresztą, że wynikają wśród kobiet pewne różnice zdań. Jest to dla mnie potwierdzeniem wielkości idei i zadań, przed którymi stoimy.

— Czy zdaje sobie pani sprawę, że zamiarem oponentek jest odebranie pani przywództwa ruchu? — kontynuowała reporterka.

— Oczywiście. Nie martwi mnie to jednak. Wszystkie członkinie ruchu traktuję jako moje ukochane dzieci. Dzieci mają to do siebie, że się kłócą, że czasami próbują podważyć uznane i oczywiste autorytety. Muszą jednak pamiętać, że je kocham i celem moich wszystkich poczynań jest ich dobro. Będę postępowała w sposób, który przyniesie im maksymalne korzyści, niezależnie od tego, czy mój sposób postępowania będzie się im podobał.

— Jak zamierza pani do tego dążyć? — zapytał kolejny dziennikarz, tym razem mężczyzna. — Czy będzie pani każdej z nich dawała klapsa na dobranoc i posyłała do łóżka?

Hilary Nestor Hunter odgarnęła z czoła niesforny kosmyk włosów i popatrzyła na dziennikarza z wyraźną niechęcią.

— Jestem bardzo wpływową osobą — oświadczyła. — Nie zamierzam strzępić sobie języka na próżno. Moje działania popierają osobistości, które wiele znaczą w tym kraju; tak jak popiera mnie większość kobiet. Pojedyncze głosy niezadowolenia nie są w stanie niczego w tej sytuacji zmienić. Jestem przekonana, że moje idee będą w niedługim czasie prawem w Ameryce.

— Czy rozważa pani możliwość objęcia jakiegoś stanowiska w rządzie, pani Hunter? — zapytała któraś z dziennikarek. — Jeżeli oczywiście zostanie pani taka propozycja przedłożona.

— Nie wątpię, że taka propozycja padnie — stwierdziła Hilary. — Jedyną niewiadomą jest, kiedy. — Uczyniła gest który aż nadto wyraźnie dał zebranych reporterom do zrozumienia, że na razie to koniec pytań, po czym niespodziewanie oświadczyła: — Panie i panowie, nie mam najmniejszej wątpliwości, iż w najbliższym czasie naszym krajem będą rządziły osoby, których największą zaletą będzie fakt posiadania zdrowego rozsądku. Na tym opieram moją pewność, że wkrótce ja, Hilary Nestor Hunter, obejmę stanowisko rządowe.

Wypowiedziawszy te słowa, ruszyła ku audytorium, otoczona przez swoją damską ochronę. Zgiełk na sali przeszedł we wrzask i pełen uwielbienia kwik. Zaraz rozległy się jednak oklaski, początkowo nieśmiałe, a później coraz wyraźniejsze i głośniejsze. Otoczona ochroną, wśród aplauzu i okrzyków radości z wzniesionymi w górę rękoma, Hilary powoli kroczyła w kierunku podwyższenia na końcu sali. Coraz więcej kobiet wstawało z miejsc i na stojąco wyrażało swój entuzjazm dla przywódczyni. Jej sylwetkę śledziły wszystkie kamery telewizyjne znajdujące się na

sali. Gdy wreszcie dotarła do stołu prezydialnego, stanęła za nim w oślepiającym blasku reflektorów, wspaniała, dumna i samotna. W tym momencie wrzaski i oklaski na sali osiągnęły apogeum.

— Zwycięzimy! — zawołała. — Zwycięzimy — powtórzyła, a z głośników do wszystkich dotarł jej potężny głos, zwielokrotniony przez wzmacniacze ogromnej mocy.

W odpowiedzi cała sala zaczęła skandować „zwycięzimy”. Wszystkie kobiety, biorące udział w kongresie, skandowały to jedno magiczne słowo — klucz, które było zarówno hasłem, jak i programem oraz deklaracją lojalności wobec Hilary Nestor Hunter. Perri Shaw obserwowała to wszystko na ekranie telewizora ustawionego w kularach.

Teraz było tutaj pusto, a na podłodze walały się setki niedopałków oraz karty programu kongresu, wydrukowane w nadmiarze przez komitet organizacyjny.

Perri popatrzyła na ojca Leonarda. Od dłuższej chwili nie patrzył już na ekran, lecz uważnie przypatrywał się właśnie jej, Perri. Ubrana była dzisiaj w spodnie i sportową kurtkę, a włosy miała spięte z tyłu. Ojciec Leonard miał na sobie strój cywilny. Nikt nie wzięłby go teraz za księdza, sprawiał wrażenie młodego chłopaka, który właśnie odprowadza gdzieś swoją ukochaną.

— Przestraszona? — zapytał.

W odpowiedzi Perri pokiwała głową.

— Chyba tak — przyznała. — A przecież nie powinnam się bać. Niestety, one wszystkie uważają Hilary za najwspanialszą kobietę, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Czy jestem więc w stanie skutecznie z nią walczyć?

— Z boską pomocą jesteś — powiedział ojciec Leonard. — A oprócz boskiej pomocy, potrzeba ci jeszcze odrobinę ludzkiej odwagi.

— Nigdy jeszcze nie znajdowałam się w takiej sytuacji.

Ujął jej dłoń i serdecznie ją uścisnął.

— Dasz sobie radę. Kiedy zakończysz swoje wystąpienie, będą ci klaskały tak, jak teraz klaszczą Hilary. Zobaczysz.

— Chciałabym w to wierzyć.

— Uważasz, że mógłbym kłamać?

Popatrzyła mu czule w oczy.

— Uważam, że ksiądz byłby w stanie kłamać, aby dodać odwagi komuś, kogo bardzo lubi.

Ojciec Leonard przez chwilę milczał, po czym pochylił głowę i bardzo delikatnie pocałował ją w czoło.

— Tak — powiedział cicho. — Bardzo cię lubię. Będę prosił Boga, żeby czuwał dzisiaj nad tobą. Będę Go prosił także, aby obojgu nam dał siłę potrzebną do wypełnienia naszych zadań.

Z sali kongresowej dobiegł aż do holu potężny wrzask. Perri spojrzała na ekran telewizora i ujrzała, że Hilary Nestor Hunter, gestykulując rozpoczyna przemówienie inauguracyjne.

— Chyba powinnaś już iść — zauważył ojciec Leonard.

— Czy będziesz modlił się za mnie? — zapytała Perri. Uśmiechnął się.

— Zmówię modlitwę za wszystkie mądre kobiety na tej Ziemi.

— A więc za mnie też?

— Tak, Perri — odparł. — Za ciebie też.

Szybko, jakby się tego wstydziła, pocałowała go w policzek, po czym pobiegła do wielkiej sali, w której Hilary Nestor Hunter grzmiąca:

— Ten kraj nie może prowadzić polityki bez udziału kobiet. Męscy szowiniści muszą to zaakceptować.

Perri szybko znalazła swoje krzesło, obok Ann Margolies z chicagowskiego oddziału Ligi

Wyzwolenia Kobiet, już od wielu miesięcy nawoływała do bardziej umiarkowanego działania i wyważenia politycznych haseł ruchu. Była niezbyt ładną dziewczyną o prostych, długich włosach. Nosiła okulary o grubych szklach oraz niewyszukany beżowy kostium. Perri spotkała ją kiedyś na regionalnym kongresie w Phoenix. Dziewczyny od razu się polubiły, szybko odkrywając, iż mają niemal identyczne poglądy na działalność Ligi.

— Cieszę się, że wreszcie dotarłaś — powiedziała Ann, kiedy Perri usiadła obok niej. — Czeka nas ciężki dzień.

Hilary Nestor Hunter zakończyła właśnie swe przemówienie. Gdy umilkła, rozległa się burza okrzyków i oklasków, które trwały bez przerwy prawie pięć minut. Dopiero wtedy przewodnicząca obradom Agnes Frohauer, najstarsza kobieta na sali, która zdążyła już pochować trzech mężów i z dwoma następnymi się rozwieść, odezwała się:

— Wpłynęło do mnie kilka wniosków od delegatek — powiedziała, wpatrując się w leżące przed nią papiery. — Wszystkich nie zdołamy w dniu dzisiejszym rozpatrzyć; postanowiłam wybrać kilka z nich, moim zdaniem najważniejszych. Pierwszy z nich postawiony został przez oddział Ligi z Idaho. Delegatki z Idaho proponują, żebyśmy opracowali tutaj, na kongresie, swego rodzaju przewodnik, zbiór wskazówek dla kobiet mieszkających wraz z mężami na dużych farmach, na słabo zaludnionych terenach. Jak wszystkim nam dobrze wiadomo, są one w sytuacji, w której bardzo trudno jest uwolnić się od męskiej dominacji, trudno jest o niezależność społeczną i ekonomiczną. Drugi wniosek przedstawiony został przez nowojorski oddział Ligi. Istota propozycji delegatek z Nowego Jorku sprowadza się do tego, abyśmy oficjalnie afiliowały nasz ruch przy jednej z partii politycznych. Trzeci wniosek zgłosiły delegatki z Los Angeles. Uważają one za celowe, cytuję, „przemodelowanie politycznych celów Ligi, ich złagodzenie i umiar w ich głoszeniu”. Innymi słowy, koleżankom z Los Angeles chodzi o to, aby naszym nadrzędnym celem stało się dążenie do równouprawnienia z mężczyznami, a nie do dominacji nad nimi.

Przez salę przeszedł szmer, który sprawił, że Agnes Frohauer umilkła. Perri niespodziewanie zaczerwieniła się i nagle poczuła, że natychmiast musi iść do ubikacji. Ann Margolies jednak uspokajająco dotknęła jej ramienia i powiedziała:

— Przynajmniej oznacza to, że pozwoliły nam przemówić. Nie były w stanie ukryć naszego wniosku.

— Niestety, i tak przepadniemy — odparła Perri. — Nie sądzę, żeby wiele delegatek nas poparło. One mają fioła na punkcie Hilary. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałam, żeby otrzymała aż tak potężne brawo.

— Delirium trwa zwykle bardzo krótko — zauważyła Ann. — I przeważnie bywa początkiem końca. Pamiętaj, kiedy będziesz przemawiała, musisz być zdecydowana i pewna siebie.

Dyskusja nad prawami kobiet mieszkających na farmach zajęła prawie godzinę i nie przyniosła żadnych konkretnych rezultatów. Jak zauważyła jakaś delegatka z Kansas, „mąż, który usłyszy od żony, że jest mu równa, roześmieje się jej w twarz. Jeżeli żona nie zechce mu się oddać, zostanie zbita na kwaśne jabłko. A w promieniu dwudziestu mil nie będzie nikogo, kto mógłby jej pomóc”.

Wniosek o afiliowanie Ligi przy partii politycznej nie był dyskutowany. Delegatki zgodnie odesłały go do komisji politycznej kongresu. Potem, na krótko przed przerwą, przyszła kolej na Perri.

Kiedy Agnes Frohauer wywołała jej nazwisko, jedynie Margolies powstała z krzesła i zaczęła bić brawo. W tym geście była desperacko samotna w wielkiej sali. Nikt się do niej nie przyłączył.

Perri podeszła do mikrofonu i rozejrzała się po uważnie wpatrzonych w nią twarzach.

Któraś z delegatek zakaszłała, jednak niemal wszystkie zamarły na swoim miejscach w oczekiwaniu, co teraz nastąpi. Wszystkie wiedziały, że Perri zaraz zaatakuje ich idolkę, samą Hilary

Nestor Hunter.

— Siostry — zaczęła Perri. — Nazywam się Perri Shaw i prezentuję jedną z najsmutniejszych, najbiedniejszych i najbardziej zagrożonych przemocą dzielnic Los Angeles. Kobiety w tej dzielnicy nie są fizycznie izolowane jak na wielkich farmach. Są one jednak odizolowane kulturowo od wszystkiego, co pozwoliłoby im mieć świadomość swych własnych praw, wynikających z faktu bycia kobietą i obywatelką tego kraju. Traktowane są przez swych mężów i braci tak, jak niegdyś traktowane były czarne niewolnice na Południu.

Bez wythnienia pracują w domach, muszą wychowywać dzieci, sypiać z mężczyznami nawet wtedy, gdy brak im już na to siły, wykonywać ich polecenia i w milczeniu znosić wszelkie upokorzenia, wiedząc, że najłabszy nawet protest spotka się z fizyczną przemocą.

Opowieści o dominacji kobiet mogą być chwytliwymi pomysłami w klasie średniej, w której kobietom powodzi się dobrze, żyją w dostatku, ale i nudzie; te kobiety są wykształcone, mają dosyć pieniędzy na swoje potrzeby, znają swoje prawa i z nich korzystają. Natomiast te z Los Angeles, o których chcę wam teraz powiedzieć, nie są zainteresowane dominacją nad mężczyznami. Zależy im na tym, aby mężczyźni traktowali je jak równe sobie. — Perri umilkła na chwilę. W sali panowała cisza, jak makiem zasiał. — W slumsach Los Angeles — kontynuowała — widywałam kobiety o poranionych twarzach, gdyż ich mężom sprawiało wielką przyjemność gaszenie papierosów na ich policzkach. Widywałam kobiety pobite niemal na śmierć tylko dlatego, że wyraziły w jakiejś sprawie swoją opinię. Widywałam takie, które oprócz mężów musiały wpuszczać do swych łóżek inne kobiety, ponieważ panowie zapragnęli małej odmiany w życiu erotycznym.

Tym nie możemy opowiadać, że mają zapanować nad mężczyznami i w najbliższej przyszłości ich zdominować. To dla nich abstrakcja. Znam również tych mężczyzn: nie liczą na to, że kiedykolwiek uznają nad sobą władzę kobiet. Z trudem przyjdzie im uznać kobiety za istoty sobie równe. Z pewnością jednak nigdy nie zgodzą się z tym, że nasza płęć powinna nad nimi dominować. I uwierzcie mi, nikt nie jest w stanie zmusić ich do tego.

Jeżeli kiedykolwiek mamy odnieść sukces polegający na wyzwoleniu kobiet spod ucisku ich mężów, naszym zadaniem powinno być podnoszenie świadomości u obydwu płci. Nie ma sensu opowiadanie więźniowi, że wolność to coś wspaniałego, dopóki nie przekonamy strażników do wypuszczenia więźnia z za krat. Odnoszę wrażenie, że Liga Wyzwolenia Kobiet nie zrobiła dla nas wiele. Popelniliśmy natomiast błąd polegający na przestraszeniu wielu uczciwych mężczyzn, doprowadzeniu ich do przekonania, że jesteśmy ruchem zaborczym, pragnącym ich krzywdy. To się w tej chwili obraca przeciwko wielu kobietom.

Uważam, że naszym zadaniem jest teraz naprawienie tego błędu, przekonanie całego społeczeństwa, iż nie jesteśmy wiedźmami ani politycznymi harpiami, które chcą zdominować ten kraj. Musimy przekonać przede wszystkim mężczyzn, że jesteśmy wrażliwymi i inteligentnymi kobietami, które są w stanie zrozumieć zarówno problemy ich, jak i nasze własne.

Perri przemawiała jeszcze przez blisko dwadzieścia minut. Nie patrzyła na Hilary Nestor Hunter, która siedząc za stołem prezydialnym, prezentowała znudzoną minę. Wpatrywała się natomiast coraz intensywniej w twarze słuchaczek, zaczynając wyczuwać, że jej przemowa do nich trafia, że je przekonuje. Słowa o nędzy i rozpaczliwej sytuacji kobiet z najgorszych dzielnic Los Angeles przestraszyły je i wstrząsnęły nimi. Po raz pierwszy od dawna usłyszały z trybuny kongresu twarde słowa prawdy, zastępujące niewiele wnoszącą polityczną retorykę, którą były obficie karmione. Zaczynało do nich docierać, że kobiety w Ameryce potrzebują praktycznej pomocy, czynów, że słowa, chociażby najgłośniejsze i najbardziej dramatyczne, ich sytuacji nie zmieniają.

Perri zakończyła swe wystąpienie opowieścią o kobiecie, której pomógł ojciec Leonard. Jej

mąż oferował ją każdemu kolesiowi przyprawionemu do domu po popijawie. Musiała kochać się z nastoletnimi chłopakami, narkomanami i innymi degeneratami, podczas gdy jej mąż się temu przyglądał. Ojciec Leonard zdołał uświadomić mężczyźnie, jak niegodziwie postępuje, i uratował to małżeństwo.

Gdy Perri skończyła, na sali przez długą chwilę trwała niczym nie zmacona cisza.

Wreszcie z krzesła podniosła się Ann Margolies i zaczęła klaskać. Dołączyła do niej któraś z siedzących w pobliżu kobiet, a potem już delegatki zaczęły powstawać jedna po drugiej.

Wkrótce wszystkie zgromadzone na sali kobiety biły Perri brawa na stojąco. Chcąc nie chcąc, powstać musiała również Hilary Nestor Hunter. Jej twarz nie pozostawiała jednak wątpliwości, jak bardzo jest wściekła.

Kobiety nie krzyczały, nie podskakiwały jak po wystąpieniu Hilary. Jednak ich szczere, niewymuszone oklaski były dla Perri wystarczającym dowodem, że dotarła do ich serc, że uwierzyły i zaakceptowały jej słowa.

Perri powoli zeszła z podium i do mikrofonu zbliżyła się Hilary Nestor Hunter. Czekala przez chwilę z wymuszonym uśmiechem na twarzy, aż umilkną oklaski, po czym odezwała się:

— Było to jedno z najpiękniejszych wystąpień publicznych, jakie słyszałam w ostatnich latach. Myślę, że powinniśmy być dumne z siostry Perri Shaw. — Uniosła głowę i surowym spojrzeniem przebiegła po całej sali. — Oczywiście — kontynuowała — nie możemy się zgodzić z jej wywodami. Wzruszyła nas swoimi słowami, jednak nie zapominajmy, że naszym ostatecznym celem jest zwycięstwo w zmaganiach na skalę wojny domowej. A wojny przynigdy nie wygramy, jeżeli przed walką powstrzymywać nas będą dole i niedole nieszczęsnych kobiet z jednej dzielnicy Los Angeles. Nie walczymy o to, by kilku sadystów powstrzymać przed molestowaniem żon. Po wielu wiekach męskiej dominacji nad nami walczymy o coś znacznie większego: o władzę, pieniądze i wpływy. Walczymy przeciwko całemu światu, a nie przeciwko kilku mężczyznom. Rozumiem, co pragnie nam przekazać siostra Perri Shaw, jednak myśli ona zbyt ciasnymi kategoriami. Dziękując więc jej za wystąpienie, muszę powiedzieć, że akceptując ideę, którą ona popiera, a więc zastępując ideę naszej dominacji nad mężczyznami ideą równości, zdradziłybyśmy wszystko to, o co od tak dawna walczymy.

Kiedy Hilary skończyła, rozległa się potężna burza oklasków. Niektóre kobiety krzyczały nawet na znak poparcia. Perri zmartwionym spojrzeniem przebiegła po audytorium i zrozumiała, że charyzma Hilary Nestor Hunter zdominowała jej rzeczowe argumenty.

Pochyliła się i szepnęła do ucha Ann Margolies:

— Czy jesteśmy w stanie opóźnić głosowanie? Czuję, że jeżeli zdołałybyśmy porozmawiać z niektórymi siostrami na osobności, mogłybyśmy przekonać je, że to my jednak mamy rację.

— Zobaczę, co się da zrobić — odparła Ann i uniosła w górę rękę.

Agnes Frohauer zauważyła jej uniesioną dłoń i rzuciła z trybuny pytanie:

— Siostro, czy chcesz przedstawić jakiś wniosek?

— Tak, siostro. Proponuję, abyśmy przełożyły głosowanie nad problemem zaprezentowanym przez siostrę Perri Shaw do jutra rana. Jestem przekonana, że to opóźnienie da nam wszystkim czas na głębsze zastanowienie się nad jego istotą.

— Czy ktoś popiera ten wniosek? — zapytała Agnes Frohauer.

Dłoń uniosła jakaś dziewczyna z Karoliny Południowej. W ślad za nią uniosła ręce większość kobiet zgromadzonych na sali.

— A więc zgoda, głosowanie nad problemem, który przedstawiła siostra Shaw, odbędzie się jutro i będzie pierwszym punktem obrad. Ponadto uważam, że nastala już pora, abyśmy zakończyły

dzisiejsze posiedzenie. Dziękuję wszystkim siostram za uwagę. Przypominam, że w hallu można jeszcze kupić okolicznościowe znaczki Ligi Wyzwolenia Kobiet.

Na zewnątrz Perri spotkała ojca Leonarda. Wyglądał na dumnego z niej, spoglądał jednak na nią nieśmiałym wzrokiem.

— Byłaś wspaniała — powiedział. — Nawet nie przypuszczałem, że tak dobrze spełnisz swoją misję.

— Czy postawisz mi z tej okazji filiżankę kawy?

— Mogę ci nawet postawić okolicznościowego drinka.

— Kawa mi najzupełniej wystarczy. Nie chcę, żebyś stracił swe miejsce w niebie z powodu upicia niewinnej dziewczyny.

Ruszyli powoli Figueroa Street, nie zdając sobie sprawy z mijających ich w wielkim pośpiechu delegatek, opuszczających centrum kongresowe i śpieszących do hotelu. Weszli do baru przekąskowego i zamówili dwie filiżanki kawy, a potem usiedli przy stoliku i patrzyli sobie nawzajem w oczy, nie odrywając od siebie spojrzeń. Można było odnieść wrażenie, że każde z nich chce obserwować we wzroku drugiego z każdą sekundą rozkwitające uczucie.

Ojciec Leonard nie potrafił jednak ukryć rozterek i wątpliwości, które nurtowały go od chwili, kiedy Perri powiedziała, że go kocha. Coraz bardziej oszołomiony wahał się. W tej chwili nie wiedział już, jak postąpi.

O pół do ósmej, kiedy rozstawali się na rogu Figuer i Pico, ojciec Leonard uścisnął dłoń Perri i powiedział:

— Wiesz, że wkrótce będę musiał podjąć jakąś decyzję, prawda?

W odpowiedzi pokiwała głową.

— Myślałem, że jeśli pozwolę sobie na uczucie do ciebie, nie będę mógł służyć Bogu z taką siłą jak do tej pory. Chyba się myliłem. Dziwne, ale w tej chwili czuję się o wiele silniejszy niż kiedykolwiek. Czuję się też o wiele lepiej, bo oprócz Boga mam również ciebie.

— Leonardzie, wiem, jak ci trudno, i wiem, że decyzję musisz podjąć sam. Kocham cię, jednak nie mogę być egoistką, nie będę cię do niczego namawiała. Musisz wybrać sam.

Gdybyś pewnego dnia stwierdził, że się pomyliłeś, nie potrafiłabym tego znieść.

— Tak, wiem, cała odpowiedzialność spoczywa na mnie. — Oczy ojca Leonarda były smutne, podkrążone. — To jest sprawa tylko pomiędzy mną a Bogiem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Perri sama dotarła na parking i otworzyła drzwi swojej brązowej toyoty. Rzuciła notes na siedzenie i uruchomiła auto. Włączając się we wzmożony o tej porze ruch ruszyła do domu, do małego mieszkania niedaleko Plummer Park w Hollywood. Komunikaty radiowe ostrzegały o potężnym smogu, którego się spodziewano następnego dnia, oraz informowały o kolejnej ofierze Dusiciela; skauci znaleźli zwłoki zamordowanej kobiety w krzakach niedaleko Griffith Park.

Dotarłszy na miejsce, Perri zaparkowała na szerokim betonowym chodniku przed blokiem.

Wokół było cicho i spokojnie, słychać było jedynie delikatny szelest palm, kołysanych przez wiatr. W jednym z okien parteru Perri ujrzała panią Ramonez, szatkującą czerwoną paprykę na stole kuchennym. Z innego okna dobiegały ciche dźwięki hiszpańskiej muzyki. Perri pozostawiła je za sobą, zamykając drzwi klatki schodowej. Powoli zaczęła się wspinać po schodach i po dwóch minutach znalazła się na balkonie, na którym znajdowały się pomalowane na różowo drzwi do jej mieszkania.

Wyciągnęła z torebki klucz i gdy już miała umieścić go w zamku, zamarła w bezruchu i zaczęła nasłuchiwać. Odniosła wrażenie, że z wnętrza jej mieszkania dobywają się dźwięki muzyki. Przez chwilę się zastanawiała, czy rano nie zostawiła włączonego radia, ale natychmiast przypomniała sobie, że tego ranka słuchała płyt i z całą pewnością wyłączyła aparaturę.

Przestraszyła się. A jeżeli natknie się na złodzieja okradającego mieszkanie? Na Norton Avenue włamania zdarzały się bardzo często, a dokonywali ich głównie narkomani, którzy poszukiwali pieniędzy. Chociaż... Całkiem niedawno pewna Meksykanka, mieszkająca po drugiej stronie ulicy, została przez złodziei zgwałcona i brutalnie pobita.

Perri jeszcze przez moment się wahała, po czym postanowiła, że otworzy drzwi i rzuci szybkie spojrzenie do środka.

Powoli i bardzo cicho przekręciła klucz w zamku. Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy, że prosta czynność otwierania drzwi do mieszkania może powodować tyle hałasu. Przez cały czas uważnie przypatrywał się jej biały kot, siedzący na poręczy balkonu.

Pchnęła drzwi, robiąc szparę na całą szerokości, przez którą mogła zobaczyć wnętrze mieszkania. Teraz nie miała już wątpliwości; paliły się wszystkie lampy w salonie i jeszcze wyraźniej usłyszała muzykę. Jeżeli w środku był włamywacz, to zachowywał się dziwnie.

Zawsze była przekonana, że złodzieje śpieszą się i w tym pośpiechu kradną to, co wpadnie im w ręce. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że mogliby tygodnie rozsiadać się w fotelach i słuchać muzyki z kolekcji właścicieli mieszkań.

Jej serce biło jak oszalałe, gdy zawołała:

— Kto tam jest?!

Czekała. Nie było żadnej odpowiedzi. Płyta skończyła się i ktoś niewidoczny dla Perri wyłączył radio; spiker ostrzegał właśnie przed korkami na San Diego Freeway. Po chwili radio zaczęło nadawać muzykę; Perri usłyszała Franka Sinatrę w piosence My Way.

Perri szerzej otworzyła drzwi i ostrożnie weszła do przedpokoju. Poczta na małym stoliku leżała w tym samym miejscu, w którym zostawiła ją rano. Leżał tam nawet barometr, który niedawno kupiła w małym sklepiku, handlującym używanymi przedmiotami.

Jeszcze raz zawołała:

— Kto tam jest? Jest tam kto?!

Znów niczego nie usłyszała w odpowiedzi. Perri postąpiła dwa kroki naprzód i nerwowo zerknęła na lewo do łazienki, chcąc sprawdzić, czy nikt tam się nie chowa. Od kiedy obejrzała w telewizji straszliwy horror Psycho, często sprawdzała, czy w łazience nie chowa się ktoś, kto zniecka wyskoczy na nią z nożem.

Kiedy przekraczała próg salonu, Frank Sinatra był już mniej więcej w połowie utworu.

Perri straciła jednak poczucie czasu. Zdawało się jej, że od momentu, w którym przekręciła klucz w zamku, minęły długie godziny, a nie dwie krótkie minuty.

Stała w progu i zadrżała z przerażenia.

Na jej białej, miękkiej kanapie siedziała młodziutka dziewczyna o długich, kasztanowych włosach. Siedziała wygodnie, jakby to ona była u siebie w domu, a Perri — nie zapowiadany gościem. Czytała tygodnik z programem telewizyjnym i kiedy Perri stanęła w drzwiach, uniosła lekko głowę i powiedziała niedbale:

— Cześć.

Perri powoli odłożyła na stół notes, z niedowierzaniem wpatrując się w dziewczynę. Była najwyżej siedemnastolatką. Miała śliczną, niewinną twarzyczkę o małym, prostym nosku, a w uszach niewielkie złote kolczyki. Była bardzo ładnie opalona na brązowo, a całe jej ubranie składało się z

wystrzępionych dżinsowych krótkich spodenek i białej, obcisłej koszulki.

Sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wróciła z plaży i zażywała relaksu po długotrwałej kąpieli słonecznej.

— Cześć — odparła Perri, ochłonawszy z zaskoczenia. — Czy uznasz, że jestem natrętna, jeżeli zapytam cię, co, u diabła, tutaj robisz?

— Czekam na ciebie — odparła spokojnie dziewczyna.

— Na mnie? Przecież mnie nie znasz!

— Och, znam cię. Widziałam cię dzisiaj na kongresie.

— Jesteś delegatką?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Niezupełnie. Ale byłam tam.

Perri podeszła bliżej.

— Posłuchaj — powiedziała spokojnie. — Nie mam pojęcia, kim jesteś ani co tutaj robisz, jednak proponuję, żebyś się stąd wyniosła.

— Na imię mi Star — odparła dziewczyna, jakby to wszystko wyjaśniało.

— Star? Jaka Star?

— Po prostu Star. Dla wszystkich przyjaciół.

— Dziwię się, że masz jakichkolwiek przyjaciół, skoro w ten sposób traktujesz cudze mieszkania. Włamałaś się do mnie jak złodziejka!

Star uśmiechnęła się. W jej niby niewinnym uśmiechu było coś, co wzbudziło przestрах Perri.

— Zostawiłaś nie domknięte okienko w łazience.

Perri jeszcze raz uważnie przyjrzała się dziewczynie. Star najwyraźniej nie miała zamiaru podnieść się z kanapy. Siedziała swobodnie, z nogami szeroko rozłożonymi. W tej chwili Perri nie bardzo wiedziała, co bardziej ją denerwuje: niedbała poza dziewczyny czy też jej niewiarygodna pewność siebie.

— Idź już stąd — powiedziała po chwili. — Mam jeszcze masę pracy.

Star znów się uśmiechnęła.

— Jesteś piękna — oznajmiła niespodziewanie. — Dlatego właśnie tutaj przyszedłem.

— Nie pieprz głupot.

— To nie są głupoty, lecz prawda. Sprawiałaś dzisiaj wrażenie uroczej Joanny d'Arc.

— Posłuchaj, Star, nie interesują mnie twoje wrażenia estetyczne. Natychmiast opuść moje mieszkanie.

Star wreszcie wstała. Była bardzo drobną dziewczyną, o wiele mniejszą niż Perri. Przy tym była prześliczna. Używała męskich dezodorantów, które niezwykle pasują do młodych, ślicznych dziewcząt.

— Chyba się w tobie zakochałam — powiedziała do Perri spokojnym, niewinnym głosem.

— To jest miłość od pierwszego wejrzenia. Zakochałam się w tobie w chwili, w której cię zobaczyłam. Byłaś piękna i taka dumna, tak dzielnie uzasadniałaś swoje poglądy.

Dowiedziałam się gdzie mieszkasz, i przybiegłam tutaj prosto z Centrum Kongresowego.

Perri nerwowym krokiem podeszła do biurka i wydobyła papierosa z leżącej na nim paczki. Zapaliła go i zaciągnawszy się, szybko wydmuchnęła potężny kłęb dymu.

— Przykro mi — powiedziała — ale nie interesuje mnie miłość kobiet.

Oczy Star jakby zaszły mgłą.

— To nie ma znaczenia. I tak cię kocham. Może nawet bardziej, niż gdybyś była lesbijką.

— Być może, chciałabym jednak, żebyś wreszcie wyniosła się z mojego mieszkania.

Star znów się uśmiechnęła.

— To niemożliwe, żebyś była tak zupełnie ślepa na urodę kobiet. Przecież do Ligi Wyzwolenia Kobiet wstąpiłaś między innymi dlatego, że kobiety są piękne.

— Oczywiście, że kobiety są piękne. Ale nie miałam i nie mam zamiaru w przyszłości utrzymywać żadnych stosunków seksualnych z kobietami. A teraz wynoś się stąd. Muszę wziąć prysznic, przebrać się i przystąpić do pracy!

Star podeszła bliżej do Perri. Jej wilgotne wargi lśniły w świetle lamp.

— Czy mogłabym zostać i popatrzeć, jak się myjesz? — zapytała.

— Patrzeć na mnie? Oczywiście że nie! Co ty sobie myślisz! Wynoś się wreszcie stąd! Nie chcę cię tutaj widzieć.

Star zmarszczyła czoło.

— Czy nie uważasz, że jestem śliczna?

— Odczep się wreszcie ode mnie. Chcę zostać sama!

— Nie odezwę się już ani jednym słowem. Będę tylko na ciebie patrzyła.

Perri zdusiła papierosa w popielniczce.

— Ile razy mam ci jeszcze powtarzać? Nie interesują mnie kobiety. Jestem heteroseksualna. I jestem zakochana we wspaniałym mężczyźnie. Nie mam nic przeciwko lesbijkom i nie mam wątpliwości, że to, co do mnie poczułaś, jest szczere. Jesteś bardzo ładna i bardzo atrakcyjna. Jednak nie pozwolę ci, żebyś na mnie patrzyła, nie potrzebuję twojej miłości i uważam, że najlepsze, co możesz teraz zrobić, to włożyć buty i wynieść się stąd do diabła.

Star kilkakrotnie zamruwała oczami.

— Nigdy nie noszę butów. Nie noszę też majtek.

— W takim razie postępujesz bardzo niehigienicznie — stwierdziła Perri. — Buty i majtki to twoja sprawa, ale chodząc bosą po tym mieście, możesz nabawić się różnych chorób.

Star wbiła spojrzenie w oczy Perri. Była naprawdę piękna i Perri bała się, że za chwilę te szare oczy zahipnotyzują ją i nie będzie już miała siły, żeby się bronić.

— Nie będę ci przeszkadzała — wyszeptała Star. — Będę bardzo cicho, będę taka cicha jak mała myszka.

Perri głęboko westchnęła.

— Proszę, tak bardzo cię proszę — nalegała Star.

Perri poczuła, że brakuje jej słów. Jeszcze nigdy dotąd nie spotkała się z tak bezpośrednią propozycją seksualną; mimo jej dziwaczności, mimo irytacji, jaką w niej wzbudziła, Perri była jednak zafascynowana. Dziewczyna miała w sobie coś tak pociągającego, że jej płeć zaczynała tracić znaczenie; nie było ważne, czy jest kobietą, czy mężczyzną. Miała w sobie magiczną siłę przyciągania. Myśl o kochaniu się z nią przywoływała obraz zrywania rozkosznie smacznego jabłka z zakazanego drzewa. Perri złapała się na tym, że zastanawia się, jak by to było, gdyby była lesbijką albo chociaż biseksualistką i właśnie teraz zapragnęłaby miłości w objęciach tej dziewczyny. Całowałaby ją, pieściłaby te cudownie okrągłe, małe piersiątko...

— Cholera jasna — opamiętała się. Uzmysłowała sobie bezsens tych myśli. To, że w ogóle je do siebie dopuściła, złożyła na karb napięcia, w jakim żyła przez ostatnie dni, napięcia Wzmoczonego przez zakazaną miłość do księdza.

— Przykro mi, nic z tego nie będzie — powiedziała. — Idź Już stąd.

Star wbiła wzrok w podłogę.

— Już wiem. Ty mnie po prostu nie lubisz.

— Ja ciebie nie znam! Skąd więc mogę wiedzieć, czy cię lubię, czy też nie.

— Mogłabyś mi zaufać. Zaufanie to pierwszy krok do tego, aby kogoś polubić.

— A niby dlaczego mam ci ufać? Przecież włamałaś się do mojego mieszkania!

— Tak. Ale przecież niczego ci nie ukradłam. Po prostu czekałam na ciebie.

Perri usiadła na kanapie i Star od razu przy niej uklękła. Przez chwilę obie się sobie przypatrywały. Wreszcie Perri odezwała się zmęczonym głosem.

— Przepraszam, Star. Pochlebia mi, że ci się podobam, naprawdę cenię to sobie. Jeśli jednak na cokolwiek ci pozwolę, jedynie cię zranię. Kocham mężczyznę i to powinno ci wystarczyć.

Star opuściła głowę na kolana Perri.

— Kocham cię, Perri. Czy to się nie liczy?

— To jest szalone. Nawet nie wiesz, jaka jestem na co dzień, jak więc możesz mnie kochać?

— Pocałuj mnie — szepnęła Star. — Pocałuj mnie, chociaż raz, a wtedy sobie pójdę.

Pocałuj mnie, a zapamiętam twój pocałunek na całe życie.

Perri potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, Star. Nie pocałuję cię. A teraz już idź.

— Och, Boże, Perri, pocałuj mnie, pocałuj mnie chociaż raz! — jęknęła Star. Oczy miała przymknięte. Ujęła dłoń Perri i niespodziewanie wsunęła ją sobie za spodenki.

— Star, na miłość boską!

Potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Perri spróbowała wstać z kanapy, Star jednak napała na nią z całą siłą i pocałowała ją prosto w usta. Jakby tego było za mało, drugą, wolną dłoń Perri wsunęła sobie pod koszulkę. Perri próbowała się wyrwać, jednak dziewczyna była zadziwiająco silna. Przez krótką chwilę Perri dotykała ją w najbardziej intymnych miejscach.

Ta chwila wystarczyła fotografowi, który pojawił się jakby znikąd. W pokoju rozbrzmiał flesz i na wszystko było już za późno.

Perri wyrwała się dziewczynie i uderzyła ją w policzek. Nie miała jednak już szans, aby dogonić fotografa. Zobaczyła tylko jego plecy, kiedy zniknął w drzwiach. Przerażona, niepewna, co teraz robić, Perri przystanąła na środku pokoju, po chwili odwróciła się ku Star, która poprawiała koszulkę i spodenki.

— Star — odezwała się Perri.

— Tak, słucham cię?

Star uśmiechała się, był to teraz jedynie płytki, zdawkowy uśmiech. Nie było w nim już ani śladu pożądania sprzed kilku chwil.

— Wrobiłaś mnie w to wszystko, prawda?

— Jasne.

— Możesz mi chociaż powiedzieć, dlaczego?

— To nie był mój pomysł, Perri. Naprawdę, to nie był mój pomysł.

— Myślisz, że ci uwierzę?

— Nie masz innego wyjścia.

— Włamałaś się do mojego mieszkania, doprowadziłaś do tego, że ktoś zrobił zdjęcie, z całą pewnością po to, żeby mnie szantażować, i teraz jeszcze przypuszczasz, że ci uwierzę?

— Perri — westchnęła Star. — Nie bądź naiwna. Czy naprawdę nie potrafisz odgadnąć, czyja to sprawka?

— Cholera, nie! Kto do diabła byłby...

Urwała w połowie zdania. Star wciąż łagodnie się uśmiechała. Było w tym uśmiechu coś niezwykle pociągającego.

— To chyba nie była Hilary, co? — zapytała Perri.

Star wciąż się uśmiechała.

Perri znów usiadła na kanapie.

— Zaraz, zaraz, chyba zacznym wszystko rozumieć. Hilary Nestor Hunter. Zapłaciła ci, żebyś tu przysłała. Pewnie dała ci nawet mój adres.

— Zarobiłam za to pięćdziesiąt dolców. Ale jesteś naprawdę miłą dziewczyną, Perri, czy wiesz? Zgodziłabym się na tę robotę nawet za darmo, gdybym wcześniej wiedziała, że jesteś taka miłusia.

Perri jakby nie słyszała jej słów.

— Czy Hilary naprawdę uważa, że jestem dla niej aż tak wielkim zagrożeniem? Czy nie wystarczyłoby jej, że jutro mnie przegłosuje, czy musi mnie aż tak pogrążyć? Przecież jutro nie mam żadnych szans, i ona wie o tym równie dobrze jak ja.

— Hm — mruknęła Star. — Nie znam się na tym i nie mogę ci powiedzieć. Ja jedynie wykonywałam robotę, którą zleciła mi pani Hunter.

Perri spojrzała na nią lodowatym wzrokiem.

— Rozumiem. Zdaje się, że dobrze się sprawiłaś. Skoro więc już zrobiłaś swoje, wynoś się stąd, zanim poczuję ochotę, żeby zrobić ci krzywdę.

— Jest jeszcze coś. Mam dla ciebie wiadomość.

— Jaką wiadomość?

— Och, jest bardzo prosta. Hilary kazała ci przekazać, że jeżeli jutro rano nie wycofasz swojego wniosku, to zdjęcie dotrze do wszystkich delegatek.

— Możesz jej powiedzieć, że mam ją w dupie.

— Hilary powiedziała, że jeżeli delegatki zobaczą to zdjęcie, i tak zagłosują przeciwko tobie, ponieważ stwierdzą, że jesteś lesbijką i się z tym ukrywałaś. Lesbijki będą przeciwko tobie, dlatego że ukrywałaś swoje zainteresowania; te, które sypiają z facetami, będą przeciwko tobie chociażby z tego powodu, że uznają cię za lesbijkę.

Perri wytrząsnęła z paczki kolejnego papierosa.

— Dziękuję ci, rozważę to. Powiedz Hilary, że może pokazywać tę fotografię, komu tylko będzie chciała.

Star odgarnęła do tyłu swe lśniące, kasztanowe włosy i jeszcze raz uśmiechnęła się, tym razem jakby ze smutkiem.

— Hilary kazała mi cię ostrzec, iż żaden skandal związany z twoją osobą nie przysłuży się dobrze ojcu Leonardowi, kimkolwiek on jest.

Perri wpatrzyła się w nią z niedowierzaniem.

— Co Hilary wie o ojcu Leonardzie?

— Nie mam pojęcia. — Star wzruszyła ramionami. — Jednak wyraźnie nakazała mi, żebym ci przypomniała jego imię.

Perri poczuła, jak zasycha jej w gardle. Wpatrywała się w Star, podczas gdy dziewczyna najwyraźniej zbierała się do odejścia. Stała jeszcze w progu i posłała Perri pożegnalny pocałunek.

— Trzymaj się — powiedziała i, wciąż bosy, wyszła na balkon, biegnący wzdłuż całego piętra. Starannie, bardzo cicho zamknęła za sobą drzwi, i już jej nie było.

ROZDZIAŁ TRZECI

W czwartek po południu namierzyli Davida Radetzky'ego, gdy przekraczał granicę międzystanową, zmierzając z Nevady do Kalifornii autostradą numer 52, biegnącą przez Pahrump

Valley. Prowadził białego monarcha z prędkością dziewięć — dziecięciu mil na godzinę już od dobrych trzech godzin, czym prędzej uciekając z Las Vegas.

Dzień był wprost niemożliwie gorący. Klimatyzacja w wozie pracowała pełną parą, a mimo to biała koszula z krótkimi rękawkami lepiała się do ciała detektywa. Nerwowo żuł gumę i wydobywał z samochodu całą jego moc, gnając przed siebie niczym ścigane zwierzę, pragnąc jak najszybciej znaleźć się możliwie daleko od miejsca, w którym przygotowano na niego pułapkę.

Na siedzeniu obok niego spoczywały kasety, na których uwieczniono kompromitującą randkę senatora Chapmana z Lollie Methven. Na tablicy rozdzielczej leżał policyjny rewolwer marki Smith and Wesson kaliber 38.

David oraz Duke i Juan opuścili swój pokój hotelowy, znajdujący się bezpośrednio pod apartamentem wynajętym dla Lollie, natychmiast, gdy stało się jasne, że dziewczyna spaliła całą grę. Duke pojechał do Kalifornii drogą międzystanową numer 15, Juan skierował się do Reno, chcąc przeciąć granicę stanu w Lake Tahoe. Natomiast David wybrał trasę, której, jak przypuszczał, ewentualni prześladowcy powinni się najmniej spodziewać: przez góry Nopah do Shoshone.

Autostrada była niemal zupełnie pusta, co najwyżej w kilkunastominutowych odstępach

David napotykał samotne ciężarówki. Pewnie prowadził wóz, ani na moment nie odrywając dłoni od kierownicy. Liczył mile, które pozostawały mu do Kalifornii, żuł gumę i błagał

Boga, żeby nie pozwolił mu wpaść w ręce ludzi pracujących dla senatora z Minnesoty.

Doskonale wiedział, że jednym z tych ludzi jest Eugenio Domani, i zdawał sobie sprawę, co to oznacza. Domani był jednym z najpotężniejszych gangsterów w Las Vegas i, jak wieść niesła, jednym z najokrutniejszych ludzi w Stanach. Dostanie się w jego łapy mogło zapowiadać jedynie śmierć w straszliwych męczarniach, dlatego David musiał jak najszybciej wydostać się z Nevady, w granicach której Domani miał wręcz nieograniczoną władzę.

Kalifornia była już terenem Davida, stanem, w którym miał wielu wpływowych przyjaciół. Z ich strony mógł się spodziewać każdej pomocy. Znał wielu funkcjonariuszy z kalifornijskiej policji drogowej co nie było bez znaczenia. Mógł nawet załatwić sobie eskortę od granicy stanu.

Kusiło go, żeby wezwać pomoc przez CB-Radio. Uznał jednak, że dopóki nie dotrze do granicy Kalifornii, najmądrzej będzie zachować ciszę radiową. Nie wiedział, jaką władzę dysponuje tutaj senator Chapman, wystarczał mu jednak strach przed Domanim, by trzymać dłoń z daleka od mikrofonu.

Popatrzył na wskaźnik stanu paliwa i stwierdził, że ma jeszcze ponad pół baku. Z tym zapasem bez trudu mógł dotrzeć do Shoshone i tam zatankować. W pewnej chwili uświadomił sobie, że guma, którą żuje od kilku godzin, nie ma już żadnego smaku. Opuścił boczną szybę i wypluł ją. Pomyślał, że nie powinien być taki cholernie spięty.

Niestety, znalazł się w sytuacji, której się zawsze obawiał. Od wielu lat najgorsze nocne koszmary, jakie mu się trafiały w jego samotnym mieszkaniu w zachodnim Los Angeles, dotyczyły tarapatów związanych z popadnięciem w konflikt z którymś z potężnych mafioso.

Był doświadczonego, dobrym prywatnym detektywem. Pracował z niezwykłą skrupulatnością, co oznaczało, że jego śledztwa trwały zwykle trochę dłużej, niż należało się spodziewać.

Zawsze jednak przynosiły oczekiwane rezultaty. Naprawdę nigdy nie zamierzał wścibiać nosa do spraw, z których na całe mile śmierdziało niebezpieczeństwem, a które najczęściej kończyły się dla detektywów ciężkimi obrażeniami lub śmiercią.

Kątem oka zerknął na kasety. Kusiło go, żeby wyrzucić je wszystkie przez okno samochodu i zapomnieć o całej sprawie. To nie rozwiązywało jednak problemu. Zawartość kaset dorównywała materiałom, które stanowiły dowód w aferze Watergate; wiedział, że musi o tym komuś powiedzieć.

Był przerażony, w tej chwili na jego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność. I miał nadzieję, że pewnego dnia, kiedy ten cały Chapman znajdzie się za kratkami, będzie mógł z dumą opowiadać dziennikarzom o swej szaleńczej ucieczce z Las Vegas.

Na razie jednak najważniejsze było dotarcie do Kalifornii. Włączył odbiornik radiowy. Z powodu gorąca i otaczających go gór, z głośników dochodziło więcej trzasków niż jakichkolwiek innych dźwięków, zdołał jednak usłyszeć prezydenta Cartera, opowiadającego o bombie neutronowej. Przysłuchiwał się mu przez chwilę, po czym poszukał stacji nadającej muzykę. Do granicy stanu brakowało mu mniej więcej dziesięć minut jazdy.

Niestety, nie widział helikoptera marki Bell B-47, który wyłoniwszy się zza linii Potosi Mountain, leciał dokładnie za nim. Leciał nisko i bardzo szybko zbliżał się do monarcha.

Lśnił w słońcu, jednak potężna chmura kurzu, unosząca się za samochodem, sprawiała, że David nie mógł go zobaczyć. W chwili gdy auto zaczęło stromą serpentyną zjeżdżać w dół, w kierunku Pahrump Valley, helikopter ukrył się za skałami. Pokazał się dopiero wtedy, gdy samochód znów znalazł się na prostym odcinku autostrady w dolinie.

Val, ubrany w oślepiająco jaskrawą, czerwonopomarańczową koszulę, siedział na miejscu pilota. Obok niego, w starannie wyprasowanych, białych spodniach, wyczyszczonych do połysku białych butach i w białej koszuli z krótkimi rękawkami, siedział Umberto. Pomiedzy nogami trzymał pionowo, lufą do góry, potężny karabin kaliber 47.

Wyciągnąwszy przed siebie rękę, Umberto wskazał Valowi punkt przy końcu doliny, gdzie szosa znów zakręcała, i powiedział:

— Tam. Musimy obniżyć się za tym zakrętem, tak żeby nas nie zobaczył.

— A dlaczego nie spadniemy na niego teraz prosto z nieba i nie rozwalimy go? — zapytał Val.

Ponieważ byłoby to głupie i niebezpieczne — odburknął Umberto.

— Nigdy nie możemy iść na całość — westchnął Val. — Zawsze jakaś zabawa w ciuciubabkę.

— Tego życzy sobie senator Chapman, bądź więc uprzejmy nie narzekać.

— Senator Chapman! — Val wzruszył ramionami.

— Tak, senator Chapman. Jest wystarczająco potężny, żeby wkrótce zostać prezydentem.

A teraz staraj się, j mamy skutecznie załatwić tego faceta.

Val uniósł maszynę i posłusznie pomknął ku wylotowi doliny, gdzie teren znacznie się wznosił. Umberto wyrztał przez boczne okno, uważnie śledząc białą sylwetkę samochodu Davida Radetzky'ego. Wyprzedzili go w ciągu kilkunastu sekund, a gdy minęła minuta, byli już poza doliną i mogli spokojnie oczekiwać na pojawienie się pojazdu.

Umberto wskazał Valowi łuk autostrady; miejsce to musiało jeszcze dość długo pozostawać poza zasięgiem wzroku Davida.

— Wypuść mnie w tamtym miejscu — rozkazał. — A potem wycofaj się za wzgórze i tam czekaj.

Val posłusznie posadził maszynę na poboczu, wznecając ogromne tumany kurzu.

Umberto szybko odpiął pas bezpieczeństwa i wyskoczył na zewnątrz. Sprawdził miniaturowy nadajnik radiowy, wprowadził nabój do lufy karabinu i popatrzył jeszcze na zegarek.

— Radetzky będzie tutaj za dwie albo trzy minuty — krzyknął do Vala. — Wycofaj się stąd jak najszybciej. Jak zacznie się strzelanina, nie chcę, żebyśmy przypadkiem uszkodzili helikopter. Jeżeli nie zgłoszę się przez radio za dziesięć minut, zacznij mnie szukać.

Val wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

— Odstrzel facetowi głowę i jaja, dobra? Umberto machnął na niego niecierpliwie ręką.

— Zrobię to specjalnie dla ciebie. A teraz zjeżdżaj stąd.

Zatrzasnął drzwi kokpitu i szybko pobiegł za jakiś kamień, aby ukryć się przed kolejną wielką falą kurzu, jaką wzbił unoszący się helikopter. Odczekał, aż maszyna wzniosła się na wysokość przynajmniej stu stóp, po czym wyszedł z ukrycia i przeszedłszy kilkadziesiąt kroków, zatrzymał się przed samotnym znakiem drogowym „niebezpieczny zakręt”.

Wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i otarł z czoła pot i kurz. Ponownie spojrzął na zegarek. Przyjął, że jeśli David Radetzky jechał z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, powinien dotrzeć do zakrętu za minutę i dwadzieścia sekund. Gdyby nie zakręt, trudno byłoby go trafić. W tym miejscu jednak musiał zwolnić. Poza tym w chwili, gdy zmieni kierunek jazdy, niespodziewanie oślepi go słońce. Umberto nie miał wątpliwości, że bez problemu unieszkodliwi detektywa.

W chwili gdy helikopter zniknął za linią wzgórz, dookoła zaległa niczym nie zmacona cisza. Wiał leciutki wiatr, a z przydrożnych rowów dobiegało ciche cykanie owadów; dźwięki w tej scenerii zupełnie naturalne. Umberto jeszcze raz wyciągnął chusteczkę i tym razem przetarł dłonie. Potem oparł się o znak drogowy, uniósł karabin i skierował jego lufę w punkt, w którym w każdej chwili spodziewał się samochodu Davida.

Wreszcie dotarł do niego warkot silnika.

W tym momencie, znajdując się w odległości pół mili od Umberta, David wciąż nie mógł go zobaczyć, gdyż osłaniało go wysokie pobocze na lekkim łuku drogi, prowadzącym do ostrego zakrętu. Przyciskał pedał gazu do samego końca i jadąc na samym środku drogi, mknął z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. Co chwilę wpatrywał się w lusterko, sprawdzając, czy nikt go nie ściga, jednak był niemal pewny, że nikt nie mógł wyruszyć w pogoń za nim tak wcześnie ani gonić go z prędkością, która pozwoliłaby na złapanie go przed granicą stanu Kalifornia. Niemal odetchnął z ulgą.

Wreszcie włączył CB-Radio. Za kilka chwil przejedzie przez granicę międzystanową i nie będzie już musiał ryzykować. Natychmiast wezwie swych przyjaciół z policji drogowej, aby eskortowali go do samego Los Angeles. Im szybciej pozbędzie się tych kaset, tym szybciej odzyska dobre samopoczucie.

Kilkakrotnie już w przeszłości zdobywał dowody zdrady podobne do tych, które wiózł teraz. Zwykle najpierw proponował ich kupno, za słoną cenę, osobom uwiecznionym na taśmach wideo. Tym razem jednak doskonale wiedział, że podobny interes nie wchodzi w grę. Cóż z tego, że szantażowałyby Carla Chapmana albo sprzedał szczegóły dotyczące krzywej Sweetmana demokratom? Cóż z tego, że skontaktowałyby się z Woodwardem i Bernsteinem* i zapytałyby czy interesuje ich największa sensacja polityczna od afery Watergate?

Wiedział, iż na krzywej Sweetmana opiera się cała kariera Carla Chapmana i że senator z Minnesoty nie darowałby mu, gdyby stanął na jego drodze. Był pewny, że Lollie Methven już nie żyje, jednak ukrywał tę pewność sam przed sobą. Nie postawiłby też ani centa na to, że żyją jeszcze Duke i Juan.

Umberto wciąż stał pod znakiem drogowym, z karabinem wymierzonym w asfalt autostrady. Od chwili gdy wysiadł z helikoptera, minęła minuta i trzydzieści sekund.

Zbliżając się do łuku, David zdjął stopę z pedału gazy. Właśnie miał sięgnąć do radia, żeby przekręcić gałkę strojenia, gdy drobna zmiana kierunku jazdy sprawiła, że oślepiło go słońce.

Zamiast do radia, sięgnął po osłonę przedniej szyby, znajdującą się nad jego głową.

Reszta trwała już tylko krótkie sekundy. Ujrzawszy monarcha, Umberto, oparty o słupek znaku drogowego, wystrzelił w przednią szybę zbliżającego się samochodu i kula po prostu rozniosła wyciągniętą dłoń Davida. Samochód natychmiast zjechał z drogi i czołowo zderzył się ze skałą na poboczu. Blachy zazgrzytały rozpaczliwie, jakby rozdzierano właśnie na strzępy żywą istotę, a nie

rzecz od początku do końca wymyśloną przez człowieka.

Nie ruszając się z miejsca, Umberto spokojnie przeładował karabin i strzelił ponownie.

Kula trafiła w bagażnik, jednak nie dotarła do zbiornika z paliwem. Znów strzelił, tym razem niszcząc tylną szybę monarcha. Strzelił po raz czwarty i tym razem rozwalił tylną oponę z prawej strony auta.

Po czwartym strzale Umberto opuścił karabin. Nie uczynił żadnego kroku, wciąż stał w tym samym miejscu, czekając, aż ucichnie echo wystrzałów i opadnie kurz, gotów błyskawicznie zareagować jedynie na oznaki życia, które ewentualnie dobiegłyby z rozbitego monarcha. Nic takiego jednak nie następowało.

Wreszcie powoli ruszył w kierunku samochodu, a znalazłszy się Przy nim dwukrotnie go okrążył. Gdy ostatecznie stwierdził, że David Radetzky spoczywa w bezruchu za kierownicą, a twarz ma całą we krwi, oparł karabin o karoserię i szarpnął ja przednie drzwiczki po stronie pasażera.

Na podłodze, wśród odłamków szkła, leżały kasety. Podniósł je, otrząsnął ze szkła i położył ostrożnie na dachu samochodu. Następnie szybko przeszukał całą kabinę, chcąc się upewnić, że nie ma tam niczego więcej, co mogłoby być obciążającym dowodem przeciwko senatorowi Chapmanowi. Niczego nie znalazł. Zainteresował go jedynie rewolwer kaliber 38.

Bez wahania zatknął go sobie za pasek spodni.

Twarz Davida Radetzky'ego była opuchnięta i sina, jednak Umberto uniósł kciukiem jego powieki, aby upewnić się, że jest martwy. Oczy były szkliste, niewidzące.

Wtedy dopiero Umberto wyciągnął z kieszeni nadajnik i przekazał wiadomość do helikoptera:

— Val, już po wszystkim. Przyleć i zabierz mnie stąd.

Z ogromnym hałasem helikopter pojawił się już po kilkunastu sekundach. Umberto pomachał do Vala, który przez chwilę krążył nad wrakiem samochodu, wykonując stosowne fotografie, by zadowolić senatora. Wreszcie, w chmurze pyłu, maszyna osiadła na ziemi, jakieś dwadzieścia pięć jardów od wraka.

Z pochyloną głową, zasłaniając chusteczką nos oraz usta, Umberto podbiegł do helikoptera. Szybko odsunął drzwi, wrzucił do środka karabin, a potem sam wskoczył do kabiny. Val natychmiast poderwał maszynę i po minucie monarch był już tylko małą, białą kropką na ziemi, a helikopter, widziany z tego miejsca, jedynie niewielkim, srebrzystym ptakiem na bezchmurnym niebie.

Minęły dwie godziny, podczas których słońce znacznie obniżyło się w kierunku zachodniego horyzontu. Cień samochodu wydłużył się. Na pustyni robiło się coraz chłodniej, a stygnąca karoseria monarcha kurczyła się nieznacznie, powodując ciche trzaski. Mniej więcej o piątej po południu David Radetzky po raz pierwszy się poruszył.

Jeszcze zanim poczuł ból, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest spragniony. Przesunął językiem po spieczonych wargach i poczuł na nich sól oraz zaschniętą krew. W głowie mu huczało, a prawa ręka rwała, jakby ktoś z całej siły chciał mu ją oderwać od reszty ciała.

Otworzył oczy.

Przez chwilę wszystko widział jakby przez ciemnoniebieską mgłę, jednak wkrótce zaczęły do niego docierać poszczególne fragmenty obrazu, jaki miał przed sobą. Widział rozbitą przednią szybę, widział pogiętą kierownicę i swe nienaturalnie powykręcane nogi. Na chwilę przymknął oczy, aby odpocząć.

Zapadł w letarg i podniósł powieki dopiero pół godziny później. Było mu chłodno, niemal zimno. Zauważył, że powoli zapada zmrok i pomyślał, że jeśli pozostanie tutaj do nocy, z całą pewnością umrze. Nie wiedział, że druga kula wystrzelonych przez Umberto przebiła nie tylko bagażnik, ale również oparcia tylnego siedzenia oraz siedzenia kierowcy i utkwiała w jego

kręgosłupie, uniemożliwiając mu jakiegokolwiek ruchy.

Wiał zimny wiatr. W pewnej chwili David zaczął zastanawiać się, co właściwie tutaj robi i co się wydarzyło. Wiedział, że jechał w kierunku Shoshone, nie miał jednak pojęcia, w jakim celu. Jego podróż związana była z krzywą Sweetmana, nie rozumiał już jednak, co to takiego, ta krzywa. Powtarzał w myślach nazwisko, jednak kojarzyło mu się ono jedynie z czymś słodkim.

Minęła kolejna godzina. David drżał już z zimna i nie znośnego bólu. Zupełnie jednak nie czuł nóg. Nieoczekiwanie ból przywrócił ostrość jego umysłowi i David zaczął przypominać sobie, co się wydarzyło. Nie pamiętał chwili, w której Umberto po raz pierwszy do niego strzelił, ale przypominał sobie moment, kiedy szosa przeszła w łagodny łuk, a on pomyślał o tym, że wreszcie powinien nadać wiadomość CB–Radio.

Popatrzył na swoje CB. Było wciąż włączone. Gapił się w nie przez długą chwilę, zastanawiając się, dlaczego nie jest w stanie sięgnąć ręką po mikrofon. Wreszcie jednak poruszył lewą dłoń, kosztem heroicznego wysiłku. Bardziej siłą woli niż mięśni przybliżył ją do mikrofonu, dwukrotnie jednak palce okazywały się zbyt słabe. Udało mu się za trzecim razem. Zdołał nacisnąć przycisk uruchamiający nadawanie i odezwał się słabym głosem:

— Tu Blue Eyes. Znajduję się w Pahrump Valley i potrzebuję natychmiastowej pomocy.

Wszystkich, którzy znajdują się w pobliżu, błagam, pomóżcie mi, zanim umrę.

Gdy wypowiedział te słowa, sparaliżował go nagły atak bólu i dłoń, zaciśnięta na mikrofonie, zupełnie straciła czucie. Unieruchomiony David był w stanie jedynie siedzieć z zamkniętymi oczami i prosić Boga, aby przysłał mu na pomoc jakiegoś anioła.

Aniołem okazał się pięćdziesięcioletni kierowca ciężarówki Al Rippert z Santa

Barbara. Gdy usłyszał wiadomość przekazaną przez Davida, znajdował się w odległości zaledwie dwóch mil. Był jednak w Kalifornii, na autostradzie 178. Wiózł gotowe plastikowe ubikacje w budkach do centrum sportów zimowych w Lee Canyon i był zły z powodu trzygodzinnego opóźnienia w podróży; na samym środku pustyni, w wielkim skwarze, musiał wymieniać pękniętą dętkę w kole.

Nie zlekceważył jednak błagalnych słów Davida. Podjechał ciężarówką do wraka i zatrzymał się w odległości kilkunastu stóp, silnymi reflektorami oświetlając miejsce wypadku.

David Radetzky nie panował już nad swoimi zmysłami. Kiedy Al Rippert pochylił się nad jego zakrwawioną głową, zdołał jedynie wyszeptać:

— Wybory... Chodzi o wybory prezydenckie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zadzwoił telefon i Carl X. Chapman sięgnął po słuchawkę, nie odrywając wzroku od projektu przemówienia, który właśnie przeglądał.

— Tak? Kto mówi? — rzucił.

Przez dłuższą chwilę w słuchawce trwała cisza, po czym wreszcie jakiś głos odezwał się:

— Wszystko w porządku, panie Chapman. Wszystko znajduje się pod kontrolą.

— Jesteś pewien? A co z taśmami magnetofonowymi i filmami?

— Wszystko mamy. Magnetofon i dwie kasety z nagraniem. Dwie kamery wideo i dwie kasety. Jak również magnetowid.

— A Radetzky?

— Radetzky zmarł na chorobę Sweetmana. Umberto mu to zapewnił. Uciszyliśmy na zawsze

również techników wynajętych przez Radetzky'ego.

— W porządku. Dostarcz mi wszystkie kasety. Tylko ani na chwilę nie trać ich z oczu. I zapłać Domaniemu. Myślę, że pięć tysięcy dolarów będzie dobrym wynagrodzeniem za jego wysiłek.

— Z całym szacunkiem, panie Chapman, dałbym mu dziesięć. Morderstwa na zamówienie strasznie ostatnio podrożały.

— Harris, nie wyrażaj się w ten sposób przez telefon. Cholera, ktoś przecież może nas podsłuchiwać.

— Przepraszam, panie Chapman.

— Coś jeszcze, Harris.

— Tak?

— Jutro, natychmiast po spotkaniu, chcę jechać prosto do Palm Springs. Zadzwoń do Adele i powiedz jej, o której godzinie się pojawimy.

— Zrozumiałem, panie Chapman.

Carl odłożył słuchawkę i podrapał się po głowie. Uspokoił się trochę, dowiedziawszy się o śmierci Radetzky'ego. Na wypadek przecieków dotyczących krzywej Sweetmana, miał przygotowanych wiele rozwiązań awaryjnych, od napuszonych oświadczeń dla prasy aż do teorii o komunistycznym spisku, którego ofiarą padają najlepsze córki i synowie ziemi amerykańskiej. Zdawał sobie jednak sprawę, że im ściślejsza jest tajemnica, tym bliższa i bardziej realna jest chwila, w której on, Carl X. Chapman, zasiądzie w Białym Domu.

Wówczas będzie mógł sprawić, że informacja o krzywej Sweetmana nigdy i nigdzie już nie przecieknie, a sam profesor zabierze ją do grobu.

Dwudziestu dwóch zawodowych morderców, którzy w całych Stanach Zjednoczonych mordowali wskazanych przez Sweetmana ludzi, nie miało pojęcia, że Carl X. Chapman miał również doskonały plan zgładzenia ich wszystkich w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Dysponował już dokumentami, świadczącymi, iż każdy z nich popełnił czyny godzące w narodowe bezpieczeństwo, i zamierzał użyć FBI, a w szczególności swego starego przyjaciela, zastępcę dyrektora FBI, aby usunąć ich ze świata żywych po cichu i absolutnie zgodnie z prawem. Był przekonany, że będą to ostatnie śmiertelne ofiary jego marszu do Białego Domu.

Wcielając w życie plan oparty na odkryciach profesora Sweetmana, Carl dobrze wiedział, że stracą życie setki, a może i tysiące Amerykanów. Zanim podjął ostateczną decyzję, wahał się przez długie tygodnie. Mimo że plan wydawał się prosty, Carl był na tyle doświadczonego politykiem, aby doskonale zdawać sobie sprawę z różnic pomiędzy teorią a praktyką. Jego naukowemu doradcy określili na początku, że trzeba będzie usunąć mniej więcej osiemset osób, aby zapewnić mu miejsce w Białym Domu, lecz Carl Chapman dopuszczał nawet potrojenie tej liczby. Szacunek ten nie uwzględniał wypadków przy pracy, morderstw niewygodnych świadków, takich jak chociażby Lollie Methven oraz David Radetzky i jego kumple.

Jednak w ostatecznym rozrachunku Carl doszedł do wniosku, że dla Ameryki lepiej będzie, jeśli odzyska swą dumę nawet kosztem śmierci kilku tysięcy ludzi, niż gdyby nadal miała tkwić w obecnym marazmie. Teoria Sweetmana dawała Chapmanowi możliwość usunięcia z drogi wszystkich, którzy zagrażali jego politycznym planom. Bez nich miał on otwartą drogę do Białego Domu, a co za tym idzie — przed Ameryką stała świetlana przyszłość.

Odsunął krzesło od biurka i wstał. Zdawał sobie sprawę, że ludzie umierający z powodu jego decyzji są czymś więcej niż tylko abstrakcyjnymi punktami na krzywej demograficznej.

Carl często bywał surowy i nieprzyjemny wobec ludzi, nie był jednak pozbawiony uczuć.

Widział przecież, jak płakał jego ojciec, i doskonale uświadamiał sobie, że z powodu zabójstw

dokonywanych na jego polecenie, płacze wielu innych ojców w Ameryce; i zapłacze jeszcze więcej, nim nastanie czas wyborów. Nie nosił jednak w sobie poczucia winy, ale głęboko się smucił jak ojciec, który wysyła swoich synów na wojnę. Bardzo żałował, że nie może przynajmniej z niektórymi z nich porozmawiać i wytłumaczyć im, dlaczego muszą oddać życie.

Każdego dnia na wydrukach, wypuszczanych przez komputery Sweetmana, pojawiała się coraz więcej cienkich, niebieskich kresiek. Przecięcie takiej kreski z grubą, jaskrawoczerwoną linią oznaczało śmierć. Każda cienka linia wskazywała na polityczną aktywność

Amerykanina, mężczyzny albo kobiety. Przecięcie się linii świadczyło o tym, że obywatel będzie w 1980 roku najprawdopodobniej głosował przeciwko Carlowi Chapmanowi. Senator nie mógł darować życia takim osobom.

Wyrztał przez hotelowe okno, w dole rozciągały się zabudowania Las Vegas. Pomyślał, że pewnego dnia w ten sam sposób będzie patrzył przez kuloodporne szyby okien Ovalnego Gabinetu i widok zielonych, idealnie równych trawników, rozciągających się przed Białym Domem, odegna jego smutek. Teraz, przypatrując się leniwie sunącym samochodom i ludziom powoli spacerującym chodnikami, coraz głębiej zaczynał odczuwać swą ojcowską odpowiedzialność za naród, na którego czele wkrótce stanie. Wiedział, że w niedługim czasie przejmie na siebie ciężkie, ale jakże wspaniałe brzemie.

Znów zadzwonił telefon. Podeszedł do biurka i podniósł słuchawkę. Odezwała się telefonistka:

— Panie Chapman, dzwoni pańska żona z Minneapolis. Czy będzie pan rozmawiał?

Carl wahał się przez chwilę, po czym postanowił:

— Tak, oczywiście. Proszę mnie połączyć.

Po chwili, mimo sporej odległości, jaka ich dzieliła, i usłyszał wyraźny głos Elspeth:

— Carl, czy to ty?

— Tak, kochanie, to ja. Jak się masz?

— Pogoda jest okropna. Dziś rano napadało sześć cali śniegu. Wiesz co, zmieniłam zdanie co do Palm Springs i dołączę do ciebie. Dlatego właśnie telefonuję.

— Chcesz spotkać się ze mną w Palm Springs? Zdaje się, że już obiecałaś weekend Delanceyom.

— Carl, ale tutaj jest tak okropnie. Zresztą i tak jestem już spakowana. Jutro rano, o dziewiątej, mam samolot do Los Angeles.

Carl zagryzł wargi. Miał nadzieję, że Elspeth pozostanie w Minnesocie, a on sam w jakiś sposób zdoła wymówić się od uczestnictwa w przyjęciu u Adele Corliss. Od miesiąca już nie widział się z Hilary Nestor Hunter, a od prawie roku nie zdołał spędzić z nią wieczoru sam na sam. Hilary ekscytowała go. Ekscytowała go od dnia, w którym po raz pierwszy ujrzał ją na jakimś popołudniowym przyjęciu. Stała wówczas pod oknem, otoczona wianuszkami mężczyzn i rozmawiała z nimi, a właściwie to przemawiała do nich, gdyż żaden nie ośmielał się przerwać jej wywodów. Była wysoka i uderzająco piękna. Carla zafascynowało jej zdecydowanie w dążeniu do osiągnięcia obranego celu, jej agresywność i bijący od niej nieodparty erotyzm. Był urzeczony niemal fanatycznym poparciem, jakim cieszyła się wśród kobiet. Po tym pierwszym spotkaniu od razu poszli razem na kolację, a potem do łóżka. Nad ranem Carl usłyszał od Hilary Nestor Hunter takie wizjonerskie opowieści na temat politycznej roli kobiet w Stanach Zjednoczonych, że się przeraził. Ten stan trwał u niego jednak bardzo krótko. Szybko zrozumiał, iż w odpowiedniej chwili ta kobieta może odegrać bardzo poważną rolę w jego walce o Biały Dom, a później w administracji rządowej. Elspeth mogła sobie być pierwszą damą i decydować, jakie kafelki będą zdobić ściany ubikacji w Białym Domu. Dla Hilary widział rolę politycznej przywódczyni, zjednującej dla niego kobiety w

Stanach.

Odchrząknął i powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał spokojnie:

— Kochanie, twój przyjazd nie miałby sensu. Znosi się na nudne spotkanie ludzi, którym sława i pieniądze odebrały resztki rozsądku. Uwierz mi, ci filmowcy wcale ci się nie spodobają.

— Carl — nalegała Elspeth — czuję, że potrzeba mi trochę słońca. Poza tym w tej chwili nigdzie nie może być nudniej niż w zasypanym śniegiem Minneapolis.

— Rrozumiem. — Carl odchrząknął raz jeszcze. — Chodzi ci również o to, żeby nie spuszczać ze mnie jastrzębiego oka.

Po drugiej stronie linii telefonicznej zaległa cisza. Ale na krótko.

— Czyżbym miała ku temu powody?

— Zdaje się, że sama znasz odpowiedź na to pytanie. Przecież to w końcu ty wynajmujesz prywatnych detektywów.

Znów cisza, tym razem znacznie dłuższa.

— Nie jestem pewna, czy wiem, o czym mówisz.

Carl ironicznie cmoknął.

— Och, daj spokój, kochanie. Doskonale wiesz, o czym mówię. Od miesiący bawisz się w instalowanie kamer i podsłuchów wszędzie, gdzie się pojawię. Zdaje się, że zarejestrowałaś wszystkie moje, ha, ha, pierdolonka, podczas ostatniego roku.

Po chwili wahania Elspeth stwierdziła, że nie ma sensu zaprzeczać.

— Jak się o tym dowiedziałeś? — zapytała stanowczym głosem.

— Och, to nie było zbyt trudne — odparł Carl. — Natknąłem się po prostu na niejakiego Davida Radetzky'ego i jego mały gang. Założyli podsłuch i podgląd w mojej sypialni. Z twojego polecenia, oczywiście.

— Powiedzieli ci, dlaczego to zrobili?

— Dziewczyna mi zdradziła. Powiedziała, że zbierasz materiały do sprawy rozwodowej.

David Radetzky, niestety, nie dostał szansy, żeby się przede mną wypowiadać.

— Chyba nie zrobiłeś mu krzywdy.

— Radetzky'emu? Nie dotknąłem go nawet palcem.

— Całe szczęście, Carl. Widzisz, mi wcale nie chodzi o rozwód.

— Nie? Wynajmujesz prywatnych detektywów, nagrywasz moje poczynania w łóżku i śmiesz jeszcze twierdzić, że nie chodzi ci o uzyskanie rozwodu?

Po drugiej stronie nastąpiła chwila ciszy.

— Ja się po prostu asekuruję, Carl, jeżeli już koniecznie musisz to wiedzieć — powiedziała wreszcie Elspeth.

— Asekurujesz? Przed kim?

— Przed tobą, Carl. Jesteś niebezpieczny. Dowiedziałam się, co robisz, żeby wygrać wybory.

Carl westchnął. A więc Elspeth też już wiedziała o Sweetmanie. Specjalnie go to nie zdziwiło. W końcu Elspeth spędzała przy nim wiele czasu i byłaby bardzo tępa, gdyby nie poskładała sobie w całość strzępów konwersacji pomiędzy nim a współpracownikami, które z pewnością podsłuchiwała. Mimo to zaniepokoił się. Zdał sobie sprawę, że musi jak najszybciej przekonać się, ile Elspeth wie. Mogła być takim samym potencjalnym zagrożeniem jak David Radetzky. Cóż, w takim wypadku trzeba będzie zastosować wobec niej identyczne środki jak wobec Davida.

— Czego się dowiedziałeś? — zapytał.

Postarał się, aby jego głos zabrzmiał możliwie łagodnie.

— Wystarczająco dużo.

— Ile to jest twoim zdaniem?

— Wystarczająco dużo, żeby zorientować się, że nie przepuścisz i nie darujesz nikomu, kto stanie na twojej drodze. Wystarczająco dużo, aby uświadomić sobie, że niemal na pewno zostaniesz prezydentem w 1980 roku. I wystarczająco dużo, aby być pewną, że jeśli chcę zostać pierwszą damą i побыć nią trochę, potrzebuję solidnego ubezpieczenia.

— Czy naprawdę przypuszczasz, że kiedykolwiek zdołałbym cię skrzywdzić?! — zawołał Carl. Postarał się, aby w jego głosie zabrzmiało autentyczne oburzenie.

— Tak, Carl, tak przypuszczam. Już sobie wyobrażam kapitał polityczny, jaki zbiłbyś na nagłej i tragicznej śmierci swojej żony. Już widzę cię, jak ze łzami w oczach przemawiasz do Amerykanów, wspominając swoją ukochaną żonę.

Carl głęboko odetchnął, żeby się uspokoić. Po chwili dopiero kontynuował rozmowę:

— Elspeth, zdaje się, że zupełnie nie orientujesz się w moich poczynaniach. Bądź jednak uprzejma powiedzieć mi, co ostatnio o nich słyszałaś i kto ci o nich opowiadał.

— Och nie, Carl. — Elspeth zdołała się nawet roześmiać. — Aż taką kretynką nie jestem.

Powiem ci, kiedy toż będzie po wszystkim, kiedy zostaniesz wybrany, zainaugurujesz prezydenturę i spokojnie zasiądziesz w Białym Domu. Zresztą nawet wtedy nie dowiesz się, gdzie trzymam kasety.

— Jakie kasety? Odebrałem Radetzky'emu wszystko, co miał!

— Nawet nagrania z hotelu Doral?

— Doral? Chyba nie...

Zacisnął szczęki ze złości. W tej chwili jego żona awansowała na sam wierzchołek listy osób, których nienawidził. — Zaklął w duchu. Pomyślał, że właściwie sam sobie jest winien.

Zawsze uważał ją za elegancką i reprezentacyjną kobietę, jednak stosunkowo niezbyt rozgarniętą i niezdolną do samodzielnego podejmowania zbyt trudnych działań.

Tymczasem...

— Rozumiem, że jutro o dziewiątej rano wylecisz do Los Angeles — powiedział głucho.

— Nie bądź taki przybity, kochanie.

— A jaki mam być, skoro dowiedziałem się właśnie, że własna żona założyła podsłuch nawet w moim hotelu w Miami!

— A jak ja mam się czuć, wiedząc, że w czasie, kiedy ja cierpiałam na cholerne bóle głowy, mój mąż gził się w łóżku z jakąś rudowłosą kurwą?

— Te twoje cholerne bóle głowy to nic innego jak głupie urojenia. A ponieważ zdarzają się aż nazbyt często, nie dziw się, że dogadzam sobie z kurwami. — Przerwał na chwilę, żeby się uspokoić. — Posłuchaj tylko. Chcesz rozwodu, będziesz go miała. Mam już dosyć tego wszystkiego.

— Carl, ależ ja wcale nie chcę rozwodu! Chcę jedynie, abyśmy oboje dobrze rozumieli reguły gry i zgodnie z nimi postępowali. Mogę wreszcie głośno tego od ciebie żądać, ponieważ w tej chwili mam w rękę wystarczające atuty.

Carl westchnął.

— W porządku. Porozmawiamy o tym w Palm Springs. Może do tego czasu oboje trochę się uspokoiimy.

— Jestem zupełnie spokojna — stwierdziła Elspeth.

— No i dobrze — warknął Carl. — Bo ja jestem cholernie zdenerwowany.

W momencie, w którym odłożył słuchawkę, rozległ się gong przy drzwiach wejściowych.

— Cholera jasna, chwileczkę! — wrzasnął i powoli poczłapał do drzwi. W połowie drogi jednak, jakby sobie o czymś przypomniał, zatrzymał się i skierował swe kroki do barku.

Szybko zdjął nakrętkę z butelki whisky Wild Turkey i nalał sporą porcję alkoholu do szklanki.

Szybko wypił whisky i na chwilę zamknął oczy. Poczuł zbawcze działanie płynu, który rozgrzewał go i jednocześnie uspokajał.

Znów rozbrzmiał gong. Wzmocniwszy się już i uspokoiwszy, senator otworzył drzwi. Do pokoju wszedł Dan Harris, jego asystent prasowy. Harris miał przy sobie niewielką walizeczkę i osobno dwie kasety wideo.

— Mam wszystko — powiedział, wskazując na walizeczkę i kasety.

Carl nawet na to nie spojrział.

— Zdaje się, że odwaliliśmy kawał dobrej roboty — zauważył Harris. — Unieszkodliwiliśmy całą trójkę i odzyskaliśmy materiały.

Carl popatrzył na niego zmęczonymi oczyma.

— Czy lubisz zabijać, Dan? — zapytał go. — Czy ty naprawdę lubisz zabijać?

Dan Harris nagle się zaczerwienił.

— Kiedy powiedziałem, że ich unieszkodliwiliśmy, naprawdę nie miałem na myśli... eee...

Carl usiadł w głębokim fotelu i wpatrywał się w pustą szklankę po whisky.

— Wiem, co myślałeś. Ale naprawdę, cholera, wolałbym nie wiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Adele siedziała na brzegu basenu, leniwie wzburzając stopami powierzchnię wody. Był już piątek, kilka minut po północy. Niebo nad nią było bezchmurne i skrzyło się jasnymi gwiazdami. Wokół pogaszone już były wszystkie światła, oprócz podwodnej iluminacji basenu. Zielone światło padało spod wody na twarz Adele, nadając jej doskonałe, magiczne rysy nimfy wodnej, potrafiącej wskrzeszać nadprzyrodzone moce.

Miała na sobie jedynie białe bikini, zaprojektowane przez Francuza, Querana. Strój ten miał to do siebie, że gdy był mokry, stawał się zupełnie przejrzysty. Adele piła sok grejpfrutowy i paliła mentolowego papierosa. Noc była cicha. Ciszy nie zakłócał nawet najmniejszy powiew wiatru.

W pewnej chwili otworzyły się drzwi domu i w progu stanął Ken, ubrany w dżinsy i płócienną koszulę. Mimo ciemności na oczach miał przeciwsłoneczne okulary. Zatrzymał się w drzwiach i stał bez ruchu i bez słowa.

Adele zносиła to przez chwilę, aż wreszcie nie wytrzymała. Uniosła głowę i odezwała się:

— Późno wróciłeś.

— Jestem tu już od dłuższego czasu. Szukałem czegoś.

— I znalazłeś?

Zrobił kilka kroków w jej kierunku.

— Nie, nie znalazłem.

Adele zdusiła papierosa w popielniczce.

— Piękna noc, prawda? — powiedziała. — Może się rozbierzesz i popływamy? — zaproponowała.

— Nie jestem w nastroju. — odparł szorstko Ken.

Uderzyła dłonią w taflę basenu, rozpryskując wodę na wszystkie strony.

— Jesteś nadąsany — zauważyła. — Do tej pory prawie nie wychodziłeś z basenu. Może jednak?

— Nie jestem w nastroju — powtórzył.

Podszedł bliżej do Adele. Wcisnął kciuki za pasek spodni i popatrzył na nią z góry.

— Nie jestem też nadąsany — powiedział. — Po prostu czegoś szukam.

— Uważasz pewnie, iż wiem, gdzie to coś się znajduje — mruknęła Adele.

— Jestem cholernie pewny, że wiesz, gdzie to jest.

Uśmiechnęła się.

— Napijesz się czegoś? Jeśli tak, musisz sam sobie nieść. Cała służba już śpi.

Ken uklęknął przy niej i zdjął okulary. W jego oczach było widać zmęczenie i powagę. Z całą pewnością nie miał w tej chwili ochoty na żarty.

— Adele, nie masz pojęcia, w co się wpakowałaś przez ten nierozważny czyn.

Na chwilę spojrzała mu w oczy, po czym uśmiechnęła się z wyższością.

— Mój młody człowieku, w całym moim życiu pakowałam się już w takie sprawy, które nie mieściłyby ci się w głowie. Kogo zamierzałeś zabić?

— Nikogo. To karabin do samoobrony.

— Samoobrony? — Adele parsknęła śmiechem. — Przecież to jest broń dla snajpera!

Długa lufa, teleskopowy celownik. Czy masz mnie za idiotkę? Przed czym chciałbyś się bronić tym karabinem? Może przede mną?

— W jaki sposób to znalazłaś?

Adele wyciągnęła dłoń i delikatnie, koniuszkami palców, potknęła policzka Kena.

Pogłaskała go.

— W tym domu, mój drogi, nie dzieje się nic, o czym bym nie wiedziała. Prawie od samego początku wiedziałam, że coś przede mną ukrywasz. Zważ, kochanie, iż tylko z tego powodu, że lubię pieprzyć się z młodymi, muskularnymi chłopcami, wcale nie muszę być skończoną idiotką. Gdybym nie wysilała czasami mózgu, nie przetrwałabym tych wszystkich lat w tak dobrym zdrowiu i kondycji.

— Musisz mi oddać ten karabin, Adele — powiedział cicho Ken.

— Mógłbyś powiedzieć mi, dlaczego?

— On nie jest mój. Opiekuję się nim na prośbę przyjaciela.

— A więc dlaczego twój przyjaciel życzy sobie otrzymać ten karabin z powrotem?

— Adele, musisz mi dać ten karabin.

— Najpierw chcę wiedzieć, do czego jest ci on potrzebny.

— Po prostu daj mi go.

Adele przechyliła głowę na bok. Jej oczy lekko błyszczały, odbijając światło płynące z dna basenu.

— A może powinnam zadzwonić po policję? — zapytała Kena. — Jestem pewna, że bardzo ich zainteresuje przebaczenie tej broni.

Ken przez chwilę milczał, spięty i rozwścieczony. Niespodziewanie wyciągnął rękę, aby pociągnąć Adele za włosy, ta jednak była szybsza. Rozpryskując wodę, wskoczyła do basenu.

Natychmiast odpłynęła kilka jardów od brzegu, gdy tymczasem Ken zatrzymał się i patrzył za nią.

— No i co? — zawołała wesoło. — A może wskoczysz do wody i mnie złapiesz? Może zmusisz mnie, żebym dała ci ten karabin.

Wciąż tkwił bez ruchu. Adele pływała, trzymając się środka basenu. Po chwili znów odezwała się:

— Marny byłby z ciebie zabójca.

To wreszcie podziałało na Kena. Powoli wyciągnął koszulę ze spodni, i obnażył muskularne ramiona i klatkę piersiową. Odrzucił na bok koszulę, po czym zrzucił sandały i zaczął rozpinąć spodnie. Gdy dżinsy spoczęły na ziemi, stanął nagi na brzegu basenu.

Oddychał szybko, próbując zapanować nad ogarniającą go złością. Jego pierś unosiła, się i opadała. Z obu stron jakby z drwiną spoglądały na niego marmurowe, rzymskie nimfy. Nad jego głową wesoło migotały jasne gwiazdy.

— Wyglądasz wspaniale! — zawołała Adele z basenu. — Przypominasz Odysa, który za chwilę ma stanąć przed obliczem Kirke!

Płynnym ruchem wskoczył do wody. Od razu dotarł do dna i silnymi pociągnięciami ramion zaczął płynąć ku Adele, nie wynurzając się na powierzchnię. Adele natychmiast ruszyła w kierunku płytkiej części basenu, rozbryzgując wodę rękami i nogami. Widziała pod sobą ciało Kena i zdawała sobie sprawę, że nie jest w stanie mu uciec. Ken przypominał jej rekina szykującego się do ataku. Nabrała w płuca więcej powietrza i z większą siłą zaczęła rozgarniać wodę, choć nie mogło to jej pomóc.

Złapał ją w chwili, gdy stopami dotknęła dna. Spróbowała wyrwać się, jednak zbyt silnie trzymał ją za nogi. Adele krzyknęła i nabrała do ust sporo wody, gdy Ken wciągnął ją pod powierzchnię.

Udało jej się na chwilę wyzwolić z uścisku i przebiegła trzy stopnie z dziesięciu prowadzących na brzeg. W miejscu, w którym złapał ją ponownie, woda miała już tylko dwie stopy głębokości. Zaczęli walczyć ze sobą, stękając, krzycząc i rozpryskując wodę na wszystkie strony.

Wreszcie Ken znalazł się na Adele i całym ciałem przycisnął ją do kamiennych stopni.

Dwukrotnie uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Odwróciła głowę na bok, ale natychmiast; zdusił jej policzki i zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. Jej włosy były mokre i przylegały płasko do czaszki, a po twarzy spływały strugi wody.

— Myślisz, że to wszystko jest tylko głupim żartem, co? — warknął. — Zdaje ci się, że cały ten cholerny świat egzystuje jedynie dla twojej osobistej przyjemności? Posłuchaj mnie, tym razem przekonasz się aż za dobrze, że tak nie jest.

— Ty śmieszny skurwysynu...

— Ty zepsuta suko.

Przesunął jej ciało trochę bliżej w kierunku brzegu. Gdy położył jej głowę na stopniu, twarz Adele znajdowała się nad powierzchnią wody, natomiast cała reszta ciała — pod wodą.

Adele była podniecona. Poprzez przejrzysty materiał mokrego kostiumu kąpielowego Ken wyraźnie widział pociemniałe, sterczące sutki.

— Ty brudna, zła, głupia suko bez zasad — warknął.

— Ty gnoju — wystękała.

Jednym ruchem dłoni zerwał z niej majtki. Adele wygięła się w łuk i znów zaczęła rozpryskiwać wodę nogami, jednak Ken jeszcze mocniej przydusił ją do dna i po chwili nie mogła w ogóle się ruszać.

— Ty wstrętne świnię — przeklęła go. — Ty wstrętne, brudne, zdeprawowane świnię.

Jeszcze raz ją uderzył.

— Tylko na to zasługujesz — powiedział. — Zasługujesz na wszystko, co ci się teraz przydarzy.

— Jesteś zerem, gnojku. Jesteś zerem, zwykłym kawałkiem gówna.

Wciskając kolana między jej nogi, zmusił ją do rozłożenia ud. Adele poczuła wodę w kroku i niespodziewanie zadrżała z rozkoszy; poczuła się tak, jakby nagle ktoś polizał ją tam zimnym językiem.

— Och, Boże — jęknęła. — Ty nieobliczalny zwierzaku...

— Zamknij się — warknął i wszedł w nią.

Był jeszcze twardszy i jeszcze większy niż zwykle. Pierwsze jego ruchy sprawiły jej jednak ból,

gdyż woda wypłukała z jej pochwy wszystkie soki. Wpiła się paznokciami w jego

Plecy i jęknęła, ale Ken na to nie zważał. Wchodził w nią rytmicznie, nie zważając na nic, głęboko, do samego końca, a za każdym pchnięciem Adele głośno krzyczała. Rozrywała mu paznokciami plecy i pośladki, ale Ken rznął ją i rznął. Nie obchodziła go krew na plecach, woda kotłująca się i pieniąca wokół nich ani przyglądające się im marmurowe statuy, ani gwiazdy.

Posuwał ją długo i energicznie, ale nie wiadomo dlaczego, nie mógł osiągnąć orgazmu.

Wreszcie przerwał. Wyjął penis z Adele i wstał.

Ona nie miała zamiaru się podnieść. Leżała w wodzie bez ruchu; policzki miała zaczerwienione od uderzeń, a na ciele widniały sine pręgi.

— Co się stało? — zapytała cicho. — Czy już cię podniecam?

Ken potrząsnął głową.

— O co więc chodzi? Masz jakieś zmartwienie?

— Muszę odzyskać karabin.

Adele usiadła i pogłaskała się po zaczerwienionych policzkach.

— Muszę go mieć — nalegał Ken. — Jeżeli go nie odzyskam, zabiją mnie.

— Czy on naprawdę ma służyć jedynie do obrony? — zapytała Adele łagodnie. — Mam nadzieję, że nie jesteś mordercą.

— Czy wyglądam na mordercę?

— A czy Lee Harvey Oswald wyglądał? Czy ktokolwiek wygląda na mordercę?

Ken wyciągnął dłoń, aby pomóc Adele wstać.

— Przepraszam — powiedział. — Nie zamierzam cię skrzywdzić. Zrobiłem to chyba ze strachu.

Adele przez moment wahała się, ale w końcu wyciągnęła rękę i pozwoliła mu się podnieść.

Otoczyła go ramieniem, po czym niespodziewanie pocałowała jego klatkę piersiową.

— Jesteś bardzo smaczny — stwierdziła. — Są chwile, kiedy wydaje mi się, że mimo wszystko cię naprawdę kocham.

Ken starł wodę z twarzy.

— Karabin — powiedział.

Adele pokiwała głową.

— Jasne, zaraz go dostaniesz. Ale musisz obiecać mi dwie rzeczy.

Ken spojrzał na nią niepewnie.

— Jakie?

— Po pierwsze, że nie użyjesz go w innym celu, jak tylko w obronie własnej. A po drugie, że natychmiast zabierzesz mnie do łóżka i przypomnisz mi, co potrafisz, kiedy twojego umysłu nie zaprzatają żadne bzdury.

Udało mu się uśmiechnąć.

— Cholera, ciężkie warunki, pani Corliss. Naprawdę ciężkie warunki.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Telefon dzwonił już w chwili, kiedy otwierał kluczem drzwi do swojego niewielkiego mieszkania, położonego nad misją katolicką na Merchant Street. Szybko przebiegł przez zalatujący pleśnią salon i podniósł słuchawkę. W pokoju było niemal zupełnie ciemno; jedyne oświetlenie stanowiło błękitne światło neonu po drugiej stronie ulicy, który co chwilę zapalał się i gasł, gdyż zepsuł się już przed kilkoma dniami. Rozpinając marynarkę, odezwał się:

— Słucham.

— Leonard? — usłyszał cichy głos. — To ja.

— Perri? Czy wiesz, która godzina?

— Pierwsza w nocy. Próbuję skontaktować się z tobą od dziesiątej.

— Poczekaj, niech tylko zapalę światło i zamknę drzwi. Właśnie wróciłem ze szpitala.

Pani Pokowska urodziła właśnie trojaczki i jedno dziecko zmarło.

Podszedł do drzwi i starannie je zamknął, nie zapominając o zasuwie. Następnie zapalił lampkę na stoliku. Wtedy dopiero usiadł w wielkim, ale starym i zniszczonym fotelu, i ponownie Podniósł słuchawkę.

— Co się stało? — zapytał.

Perri przez chwilę wahała się. Leonard odniósł wrażenie, że słyszy jej płacz.

— Leonardzie, wydarzyło się coś okropnego. Jutro rano będę musiała wycofać mój wniosek. Będę musiała powiedzieć, że wszystko przemyślałam i że wycofuję moje dzisiejsze słowa.

— Co takiego? — Leonard nie dowierzał własnym uszom.

— Muszę zrezygnować. Powiedzieć, że zmieniłam zdanie.

— Ale dlaczego? Przecież tak wiele kobiet cię popiera! Za kilka lat będziemy mogli usunąć całą tę Hilary Nestor Hunter z Ligi.

— To nie ma znaczenia. Wycofuję się.

— Nie rozumiem. Niczego nie rozumiem.

— Leonardzie — mówiła Perri drżącym głosem — czy słyszałeś kiedykolwiek o czymś, co się nazywa szantażem?

— Szantażem? Ktoś cię szantażuje? Na miłość boską, z jakiego powodu?

Powoli, z wahaniem, opowiedziała mu o Star. Leonard słuchał jej ze zmarszczonym czołem i ze wzrokiem utkwionym w niewielkim obrazie Matki Boskiej, wiszącym na ścianie, naprzeciwko jego fotela. Dwukrotnie zanotował coś na okładce swego notatnika z numerami telefonów. Tymczasem neon p drugiej stronie uparcie migał, co chwilę rozjaśniając pokój wiązką niebieskiego światła.

Gdy Perri skończyła, Leonard ciężko westchnął.

— Powinienem przypuszczać, że coś takiego może się zdarzyć. Cóż, Perri, zawiodłem cię.

— Leonardzie, nie zawiodłeś mnie. Nigdy i nigdzie.

— Powinienem być silniejszy. Każdy grzech osłabia człowieka i powoduje straszne konsekwencje. Tym razem oboje musimy zapłacić za mój grzech.

— Leonardzie, nie mów tak.

— Dlaczego nie? Przecież to prawda, mocno w to wierzę. Jednak wierzę w coś jeszcze. Wierzę, iż Hilary Hunter jest osobą bezwzględną i ambitną i uczyni wszystko, by dojść do upragnionej władzy. Sądzę też jednak, że popełnilibyśmy straszliwy błąd, poddając się jej. Powinniśmy podjąć rzuconą rękawicę, powinniśmy walczyć.

— Leonardzie, ja właściwie martwię się przede wszystkim o ciebie. Cóż mi po takim szantażu, co mnie może obchodzić jakieś głupie zdjęcie w towarzystwie małej ladacznicy? Jednak to wszystko może zrujnować przede wszystkim ciebie i sprawić, że nigdy nie osiągniesz celów, do których od dawna z takim mozołem dążysz.

— O mnie nie musisz się martwić — zdecydował Leonard. — Mam do ciebie tylko jedno pytanie: czy jesteś przygotowana do walki?

Głęboko westchnęła, po czym odpowiedziała:

— To nie ma sensu, Leonardzie. I nie ma czasu. Głosowanie odbędzie się rano; Hilary mnie zniszczy, jeżeli się jej sprzeciwię. Zresztą pogrążyłabym nie tylko siebie, ale i Ann Margolies i wszystkie inne kobiety, które mnie popierają. Jakie będziemy miały szanse, jeżeli Hilary nagle

ogłosi, że wszystkie jesteśmy lesbijkami i potrafi to udowodnić?

Ojciec Leonard przetarł dłonią zmęczone oczy. Po chwili milczenia odezwał się:

— Perri, zadzwonię do moich przyjaciół z telewizji. Wydostanę ich w środku nocy z łóżek, jeżeli będę musiał. Zrobię wszystko, co tylko będę mógł, zanim rozpocznie się poranna sesja kongresu.

— Leonardzie...

— Będę walczył, Perri, będę walczył ze wszystkich sił, bezkompromisowo, tak jak należy walczyć przeciwko każdemu złu. To już nie jest tylko polityka i kwestia spojrzenia na działalność Ligi Wyzwolenia Kobiet. To kwestia mojej wiary w słuszność podstawowych praw, jakie przysługują ludziom. Daj mi teraz dziesięć minut. Potem oddzwonię do ciebie i powiem ci, co załatwiłem.

— Proszę cię, nie rób niczego, co naraziłoby na szwank sens twojej pracy. Obiecuj mi chociaż tyle.

Ojciec Leonard uśmiechnął się.

— Nie bój się, Perri. Bóg nade mną czuwa.

— Kocham cię — powiedziała Perri. — I wiem, że nie zasługuję na ciebie.

Leonard przez chwilę w milczeniu trzymał słuchawkę przy uchu. Matka Boska słabo uśmiechała się do niego ze ściany, oświetlona błękitnym światłem neonu.

— Ja też cię kocham — odezwał się wreszcie. — Nawet nie śniłem, że tak będę cię kochał — wyszeptał.

Odłożył słuchawkę.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W piątkowy poranek Los Angeles budziło się w gęstym smogu. Na Santa Monica Freeway, pomiędzy Palms i Highland Avenue, samochody poruszały się zderzak przy zderzaku wśród zanieczyszczonego powietrza. Słońce zaledwie wzniosło się nad horyzont, a miasto przypominało już widmową zjawę ukrytą w gęstym, pomarańczowoszarym dymie.

Tak jak wszyscy inni, T. F. powoli jechał w porannym szczycie komunikacyjnym, prowadząc tym razem pożyczonego plymoutha fury. Okulary przeciwsłoneczne położył na desce rozdzielczej i słuchał porannych wiadomości. To, iż nie mógł jechać szybciej, doprowadzało go do szaleństwa. Z trudem panując nad sobą, co chwilę ciężko wzdychał. Śpieszył się do Palm Springs.

O dwa auta przed nim jechał biały thunderbird z tablicami rejestracyjnymi z Arizony. T. F. zaczął się na niego przed pewnym domem na Otsego Street w północnym Hollywood, na długo przed świtem, i aż do tej pory cierpliwie go śledził. Kierowcą był dwudziestosiedmioletni sprzedawca samochodów o nazwisku Peter Hughes. Mieszkał w północnym Hollywood z żoną Clarą oraz dwuletnią córką o imieniu Sally. Clare Hughes była po raz drugi w ciąży i wkrótce miała urodzić Peterowi kolejne dziecko.

Peter Hughes organizował wycieczki za miasto dla ludzi mieszkających w okolicach Otsego Street, i to było jego największym błędem. Znała go większość ludzi z kwartału ograniczonego przez Laurelgrove Avenue i Magnolia Boulevard. Był tam bardzo lubiany i popularny. W poprzedni czwartek jego nazwisko pojawiło się na krzywej Sweetmana.

T. F. spokojnie popatrzył na bagażnik samochodu Petera. Wreszcie uzmysłowił sobie, że aby dobrze wykonać zadanie, musi absolutnie nad sobą panować. Ruch zaczynał powoli rzednąć i wiedział, że jeszcze trochę, a dopadnie swoją ofiarę. Automatyczny kolt kaliber 45 leżał już na siedzeniu obok niego, na wszelki wypadek przykryty wczorajszym egzemplarzem „Los Angeles Times”.

Ostatnią noc T. F. spędził samotnie. Przez cały dzień był w San Diego, polując na kolejną ofiarę. Niestety, z polowania nic nie wyszło, ponieważ obiekt niespodziewanie wyjechał z miasta. T. F. nie lubił niespodzianek. Zawsze działały mu na nerwy. Bezsenną noc spędził na słuchaniu płyt i przeglądaniu magazynów pornograficznych. O czwartej zjadł śniadanie w barze całodobowym, a potem wyruszył na kolejne polowanie.

Spiker radiowy podawał właśnie wiadomości:

— ...Waszyngton wciąż naciskany jest przez dziennikarzy domagających się oficjalnego oświadczenia na temat przyszłości broni neutronowej, jednak jeszcze wczoraj słyszało się, że...

T. F. westchnął. Martwił się, bo od niedawna zaczął zastanawiać się, czy te wszystkie zabójstwa, których dokonuje, mają jakikolwiek sens. Po co właściwie tak wielu ludzi?

Zdawało mu się, że już do końca życia będzie musiał zabijać po dwie, trzy osoby dziennie, wypełniając rozkazy swoich mocodawców. Przygnębiało go to. Cała robota przypominała mu próbę przepłynięcia oceanu dziurawą łodzią. Codziennie kogoś zabijał, niby zatykając dziurę, i codziennie rodziło się dwadzieścia nowych osób, które ją poszerzały. Miał wrażenie, że nakazano mu, aby samodzielnie odmieniał bieg koła historii.

Biały thunderbird przed nim zasygnalizował kierunkowskazem, że zjeżdża na prawy pas ruchu. Wyglądało, jakby Peter Hughes miał zamiar skręcić w Venice Boulevard. T. F. wykonał podobny manewr i zjeżdżając z autostrady razem z nim, utrzymał odległość pięćdziesięciu stóp pomiędzy samochodami. Wiedział, że od chwili opuszczenia autostrady zadanie staje się trudniejsze. T. F. nie lubił strzelać na ulicach miast. W miastach zawsze istniało niebezpieczeństwo, że zbrodnię zobaczą

niespodziewani świadkowie, a poza tym ucieczka zatłoczonymi ulicami zawsze była trudna. Pewnego razu strzelił do jakiejś kobiety na San Vincente Boulevard i chybił o kilka cali. Zaraz potem musiał zatrzymać samochód na czerwonym świetle. Kobieta, zdając sobie sprawę, że przed chwilą do niej strzelał, stanęła obok jego wozu, na drugim pasie, a potem tak szybko odjechała, że nie mógł już jej dopędzić i strzelić po raz drugi.

Peter Hughes na skrzyżowaniu z Venice Boulevard skręcił na północny wschód. Teraz już T. F. trzymał się blisko za nim. O dziwo, ruch był mniejszy, niż się tego spodziewał.

Dodatkowym atutem zabójcy był smog, tak gęsty, że tablic rejestracyjnych nie dało się odczytać z odległości większej niż trzydzieści stóp.

W pewnej chwili T. F. zorientował się, że na przestrzeni dwustu jardów przed nim i thunderbirdem nie ma żadnego innego samochodu. Natychmiast przyśpieszył i tak długo przyciskał pedał gazu, dopóki nie ustawił się równolegle do Petera Hughesa. Spojrzał na swoją ofiarę i dopiero wtedy sięgnął po broń przykrytą gazetą i wystrzelił.

T. F. rzucił na siedzenie i natychmiast odjechał. Po jakichś stu jardach wyprzedził ciężarówkę, z której rury wydechowej wydobywał się czarny dym. Znalazłszy się przed ciężarówką, miał już pewność, że nikt nie skojarzy jego samochodu z dokonany przed chwilą zabójstwem. Przypuszczał również, że nikt nie odnotował jego numeru rejestracyjnego, gdy stał obok thunderbirda na czerwonym świetle. Po chwili skręcił w Burnside Avenue i popędził w kierunku Washington Boulevard. Chciał jak najszybciej dostać się na Santa Moniki Freeway i pojechać na zachód, w kierunku Venice.

Dopiero po kilku minutach usłyszał pierwsze syreny wozów policyjnych. Był już jednak bezpieczny. Rozsiadł się więc godnie za kierownicą i nastawił głośniej odbiornik radiowy.

Wreszcie mógł ze spokojem wysłuchać wiadomości. Spiker rozpoczynał właśnie odczytywanie kolejnej informacji:

— Dzisiaj nad ranem podczas obrad piątego kongresu ligi Wyzwolenia Kobiet doszło do sensacyjnych wydarzeń. Pewien ksiądz katolicki oznajmił, iż jedna z najbardziej znanych delegatek jest szantażowana fotografią, jakoby dowodzącą jej homoseksualnych skłonności. Na miejscu jest nasz reporter, Dick LaGorda.

ROZDZIAŁ ÓSMY

John Cullen właśnie się golił, kiedy rozpoczęły się pora wiadomości telewizyjne. Była godzina siódma, jasno świeciło listopadowe słońce, a jego promienie docierały ponad wzgórzami Hollywood nawet do jego małej łazienki.

Mel przygotowywał kawę i cicho coś pomrukiwał pod nosem. Obaj rozmawiali niemal do świtu z nadzieją, że wspomnienia oraz wzajemne pocieszenia obu przyniosą ulgę. Niestety, niewiele im to pomogło. Jedynym pozytywnym efektem długiej rozmowy było to, że obudziwszy się tego pierwszego poranka bez Vicki, John był zbyt zmęczony i zbyt niewyspany, aby płakać. Poza tym wiedział z doświadczenia, które przyniosła mu śmierć ojca, że następny poranek już mniej bolesny, a kolejny jeszcze mniej. Działo się dokładnie tak, jak powiedział mu kiedyś ojciec:

— Wiesz, synu, zadziwiająco łatwo jest pogodzić się ze śmiercią bliskiej osoby, łatwiej niż z rozwodem, ponieważ osoby, którą tak bardzo kochałeś, nie ma już w pobliżu i nie jest ona w stanie o sobie przypominać. Zdajesz sobie sprawę, że chociaż przemierzyłbyś w jej poszukiwaniu cały świat, nie masz najmniejszej szansy, żeby ją znaleźć.

John wiedział, że wkrótce zapomni o Vicki, czy tego chce, czy nie chce. Miał jedynie nadzieję,

że nie nastąpi to zbyt prędko, ponieważ bardzo kochał tę dziewczynę.

Usłyszawszy, że właśnie rozpoczyna się serwis informacyjny, John wrzucił do umywalki brzytwę i wszedł do pokoju. Dziennikarz zaczynał od najważniejszej wiadomości:

— ...przypuszczalnie spędzi w Camp David cały tydzień na prywatnych rozmowach z premierem Izraela.

— Napijesz się soku? — zapytał Mel. — Kupiłem pomarańczowy i grejpfrutowy.

— Naley mi grejpfrutowego — postanowił John.

Dziennikarz tymczasem kontynuował:

— W Los Angeles, w Centrum Kongresowym, w którym zebrały się tym razem delegatki Piątego Kongresu Ligi Wyzwolenia Kobiet, pewien katolicki ksiądz wysunął zadziwiające oskarżenia wobec założycielki i przywódczyni Ligi, pani Hilary Nestor Hunter.

— Jestem ciekaw, co to za zadziwiające oskarżenie — skomentował Mel. — Może stwierdził, że ta wiedźma mimo wszystko jest kobietą?

John przetarł twarz i podszedł bliżej do telewizora. Dziennikarz mówił:

— Dzisiaj nad ranem ojciec Leonard Zaparelli, kapłan i społecznik, pracujący w jednej z najbiedniejszych dzielnic na przedmieściach Los Angeles, powiedział, że delegatka na kongres kobiet, Perri Shaw, atrakcyjna, rozwiedziona blondynka, została w nocy sfotografowana w spreparowanej sytuacji, mającej dowodzić, że jest lesbijką. Zdjęcia te miały być podstawą do szantażu. Jak twierdzi ojciec Zaparelli, do jej mieszkania wkradła się śliczna, młoda dziewczyna i doprowadziła do tego, że współpracujący z nią fotograf mógł

Wykonać zdjęcie obu kobiet w kompromitującej sytuacji. Po zrobieniu zdjęcia fotograf zbiegł, a dziewczyna opuściła bez przeszkód mieszkanie całkowicie zaskoczony przebiegiem wypadków Perri Shaw.

— John, kawa gotowa! — zawołał Mel.

— Tak, Mel, słyszę. Poczekaj chwilę.

— Co cię tak zaciekawilo?

— Kłótnie pomiędzy tymi babami. Przecież one są gorsze od mężczyzn, a chodzi jedynie o przywództwo nad jakimś tam ruchem wyzwolenia czy czymś takim.

— Nie słuchałem tego.

John usiadł przy stole i wypił łyk kawy.

— Wszystko wskazuje na to, że Hilary Nestor Hunter ukuła spisek, żeby wykazać, iż jedna z jej konkurentek jest lesbijką.

— A ja myślałem, że one wszystkie są lesbijkami.

John roześmiał się.

— Masz szczęście, że Vicki tego nie słyszy. — Nagle zorientował się, co powiedział, i natychmiast posmutniał. Po chwili ciszy dodał: — Mógłbyś spodziewać się co najmniej godzinnego wykładu uświadamiającego. Albo kłótni.

Mel pokiwał głową.

— Nie musisz udawać, że Vicki odeszła na zawsze — powiedział. — Wprawdzie nie siedzi tu teraz pomiędzy nami, przecież pozostanie w naszych umysłach, w naszej pamięci.

Nie ma sensu temu zaprzeczać.

— Tak, masz rację.

— Mówisz więc, że damulki z Ligi Wyzwolenia Kobiet skaczą sobie do gardeł? Cieszy mnie to. Ta cała Hilary Nestor Hunter wygląda mi na tępą damską szowinistkę.

— Ma jednak doskonałe koneksje — zauważył John. Jack McGuire z „Liberat Journal”

powiedział mi, że się jaźni z samym Carlem X. Chapmanem.

Mel był zaskoczony.

— Chapmanem? Przecież to jest największy męski szowinista, o jakim słyszałem! Jakim cudem mogła mu przypaść do gustu ta Hilary?

John wzruszył ramionami.

— Ich poglądy polityczne są w sumie podobne, mimo że z pewnością różnią się ich poglądy społeczne. Oboje zgadzają się, że Ameryka powinna być czysta i silna. Jeśli doszliby do wniosku, iż współpraca wzajemnie wzmocni ich kariery, wówczas bez trudu by się dogadali. Stać ich nawet na wzajemne kompromisy, jeżeli okazałoby się to potrzebne.

— Czy przypadkiem Chapman nie ogłosił, że staje do wyborów prezydenckich w 1980 roku?

— A ogłosił, ogłosił w „Newsweeku” i jeszcze paru innych gazetach. Teddy Kennedy powiedział, że jeśli Carl X. Chapman będzie kandydował, to on zostanie zmuszony, aby stanąć przeciwko niemu tylko po to, aby w Białym Domu nie zasiadł faszysta.

Mel popatrzył na zegarek.

— Czy nadal zamierzasz pojechać dzisiaj do San Diego? — zapytał.

— Jasne. A ty zmieniłeś zdanie?

— Chyba zmieniłem. Oczywiście jeżeli nie masz nic przeciwko temu. Zdaje się, że dostałbym świra, gdybym miał zostać sam i rozmyślać, co się z tobą dzieje.

John dokończył kawę.

— A więc ruszamy — postanowił.

Ubrali się i wyszli z hotelu. Po chwili siedzieli już w samochodzie Johna, zaparkowanym po drugiej stronie ulicy. Była już prawie ósma i z każdą chwilą robiło się coraz cieplej.

Prognozy pogody głosiły, że jest to najcieplejszy listopad od dziewięciu lat.

John zawrócił i pojechali w kierunku San Diego Freeway. Rozmawiali niewiele; tak dużo powiedzieli już sobie w nocy, że teraz cieszyła ich cisza i upływający czas, który przecież koi wszelkie rany.

— Mam nadzieję, że ten cały Sweetman jest w domu. Mam też nadzieję, że nie dysponuje armią ochroniarzy — odezwał się w końcu Mel.

John ruchem głowy wskazał na skrytkę w samochodzie.

— Na wszelki wypadek wziąłem ze sobą rewolwer, kaliber 38, bardzo dobry.

— Nie poczułem się od tego lepiej — westchnął Mel.

John uśmiechnął się i popatrzył w lusterko. Nie zauważył, że o trzy auta za nim jedzie stary, beżowy plymouth fury. Za kierownicą tego samochodu siedział oczywiście T. F.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ojciec Leonard powoli zszedł na dół po stopniach wiodących z misji katolickiej i znalazł się na ulicy. Cały poranek spędził w studio telewizyjnym i w misji był tylko przez chwilę, by wykąpać się i ogolić. Właśnie wychodził z powrotem do pracy. Pod oczyma miał cienie, świadczące o skrajnym zmęczeniu; bardziej niż kiedykolwiek wyglądał teraz na męczennika w słusznej sprawie.

Dopiero co zdołał dodzwonić się do Perri, która przebywała w Centrum Kongresowym, i przeprowadził z nią krótką rozmowę. O ile zdołał się zorientować (panował tam taki wrzask i harmider, że Perri nie mogła spokojnie rozmawiać), obrady przerodziły się chaotyczną dyskusję, nad którą Hilary Nestor Hunter z trudem panowała. Olbrzymi wysiłek wkładała w to, aby nie dopuścić do głosowania nad treścią wniosku Perri, twierdząc, że najpierw musi przeanalizować go Komisja

Mimo że przez cały czas myśli ojca Leonarda krążyły wokół Perri, miał tego dnia do wypełnienia jeszcze wiele ważnych obowiązków. Musiał odwiedzić panią Jarvis, mieszkającą na Szesnastej Ulicy, w pobliżu autostrady, i czytać jej opowiadania Thomasa Wolfe'a.

Umierała na raka kości i przy tym problemie bledły wszystkie inne; nawet bezczelność Hilary Nestor Hunter nie wydawała się sprawą godną zwracania sobie głowy.

Miał właśnie przejść przez jezdnię, gdy usłyszał klakson samochodu i zobaczył, jak hamuje przy nim matador o czarnej karoserii. Natychmiast rozpoznał ten samochód, kierowca opuścił szybę i ojciec Leonard ujrzał biskupa Mulhaneya, małego, otyłego człowieczka w szarej marynarce i czarnej koszuli. Wychylił się na zewnątrz i skinął na Leonarda.

— Czy mógłbym cię podwieźć, ojcze?

Ojciec Leonard otworzył drzwiczki i wsiadł do środka. Biskup natychmiast ruszył i dopiero po chwili popatrzył na niego, pozdrawiając go szerokim uśmiechem. Klimatyzacja w samochodzie nie działała i Leonard przez moment zastanawiał się, czy to jakaś awaria, czy też jest po prostu wyłączona. Być może biskup Mulhaney uznał, że Bóg chce mu za pomocą niewygód przypominać, komu służy.

— Jadę na Szesnąstą Ulicę, niedaleko skrzyżowania z Essex Street — odezwał się ojciec Leonard.

— A ja myślałem, że do Centrum Kongresowego.

Ojciec Leonard przecząco potrząsnął głową.

— W tej chwili nie miałbym żadnego wpływu na to, co się tam dzieje.

— Rozumiem. Oczekujesz właściwej chwili, tej, w której uznasz, że twoja interwencja znów jest niezbędna.

Ojciec Leonard nie odpowiedział. Doskonale wiedział, dlaczego biskup go odwiedził.

Normalnie między takimi wizytami mijały długie miesiące i gdy już do nich dochodziło, biskup zawsze się śpieszył. I to wcale nie dlatego, że mu brakowało zrozumienia dla pracy Leonarda czy też współczucia dla najuboższych, wśród których pracował. Nie. Czuł się po prostu bardziej administratorem niż kapłanem i przekonany był, że jego walka z ubóstwem jest najefektywniejsza wtedy, kiedy prowadzi ją zza biurka. Osobista obserwacja tego, co się dzieje na ulicach nędzy, sprawiała, że zamartwiał się, a nawet popadał w apatię, widząc beznadziejność swych kapłańskich wysiłków.

— Mam nadzieję, że rozumiesz ciężar tego, co uczyniłeś — powiedział biskup.

Ojciec Leonard pokiwał głową.

— Wszedłem w to z oczyma szeroko otwartymi.

— Otwarcie oczu to jeszcze za mało. Nie powinieneś w ogóle się tym zajmować.

— A może w ogóle powinienem był zapomnieć, że istnieje coś takiego jak Karta Praw?

Może powinienem był zapomnieć, że nasza wiara uznaje wszystkich ludzi za równych przed obliczem Boga?

— Ponad wiarę postawiłeś politykę — zauważył biskup.

— To wcale nie jest tak — sprzeciwił się ojciec Leonard. — Dobrze wiesz, że Karta Praw jest jak najbardziej ludzkim i chrześcijańskim dokumentem.

Biskup Mulhaney skrzywił się, zbliżając się do Szesnastej Ulicy.

— W pewnym sensie masz rację — zgodził się z Leonardem. — Jednak uważam, że wmieszałeś się w sprawy polityczne. I to tak niebezpieczne dla kapłana jak kwestie i przekonania seksualnych.

— Wmieszałem się w nie, ponieważ są one bezpośrednio związane z życiem ludzi, o których

dbam, którymi opiekuję i których szanuję — odparł Leonard z godnością.

— Znam twoje zasady, ojczu. Potwierdzam, że wykonujesz tutaj doskonałą robotę.

Powiem więcej, obserwując twoje poczynania, nie mam wątpliwości, z jak wielkiej wiary w Boga one wynikają. Jednak moim zdaniem, również zdaniem kardynała, popełniłeś wielki błąd, dając się wciągnąć w ten wyjątkowo niesmaczny skandal. Przyjechałem dzisiaj do ciebie właśnie po to, żeby ci o tym powiedzieć. Chciałbym zakończyć tę rozmowę przekonany, że zrozumiałeś swój błąd i uznałeś konieczność wycofania swojego poparcia dla pani Shaw.

Dotarli do rogu Essex Street i biskup zatrzymał samochód przy krawężniku.

— Niestety, nic z tego — powiedział Leonard. — Muszę nadal popierać panią Shaw. Nic mnie nie odwiedzie od tego postanowienia.

Biskup popatrzył na niego z wielkim smutkiem w oczach.

— Tym postanowieniem narażasz Kościół. Kościół nie może i nie chce wesprzeć cię w tym postanowieniu. Cóż, będę musiał rozważyć, czy wciąż nadajesz się na miejsce, w którym pracujesz.

— Co to znaczy?

— Co to znaczy? W najlepszym wypadku to, że otrzymasz skierowanie do jakiejś zapadłej afrykańskiej misji.

— Czy to już jest postanowione?

— Oczywiście, że nie — odparł biskup. — Wciąż masz szansę na zmianę decyzji. Może zechciałbyś odwiedzić mnie dzisiaj wieczorem, na przykład o ósmej? Żądam jednak, żebyś dzisiaj już nie kontaktował się z dziennikarzami. Żadnych wywiadów, żadnej telewizji, sam aż za dobrze wiem, jak oni potrafią przeinaczać fakty.

Ojciec Leonard zastanawiał się przez chwilę, po czym pokiwał głową.

— No cóż — mruknął. — Porozmawiam po południu z panią Shaw. Dziękuję za podwiezienie.

Kiedy otworzył drzwiczki, biskup pochylił się w jego stronę i przytrzymał go jeszcze za rękaw.

— Leonardzie, potrzebujemy takich ludzi jak ty — powiedział szczerze. — Proszę cię, nie uczyni niczego nierozsądnego.

Ojciec Leonard położył swoją dłoń na dłoni biskupa.

— Gdy stwierdzę, że zbłądziłem, zawsze będę gotowy głośno to przyznać — odparł. —

Jednak zawsze też będę gotów walczyć o sprawę, którą w głębi serca uznaję za słuszną.

Biskup westchnął.

— Niestety, boję się, że mówisz prawdę.

Ojciec Leonard zatrzasnął drzwiczki i biskup odjechał.

Powoli ruszył przed siebie chodnikiem i mijał właśnie zardzewiałą bramę, prowadzącą do jakiegoś magazynu, kiedy usłyszał warkot ciężarówki. Samochód wyjechał zza rogu Essex Street i jechał jakby specjalnie za nim. Odruchowo ojciec Leonard obejrzał się za siebie. Był to zdezelowany mack, załadowany drewnianymi skrzyniami. Leonard wciąż szedł, nie zmieniając rytmu kroków, jednak coraz silniej ogarniało go przeczucie, że zaraz wydarzy się coś strasznego.

Warkot ciężarówki wzmógł się. Leonard znów się obejrzał i stwierdził, że auto znajduje się już tylko dwadzieścia stóp za nim. W momencie gdy znów skierował spojrzenie do przodu, auto wjechało na chodnik. Leonard usłyszał to i instynkt podpowiedział mu, że musi uciekać.

Potknął się, co sprawiło, że ciężarówka znacznie zbliżyła się do niego. Nie zrezygnował jednak z walki o życie. Warkot silnika był coraz głośniejszy i w pewnej chwili ksiądz odniósł wrażenie, że na świecie nie istnieje już nic innego.

I wreszcie stało się. Stalowy zderzak ciężarówki uderzył go z taką siłą, że jego ciało poleciało pod mur najbliższego budynku. I to właściwie by wystarczyło. Miał pękniętą miednicę i czaszkę oraz

złamaną rękę. Zabójcy za kierownicą jednak jeszcze było mało. W chwili gdy Leonard próbował się podnieść, twarzą zwrócony do ceglanej ściany, zderzak ciężarówki przycisnął go do niej z ogromną siłą. Gdy ciężarówka zjeżdżała z chodnika, ojciec Leonard leżał już martwy pod ścianą.

Perri dowiedziała się o tym godzinę później. Policjantka w eleganckiej, szarej marynarce poprosiła ją do małej bocznej salki konferencyjnej i podała jej kubek kawy.

— Pani Shaw — powiedziała. — Jest mi bardzo przykro, ale niedawno wydarzył się tragiczny w skutkach wypadek drogowy, w wyniku którego zginął ojciec Leonard.

Perri zaniemówiła. To było niemożliwe, nie potrafiła w to uwierzyć. Ciężko padła na krzesło.

— Jak to się stało? — wyszeptwała.

— Nikt nie wie. Mam jedynie informację, że uderzyła go ciężarówka.

— Ciężarówka?

Policjantka pokiwała głową.

— Ojciec Leonard właśnie udawał się z wizytą do jakiejś chorej kobiety na Szesnastej Ulicy. Wiemy tylko tyle.

Perri ukryła twarz w dłoniach i nagle dotarł do niej ogrom nieszczęścia, które na nią spadło. Zaczęła głośno łkać i płakała bardzo długo. Policjantka nie czyniła nic, żeby ją uspokoić. W końcu Perri poczuła w gardle ogromną kulę i wtedy nie była już w stanie wypłakać ani jednej łzy więcej. Popatrzyła na policjantkę zaczerwienionymi oczyma.

— O Boże, ale dlaczego właśnie on? Był taki dobry dla wszystkich. Taki wspaniały. Mógł zostać świętym.

— Przykro mi, że muszę zadać to pytanie, ale czy pani zdaniem istnieją przesłanki, aby przypuszczać, że ktoś uczynił to celowo, po prostu zabił go?

— Zabić? Ojca Leonarda?

— Hmm... Wmieszał się w ostatnim czasie w bardzo niebezpieczne sprawy. Mam na myśli sprawy związane z działalnością Ligi Wyzwolenia Kobiet. Musimy rozważyć, czy nie zamordowano go właśnie z tego powodu.

Perri przez chwilę zastanawiała się, po czym powoli potrząsnęła głową.

— To niemożliwe. To jest, chciałam powiedzieć, Hilary Nestor Hunter jest bardzo gwałtowną kobietą, ale do czegoś takiego chyba się nie posunęła.

Policjantka lekko się uśmiechnęła.

— Proszę pani, takie rzeczy naprawdę się zdarzają — powiedziała.

— Ale Hilary?

— To nie musiała być ona. Morderstwa mogła dokonać któraś z jej zwolenniczek lub zwolenników albo po prostu płatny zabójca. Hilary mogła nawet o tym nie wiedzieć.

Tym razem Perri zdecydowanie potrząsnęła głową.

— Nie, nic takiego nie zdarzyłoby się bez wyraźnego polecenia Hilary. Jeżeli było to zabójstwo, to jego inspiratorką z całą pewnością była Hilary Nestor Hunter.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Słońce stało już wysoko nad horyzontem i prażyło niemiłosiernie. Jechali autostradą międzystanową numer 5. Mel uważnie przeglądał poranne gazety, zaznaczając czerwonymi obwódkami wszystkie informacje, które mogły dotyczyć nie wyjaśnionych śmierci. Na przykład na podjeździe przed domem w Watertown, w Dakocie Południowej, zastrzelono dwudziestoczteroletnią matkę dwuletniej dziewczynki. W Rolla, w stanie Missouri, z przejeżdżającego samochodu

zastrzelono siedemdziesięciodwuletniego starca.

Trzydziestoletni nauczyciel zginął w Wirginii. Jego samochód został zepchnięty z urwiska niedaleko Lake Barcroft.

— Niezłe żniwo zebrali dzisiaj nasi mordercy — zauważył Mel. — Dziesięć, a może dwanaście trupów.

— Jesteś tego pewien?

— Wszystkie przypadki wyglądają bardzo podobnie. Nasi przyjaciele z całą pewnością mieli wczoraj pracowity dzień.

Zbliżali się do San Juan Capistrano. John zjechał na lewy Pas, żeby wyprzedzić pustą ciężarówkę, pędzącą na południe, i na moment zauważył w lusterku beżowego plymoutha fury. Oślepił go krótki błysk; nie zdał sobie sprawy, że wcale nie jest to odbicie słońca w szybie, lecz w lustrzanych, przeciwsłonecznych okularach.

Mel zaczął przeglądać kolejną gazetę.

Pamiętasz, jak dzisiaj rano rozmawialiśmy o Carlu X. Chapmanie? — zapytał John. —

Tutaj jest jego fotografia, zrobiona w Vegas. Zdaje się, że udało mu się dobić jakiegoś wielomilionowego targu.

— A, niech mu tam będzie. Może napijemy się kawy? Termos leży na tylnym siedzeniu.

— Jasne. — Mel sięgnął po termos. Na moment przytrzymał pomiędzy kolanami plastikowy kubek i nalał do niego czary, parujący płyn.

— Popatrz, jeszcze jedno zabójstwo — powiedział, podając kubek Johnowi.

— Naprawdę? Chyba już nic mnie nie zdziwi — mruknął John, popijając pierwszy łyk.

Skrzywił się trochę. W tej chwili z całą pewnością lepiej smakowałaby mu whisky, jednak wiedział, co się stanie, jeżeli zacznie pić alkohol. Cały smutek po utracie Vicki, który ukrywał w najgłębszych zakamarkach umysłu, natychmiast wypłynąłby na wierzch, znów pogrążając go w desperacji i rozpacz, a to oznaczałoby, że nie wykonałby żadnego z zadań, które wyznaczył na dzisiaj. Nie mógł sobie na to pozwolić, musiał być na chodzie. Musiał wyśledzić profesora Sweetmana, musiał pomścić śmierć Vicki, nie tylko zresztą jej, ale i swego ojca. Po długich rozważaniach stwierdził, że byłby w stanie zrozumieć kogoś, kto zabija z zazdrości, w ataku furii, złości... Ale po to, żeby zdobywać głosy w wyborach?

— Prywatny detektyw zamordowany przez gang — przeczytał Mel. — Jak to brzmi?

— Niezbyt zachęcająco — odparł John. — Szukaj czegoś innego.

— Zaraz. Nie możemy niczego przegapić. W Pahrump Valley, w Nevadzie, znaleziono prywatnego detektywa, który dogorywał w samochodzie na poboczu autostrady. Policja przekonana jest, że postrzelony detektyw padł ofiarą porachunków gangów, rywalizujących o wpływy w kasynach Las Vegas.

— A więc tę sprawę da się wyjaśnić — zauważył John. — Szukamy morderstw niewytłumaczalnych. Jak nazywał się ten detektyw?

— David Radetzky. Był dobrze znany w Kalifornii, gdyż pracował dla gwiazd kina i telewizji, zbierając materiały do spraw rozwodowych.

— Zaraz, zaraz... Taki facet nie będzie się przecież mieszał do hazardu i interesów wielkich, zorganizowanych gangów. Coś tu nie pasuje. Chyba że interesowało go prywatne życie jakiegoś bandziora.

— Tak, to jest możliwe, chociaż nie do końca prawdopodobne.

Minęli kolejną ciężarówkę, a potem furgonetkę. Przez jej otwarte drzwi mogli zauważyć drewniane krzesła i stoliki. Wkrótce przejechali nad autostradą prowadzącą wzdłuż wybrzeża

Pacyfiku. Wciąż kierowali się na południe. Im bliżej był ocean, tym gęstsza mgiełka unosiła się nad drogą. Beżowy plymouth fury wciąż jechał za Johnem i Melem.

Mel na wszelki wypadek zakreślił artykuł o śmierci Davida Radetzky'ego i złożył gazetę.

Przez chwilę wpatrywał się w jej pierwszą stronicę. Co najmniej ćwiartkę kolumny zajmowała wielka fotografia Carla X. Chapmana, który odwiedzał właśnie Las Vegas. Patrząc na nią, Mel milczał, z zastanowieniem jednak drapał się po brodzie. Czoło miał zmarszczone, jakby intensywnie nad czymś się zastanawiał.

— O co chodzi? — John popatrzył na niego uważnie. — Wyglądasz, jakbyś właśnie sobie przypomniał, że zostawiłeś w domu włączony gaz.

— Ludzie nazywają to przecuciem — odparł Mel. — Podobne przecucie tknęło mnie po raz pierwszy wtedy, kiedy zginął twój ojciec.

— Mów, zaintrygowałeś mnie.

— Nie wiem, może to nie ma żadnego związku. Oto w Las Vegas zjawia się Carl X.

Chapman, ambitny senator z prawego skrzydła Partii Republikańskiej, silny człowiek naszej sceny Politycznej, twierdzący, że wygra wybory prezydenckie w roku 1980. Z drugiej strony z Las Vegas ucieka i ginie po drodze prywatny detektyw, facet, który właściwie nie ma czego szukać w tym mieście...

— Ciekawe. Chapman, wybory... Myślisz, że to on zleca te wszystkie zabójstwa?

— Zdaje się, że nie powinniśmy tego wykluczać — stwierdził Mel. — W końcu nie ma w Ameryce wielu polityków pokroju Chapmana. Jest gwałtowny, zdecydowany na wszystko i chce zostać prezydentem.

— A na przykład Walstrom?

— Och, jasne, jest jeszcze Walstrom, ale jakoś nie potrafię wyrazić go sobie wynajmującego zabójców. Owszem, to jastrząb, ale zbyt często traci nad sobą kontrolę. Taki człowiek nie potrafiłby chyba z zimną krwią wydawać poleceń płatnym mordercom. Z tych dwóch z pełnym przekonaniem stawiałbym na Chapmana.

John dopił kawę i zwrócił kubek Melowi. Ujrzał, że plymouth fury jest coraz bliżej.

Wkrótce zaczął ich wyprzedzać.

— Tak, Chapman by pasował do naszej zagadki, nie lubię jednak rzucać takich oskarżeń, jeżeli nie mam żadnych dowodów.

— Z całą pewnością ciężko będzie je znaleźć. Przed laty dwie specjalne komisje senatu prowadziły śledztwo przeciwko Chapmanowi. Podejrzewano go, że bierze łapówki od koncernów naftowych, jednak nigdy niczego mu nie udowodniono. Skoro nie potrafiła go przygwoździć komisja senacka, w jaki sposób nam mogłoby się to udać?

— Mam nadzieję, że profesor Sweetman nam to powie.

— A może nie powie? Może nawet o niczym nie wie?

Plymouth fury wciąż jechał równolegle z nimi, po lewej stronie. John rzucił spojrzenie w jego kierunku i zobaczył pordzewiały zderzak i łuszczącą się beżową farbę.

— Wciąż powinniśmy dopuszczać możliwość, że to, co się dzieje, jest dziełem szaleńca bądź szaleńców — zauważył Mel. — W tym kraju działy się już bardziej szalone rzeczy.

John jeszcze raz spojrział w bok na plymoutha. Nagle olśniło go niezbyt odległe wspomnienie. Za kierownicą siedział czarnowłosy mężczyzna w lustrzanych okularach. Miał uniesioną prawą rękę i celował z karabinu prosto w Johna.

— Mel, padnij! — krzyknął John. Sam gwałtownie skręcił kierownicą i jego wielki, biały samochód natychmiast znalazł się niemal na poboczu, oddzielony dwoma pasami drogi od plymoutha.

Rozległy się klaksony pojazdów, którym zajechał drogę, John jednak tym się nie przejmował. Natychmiast nacisnął na pedał gazu i gwałtownie przyspieszył.

Lincoln osiągnął prędkość dziewięćdziesięciu mil na godzinę w ciągu zaledwie kilku sekund. John odważył się po chwili zerknąć w lusterko i stwierdził, że beżowy plymouth znajduje się niemal ćwierć mili za nim.

Mel powoli, ostrożnie uniósł głowę i popatrzył do tyłu.

— Czyżby ktoś na nas polował? — zapytał drżącym głosem.

— Ten sam co zawsze — odparł John głucho. — Facet w lustrzanych okularach. Ten sam, który zabił mojego ojca.

Mel otworzył skrytkę i wyciągnął broń. Sprawdził, czy jest naładowana, i odrobinę niepewnie uśmiechnął się do Johna.

— Nigdy niczego takiego nie używałem — powiedział.

— Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał.

Mknęli teraz z prędkością stu dziesięciu mil na godzinę. Wyprzedzali pozostałe pojazdy z lewej i prawej strony, wzbudzając złość u kierowców, którzy rzucali niewybredne przekleństwa i naciskali na klaksony. John jeszcze raz popatrzył w lusterko. Beżowy plymouth był mniej więcej sto jardów za nimi. Za plymouthem ciągnęła się chmura czarnego dymu, ponownie błysnęły w słońcu lustrzane okulary i John w jednej chwili poczuł nienawiść i strach.

Zaraz jednak musiał skupić się na tym, co działo się przed nim, bowiem całą autostradę blokowały dwie powolne ciężarówki i wielki mercedes, ciągnący rodzinny camping na kółkach. Wszystkie trzy pojazdy poruszały się bardzo powoli.

— Na miłość boską, zjeżdżajcie — mruknął John, jednocześnie dając kierowcom przed sobą sygnały światłami. Nie doczekał się jednak żadnej reakcji. Auta sunęły powoli, majestatycznie, blokując wszystkie trzy pasma autostrady. Lincoln był z każdą chwilą coraz bliżej.

Plymouth z kolei stawał się coraz większy i wyraźniejszy w lusterku Johna. John nacisnął na klakson, znów zamrugał światłami, wiedział jednak, że kierowcy ciężarówek nie są nawet w stanie tego zauważyć. Miał w tej chwili na liczniku sto pięćdziesiąt mil na godzinę, a ciężarówki nie dalej niż dwieście jardów przed sobą. Były coraz bliżej lincolna, zbliżały się niczym betonowa ściana.

Gdy do nieuchronnej kraksy brakowało już tylko dwie, a może trzy sekundy, mercedes z campingiem wyprzedził ciężarówkę. Rzykując życie i straszny wypadek na autostradzie, John wjechał na pas za nim, po czym wcisnął się w wąską przestrzeń pomiędzy tylnym zderzakiem przyczepy campingowej a przednim ciężarówki. Jakimś cudem o nic nie zahaczył i z piskiem opon wyszedł na prostą. Natychmiast mocniej nacisnął na pedał gazu, uciekając przed niebezpieczeństwem.

Zdumiony kierowca mercedesa zwolnił na moment i wszystkie trzy pasy ruchu były zajęte.

Mężczyzna w lustrzanych okularach przez kilka sekund miotał się w swoim aucie, cisnąc ze wszystkich sił na klakson i błyskając reflektorami, a tymczasem prędkościomierz na tablicy rozdzielczej przed Johnem wskazywał sto dziesięć... sto piętnaście... sto dwadzieścia mil na godzinę...

Radość z ucieczki nie trwała jednak długo.

— Wciąż nas ściga — zauważył Mel. — Właśnie wyprzedził ciężarówkę. Widzę ten czarny dym, który snuje się za nim od chwili, kiedy zaczął nas gonić.

John popatrzył w lusterko.

— Nie dziwię się facetowi, w końcu za to właśnie bierze pieniądze. Jeżeli dociągniemy do San Diego, zgubimy go. W mieście nie będzie chyba próbował niczego gwałtownego. Jego ulubionym

terenem polowań są przecież autostrady. Musimy wjechać do miasta.

— Skoro tak twierdzisz, tak musi być — stwierdził Mel. — Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu ochota na strzelanie.

— Ja też na to liczę. Jeżeli jednak zaczniesz strzelać, musisz odpowiadać ogniem.

Mel z odrazą popatrzył na broń.

— Nigdy nie lubiłem zabawy w kowbojów — zauważył. — Zawsze wolałem samotne spacerować od głupiej bieganiny.

— Masz więc teraz szansę, żeby zmienić zainteresowania.

Do San Diego brakowało mniej więcej czterdziestu mil. Ruch na autostradach jakby zrzęcił i John mógł wydobyć z silnika lincolna całą moc. Wielkie, białe auto mknęło po asfalcie jak meteor, przypominający świetność lat pięćdziesiątych.

— Jak stoimy z paliwem? — zapytał Mel.

— W porządku — odparł John. — Mamy bak, jakiego nie powstydziliby się nawet czołg.

Mimo ich ogromnej prędkości, fury doganiał ich. W Camp Pendleton mężczyzna w lustrzanych okularach był już tylko dwieście jardów za nimi. W Oceanside, kilka mil dalej, rozpoczął manewr wyprzedzania.

John zaczął jechać zygzakami, po całej szerokości drogi, starając się nie dopuścić prześladowcy blisko siebie. Ten jednak był równie dobrym kierowcą i znalazłszy się na ogonie lincolna, spokojnie utrzymywał niewielki dystans, mimo że z rury wydechowej plymoutha czarne kłęby dymu unosiły się nad autostradą niczym z wielkiego komina fabrycznego.

— Mel! — krzyknął John w pewnej chwili. — Niestety, będziesz musiał użyć broni. Strzel kilka razy do niego. Staraj się trafić w opony albo w silnik.

— A jeśli trafię w kierowcę?

— To co z tego? A jak myślisz, w jakim celu on nas goni?

Mel opuścił szybę po swojej stronie i wysunął głowę na zewnątrz. Wiatr natychmiast rozwał mu włosy.

— W porządku! — krzyknął. — Skoro mi każesz, będę strzelał!

Wysunął rękę z bronią przez okno. Mężczyzna zauważył, na co się zanosi, i natychmiast zjechał z linii strzału. Mel jednak od razu przeniósł się na tylne siedzenie i z kolei opuścił tylną szybę po lewej stronie samochodu. Przy prędkości ponad stu mil na godzinę, pęd powietrza w kabinie stał się tak głośny, że John z Melem z trudem się słyszeli.

— Strzelaj! — wrzeszczał John. — Na miłość boską, strzelaj, na co czekasz?

Mel w końcu wystrzelił. Pierwszy pocisk najwyraźniej nie wyrządził plymouthowi żadnej szkody, bo wciąż ścigał lincolna, prawie ocierając się o niego przednim zderzakiem.

— Jeszcze raz! — krzyknął John.

Mel strzelił ponownie i tym razem trafił w chłodnicę auta prześladowcy. Natychmiast wytrysnął z niego gejzer gorącej wody i nad przednią maską uniosła się para.

— Jeszcze raz!

Fury trzasnął w nich i rozległ się zgrzyt blachy. Lincolnem odrobinę zarzuciło, John jednak prowadził bardzo pewnie i natychmiast opanował sytuację. Następne uderzenie było jednak o wiele groźniejsze. Przez długą chwilę wielki, biały niemal ślizgał się bokiem, Johnowi jednak jeszcze raz udało się wyjść cało z opresji. Mel znowu strzelił, ale niecelnie.

Samochody zderzyły się po raz kolejny. Jednak po tym zderzeniu plymouth natychmiast zwolnił i pozostał z tyłu. John zobaczył w lusterku, jak zjeżdża z autostrady w gęstych obłokach pary, unoszącej się znad jego przedniej maski. Bez wątplenia drugi strzał Mela zniszczył układ chłodzenia i niewiele

potrzeba było czasu, żeby silnik przegrzał.

Mel uniósł obie szyby. Wrócił na swoje siedzenie z przodu, dłonią poprawiając włosy i ciężko oddychając. Otworzył rewolwer i wyrzucił z komór puste łuski. I on, i John przez długą chwilę milczeli.

— Czy nie uważasz, że powinniśmy zawrócić? — odezwał się w końcu Mel. — Może trzeba skończyć z nim na dobre?

— Uwierz mi, że chciałbym tak zrobić — odparł John — Jednak najwłaściwiej postąpimy, jeżeli zatrzymamy się w Oceanside i zadzwonimy po policję.

Mel uniósł broń i popatrzył na niego.

— Wiesz co, nigdy nie przypuszczałem, że strzelanie być takie przyjemne — powiedział.

— Trzymasz w dłoni zabawkę i nagle czujesz się potężny, niezwyciężony... To jest przerażające.

Wkrótce zjechali z autostrady i na przedmieściach Oceanside John znalazł budkę telefoniczną. Przez chwilę czekał na połączenie z policją, po czym w słuchawce odezwał się w końcu jakiś detektyw.

— Mam informację na temat faceta, który zabija ludzi na autostradach w okolicach Los Angeles — powiedział.

— Tak? Słucham pana — odezwał się policjant lakonicznie.

— Nazywam się John Cullen. W ubiegłym tygodniu na jednej z autostrad zginął mój ojciec. Ten sam facet, który zabił mojego ojca, próbował mnie dzisiaj zastrzelić na autostradzie międzystanowej numer pięć, kilka mil przed Oceanside.

— Czy pańskie nazwisko należy pisać przez „K” czy przez „C”?

— Przez „C”. Niech pan posłucha, ten facet tam jeszcze jest, został na autostradzie, kilka mil przed Oceanside. Ma awarię samochodu. Beżowy plymouth fury.

— Zepsuł mu się samochód?

— Właśnie. Śledził mnie chyba od Los Angeles, widziałem już nawet, że chce strzelać, jednak popsuł mu się samochód. Jeżeli wyśle pan ludzi odpowiednio szybko, złapiecie go.

W słuchawce przedłużała się cisza, gdy policjant zapisywał informacje. Wreszcie odezwał się:

— Czy zamierza pan wnieść oskarżenie przeciwko temu osobnikowi, kimkolwiek on jest?

— Ja? Oskarżenie? Przecież to masowy morderca! Cała policja w Los Angeles poszukuje go od miesięcy!

Znów zapadła dłuższa cisza.

— W porządku. Sprawdźmy to. Gdzie pan teraz jest?

— W budce telefonicznej przy wjeździe do miasta.

— Niech pan tam zostanie. Już wysyłam ludzi.

Połączenie przerwało się. John popatrzył na słuchawkę, po czym ze zniechęceniem odwiesił ją na widełki. Powolnym krokiem powrócił do lincolna.

— I co? — zapytał Mel.

— Rozmawiałem z jakimś niedorozwiniętym detektywem. Jego zdaniem strzelanie do ludzi na autostradzie to takie samo przestępstwo jak jeżdżenie na łysych oponach.

Czekali prawie pół godziny, słuchając radia i powoli sącząc kawę. Była prawie jedenasta, kiedy wreszcie podjechał do nich biało-niebieski wóz patrolowy. Jeden z policjantów wysiadł i powoli, spacerowym krokiem podszedł do lincolna. Pochylił się przed oknem po stronie kierowcy i powiedział:

— Witam panów. To wy dzwoniście w sprawie tego mordercy z autostrad?

— Tak, to my — odparł John. — Złapaliście go?

Gliniarz powoli przecząco potrząsnął głową.

— Znaleźliśmy samochód, ale nie było przy nim ani śladu kierowcy. Samochód skradziono z parkingu w Santa Monica, mniej więcej przed tygodniem, na podstawie tablic nie sposób więc zidentyfikować kierowcy. Czy mógłby mi pan go opisać?

— Dokładnym opisem dysponuje detektyw Morello z policji w Los Angeles — odparł

John. — Mogę jedynie powiedzieć, że w dniu dzisiejszym próbował zamordować mnie ten sam facet, który strzelał do mojego ojca i który strzelał już do mnie przed kilkoma dniami, w tym tygodniu.

— Czy jest pan tego pewien?

John głęboko westchnął.

— Panie oficerze, nie zapomina się twarzy mordercy ojca, nie zapomina się twarzy człowieka, który właśnie podnosi broń, żeby zabić po raz kolejny.

Policjant uśmiechnął się współczująco.

— Myślę, że ma pan rację — powiedział. — Chciałbym jednak, żeby pojechał pan z nami na posterunek w Oceanside i złożył szczegółowe wyjaśnienia.

Była prawie trzecia, kiedy dotarli do kampusu uniwersyteckiego w San Diego, znajdującego się przy Pacific Highway. Popołudnie było gorące, a na błękitnym niebie unosiły się tylko rzadkie, niewielkie chmurki. Znad oceanu dochodził warkot samolotu, który miał właśnie lądować na powierzchni wody, zmierzając do bazy Coronado.

Po drodze z Oceanside rozmawiali bardzo niewiele. Obaj byli zmęczeni, roztrzęsieni i przygnębieni ostatnimi wydarzeniami. Mimo że ocean skrzył się radośnie, a pomiędzy palmami wiała delikatna bryza, ich strach przed krzywą Sweet i mężczyzną, który jej używał, sprawiał, że nie mogli myśleć o niczym radosnym. Obaj wiedzieli doskonale, że to nie jest wcale tak, iż Amerykanów zabija na autostradach maniak albo maniacy, przemierzający kraj od miasta do miasta. Ktoś uparł się, aby systematycznie, z zimną krwią likwidować wszystkich ludzi, którzy są liberałami, popularnymi w swych środowiskach, życzliwymi wobec wszelkich ludzkich trosk i potrzeb. Gdyby John i Mel nie stanowili w tej chwili zagrożenia dla mordercy w lustrzanych okularach, gdyby nie stanowili zagrożenia dla blondyna, który najprawdopodobniej podpalił dom w Topanga Canyon — nie ścigano by ich przecież.

— Profesor Sweetman mieszka przy Fairmount Avenue, niedaleko uniwersytetu stanowego — powiedział Mel, przeglądając mapę i odczytując notatki, które poczynił ostatniego wieczoru. — Teraz powinieneś skrócić w lewo, w Mission Valley Road. Następny zakręt w prawo to Fairmount.

John skręcił na następnym skrzyżowaniu i samochód powoli zaczął zbliżać się do celu.

— Mam nadzieję, że starszy pan jest w domu — znów odezwał się Mel. — Byłbym zły, gdyby cała ta wyprawa poszła na marne.

Po chwili lincoln znalazł się na Fairmount Avenue.

— A ja byłbym zły, gdyby wszystko to, przez co przeszedłem w ostatnich dniach, okazało się bezsensowne — powiedział John. — Jeżeli jutro rano obudzę się ze świadomością, że nie istnieje żadna krzywa Sweetmana, a Vicki i mój ojciec zginęli bez żadnego racjonalnego powodu, chyba zwariuję.

Bez trudu znaleźli dom profesora. Był to zaniedbany, dwupiętrowy budynek w stylu hiszpańskim, pomalowany na różowy kolor, z czerwonymi dachówkami. Przed nim znajdował się niewielki podjazd. Frontowe drzwi z grubego dębu nabijane były czarnymi, ozdobnymi gwoździami.

Jedna z okiennic na parterze była nadłamana. Cały budynek wyglądał tak, jakby natychmiast potrzebował świeżej farby i gruntownego remontu.

John zaparkował samochód i wysiedli. Zatrzymali się na chwilę przed budynkiem, mierząc go wzrokiem od parteru po dach, jakby próbując się w ten sposób zorientować, czy ktoś jest w środku.

— No cóż — odezwał się w końcu John. — Zapukamy. Nie mamy innego wyjścia.

Podszedł do drzwi, do których przybita była brudna, mosiężna tabliczka „prof. Aaron J. Sweetman”. Na środku znajdowała się mała szybka, jednak nie można było dojrzeć przez nią, co dzieje się w środku.

John ujrzał przycisk dzwonka i nadusił go. Usłyszał głośnie brzęczenie, które rozległo się z głębi domu. Popatrzył na Mela, ten jednak czyścił akurat okulary i jedynie uśmiechnął się do niego nerwowo.

Drzwi otworzyły się zupełnie niespodziewanie. W progu stał wysoki, starszy mężczyzna, w lekkim, szarym garniturze i wymiętej, kremowej koszuli. Nie nosił krawata. Miał bardzo krótko ścięte, srebrnosiwe włosy i żółtawą skórę, która charakteryzuje ludzi mieszkających w ciepłym klimacie i zupełnie nie dających o opaleniznę. Jego nos był wielki i mięsisty, z odcisniętymi śladami okularów, chociaż w tej chwili akurat ich nie miał. Oczy miał jasnoniebieskie.

— Słucham panów — odezwał się suchym, nieprzyjemnym głosem.

— Przepraszam, że panu przeszkadzamy — powiedział John. — Szukamy profesora Sweetmana.

— W takim razie dobrze trafiliście — odparł starzec. — Bo — wskazał palcem na swoją pierś — profesor Sweetman to właśnie ja.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Przybycie w ten piątkowy poranek Anthony'ego Seidena do wytwórni Twentieth Century Fox okraszone było jak zwykle tymi samymi dodatkowymi i niecodziennymi wydarzeniami.

Jego wydłużony, czarny fleetwood z przyciemnionymi szybami pancernymi powoli wtoczył się przez bramę wjazdową i po chwili zaparkował przed budynkiem administracyjnym na miejscu oznaczonym napisem „G. Wilder”. Następnie otworzyły się tylne drzwi limuzyny i wyskoczyło z nich dwóch postawnych młodzieńców w identycznych lekkich marynarkach.

Rozejrzeli się podejrzliwie dookoła i dopiero potem z auta wyszedł Anthony Seiden we własnej osobie: niski mężczyzna w zielonej koszulce i okularach. Ochroniarze szybko stanęli przy nim i pośpieszyli w kierunku podwójnych drzwi wejściowych do budynku.

W milczeniu cała trójka podeszła do drzwi windy, która miała zabrać ich na trzecie piętro, do biura Seidena. Gdy się znaleźli, sekretarka Seidena, mała blondynka o dużych, lśniących zębach, powitała swego szefa:

— Dzień dobry, Tony. Napijesz się herbaty?

Odebrała od niego neseser i dopiero wtedy usłyszała odpowiedź:

— Dzień dobry, Trixie. Jasne, chcę herbaty. I jakąś dobrą kanapkę.

Dwaj ochroniarze usiedli na krzesłach w drzwiach prowadzących do sekretariatu i natychmiast zagłębili się w lekturze jakichś kryminałów. Mieli tanie wydania książek, z łatwością mieszczące się w wewnętrznych kieszeniach marynarek. Teraz ich zadaniem było cierpliwe i ciche czekanie, dopóki Anthony Seiden nie zdecyduje się na opuszczenie biura.

Sprawiali wrażenie bez reszty pogrążonych w lekturze, jednak za każdym razem, kiedy w polu ich widzenia pojawiał się człowiek, czujnie podnosili głowy i taksowali go spojrzeniem.

Anthony Seiden usiadł za swym wielkim biurkiem i sięgnął po papierosa. Zapalił go, wypuścił chmurę dymu, po czym szybko przejrzał pocztę. Trixie po chwili przyszła ze szklanką rosyjskiej herbaty i kanapką.

— Smacznego — powiedziała. — Czy życzysz sobie, aby na któryś z listów odpowiedzieć natychmiast?

Anthony Seiden przecząco potrząsnął głową.

— Nie, nie ma tu nic takiego. Dzisiaj muszę poprzeglądać jeszcze ostatnie ujęcia, a potem pojedę prosto do domu, żeby odrobinę się przespać.

— Czy Dana jest w domu?

Upił trochę herbaty i pokiwał głową.

— Wczoraj wieczorem postanowiła, że pozostanie. Myślę, że jutro wieczorem będzie razem ze mną w Palm Springs. Mniej więcej uzgodniliśmy już, że damy sobie jeszcze jedną szansę.

— Cieszę się — powiedziała Trixie z uśmiechem. — Chyba całe Hollywood było zmartwione, kiedy ty i Dana się rozeszliście.

Anthony wzruszył ramionami.

— Kiedy się żyje tak, jak my ostatnio żyliśmy, w nieustannym stresie, napięciu i pośpiechu, takie sytuacje nie powinny dziwić. Wszystko się wtedy wali, kuszą narkotyki i alkohol w chwilach, kiedy wydaje się, że jest czas na krótki relaks. A to prowadzi do jeszcze większych stresów i nieporozumień... Ale cieszę się, że Dana wróciła. Doskonale pamiętam chwilę, w której zobaczyłem ją w drzwiach. W tym momencie przypomniałem sobie wszystkie powody, dla których kiedyś się z nią ożeniłem.

Zadzwonił telefon i Trixie podniosła słuchawkę. Przez chwilę rozmawiała, po czym przykryła

mikrofon dłonią i odezwała się do Seidena:

— To Daniel. Mówi, że wczorajsze ujęcia są gotowe do przeglądu.

— Powiedz mu, że za pięć minut będę na dole.

Anthony Seiden miał zamiar przejrzeć dzisiaj ostatnie sceny do Numeru siedemnastego, swego najnowszego filmu, którego tematem była korupcja w rządzie federalnym. „Variety” i „Hollywood Reporter” zamieściły już o nim reportaże. Wynikało z nich, że jest to najostrzejszy z jego dotychczasowych filmów i kiedy ukaże się na ekranach, reżyser nie będzie w stanie opłacić ochroniarzy, tak wielu ludziom się narazi. Jego poprzedni film pt. Tajemne noce, mówiący o łapówkach wypłacanych podczas kampanii wyborczej przez republikańskiego kandydata na prezydenta, wywołał serię pogroźek. W końcu wytwórnia filmowa postanowiła zafundować mu całodobową ochronę. Uczyniono to częściowo w trosce o jego życie, a częściowo dla reklamy. Seiden jednak podszedł do tego bardzo poważnie i przestrzegał wszystkich rygorów, jakie nałożyła na niego ochrona. Ze swojego domu w Bel Air nigdy nie wyruszał o tej samej porze i nigdy nie jechał do wytwórni tą samą trasą przez dwa dni z rzędu. Ochroniarze wysiadali pierwsi z samochodu i szczerlnie go otaczali; nawet w sklepach i restauracjach. Gdy był w biurze, przez cały czas czuwali, starannie przyglądając się każdemu, kto kontaktował się z Seidenem.

Anthony, chociaż współpracował z ochroną, nie był zadowolony z tej sytuacji. Był spokojnym, ciepłym i otwartym człowiekiem. Chciał uważać Amerykę za kraj, w którym można mówić, co się chce, bez obaw o życie. Wcale nie uważał, że wolność słowa jest prawem przyrodzonym człowiekowi. Twierdził, że jest to prawo, które ludzie wywalczyli sobie w ciężkim boju. Jego ojciec, Dan Seiden, był jednym z najlepszych operatorów w historii Hollywood, jednak jego karierę i zdrowie zniszczyły zajadłe antykomunistyczne polowania na czarownice w latach pięćdziesiątych. Anthony miał nadzieję, że teraz sytuacja jest zupełnie inna, że nietolerancję i ekstremizm państwo niszczy w zarodku. Jednakże chociaż McCarthy od dawna już nie żył, pozostało jeszcze wielu jego przyjaciół i sympatyków, wielu bogatych bigotów. Anthony Seiden dość dokładnie znał ich nazwiska i swoje ostatnie filmy kierował właśnie przeciwko nim.

Szczególnie mocno nienawidził dwóch ludzi: Johna Walstroma i Carla X. Chapmana. Byli jego starymi wrogami sprzed dwudziestu lat, wciąż jeszcze aktywnymi i głośnymi.

Jego przekonania i walka nie szkodziły mu ani w małżeństwie, ani nie miały złego wpływu na jego dochody. Jego żona, Dana, śliczna aktorka rodem z Norwegii, opuściła go jednak przed sześcioma miesiącami, oświadczając, że nie ma zamiaru żyć wciąż pod szklanym kloszem. Od tego czasu Anthony nie rozstawał się z butelką „Jacka Daniela” i ostatnią scenę w Numerze siedemnastym nakręcił w stanie całkowitego upojenia alkoholowego. Kiedy film był gotowy, Dana powróciła, a Seiden powoli zaczął odzyskiwać ochotę do życia.

Był szczupły, miał drobną, ciemną twarz, zawsze poważną. Jego oczy były szare i czujne.

Mówił zwykle cicho, spokojnie, ale jego głos świadczył o niezbitnej pewności siebie. Lubił nosić byle jakie francuskie swetry i włoskie spodnie, a jego ulubionym reżyserem filmowym był Bo Widerberg.

Telefon zadzwonił ponownie. Trixie podniosła słuchawkę i usłyszała głos Adele Corliss.

Bez słowa oddała słuchawkę Seidenowi.

— Adele, kochanie, jak się masz? — zawołał.

— Doskonale — odparła. — Jestem trochę rozkojarzona, ale czuję się doskonale.

— Jesteś roztrzęsiona?

— Mam nowego kochanka — przyznała. — Na zmianę zachowuje się jak dziecko i jak ostatni gbur.

Anthony uśmiechnął się.

— Myślałem, że wszyscy kochankowie są właśnie tacy.

— Tak ci się tylko wydaje. W końcu, co możesz o tym wiedzieć? Przecież przez tyle lat byłeś wierny Danie.

Anthony zaciągnął się dymem.

— Czy wiesz, że postanowiła ze mną zostać? — powiedział po chwili. — I chyba nawet razem przyjedziemy do ciebie jutro wieczorem.

— Coś mi podpowiadało, że cała ta historia w ten właśnie sposób się skończy. Bardzo się cieszę, że tak się stało. Jesteście najsympatyczniejszą parą, jaką znam.

— Miło mi to słyszeć. Ty z kolei jesteś najmiłszą osobą, jaką znam.

Adele roześmiała się.

— Może skończymy już z tymi wzajemnymi komplementami i będę miała szansę powiedzieć ci, po co właściwie dzwoniłam. Wiem, że jesteś bardzo, bardzo zajęтым reżyserem filmowym, trochę jednak martwią mnie przygotowania do Jutrzejszego wieczoru.

— A to dlaczego? Czyżbyś miała kłopoty z urządzeniem zwykłego przyjęcia?

— Nie, nie, jakoś daję sobie radę. Chodzi mi o coś innego. Widzisz, nie chciałabym, żeby atmosfera podczas tego przyjęcia była zbyt ciężka. Czy jesteś pewny, że bez kłopotów zniesiesz obecność Carla, Hilary i im podobnego tłumu gości? Nie chciałabym, żeby cała impreza skończyła się kłótniami i trzaskaniem drzwiami.

— Dlaczego się tego obawiasz?

— I on się mnie o to pyta! Przecież Carl X. Chapman to największy konserwatysta w tym kraju, a ty chyba jesteś największym liberałem! Przecież dwóch takich potrafiłoby zniszczyć nawet najprzyjemniejsze party!

— Adele — westchnął Anthony. — Zapraszasz na przyjęcie swoich przyjaciół. Carl był twoim wielbicielem na długo, zanim poznałaś mnie. Przecież nie powiesz mu, żeby do ciebie nie przychodził z jakichś głupich politycznych przyczyn. Jestem przeciwny jego polityce, jego ideom, ale w końcu nie jemu samemu. Spodziewam się, że jest cudownym ojcem i wspaniałym mężem, a na dodatek sympatycznym człowiekiem.

Adele westchnęła.

— Ostatnio strasznie się kłóca z Elspeth. Poza tym Carl nie ma dzieci. A czy jest sympatyczny? Sam zobaczysz.

— Och, Adele, mam nadzieję, że nie będzie tak źle.

— Oby. Bywają chwile, gdy Carl jest tak czarujący, iż żałuję, że nie poślubiłam go, kiedy miałam taką szansę.

— Naprawdę? Chciał się z tobą ożenić? Dlaczego za niego nie wyszłaś?

— Czas był nieodpowiedni. Jednak, przysięgam ci, prosił mnie o rękę. Elspeth nic o tym nie wie, i dobrze. Myślę, że jest dla niego o wiele lepszą żoną, niż ja kiedykolwiek zdołałabym być.

Anthony gestem ręki dał Trixie znak, żeby przyniosła świeżej herbaty. Jak zwykle, zawartość pierwszej całkowicie wystygła.

— Adele, przyjmij moje zapewnienie, że z powodu naszej obecności na tym samym przyjęciu nie będziesz miała żadnych kłopotów. Najwyżej prasa to zauważy i nasza popularność jeszcze wzrośnie. Oto prawicowy polityk zjawił się u Adele Corliss, aby świętować ukończenie filmu lewicującego reżysera. Dobrze, co? Zresztą zapewne i Carl nie ma nic przeciwko spotkaniu ze mną. Gdyby miał, nie skorzystałby z zaproszenia, przysłałby ci bukiet czerwonych róż, a samotny wieczór spędziłby przed ekranem telewizyjnym, oglądając po raz setny swoje Zielone berety z kasety wideo.

Adele nie była do końca przekonana.

— Skoro tak twierdzisz, mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku — powiedziała z westchnieniem.

— Oczywiście, że wszystko będzie w porządku. Jestem przecież liberałem, prawda? Co byłby ze mnie za liberał, gdybym chciał dobierać ci gości na przyjęcie? Skoro zaprosiłaś Carla, to twoja sprawa; nie mam prawa, mówić ci, że źle zrobiłaś. Zresztą nie chcę tego robić, bo postąpiłaś słusznie.

— A Hilary?

— Cóż, nie jest to mój ideał kobiety, ale co z tego? Mam nadzieję, że na tę okazję przynajmniej ubierze się jak kobieta. Wydaje mi się, że Dana nawet ją lubi.

Adele roześmiała się. Powoli zaczynała się uspokajać, z jej głosu znikająca niepewność.

Oboje posłali sobie całusy przez telefon i obiecali prawdziwe pocałunki w sobotę wieczorem, po czym odłożyli słuchawki. Następne dziesięć minut Anthony spędził na uważniejszej niż poprzednio lekturze poczty. W jednym z listów zawarte były pogróżki i Trixie umieściła w rogu kartki notatkę: „To jest tylko kserokopia. Zatelefonowałam po detektywa Prince’a i zjawi się trochę później po oryginał”. Nieznany autor tak groził Anthony’emu: „Seiden, ty śmierdzący zdrajco, to jest ostatni dzień twojego życia, jutro, ty świniou, zrobimy z tobą to, na co zasługujesz, zmiemy cię z powierzchni ziemi”.

Anthony trzymał przez chwilę list przed sobą, przypatrując się mu. Następnie zmiął kartkę i wrzucił do kosza na śmieci. Otrzymał już setki podobnych listów i dziesiątki anonimowych telefonów z pogróżkami, a mimo to wciąż nie był do nich przyzwyczajony, wstrząsały nim.

Bał się, że pewnego dnia jakiś szaleniec przyłapie go w chwili, gdy nie będzie przy nim obstawy, i Bóg jeden wie, co się wydarzy. W nocy zawsze trzymał rewolwer pod poduszką, nie bardzo jednak wierzył, że to mu coś da w chwili zagrożenia.

Nagrał na dyktafonie odpowiedzi na dwa najpilniejsze listy — dotyczące finansowania i promocji najnowszego filmu — po czym razem z ochroniarzami zszedł do sali projekcyjnej, aby obejrzeć rezultaty wczorajszej pracy. Ujęcia nie były długie: zaledwie dwie kilkusekundowe konwersacje, prowadzone w Białym Domu pomiędzy mniej ważnymi postaciami filmu, jednak Anthony polecił nagrać kilka ujęć. Zamierzał teraz wybrać te najlepsze, które najtrafniej pozwolą widzowi uchwycić niuanse konspiracji politycznej. Filmy polityczne zawsze bardzo trudno się kręciło. Niestety, w ich obrazie nie było niczego efektownego: wciąż ci sami mężczyźni w średnim wieku w doskonale skrojonych garniturach, rozmawiający ze sobą bezpośrednio albo przez telefony. Dlatego tak istotną rolę w tych filmach odgrywały dialogi.

Anthony był zdziwiony, kiedy w sali projekcyjnej ujrzał Hilary Nestor Hunter, otoczoną przez cztery młode dziewczęta. Hilary była jak zwykle wyniosła. Rozglądała się dookoła wzrokiem jak zwykle pełnym pogardy i lekceważenia. Ubrana była w czarny kostium i czarny kapelusz.

Wszedłszy na salę, Anthony powitał swojego asystenta, Daniela Kermaka, uśmiechnął się wesoło do Joela Forda, kierownika produkcji, i dopiero potem podszedł do Hilary.

— Kogo widzę? — odezwał się. — Jestem zaszczycony. Hilary założyła nogę na nogę.

Czarne, błyszczące pończochy dodatkowo zwracały uwagę na jej kształtne, długie nogi.

Posłała Anthony’emu słodki uśmiech i odezwała się:

— Zmusiłam Joela, żeby mnie tutaj wpuścił. Powiedział rai niedawno, że właśnie kończysz swój najwybitniejszy film i nie oparłam się ochocie obejrzenia przynajmniej fragmentów przed premierą.

— Nie myślałem, że moje filmy odpowiadają twojemu gustowi, jestem zaskoczony —

powiedział Anthony ostrożnie. — Mam na myśli kwestie ideologiczne i to, że nasz punkt widzenia na wiele spraw jest diametralnie odmienny.

Jedna z dziewcząt Hilary, nadzwyczaj śliczna brunetka, posłała mu dziki uśmiech. Nie zdziwiłby się, gdyby się okazało, że Hilary karmi swoją piękną ochronę surowym mięsem.

— Anthony, chyba niewłaściwie mnie osądzasz — tchnęła Hilary. — Nie jestem polityczną bigotką. W gruncie rzeczy polityka niezbyt mnie interesuje. Zajmuję się nią tylko wtedy, kiedy jestem do tego zmuszona, nigdy dobrowolnie.

— Kto by się tego spodziewał? — Ton Anthony'ego był sarkastyczny. — Ja natomiast nie wypieram się związków z polityką. Wiesz, jaki jest przemysł filmowy.

— Wiem, wiem, wy, filmowcy, macie ogromny wpływ na ludzi. Wystarczy, że Steven Spielberg zrobi film o latających talerzach, a już wszyscy jak jeden mąż wpatrują się w niebo. Wystarczy, że Anthony Seiden nakręci film o tych nieznośnych politykach, a już wszyscy zastanawiają się, czy Karol Marks mimo wszystko nie miał racji.

— Nie jestem marksistą — powiedział Anthony. — Nie jestem nawet leninistą. Po prostu stoję kilka stopni na lewo od centrum, to wszystko.

Hilary uśmiechnęła się.

— Nie zamierzam cię krytykować, mój drogi. Uwielbiam twoje filmy. Twoje Tajemne noce uważam za coś nadzwyczajnego.

— Panie Seiden, jesteśmy gotowi — zawołał Daniel Kermak z głębi sali projekcyjnej. — Możemy zaczynać, kiedy tylko da pan sygnał.

Anthony machnął do niego ręką i odezwał się do Hilary:

— Zdziwię się, jeżeli ci się spodoba również Numer siedemnasty. Ale obejrzyj go. Teraz będziemy przeglądać scenę, w której dwaj przekupieni urzędnicy Białego Domu namawiają sekretarza ochrony środowiska, żeby zezwolił na poszukiwania ropy naftowej na terenie parku narodowego. Zgoda sekretarza jest dla każdego z nich warta milion dolarów w gotówce.

Hilary zmarszczyła czoło.

— Zapowiada się dobra zabawa — zauważyła.

Anthony skinął głową.

— Cztery sprawy w życiu zawsze gwarantują zabawę: seks, polityka, pieniądze i zemsta.

Poszedł na swoje miejsce przed kabiną projekcyjną, a Daniel Kermak dał sygnał, żeby zaczynać przeglądanie nakręconych materiałów. Kiedy na ekran padło światło, Anthony popatrzył na Hilary i ujrzał, że ta wpatruje się w niego zimnym, bezmyślnym spojrzeniem, które niespodziewanie go zaniepokoiło.

A na ekranie tęgi aktor w błękitnym, wełnianym garniturze mówił: „Mamy problem, Bradley. Mamy tutaj cholerny problem i tylko dwadzieścia cztery godziny na jego rozwiązanie”.

Pół godziny później Hilary Nestor Hunter siedziała za biurkiem wynajętego na kilka dni gabinetu. Dziewczęta stały wokół niej i znudzonymi głosami wymieniały wrażenia z projekcji.

Po chwili zastanowienia Hilary podniosła słuchawkę telefonu i wykręciła swój ulubiony numer.

— Carl? — rzuciła do słuchawki. — Tak, to ja. Możesz rozmawiać?

Przez chwilę słuchała głosu senatora, po czym odezwała się:

— Widziałam te sceny. Są gorsze, niż przypuszczałeś. I Seiden wkrótce wypuści ten film.

Będzie w niedługim czasie tak znany jak sam Seiden. Tak, jasne... Tak, to najlepsze, co możesz zrobić.

Znów przerwała i znów uważnie słuchała przez kilkanaście sekund.

— Wiem — odezwała się ponownie. — Ale w przeciwnym wypadku nigdy go nie dostaniesz.

Zawsze otacza go przynajmniej dwóch goryli. Tak, jasne, oczywiście... W porządku, zobaczymy się więc jutro wieczorem. Tak, i ja ciebie też, wiesz o tym dobrze. Do zobaczenia, Carl.

Odłożyła słuchawkę, po czym znów ją podniosła i wybrała szybko kolejny numer.

Najwyraźniej trafiła na automatyczną sekretarkę, bo odczekała chwilę, po czym odezwała się, starannie, powoli dobierając słowa:

— Wszystko postępuje zgodnie z planem. Spotkamy się w niedzielę wieczorem, kiedy już będzie po wszystkim... — Zastanawiała się przez chwilę, jakby nie będąc pewna, czy zakończyć nagranie, i w końcu dodała jeszcze dwa słowa: — Kocham cię.

Dopiero wtedy odłożyła słuchawkę.

Jedna z dziewcząt popatrzyła na nią i szeroko się do niej uśmiechnęła. Wówczas Hilary sięgnęła po papierosy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Profesor Sweetman zaprosił ich do ciemnego holu. Stanąwszy w progu, mogli zauważyć drzwi prowadzące na podwórko po drugiej stronie budynku. Drzwi były otwarte, widać było przez nie masywną, kamienną fontannę, nieczynną co prawda, i gęsty, wysoki żywopłot, okalający cały teren. W powietrzu unosił się stęchły zapach jakby gnijących grzybów i ostry, uderzający w nozdrza zapach kamfory, podpowiadający, że w domu znajduje się ciężko chory człowiek.

Profesor zaprosił ich do salonu umeblowanego wypłowiałymi sprzętami. Na środku stały dwa krzesła obite perkalem, a naprzeciwko nich taka sama, bardzo już zużyta kanapa. Na ścianach wisiało kilka akwarel, prezentujących sceny ze starożytnego Egiptu. Farba na ścianach łuszczyła się. W rogu pokoju stało duże biurko, zarzucone papierami, na których leżały mosiężne krokodyle i inne przyciski do papieru.

— Mieliście panowie szczęście, że zastaliście mnie w domu — powiedział profesor Sweetman, przeglądając powierzchnię biurka w poszukiwaniu okularów. — Zwykle o tej porze przebywam w laboratorium. Jestem ostatnio bardzo zajęty. Zapewne zrozumiecie to, panowie. Realizuję bardzo poważny projekt. — Znalazł wreszcie okulary i założył je na nos.

Wówczas dopiero uważnie zmierzył wzrokiem Johna, a potem Mela. — Usiądźcie, panowie — zaprosił ich, kiedy im się już do woli przyjrzał. — Skoro mnie zastaliście, możemy sobie chwilę porozmawiać.

Usiedli obok siebie na trzeszczącej kanapie. Przez bambusowe żaluzje do pokoju wdzierały się gorące promienie słońca. Pomieszczenie sprawiało wrażenie, jakby specjalnie przygotowano je po to, żeby robić tutaj fotografie stylizowane na koniec dziewiętnastego wieku. Z głębi domu dochodziły dźwięki radia.

— Bardzo przepraszam, że pana niepokoimy, nie zapowiadając uprzednio wizyty — odezwał się John — ale sprawa jest bardzo pilna. Uznaliśmy też, że będzie bezpieczniej dla nas, jeżeli wcześniej się nie zaanonsujemy.

— Bezpieczniej? — zdziwił się profesor Sweetman. — Czy napijecie się panowie odrobinę doskonałego wina?

— Nie, dziękujemy bardzo.

— Cóż, w takim razie powiedzcie mi, co rozumiecie pod słowem „bezpieczniej”? Obawiam się, że nie bardzo rozumiałem, o co chodzi.

John wyciągnął chusteczkę i otarł pot z czoła. Profesor Sweetman był zapewne wspaniałym naukowcem, jednak najwyraźniej nie słyszał o takim wynalazku jak klimatyzacja.

Powietrze w jego domu było ciężkie, stęchłe i nieprawdopodobnie ciepłe.

— Dowiedziałem się o krzywej Sweetmana — powiedział John. — Dowiedziałem się, co to takiego i czemu służy.

Miał nadzieję, że nie przeszarżował, rozpoczynając rozmowę tak bezceremonialnie. Z tego, co w tej chwili wiedział, profesor Sweetman mógł być szefem całej rozgałęzionej konspiracji, bezwzględny i działający z zimną krwią. Jeżeli nawet nie pełnił takiej roli, z całą pewnością był w to wszystko głęboko zaangażowany i trudno było się spodziewać, że uprzejmie przyjmie w swoim domu ludzi, którzy wpadli na jego trop.

Zapadła krótka cisza. Profesor Sweetman zaczął przemierzać pokój wzdłuż i wszerz, jakby znowu czegoś poszukując. Zaglądał pod sterty papierów i dokumentów, otwierał szuflady — wszystko bezskutecznie. W końcu przystanął, jakby bezradny, wyprostował się i powiedział:

— Proszę bardzo, niech pan kontynuuje.

John popatrzył na Mela i zmarszczył czoło. Mel wzruszył ramionami. Sprawiał wrażenie, jakby koniecznie musiał się napić zimnego piwa.

— No właśnie. Wiem, co się dzieje.

Profesor Sweetman uśmiechnął się.

— W takim razie cieszę się bardzo, że panowie się u mnie zjawili. To bardzo interesujące zagadnienie, prawda? Rysują się nieskończone możliwości naukowe. Czy wiecie, panowie, że mając odpowiednie dane, moglibyśmy przewidywać hossy i bessy giełdowe? — Westchnął ciężko. — Nie powinienem jednak wam o tym opowiadać. Moje badania objęte są ścisłą tajemnicą. Ale zresztą... Wszelkie informacje i tak będą dla was bezużyteczne. Przecież nie macie najmniejszego pojęcia, w jaki sposób należy konstruować krzywą. Zgadza się panie...

— Cullen — powiedział John. — John Cullen. A przyjaciel nazywa się Mel Walters.

Obawiam się, niestety, że żaden z nas nie wie, jak konstruować krzywą według pańskiego pomysłu.

— No cóż... Tak przypuszczałem.

Usiadł naprzeciwko nich i założył nogę na nogę, odsłaniając białą, kościstą kostkę. Na nogach miał białe tenisówki i elastyczne skarpetki. Złożył dłonie jak do modlitwy i uśmiechnął się do swoich gości.

— Co mogę dla panów zrobić? — zapytał.

John nabrał powietrza w płuca.

— Trudno to wyrazić w paru słowach, profesorze. Przyszliśmy do pana, gdyż doszliśmy do kilku bardzo ciekawych wniosków. Być może nie mamy racji, jednak zajmujemy się tym bardzo intensywnie już od tygodnia i teoria, którą stworzyliśmy, zdaje nam się bardzo przekonywająca. Jedno jest pewne: pan właśnie jest jedynym człowiekiem, który ostatecznie może powiedzieć nam, czy mamy rację, czy też jej nie mamy.

Profesor Sweetman powoli pokiwał głową.

— Rozumiem — powiedział.

— Nie zjawiliśmy się tutaj bynajmniej na towarzyskie pogaduszki, profesorze — odezwał się Mel. — W ubiegłym tygodniu John stracił ojca. Zastrzelono go na jednej z autostrad w Los Angeles. Wkrótce potem zginęła dziewczyna Johna. Ktoś podpalił dom, w którym akurat przebywała.

— No cóż — westchnął profesor. — Proszę przyjąć moje kondolencje, panie Cullen.

Rozumiem, że jest pan bardzo przygnębiony.

— Zgadza się, profesorze Sweetman, jestem przygnębiony, tym bardziej, że jak przypuszczam, dociekłem prawdziwej przyczyny śmierci bliskich mi osób. — Urwał i starał się zmierzyć

Sweetmana najostrożniejszym wzrokiem, na jaki tylko było go stać. Ten jednak jedynie kiwał ze współczuciem głową, jakby wiadomości, które przed chwilą usłyszał, były równie bolesne dla niego jak dla Johna. Sprawiał wrażenie, że nie ma najmniejszego pojęcia o przyczynie śmierci Williama Cullena i Vicki.

— Czy potrafi pan odgadnąć, dlaczego oni zginęli? — zapytał John. — Czy potrafi pan wyjaśnić powód ich śmierci?

Profesor Sweetman ściągnął okulary.

— Nie, oczywiście, że nie. Przecież nie miałem nawet pojęcia, że takie osoby żyją, skądże miałbym więc wiedzieć, dlaczego pożegnali się z tym światem?

— Rzeczywiście, nie pański to problem, profesorze warknął John. Mel delikatnie dotknął jego ramienia, ostrzegając go, aby się kontrolował. Nie była to pora na sarkazm, złość ani na ujawnianie bólu i zgryzoty. — Chcę panu jednak powiedzieć, że Mel i ja jesteśmy przekonani, że ze śmiercią mojego ojca i mojej dziewczyny w jakiś sposób związana jest krzywa Sweetmana, obojętnie co w tej chwili pod tym pojęciem rozumiemy, profesorze. W zasadzie nie mamy wątpliwości, że krzywa Sweetmana jest bezpośrednią przyczyną śmierci setek niewinnych ludzi, zamordowanych w ostatnich miesiącach, jak Stany Zjednoczone długie i szerokie.

Zapadła ciężka, nieprzyjemna cisza. Profesor Sweetman zakaszłał i wyprostował nogi. Z piętra dochodziły dźwięki płynące z radia. W pewnej chwili dołączył do nich odgłos włączonego odkurzacza.

Po długiej chwili profesor zakaszłał jeszcze raz i wreszcie się odezwał:

— Panie Cullen, to, co pan powiedział, jest niesłychanym i, określiłbym to, dziwacznym oskarżeniem. Prawdę mówiąc, nie rozumiem go.

— Nie spodziewałem się, że powie pan cokolwiek innego — stwierdził John. — Jednak musiałem tutaj przyjechać. Nie co tydzień traci się dwie najbardziej kochane osoby.

— Rozumiem pana, panie Cullen, jednak pragnę, aby i pan zrozumiał, że krzywa

Sweetmana nie jest żadnym narzędziem zbrodni. Dla nikogo nie jest zagrożeniem ani żadnym niebezpieczeństwem. Jest to, jak by to panu najprzystępniej wyjaśnić, po prostu wykres, za pomocą którego wyznacza się drogi fizjologicznego i psychologicznego rozwoju dowolnej osoby, w zasadzie na całe jej życie. I to wszystko.

— Niczego nowego mi pan nie powiedział. Jestem przekonany, że mówi pan prawdę. A jednak jest ktoś, używa pańskich wykresów do typowania ofiar kolejnych morderstw, kto posługuje się tymi wykresami, aby zabijać — oznajmił John.

— Wcale nie twierdzimy, że to pan zabija — powiedział Mel. — Wygląda na to, że ktoś w haniebny sposób wykorzystuje efekty pańskiej pracy naukowej. Chcielibyśmy dowiedzieć się od pana, czy ma pan jakieś podejrzenie, czy jest pan w stanie wskazać nam kogoś, kto ewentualnie mógłby być sprawcą tych zbrodni.

— To może być każdy — odparł profesor cichym głosem.

— Czy jest pan tego pewien?

— Oczywiście. Opublikowałem na temat tego wykresu kilkanaście artykułów w różnych specjalistycznych magazynach. Niektóre wyniki moich prac prezentowałem podczas wykładów na University of California w San Diego. Jednak zapewniam panów, na całej planecie nie ma poza mną osoby, która potrafiłaby wykorzystać program komputerowy, za pomocą którego dochodzi się do właściwych wykresów krzywej, noszącej moje nazwisko.

Panie Cullen, jeżeli ktokolwiek mógłby być winny zbrodni dokonywanych według wskazań krzywej Sweetmana, w grę wchodziłaby tylko moja skromna osoba. Zapewniam pana jednak, że

pomysł ten jest błędny i bezsensowny.

— Czy nie współpracuje pan z nikim, kto mógłby znać wszystkie szczegóły pańskiego odkrycia i przekazać je na zewnątrz? — zapytał John. — A może coś przez przypadek wydostało się z laboratorium?

— Mój zespół składa się z pięciu osób. Oprócz tego, że wszystkim im bezgranicznie ufam, jestem pewien, iż żadna z tych osób nie jest w stanie samodzielnie opracować całego wykresu. Panie Cullen, nie chcę, aby wziął mnie pan za pyszałka, do tego jednak potrzeba wybitnego umysłu i obawiam się, że minie jeszcze wiele lat, zanim ktokolwiek zrozumie istotę tego, co jest moim odkryciem.

John westchnął z rezygnacją. Nagle poczuł, że jest bardzo zmęczony. Brak snu i skrajne napięcie ostatnich kilku dni dawały znać o sobie. Do tej pory nie dopuszczał do siebie rezygnacji i zniechęcenia, będąc przekonany, że jest na tropie, że ścigając morderców ojca i Vicki, podąża w dobrym kierunku. W tej chwili jednak wszystko wskazywało na to, że się mylił. Słowa profesora nie świadczyły o tym, że zbrodnie zaplanowano na podstawie krzywej Sweetmana, ale w takim razie, dlaczego ci wszyscy ludzie zginęli?

— Rozumiem pana, rozumiem, że wcale nie tak trudno było skojarzyć śmierć z moim wykresem, panie Cullen — mówił profesor. — Przysięgam jednak panu, że moja praca naukowa nie służyła i nie będzie służyła dziesiątkowaniu Amerykanów; z całą pewnością żaden z moich klientów nie użyje jej efektów do tego celu. Zresztą wszyscy oni są bardzo szanowanymi osobistościami.

— Klienci? — zdziwił się John. — Nie rozumiem pana.

— A co tu jest do rozumienia? Klienci są klientami. Ludzie przychodzą, proszą o konkretne usługi i dobrze za to płacą.

— Jakie usługi?

— No, oczywiście, chodzi im o wykresy. A cóż innego mógłbym im oferować? — powiedział profesor. — Kiedy po, raz pierwszy zdecydowałem się na publikację w „Analytical Medicine”, od razu dotarli do mnie ludzie z przemysłu i różnych organizacji z prośbami, abym wykreślił dla nich programy produkcji, sprzedaży i jeszcze różnych innych dziwacznych rzeczy, którymi byli zainteresowani. Z zasady nikomu nie odmawiałem pomocy.

Dzięki temu mogłem pracować, mając ogromne bazy bardzo interesujących danych, a poza tym zarabiałem dzięki temu całkiem pokaźne pieniądze. Nie skąpiono mi ich, gdyż zamówienia były takiej natury, że klienci mogli sobie odliczać koszty od podatków. Dzięki temu mogłem kupić dwa nowe komputery.

John popatrzył na Mela. Zaduch panujący w pokoju sprawiał, że Mel cały był spocony i czerwony na twarzy.

— Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, jakich miałem klientów — kontynuował profesor. — Na przykład wielka kompania motoryzacyjna, która chce opracować plan sprzedaży i projektowania samochodów na najbliższe dziesięć lat. Albo firma produkująca kosmetyki. Dwie korporacje farmaceutyczne, które chciały wiedzieć, jakie choroby będą najbardziej dokuczały Amerykanom w ciągu najbliższych dwudziestu lat. Tak, miałem i wciąż mam pełne ręce roboty.

— A czy zgłaszali się do pana, powiedzmy, politycy? — zapytał John ostrożnie.

Profesor Sweetman powoli potrząsnął głową.

— Tego nie mogę panu powiedzieć. W zasadzie nie wolno mi ujawniać żadnych szczegółów dotyczących mojej pracy. Wszyscy klienci żądają jak najdalej posuniętej dyskrecji.

— Nie może mi pan nawet powiedzieć, czy zamówienia dotyczyły bezpośrednio polityki, czy też nauki o polityce, przykład socjologii politycznej?

— Nie, naprawdę nie mogę.

Starając się mówić jak najspokojniej, John odezwał się:

— A czy nie przyszło panu do głowy, profesorze, że pański polityczny klient to właśnie ta osoba, której poszukujemy, ktoś odpowiedzialny za setki morderstw w Stanach Zjednoczonych? A może starannie odsuwa pan od siebie myśl, że może się pan okazać współsprawcą masowej zbrodni?

Profesor zacisnął usta.

— Wszyscy moi klienci cieszą się doskonałą opinią. To wszystko, co mogę panu o nich powiedzieć. Przecież chyba nie spodziewa się pan, że...

— Spodziewam się, że wreszcie dotrze do pana, co pan narobił! — zawołał John. — Jeżeli jednym z pańskich klientów jest polityk, na miłość boską, musimy poznać jego nazwisko.

Być może panu się zdaje, że krzywa, którą pan wykreślił, Inie jest dla nikogo niebezpieczna, ale jest pan jedynie sympatycznym, spokojnym profesorem z San Diego, którego umysł funkcjonuje zupełnie inaczej niż mózgi polityków. To, co według pana jest jedynie ciekawą, użyteczną informacją, dla kogoś innego może być motywem zbrodni! Wyrokiem śmierci!

Profesor gwałtownie wstał. Jego twarz była blada. Nerwowo przecierał szkła okularów.

— Panie Cullen, zdaje się, że nadużył pan mojej gościnności — powiedział. — Gdy się pan tutaj zjawił, spodziewałem się po panu rzeczowej dyskusji na temat mojej pracy i jej postępów, a nie jakichś bezsensownych i bezpodstawnych oskarżeń. Mówiąc wprost, obraża mnie pan. Życzę sobie, aby natychmiast opuścił pan mój dom.

Niespodziewanie rozległo się brzęczenie dzwonka przy drzwiach wejściowych. Profesor Sweetman zamierzał ruszyć w tamtym kierunku, jednak na moment się zatrzymał.

— Nie wiem, co chcecie mi udowodnić — powiedział do Johna i Mela — jednak wasze zachowanie wydaje mi się cokolwiek nie na miejscu. Jeżeli nie zmienicie swojej postawy wobec mnie, będziemy musieli spotkać się w sądzie, gdyż oskarżę was o próbę naruszenia mojego dobrego imienia.

Dzwonek zabrzączał ponownie. Profesor Sweetman zrobił krok w kierunku drzwi, ale jeszcze raz się zatrzymał, gdyż John odezwał się do niego:

— Profesorze, jestem przekonany, że uświadamia pan sobie powagę tej sprawy, ale może pan nie wiedzieć, ile niewinnych ofiar pochłonęła już krzywa Sweetmana. Chodzi nie tylko o moją dziewczynę i mojego ojca, ale o setki, a nawet tysiące ludzi w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki.

— Do tej pory niczego nie słyszałem o masowych zbrodniach w naszym kraju, panie Cullen, nie mam więc pojęcia do czego pan zmierza. Sądzę, że chodzi panu wyłącznie o wydobycie ze mnie nazwiska mojego klienta. Nie wiem, kim pan jest, przyszedł pan do mnie prosto z ulicy, nie przedstawił pan nawet żadnego dokumentu, który potwierdzałby pańską tożsamość.

— A więc, przyznaje pan, że istnieje polityczny klient.

— Co? — Profesor Sweetman gwałtownie zamrugał powiekami.

— Powiedział pan, że chcę wydobyć z pana nazwisko politycznego klienta. Pośrednio przyznał pan w ten sposób, że ktoś taki istnieje.

Dzwonek znowu zabrzączał, tym razem dwukrotnie. Trochę zbity z tropu profesor odpowiedział:

— Mam tego dosyć, panie Cullen. Proszę opuścić moje mieszkanie. Moja żona...

— Profesorze — John zaczął mu grozić — jeżeli nie ujawni mi pan nazwiska tego polityka, i to natychmiast, prosto stąd udam się na posterunek policji w San Diego i zeznam, że bierze pan udział w spisku, którego celem jest mordowanie ludzi.

Profesor Sweetman westchnął, zdesperowany.

— To jest koszmar! Pan jest szalony! Przecież nie może pan jeździć po wszystkich stanach i rozgłaszać podobnej bzdury!

Mel powoli, spokojnie potrząsnął głową.

— On nie jest szalony, profesorze. Po prostu stara się dojść prawdy, niezależnie od tego, jaka ona jest. John próbuje ujawnić morderców, którzy z zimną krwią zgładzili w naszym kraju setki ludzi; Czy nie uważa pan, że należałoby mu pomóc?

W tym momencie w drzwiach pojawiła się drobna kobieta owinięta w biały porannik.

Miała przynajmniej sześćdziesiąt lat. Jej siwe włosy związane były z tyłu białą wstążką. Ta biel podkreślała chorobliwą, woskową barwę jej skóry. Niebieskie oczy kobiety patrzyły jakby przez mgłę.

— Mima, nie powinnaś była tutaj schodzić — powiedział profesor Sweetman, podchodząc do niej i ujmując ją za rękę. — Przecież mogłaś się przewrócić.

Kobieta uśmiechnęła się słabo.

— Jestem pewna, że szybko byś mnie podniósł, Aaronie. Słyszałam podniesione głosy.

Czyżbyś kłócił się z tymi panami?

— Oni właśnie wychodzą — oznajmił profesor. — Zdaje się, że przyszli tutaj, gdyż pomylili adres. Wzięli mnie za kogoś innego.

— Mam jednak nadzieję, że ugościłeś panów przynajmniej szklaneczką wina.

— Niestety nie. I nie naprawię tego błędu, ponieważ panowie właśnie opuszczają nasz dom.

John spojrział mu w oczy. Nie miał całkowitej pewności, czy profesor pracuje dla jakiegoś polityka, jednak gotów byłby założyć się o duże pieniądze, że tak właśnie jest. Postanowił nacisnąć na niego po raz ostatni.

— Życie wielu ludzi zależy od pana, profesorze. Czy mimo wszystko nie zmieni pan zdania, nie udzieli mi pan informacji?

Profesor zacisnął pięści.

— Nie, panie Cullen, nie może pan na to liczyć. Życzę sobie, żeby wreszcie opuścił pan ten dom. Moja żona jest poważnie chora, wszyscy lekarze ostrzegają ją, że każdy stres może okazać się dla niej tragiczny w skutkach. Czy chce pan odpowiadać za śmierć mojej żony?

— Cóż. — John wzruszył ramionami. — Myślę, że nie skończymy na tym naszej znajomości. Zostawię panu numer mojego telefonu w Los Angeles, na wypadek gdyby zmienił pan zdanie.

Profesor wziął kartkę od Johna i natychmiast podarł ją na drobne kawałki. Mima Sweetman patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, ale milczała. Najwyraźniej bezgranicznie mu ufała i to, co działo się przed jej oczyma, nie miało na jej zaufanie najmniejszego wpływu. Dotknęła dłonią jego ramienia, patrząc, jak John i Mel wychodzą z domu.

T. F. obserwował ich z zielonego buicka regala, zaparkowanego na rogu Fairmount i University Avenue. Widział, jak opuścili budynek i zatrzymali się na chwilę na trawniku.

Przeklął ich pod nosem. Cholerny dzień. Najpierw nie udało mu się załatwić faceta na autostradzie, a teraz ten cały Cullen wyszedł od Sweetmana akurat w momencie, w którym policjant chciał im dać mandat za to, że źle zaparkowali samochód.

Popatrzył na siedzenie pasażera. Pod szarym, rozpinanym sweterkiem, który znalazł w aucie skradzionym sprzed Miramar Naval Air Station, spoczywał jego automatyczny kolt kaliber 45. Cóż, miał przynajmniej szczęście, że zwiął w porę z autostrady. Wiedział, że z wielką przyjemnością przedziurawi ołowiem tego grubego, brodatego Waltersa. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś bezkarnie strzelał do T. F.

Ujrzał, jak Cullen i Walters rozmawiają z policjantem. Czekając, aż skończą, pomyślał o swoim wspaniałym M-14, starannie naoliwionym i oczekującym na wykonanie jutrzejszego zadania. Nie mógł się już doczekać tej chwili. Strzelanie z M-14 było o wiele przyjemniejszym zajęciem niż to głupie celowanie do ludzi na autostradach, była w tym jakaś klasa. T. F. tęsknił za swoim karabinem bardziej, niż przypuszczał. Nie mógł się doczekać, kiedy znów weźmie go w ręce, starannie wyceluje w nie spodziewającą się niczego ofiarę i delikatnie naciśnie na spust.

Powiedziano mu, że jutrzejsza robota jest najważniejsza ze wszystkich, które wykonał w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Tym razem obiektem jest ktoś nadzwyczaj ważny. Wiedział, że po wykonaniu zadania poczuje silne podniecenie seksualne. Zastanawiał się, jak by to było, gdyby wsadził prostytutce granat do tyłka w taki sposób, że przytrzymałyby zawleczkę na miejscu jedynie mięśniami odbytu, a sam rznąłby ją w pochwie. Zapewne osiągnąłby nieziemską rozkosz. Sama myśl o tym sprawiała, że natychmiast sztywniał mu członek. Miał zamiar zabawić się kiedyś w taki sposób, tylko że problemem byłoby wyciągnięcie granatu po stosunku. A może po prostu pozostawiłby go w niej i powiedział:

„Uważaj, jak będziesz szła do domu!”

Zachichotał radośnie, podziwiając swoje wspaniałe poczucie humoru.

Wreszcie Cullen i Walkers skończyli rozmowę z policjantem. Wsiedli do swojego starego lincolna. T. F. przekręcił kluczyk w stacyjce i skręcił z University Avenue w Fairmount.

Gdy tylko ujechał kilka jardów, policjant ruszył w jego kierunku z uniesioną ręką. T. F. posłusznie zatrzymał samochód i spojrzał na szary sweterek, zastanawiając się, czy w ciągu najbliższych sekund będzie musiał sięgnąć po broń. Policjant stanął przed maską, po czym niespodziewanie odwrócił się do T. F. plecami.

Przez chwilę morderca zastanawiał się, o co chodzi. Jednak zaraz ujrzał, jak zza rogu ulicy wynurzył się pierwszy czarny samochód konduktu pogrzebowego. Z rezygnacją opadł na siedzenie i z nudów zaczął liczyć pojazdy. Przejechało przed nim pięćdziesiąt samochodów, zderzak przy zderzaku, z zapalonymi reflektorami, mimo oślepiającego słońca. Trwało to dobre dziesięć minut, podczas których T. F. liczył auta, bębniąc palcami po kierownicy i czując, jak rośnie jego rozdrażnienie.

Przeklinał załobników na zmianę raz głośno, a raz szeptem. Cullena i Waltersa stracił już z oczu na dobre i będzie musiał o tym zameldować. Założył lustrzane okulary przeciwsłoneczne i wreszcie doczekał się momentu, w którym policjant się odwrócił, szeroko się do niego uśmiechnął i machnął ręką, że może już jechać.

Wracając do Los Angeles, przez cały czas mieli włączone radio. Zmierzchało już, ruch na autostradzie był duży i powoli posuwali się w rzędzie aut. Obaj czuli zmęczenie i zniechęcenie.

W pewnej chwili usłyszeli z głośników:

— ...ciągle poszukuje się ciężarówki, która dzisiaj rano najechała na ojca Leonarda Zaparellego, zabijając go na miejscu w chwilę po rozmowie, którą odbył z biskupem Mulhaneyem.

John zwiększył głośność.

— Zaparelli? — zdziwił się. — Czy to przypadkiem nie chodzi o tego księdza, o którym rozmawialiśmy dzisiaj rano? Tego, który twierdził, że Hilary Nestor Hunter szantażuje jakąś dziewczynę fotografiami, mającymi świadczyć o jej lesbijskich skłonnościach?

Mel szeroko ziewnął.

— Chyba tak.

Spiker tymczasem kontynuował:

— ...mimo jego głębokiego zaangażowania w spory, które niedawno ujawniły się wśród członkiń Ligi Wyzwolenia Kobiet, policja jest przekonana, że jego śmierć nie jest dziełem mściwych zwolenniczek Hilary Nestor Hunter. Sama pani Hunter powiedziała dzisiaj, że jest wstrząśnięta i pełna bólu po śmierci ojca Leonarda. Dodała, że jej smutek jest większy z tego powodu, iż nie zdążyła udowodnić ojcu Leonardowi bezpodstawności jego zarzutów”.

— Zdaje się, że to udowadnianie zabierze jej resztę życia — powiedział Mel z sarkazmem.

— Jest tak samo niewinna, jak John Wilkes Booth*.

— ...Perri Shaw, która była blisko związana z ojcem Leonardem, utrzymuje, iż jego śmierć nie była przypadkowa. Jest o tym przekonana, mimo iż do tej pory policja nie dysponuje żadnymi dowodami, które świadczyłyby o zamachu. Pani Shaw oświadczyła, że doskonale wie, kto kryje się za śmiercią księdza, i nie spocznie, dopóki mordercy nie poniosą kary za swoją zbrodnię.

Dziennik radiowy zakończył się informacją o pogodzie. W najbliższym czasie spodziewane było znaczne ochłodzenie i burza. W północnych stanach padały już ulewne deszcze, a długoterminowe prognozy zapowiadały wyjątkowo ciężką zimę.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Dana Seiden niecierpliwie czekała tego wieczoru na swojego męża, a kiedy jego limuzyna zajęła na podjazd ich wybudowanego we włoskim stylu domu przy Siena Way w Bel Air, natychmiast wybiegła na frontowe marmurowe schody. Ubrana była w złocistą wieczorową sukienkę, tak skąpą, że niemal niczego nie zakrywała. Platynowozłote włosy przewiązane miała z tyłu głowy złotą wstążką. Wraz z nią na przywitanie swego pana wybiegł kudłaty chart afgański, Cecil.

Z limuzyny tradycyjnie najpierw wysiedli dwaj goryle i czujnie rozejrzeli się dookoła.

Dopiero po chwili jeden z nich zajrzał do wnętrza samochodu i głośno powiedział:

— W porządku, panie Seiden.

Anthony powoli, nie śpiesząc się, wysiadł z samochodu. Wyglądał na zmęczonego.

Twedową marynarkę zarzucił na ramiona, ponieważ zaczynał odczuwać wieczorny chłód.

Dana wyciągnęła ręce w jego kierunku.

— Najdroższy! — zawołała. — Już zaczynałam się martwić.

Podszedł do niej, pokonując kilka schodów, i pocałował ją. Uczynił to nieśmiało, jakby niepewnie, ponieważ wciąż nie potrafił się przyzwyczaić do tego, że ma ją z powrotem.

— Trochę czasu straciłem, zanim wybrałem najlepsze ujęcie — powiedział. — Ale mogę przynajmniej powiedzieć, że film jest już skończony. Czy dopilnowałaś Franco, żeby napalił w kominku?

— W dwóch kominkach — poprawiła go. — W salonie i w holu. Czy napijesz się tequili?

— Wolałbym najpierw się wykapać.

Położył się w wielkiej wannie w ich włoskiej łazience, wyłożonej prawdziwymi weneckimi kafelkami i płytkami podłogowymi prosto z Sieny, zmywając z siebie wspomnienia i stresy minionego dnia. Dana usiadła na krześle pomalowanym na złoty kolor i przypatrując się mężowi, popijała martini i paliła długiego, różowego papierosa. Zresztą oboje przez długi czas patrzyli na siebie nawzajem w absolutnym milczeniu; dwoje ludzi, którzy w pewnym momencie zupełnie niepotrzebnie stali się sobie całkiem obcy, a teraz potrzebowali czasu, żeby powrócić do dawnej przyjaźni.

Anthony wiedział, że właściwie nie powinien był zenić się z Daną. Nie pasowali do siebie.

On był drobnym, energicznym facetem o czarnych włosach i ciemnej skórze. Pracował bez

wytnienia i w środowisku filmowców znany był jako perfekcjonista. Niektóre sceny w swych filmach poprawiał nawet kilkadziesiąt razy, nagrywając ujęcie za ujęciem do znudzenia, tyle razy, że w końcu przemęczeni technicy i kamerzyści nie rozmawiali już, lecz warczeli do siebie ze złością, a aktorzy odnosili wrażenie, że resztę życia spędzą już na planie, powtarzając jedną jedyną scenę. Dana była jego przeciwieństwem. Wierzyła, iż życie jest doskonałą okazją do tego, żeby pływać, opalać się, chodzić na przyjęcia, wachać kokainę, tańczyć, śmiać się i flirtować z jak największą liczbą młodych mężczyzn. Wyszła za Anthony'ego, ponieważ był szanowany, sławny i otaczała go trudna do opisanego aureola męczennika, poświęcającego życie słusznej sprawie. Ludzie podziwiali jego filmy i jego pracę. Kiedy Dana poznała Anthony'ego, po raz pierwszy w życiu spotkała tak szczerze podziwianego człowieka. Niestety, bardzo szybko się zorientowała, że do takich osiągnięć prowadzą godziny ciężkiej pracy, a tę uznała po prostu za nudną. Zaczęła się kłócić z Anthonyem, a pierwszym powodem jej niezadowolenia stało się to, że spędza on o wiele więcej czasu przy pracy niż razem z nią. Później kłótnie zaczęły zahaczać o inne tematy: politykę, seks, a w końcu jakiej farby użyć do pomalowania cieplarni. Przede wszystkim jednak niezadowolenie Dany wzbudzała ochroniarze, środki bezpieczeństwa i wszystko to w życiu Anthony'ego, co sprawiało, że zaczynała czuć się zamknięta jak w hermetycznej puszcze. Wreszcie, podczas jednego z jej przyjęć w ich domu (nikt nigdy nie uważał tych zabaw za jego przyjęcia), nakrył ją w kuchni z jej przyrodnim bratem, żeglarzem. Dłoń Dany była umazana jego spermą. Wówczas, po kilku dniach krzyków i dzikich awantur, postanowili się rozstać.

Nie widział jej przez pięć długich miesięcy. I nagle, przed dwoma dniami, kiedy Anthony wrócił do domu z pracy, zastał Danę siedzącą na schodach przed frontowymi drzwiami.

Powiedziała wtedy tylko: „Nie pytaj mnie, dlaczego”.

Rozkoszując się ciepłą kąpielą, Anthony odezwał się:

— Co dzisiaj robiłaś?

Dana uśmiechnęła się.

— Chodziłam po domu. Myślę, że od nowa się do niego przyzwyczajałam.

— Czy rozmyślałaś o...?

— O czym?

— O nas.

Po raz ostatni wydmuchnęła dym z papierosa i zgasił duży niedopałek w złotej mydelniczce w kształcie muszli.

— Oczywiście. Właściwie prawie nie myślałam o niczym innym.

— I co?

Jeszcze raz się uśmiechnęła i potrząsnęła głową.

— Myślę, że wreszcie wiem, jak postępować. Szkoda, że nie dotarło to do mnie wtedy, kiedy zjawiłam się tutaj po raz pierwszy. Powinnam była brać cię takiego, jakim jesteś, próby zmieniania cię skazane były na niepowodzenie. To był mój błąd.

Anthony wygodnie rozparł się w wannie. Z białej piany wynurzała się tylko jego głowa.

— Przede wszystkim byłaś mną znudzona, prawda? Zanim za mnie wyszłaś, zdawało ci się, że życie z reżyserem filmowym to wyłącznie zabawy i przyjęcia. Cóż, pewnie w wypadku wielu reżyserów to by się nawet sprawdziło. Niestety, nie ze mną.

— Byłam wtedy młodsza — zauważyła Dana. Nie wiadomo dlaczego, Anthony odnosił wrażenie, że wszystkie jej wypowiedzi mają jakieś ukryte znaczenie, do którego on nie potrafi dotrzeć. Jakby Dana, być może nieświadomie, coś przed nim ukrywała. A przecież od początku małżeństwa była taka łatwa do przejrzania, zawsze wiedział o co jej chodzi. Teraz jakby coś nowego

wkradło się do jej życia, jakby przez cały czas oprócz tego, co ją otacza, co teraz widzi i słyszy, skupiała się na czymś odległym i zupełnie mu obcym, nieznanym.

— Czy masz pewność, że tym razem będziesz szczęśliwa? — zapytał ostrożnie. —

Niewiele się zmieniłem przez te pięć miesięcy. Dzisiaj skończyłem kolejny film i będę teraz miał trochę wolnego czasu. Ale przyjdą następne...

— Będę szczęśliwa — odparła. — Jestem tego pewna. Czy chcesz, żebym wyszorowała ci plecy?

Anthony usiadł. Dana uklękła przy wannie i pochyliwszy się nad nim, zaczęła mydlić mu plecy, powoli, starannie. Śliskimi palcami masowała mu szyję i ramiona, a potem błędziła dłońmi wzdłuż jego krzyża. Swe miękkie piersi, z trudem mieszczące się w obcisłej sukience, przycisnęła do jego ciała. Usta miała uchylone, a marzycielski wyraz jej oczu zdradzał, że myślami wędruje gdzieś daleko. Opuściwszy Anthony'ego, wyjechała do Norwegii, ale teraz musiała zapomnieć o tym kraju. Powróciła do swego męża, zaakceptowała warunki, w jakich spędzi przy jego boku swe życie, i nie mogła już uciec od tej rzeczywistości...

Pocałowała jego usta, policzki, oczy. Jej namydlone ręce błędziły po jego klatce piersiowej, dotykały brodawek. Potem dotarła do brzucha, ud... W pewnej chwili z piany wysunęła się czerwona główka jego sztywnego penisa. Wreszcie Dana zacisnęła na nim swą piąstkę.

Powoli, delikatnie zaczęła poruszać dłonią. Anthony przymknął oczy. W miarę jak Dana pieściła jego penis coraz intensywniej, był coraz bardziej podniecony, gotów zapomnieć, gdzie się znajduje, co się z nim dzieje. Po głowie błędziły mu seksualne fantazje... Chciał, aby Dana zabawiała się nim w chwili, gdy oglądałoby go dziesięć nagich dziewcząt. Albo żeby siedziała pod stołem i pieściła go w chwili, kiedy on będzie przewodniczył ważnej konferencji. Dana tymczasem zaczęła szeptać mu do ucha różne ordynarne słowa. Woda pryskała dookoła, gdy coraz intensywniej przesuwała dłonią po jego członku.

Wreszcie Anthony zadrżał i eksplodował spermą.

Przez chwilę leżał w bezruchu w wodzie, wciąż nie otwierając oczu. Uczynił to dopiero po chwili. Dana ciągle klęczała przy wannie. Po jej twarzy błąkał się delikatny uśmiech.

— Nic nie straciłaś ze swoich umiejętności — powiedział do niej. — To było nadzwyczajne.

Wciąż się uśmiechała, a Anthony zrozumiał nagle, że jest to całkowicie pusty uśmiech, pozbawiony radości, humoru, wszelkiego uczucia. Szeroko otworzył oczy i odrobinę poruszył się w wodzie. Dana powoli wstała z kolan.

Kolację jedli w milczeniu i mroku. Jadalnia oświetlona była tylko kilkoma świeczkami.

Służący wnieśli jedzenie i na polecenie Anthony'ego pozostawili ich samych. Słychać było odgłosy widelców i noży dźwięczących o talerze.

Gdy przesiedli się na fotele, żeby wypić kawę, ciszę przerwała wreszcie Dana:

— Przypuszczam, że zastanawiasz się, czy przypadkiem nie zjawiłam się tutaj, aby po raz kolejny zadać ci ból — powiedziała.

Anthony zapalił papierosa.

— Nie, wcale tak nie myślę. Właściwie to nie wiem, co myśleć. Nie jestem pewny, czy wróciłaś dlatego, że mnie kochasz.

Pomieszała kawę i odłożyła łyżeczkę na spodek.

— Chyba cię nie Kocham, przynajmniej jeszcze nie w tej chwili. Powróciłam, bo mam nadzieję, że zdołam cię pokochać. Musisz mi pomóc, dać mi szansę.

— Jestem przygotowany.

— A więc nie bądź taki milczący, obrażony. Przecież wiesz, dlaczego wydarzyło się pomiędzy nami to, co się wydarzyło. Wyciągnij z tego wnioski.

Anthony ciężko westchnął i zaciągnął się papierosem.

— Nie pójdzie nam tak łatwo, Dano. Było mi ciężko przez ostatnie miesiące, gdy mieszkaliśmy razem, i przez cały czas naszej separacji. To odbiło się na mojej psychice.

Trudno mi będzie o tym zapomnieć. Muszę nad sobą popracować.

— Praca, praca, praca — powiedziała Dana drwiącym głosem. — Tylko to potrafisz. Pracujesz nad filmem, pracujesz, jedząc posiłki, pracujesz nawet wtedy, kiedy się kochasz.

Wzruszył ramionami.

— Ojciec zawsze powtarzał mi, że praca jest praktycznym elementem modlitwy. Pracując, człowiek jest tak blisko Boga jak w żadnej innej sytuacji. Tak mi zawsze powtarzał.

— Nie chcę, żebyś był blisko Boga, Anthony — powiedziała Dana. — Chcę, żebyś był blisko mnie.

Wstał i podszedł do okna, w którym tkwiła kuloodporna szyba. Trawnik przed domem zalany był nastrojowym zielonkawym światłem. Anthony'emu zawsze się wydawało, że właśnie w tym miejscu można by wystawić którąś ze sztuk Szekspira.

— Czasami żałuję, że się kiedykolwiek spotkaliśmy — odezwał się. — Odnoszę wrażenie, że mamy ze sobą tyle wspólnego co żółw z zającem.

— Żółw wygrał wyścig z zającem — przypomniała mu Dana.

Anthony odwrócił się i popatrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

— Jasne. Ale zając miał z tego wyścigu więcej przyjemności.

Dana wstała i podeszła do niego. Ujęła jego dłoń w swoją i powiedziała:

— I tobie będzie przyjemnie, przecież wiesz. Kto powiedział, że żółw musi się zawsze umartwiać? Na przykład jutro będziesz się dobrze bawił podczas przyjęcia u Adele, prawda?

— Oczywiście — odparł. — Wreszcie się trochę odprężę. Adele Corliss jest jedyną osobą, w której obecności przypominam sobie, że nie powinienem aż tak dużo pracować. Poza tym, gdy spoglądam na nią, uświadamiam sobie, że nie należy się martwić upływem czasu i nadchodzącą starością. Jeżeli w wieku Adele będę wyglądał tak jak ona i tak jak ona się zachowywał, będę szczęśliwym człowiekiem. Pozostało mi jeszcze wiele czasu na zrobienie tych wszystkich filmów, na które mam pomysły.

Dana pocałowała go w policzek.

— Czy jedynym twoim problemem są filmy? Tylko o nich myślisz?

— Myślę też o tobie.

— I o filmach, i o polityce. Roześmiał się sucho.

— W końcu kręcę filmy o polityce. Czy nie powinienem więc o tym właśnie myśleć?

Dana uśmiechnęła się, ale milczała. Ponownie odezwał się Anthony:

— W każdym razie jutrzejsze spotkanie u Adele będzie miało wymiar zarówno towarzyski, jak i polityczny. Czy mówiłem ci już, że będzie tam Hilary Nestor Hunter i Carl X. Chapman?

Dana opuściła wzrok.

— To może być zabawne. Ty między nimi...

— Wydaje mi się, że zawsze podziwiałaś Hilary Nestor Hunter. O ile wiem, obecnie jest bardzo wpływową damą — Gromkim głosem krzyczy na całe Stany, czego potrzebują dzisiejsze kobiety.

— Przestała mi imponować.

Anthony uważnie przyjrzał się żonie. W jej oczach odbijały się płomienie dwóch świeczek

stojących na stole.

— Dlaczego wróciłaś? — zapytał cicho.

Przez chwilę milczała, po czym odparła:

— Wróciłam z powodu miłości. Być może nie po miłość, ale z powodu miłości.

— Naprawdę uważasz, że tym razem nam się uda?

— Nie wiem. Ale będę próbowała ze wszystkich sił.

— Cieszę się. Wiesz, w tej chwili czuję się przy tobie jak ktoś zupełnie obcy.

— Na początku ludzie są sobie obcy. Żeby pokochać, trzeba najpierw spotkać kogoś obcego.

Nie był pewien, czy ją do końca rozumiał. Zmarszczył czoło. Otworzyły się drzwi i meksykańscy służący zaczęli zbierać talerze po posiłku. Anthony zastanawiał się, dlaczego czuje się tak niepewnie przy swojej żonie. Odnosił wrażenie, że zbliża się trzęsienie ziemi albo potężna burza z wyładowaniami elektrycznymi. W każdym razie coś nieprzyjemnego, nawet przerażającego.

Tej nocy, podczas gdy Anthony spokojnie spał, Dana weszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi i zapaliła światło. Na palcach podeszła do wysokiego lustra, obudowanego ozdobną, złotą ramą, i popatrzyła na swe odbicie. Ujrzała szerokie ramiona, duże, jędrne piersi i wąską talię. Jej skóra była brązowa, opalona, lśniąca. Długie, jasne, proste włosy opadały na plecy.

Przybliżyła twarz do lustra i popatrzyła w swe oczy. Po chwili, powoli, jakby z uczuciem, miłością, dotknęła tafli szkła ustami i pocałowała swoje odbicie. Uniosła lewą rękę i jakby nieświadomie zaczęła zabawiać się sutkiem swojej lewej piersi, aż ten stał się sztywny, sterczący i różowy.

Prawą dłonią głaskała się po całym ciele, aż wreszcie zawędrowała między nogi. Wsunęła palce w pochwę i przymknęła oczy. Wydała z siebie długie, ciche westchnienie.

Nie zabrało jej to wiele czasu. Gdy nadszedł orgazm, przywarła całym ciałem do zimnego lustra, drżąc i ciężko dysząc. Na jej twarzy i piersiach lśniły krople potu. Opadła na kolana, a potem położyła się na posadzce.

Być może Anthony nie miałby nic przeciwko temu, gdyby to zobaczył. W końcu było wiele takich nocy, gdy Dana leżała obok niego i zabawiała się ze sobą, a on, po szesnastu godzinach pracy w studiu, nie był już w stanie kochać się z nią. Byłby jednak przerażony, gdyby ją usłyszał. Wijąc się na posadzce, wciąż powtarzała pewne imię; wymawiała je w taki sposób, w jaki wymawia się tylko imię najbardziej upragnionego kochanka.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wreszcie ujrzał ją wychodzącą z kostnicy. Czekał na nią na korytarzu, ubrany w podniszczoną skórzaną kurtkę i wystrzępione dzinsy. W żółtawym świetle fluorescencyjnych żarówek, nie ogolony, sprawiał wrażenie skrajnie zmęczonego. Dochodziła dziewiąta wieczorem, niemal cały budynek był już pusty. Korytarz nieprzyjemnie pachniał formaldehydem.

Powoli zbliżała się do niego. Jej obcasy wydawały głośny dźwięk przy każdym zetknięciu z zielonymi plastikowymi płytkami, którymi wyłożony był korytarz. Dźwięk ten zawsze przypominał jej filmy kryminalne; przeważnie zwiastował gwałt, dokonywany na kobiecie samotnie powracającej w nocy do domu przez opustoszałe ulice miasta.

— Czy pani Shaw? Pani Perri Shaw? — zapytał, kiedy była kilka stóp od niego.

Zatrzymała się. Ubrana była w ciemnoszarą suknię, która zupełnie do niej nie pasowała, a oczy miała zaczerwienione.

— Tak — odparła. — Czego pan chce?

— Powiedziano mi w dyżurce, że tutaj panią znajdę. Nazywam się John Cullen.

Chciałbym zamienić z panią kilka słów.

— O czym? Rozejrzał się dookoła.

Perri oblizwała językiem wyschnięte wargi.

— Nie mam ochoty na żadną rozmowę — odezwała się. Powiedziałam już wszystko dziennikarzom. I policji oczywiście. Policjanci uważają mnie chyba za zwariowaną histeryczkę.

— To samo myślą o mnie.

— Nie rozumiem — powiedziała. Czowała się coraz bardziej niepewnie w towarzystwie tego wysokiego, niechlujnie wyglądającego mężczyzny. Był przystojny, wyglądał nawet na normalnego, w dzisiejszych czasach nie można jednak sądzić ludzi po wyglądzie. Przecież dookoła działo się tyle złego, a poza tym policja nie złapała jeszcze Dusiciela. Nie mieli nawet pojęcia, jak wygląda.

— Proponuję, żebyśmy wypili razem filiżankę kawy — powiedział. — Po drugiej stronie ulicy jest taki mały, zaciszny barek. Mój przyjaciel już tam jest i czeka na nas.

— Bardzo przepraszam, panie...

— Cullen. John Cullen.

— A więc bardzo mi przykro, panie Cullen, ale śpieszę się do domu. Miałam dzisiaj ciężki dzień i myślę teraz wyłącznie o odpoczynku. Proszę się nie gniewać.

— Myślę, że pani mnie nie rozumie — westchnął John. — W ciągu minionego tygodnia zginął mój ojciec i moja dziewczyna. Jestem przekonany, że ich śmierć związana jest w jakiś sposób ze śmiercią ojca Zaparellego. Zginęli bez żadnej pozornie bez konkretnej przyczyny... Chociaż, prawdę mówiąc, uważam, że odgadłem przyczynę, a jest nią polityka. Od kilku dni staram się...

Urwał. Był krańcowo wyczerpany. Perri Shaw stała przed nim. Była zaintrygowana i oczekiwała informacji, którymi on jeszcze nie dysponował. Być może profesor Sweetman miał rację, być może jego przypuszczenia są całkowicie bezpodstawne. W końcu żal i smutek oddziałują na ludzi w różny sposób. Możliwe, że smutek irracjonalnie mu podpowiadał polityczny spisek jako przyczynę nieszczęść.

Zmęczonym głosem dodał:

— Staram się odnaleźć morderców. Jak dotąd bez wielkich sukcesów.

— Czy mówi mi pan prawdę? Czy pański ojciec i dziewczyna naprawdę zostali zamordowani?

Pokiwał głową.

— Mojego ojca zastrzelono na autostradzie. Moja dziewczyna, Vicki, zginęła, kiedy podpalono mój dom.

— Dlaczego jednak przypuszcza pan, że istnieje związek pomiędzy ich śmiercią a śmiercią ojca Leonarda?

— Ogarnęło mnie dziwne przeczucie... Tak, przede wszystkim przeczucie. Nie mam żadnych konkretnych dowodów, o tym, że jestem na dobrej drodze, przekonuje mnie tylko jedno: mężczyzna, który zastrzelił mojego ojca, od kilku dni usiłuje zgładzić również mnie.

Dzisiaj rano jechał za mną aż do San Diego.

Perri nie wiedziała, co powiedzieć. Kiedy policjantka po raz pierwszy zapytała ją o ojca Leonarda, Perri nie mogła uwierzyć, iż przeszkadzał on komuś tak bardzo, że musiał zginąć.

Przecież on jedynie sprzeciwił się przywódczyni Ligi Wyzwolenia Kobiet. Perri wiedziała, że Hilary Nestor Hunter jest gwałtowna i ambitna, jednak nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że jest ona zdolna do zbrodni.

A jednak nie potrafiła wyobrazić sobie żadnego innego powodu śmierci ojca Leonarda. Z

śledztwa policji z całą pewnością wynikało, że nie był to wypadek, lecz zaplanowana zbrodnia. W końcu Perri doszła do wniosku, iż to przecież nie Hilary siedziała za kierownicą ciężarówki, lecz ktoś, komu ona wydała takie polecenie. Tak też przedstawia sprawę prasie.

— Niech pani posłucha — mówił John. — Od kilku miesięcy w całych Stanach Zjednoczonych nieznani sprawcy mordują ludzi, którzy są niewygodni jakiemuś politykowi.

Nie wiem jeszcze, dlaczego ci ludzie giną i dla kogo są niewygodni, mam tylko pewne przypuszczenia. Nie wykluczam, że zaplątany jest w to senator Carl X. Chapman.

— Sugeruje pan, że są to zbrodnie polityczne? — zapytała Perri z niedowierzaniem.

— Później dokładniej przedstawię pani moje przypuszczenia. Teraz chciałbym wyjaśnić, dlaczego postanowiłem się z panią spotkać. Otóż senator Chapman i Hilary Nestor Hunter sprawiają wrażenie wielkich politycznych sprzymierzeńców, a pani w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin stanęła na drodze tej kobiety.

Perri zauważyła, że czarnoskóra sprzątaczką, szorując posadzkę, jest coraz bliżej.

Odetchnęła z ulgą. Nie była więc przynajmniej zupełnie sama z tym mężczyzną.

— Nie wiem, czy uznać pana za szaleńca, czy też potraktować poważnie? — powiedziała. John wyciągnął portfel. Pokazał Perri swoje prawo jazdy, po czym rozwinął przed nią wycinek z „Los Angeles Times”. Tytuł nad krótką notatką głosił: „Nauczyciel z New Jersey zastrzelony na autostradzie”.

Perri popatrzyła na ten dowód jego prawdomówności, po czym odezwała się:

— W porządku, wierzę panu. Chodźmy na tę kawę.

Wyszli z miejskiej kostnicy i po chwili znaleźli się w Coronado Coffee Lounge. W środku, pomiędzy zakurzonymi palmami rosnącymi w doniczkach pod ścianą, na której jakiś kiepski artysta namalował widoczek z meksykańskiej dżungli, siedział Mel. Jadł zupę pomidorową i zagryzał krakersami. Drobne okruchy utkwili w jego gęstej brodzie.

— Przedstawiam ci Perri Shaw — powiedział John, kiedy usiedli. — To ona jest właśnie tą delegatką na kongres kobiet, wokół której powstało tyle zamieszania.

— Miło mi panią poznać, pani Shaw. — Mel pokiwał głową. — Przykro mi z powodu pani kłopotów. — Serdecznie uściśnął jej dłoń.

Zamówili kawę. Po raz pierwszy tego dnia mieli możliwość posiedzieć spokojnie przy kawiarnianym stoliku. Właściwie od dłuższego czasu żadne z nich nie miało chwili spokoju, teraz więc siedzieli w milczeniu i zrzucali z siebie napięcie ostatnich dni. John odezwał się dopiero wtedy, gdy kelnerka podała im kawę. Pokrótce opowiedział Perri o krzywej Sweetmana i o wszystkim, co odkrył albo odgadł.

— To wszystko — powiedział, kiedy skończył. — Ani ja, ani Mel nie mamy pewności, czy jesteśmy domyślnymi tropicielami, czy też szaleńcami.

— W każdym razie przypuszcza pan, że odpowiedzialni za to wszystko są Hilary Nestor Hunter i Carl Chapman — stwierdziła Perri. — Cóż, nie przypuszczałam, że są sobie tak bliscy.

— Wspólne interesy zbliżają nawet kota i psa — odezwał się Mel. — A ta dwójka ma jeden wielki wspólny interes: władza, władza i jeszcze więcej władzy.

— Zna pani Hilary Nestor Hunter o wiele lepiej niż my — powiedział John do Perri. — Czy naprawdę potrafiłaby stworzyć harmonijny duet z kimś takim jak Chapman? Jest to pytanie, które mnie bardzo gnębi. Przecież Chapman to taki dziki szowinista.

— Hilary nie jest lepsza. Idzie po trupach, ażeby osiągnąć cel, gotowa jest sprzymierzyć się nawet z diabłem.

— A więc jest prawdopodobne, że ona i Chapman grają razem? Czy mogę zaryzykować

twierdzenie, że jeśli Hilary chciałyby kogoś sprzątnąć ze swojej drogi, Chapman byłby zainteresowany, żeby jej w tym pomóc?

Perri popatrzyła na Johna, potem na Mela, a potem jeszcze raz na Johna i wzruszyła ramionami.

— Myślę, że tak — powiedziała. — Oczywiście pod warunkiem, że całe to założenie, które przyjęliście, jest zgodne z prawdą.

— Mówiłem już pani, że nie mam absolutnej pewności — przypomniał John. — Jednak wolę poruszać się po omacku, szukając zabójców najbliższych mi osób, niż siedzieć w hotelowym pokoju, wpatrując się tępo w ścianę.

— Chciałabym panu pomóc.

— Już mi pani pomogła.

— Wcale nie. Chciałabym pomóc wam w tym śledztwie.

— Przykro mi, ale to niemożliwe. To wszystko jest cholernie niebezpieczne. Prawdę mówiąc, wmieszaliśmy się w to tylko dlatego, że chcemy ich dopaść, zanim oni zdołają dopaść nas.

— Nie obawiam się niebezpieczeństw. Ojciec Leonard też się nie bał.

— Perri — westchnął John. — Już nam pani pomogła, zwracając uwagę na związki Hilary Nestor Hunter z Carlem Chapmanem. Niczego więcej od pani nie potrzebujemy. Nie możemy narażać pani na większe niebezpieczeństwo, niż to jest konieczne.

Perri uśmiechnęła się.

— Zapominacie, że macie do czynienia z feministką — powiedziała. — Feministki nie mają w zwyczaju zasiadać przy kominku w ciepłym mieszkaniu i pozostawiać mężczyznom brudną robotę. Chcę wam pomóc i wydaje mi się, że moja pomoc wam się przyda. Popatrzcie tylko na siebie, obaj jesteście skrajnie wyczerpani. Potrzebny jest wam świeży umysł, aby wasze działania były szybsze i skuteczniejsze. — Po chwili milczenia dodała zdecydowanym głosem: — Na dobry początek musicie zjeść coś porządnego. Zamówcie po steku i sałatce i przy posiłku szczegółowo omówimy wszystko jeszcze raz, przecież nie możecie żyć na samej kawie.

John popatrzył na Mela, a Mel na Johna. Po tej wymianie spojrzeń John odezwał się do Perri:

— W porządku — powiedział z uśmiechem. — Zgadza się. Skoro chce się pani do nas przyłączyć, zgadzamy się. Proszę jednak pamiętać, lojalnie ostrzegaliśmy panią o grożącym niebezpieczeństwie.

John zamówił steki i zieloną sałatę. Przy jedzeniu Perri zaczęła mówić o Hilary Nestor Hunter i Lidze Wyzwolenia Kobiet, o ojcu Leonardzie i wreszcie o tym, co sama sądzi o krzywej Sweetmana.

— Z tego, co mi powiedzieliście, wynika, że profesor Sweetman wie o wiele więcej, niż wam zdradził. Dlaczego wpadł w taką złość, kiedy zaczęliście go wypytywać? Jestem przekonana, że ma politycznych klientów, a przynajmniej jednego. Jeżeli w tym, co wydedukowaliście, jest chociaż ziarnko prawdy, tym klientem jest Carl Chapman.

— Coś mnie w tym wszystkim zastanawia — powiedział Mel w zamyśleniu. — Jeżeli naprawdę ścigamy Chapmana, oznacza to, że on zupełnie nie dba o środki bezpieczeństwa.

Skoro my doszliśmy do tego, co kryje się za masowymi zbrodniami, łatwo do takich samych wniosków powinna dojść policja i FBI.

— Nie masz racji, Mel. Moim zdaniem ktoś skutecznie zasugerował im, że zbrodnie są dziełem psychopaty albo psychopatów.

— Może dobrze zrobimy, jeżeli odwiedzimy profesora Sweetmana jeszcze raz? — zasugerowała Perri.

— Tak. Myślę, że powinniśmy wybrać się do niego jutro z samego rana.

— Nie, Mel. — John zaoponował. — Jutro rano jest pogrzeb mojego ojca. Nie mam natomiast

nie przeciwko temu, żeby jechać do profesora zaraz po pogrzebie.

Perri dotknęła jego ramienia. Na moment spotkali się wzrokiem.

— Cieszę się, że was poznałam — powiedziała.

— My też się cieszymy. Jest pani pierwszą osobą, która nam uwierzyła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Adele i Ken siedzieli na rozkładanych krzeselkach przy basenie i obserwowali, jak na ciemniejącym niebie pojawiają się gwiazdy. Holman, Mark i kilku wynajętych Meksykanów dekorowało otoczenie domu przed przyjęciem, które miało rozpocząć się za niespełna dwadzieścia cztery godziny. Adele ubrana była w białą sukienkę z dużym dekoltem i paliła papierosa, umieszczonego w nieprawdopodobnie długiej, szklanej lufce. Ken miał na sobie czerwone szorty i czerwoną, rozpiętą koszulę.

— Wciąż nie mogę pojąć, jak mogłeś wplątać się w tak ponure historie — powiedziała Adele. — Ten karabin, ta złość...

Ken milczał. Po ostatniej nocy wciąż odczuwał zakłopotanie. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się, żeby nie zadowolili któregoś ze swoich dziewczyn. A tu taka kompromitacja! I to wobec kogo! Wobec samej wspaniałej Adele Corliss. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony. Odnosił wrażenie, że się kończy. I to nie tylko jako mężczyzna, jako kochanek, ale też jako zabójca, człowiek od mokrej roboty. Wiedział, że jeśli chodzi o seks, T. F. ma bardzo dziwaczne upodobania, ale gotów był założyć się o każde pieniądze, że jeszcze nie zdarzyło się, aby penis zawiódł go w nieodpowiednim momencie.

— Zupełnie nie wyglądasz na takiego, wiesz? — kontynuowała Adele. — Sprawiasz wrażenie czulego, łagodnego człowieka. Wydaje mi się, że pod twymi twardymi mięśniami kryje się miękkie serce i łagodna dusza.

— Zapewniam cię, jestem wystarczająco twardy — warknął. Nie lubił, gdy ktoś go w ten sposób podpuszczał.

— Zależy dla kogo — odparła Adele. Posłał jej pełne irytacji spojrzenie.

— Co to miało znaczyć? Uśmiechnęła się niewinnie.

— Moi kochankowie nigdy nie zadają takich pytań. Moi kochankowie, jak do tej pory, byli piękni, głupi i... zawsze twardzi.

— Cholera, nie pierdolenie było mi wówczas w głowie. Byłem zły i zmartwiony. Zabrałaś mój karabin. Zapewne zdajesz sobie sprawę, co dzieje się z facetem, który w łóżku ucieka myślami gdzieś daleko.

— A więc byłeś zmartwiony. A jak myślisz, jak ja się wtedy czułam? — Adele pochyliła się ku niemu. — Myślę, że nadszedł czas, abyś udzielił mi kilku wyjaśnień, Ken. Wtedy czekałeś na mnie przy szosie. Wiedziałaś, że będę tamtędy przejeżdżała z Laguna Beach.

Wiedziałaś, że zabiorę cię do samochodu. A niedawno, z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu, przywlokłeś karabin do mojego domu.

Ken wstał i podszedł do brzegu basenu. Adele również podniosła się i stanęła przy nim.

— Nie pytałam cię, kim jesteś, ani o co ci chodzi, ponieważ nie należę do ludzi wścibskich. Poza tym pragnę mieć cię przy sobie, nie mam tyle siły, żeby teraz się ciebie pozbyć. Mam jednak przeczucie, że wkrótce wydarzy się coś strasznego i jestem przekonana, że ty dobrze wiesz, co się stanie. Ten karabin jest jednym z wielu dowodów, które potwierdzają moje przypuszczenia.

— Adele, odczep się już od karabinu. Czasami trzeba mieć broń palną, żeby się bronić.

— Tak, ale tobie jest ona potrzebna w zupełnie innym celu.

— Wejdźmy do domu, tam porozmawiamy.

— Nie — zaproponowała Adele. — Tu i teraz powiesz mi wreszcie prawdę. Na co ci ten cholerny karabin?

— Adele, niestety, mam kilku osobistych wrogów, to wszystko. Chodzą po ziemi ludzie, którzy chcą zrobić mi krzywdę. Tylko dlatego posiadam ten cholerny karabin.

— Skąd go wzięłeś? Nie miałeś go przy sobie, kiedy zabrałam cię do samochodu.

— Przyjaciel mi go przywiózł. Któregoś dnia spotkałem go w mieście i poprosiłem go o tę przysługę.

— Kłamiesz — powiedziała Adele spokojnie. — Twoje kłamstwa przyprawiają mnie o mdłości. Dostaję mdłości już na sam twój widok.

— Ostatniej nocy mówiłaś coś innego.

— Od ostatniej nocy, drogi chłopcze, miałam wiele czasu, aby pewne sprawy przemyśleć.

Doszłam do wniosku, że jesteś słaby i niebezpieczny. Gdyby ci się udało mnie zgwałcić, może miałabym inne zdanie o tobie. Udowodniłbyś, że jesteś prawdziwym mężczyzną, że potrafisz sobie radzić w każdej sytuacji. Niestety to nieprawda. Jesteś wstrętnym, obrzydliwym robalem, który z nieznanego mi powodu wgrzył się w soczyste jabłko, jakim jest mój dom.

— Przestań wreszcie, bo nic dobrego z tego nie wyniknie — powiedział Ken głucho.

W słowach tych zabrzmiała groźba, Adele jednak się nie przestraszyła. Zmierzyła Kena zimnym wzrokiem i warknęła:

— Właśnie że nie przestanę. To jest mój dom i mogę tu mówić wszystko, na co mam ochotę. A ty nie wydawaj mi rozkazów, marny robaku. Jesteś tutaj jedynie z mojej łaski i na mojej łasce.

Ken przez długą chwilę milczał. Jego oczy pozbawione były jakiegokolwiek wyrazu, przywodząc na myśl oczy szaleńca, którego zachowania nie sposób przewidzieć. To jednak wciąż nie docierało do Adele.

— Powiem ci coś — odezwał się wreszcie. — Być może popełniam błąd, myślę jednak, że masz prawo wiedzieć. Jestem agentem Secret Service.

Adele roześmiała się dźwięcznie.

— Secret Service! — zawołała.

Ken zrobił teraz poważną minę.

— Przysłano mnie tutaj, ponieważ ostrzeżono nas, że ktoś zechce zgładzić senatora Chapmana podczas twojego przyjęcia. Jestem tutaj po to, żeby go pilnować.

— Nie wierzę ci.

Podszedł do nich Mark. Był wysoki i miał szerokie, muskularne barki. Jego oczy lśniły w półmroku. Najwyraźniej usłyszał ostatnie zdania ich rozmowy, ponieważ rzekł:

— Skoro jest pan agentem Secret Service, panie Irwin, powinien pan okazać swoją odznakę.

— Nie mam jej przy sobie — odparł Ken, patrząc na Adele.

— W takim razie, niestety, zadzwonię na policję — oznajmił Mark.

Wciąż nie odrywając spojrzenia od Adele, Ken ostrzegł go:

— Nie robiłbym tego na twoim miejscu.

— Naprawdę? Powstrzymasz mnie, człowieku?

Wreszcie Ken popatrzył na Marka. Powoli, opanowanym głosem rzekł:

— Czy kiedykolwiek słyszałeś o Dusicielu z Los Angeles?

— A kto nie słyszał?

— Właśnie. — Ken otarł usta wierzchem dłoni. — Co byś powiedział, gdyby Adele Corliss,

słynna aktorka, okazała się osobą, która udzielała mu schronienia? A może nawet osobą, która z nim sypiała?

Znów zapadła cisza.

— Czy chcesz nam wmówić, że jesteś Dusicielem z Los Angeles? — zapytał Mark po chwili.

Adele popatrzyła na szofera, potem na Kena, i roześmiała się.

— Zwariowałeś — stwierdziła. — Powinnam już wcześniej odgadnąć, że jesteś wariatem. Że też dopiero teraz się o tym przekonałam. Mark, dzwoń na policję.

— Jestem Dusicielem z Los Angeles! — zawołał Ken piskliwym głosem. — Mogę wymienić wam nazwiska moich ofiar, wskazać miejsca, gdzie pozbawiłem je życia. Jeżeli tylko złapiesz za słuchawkę, baranie, pogrążysz Adele. Z wielką przyjemnością powiem policji, że Adele wiedziała, kim jestem, a mimo to ukryła mnie tutaj i ze mną sypiała.

Mark niepewnie popatrzył na Adele, ale ta tylko potwierdziła swoje polecenie:

— Idź, Mark. Dzwoń na policję.

Mark ruszył w kierunku domu, jednak Ken był szybszy. Złapał go za ramię, po czym błyskawicznym ciosem karate uderzył go w nos. Rozległo się głośne chrupnięcie i po chwili szofer padł na kolana. Ken nie zadowolili się tym i uderzył go jeszcze kolanem w twarz.

Następnie kopnął go w żebro i dopiero gdy jego ofiara bez ruchu leżała na ziemi, uznał swe dzieło za chwilowo zakończone.

Ciężko oddychając, Ken zwrócił swoją uwagę z powrotem ku Adele. Po drugiej stronie basenu stał Holman i Meksykanie, uważnie obserwując całe zajście. Nikt z nich jednak nie zamierzał zadzierać z Kenem.

— Posłuchaj mnie teraz — powiedział do Adele ochrypłym głosem. — Wydasz to swoje przyjęcie i będziesz się zachowywała, jakby nic się nie wydarzyło. Nikomu z niczego się nie zwierzysz, a już w szczególności policjantom.

Adele była blada, przestraszona, jednak trzymała dumnie uniesioną głowę. Kiedy odezwała się, jej głos był chłodny, spokojny:

— A jak mnie przed tym powstrzymasz? Odetniesz telefony? Policja zjawi się tutaj w tej samej sekundzie, w której to zrobisz. Jesteś w beznadziejnej sytuacji, mój drogi, i powinieneś zdać sobie z tego sprawę. Dusiciel z Los Angeles, rzeczywiście! Jediną ofiarą twojego duszenia jest, jak do tej pory, twój własny mózg! Zdaje się, że udusiłeś go na dobre.

— Adele — warknął Ken. — Wydasz to swoje przyjęcie. Nic więcej mnie nie obchodzi.

— Oczywiście, że je wydam. Nawet gdybym chciała postąpić inaczej, jest już za późno, żeby wszystko odwołać. Zapewniam cię jednak, że ciebie na tym przyjęciu nie będzie. Ani ciebie, ani tego twojego karabinu. A teraz zadzwonię na policję i doprowadzę do tego, że znajdziesz się tam, gdzie jest twoje miejsce, niezależnie od tego, czy jesteś agentem Secret Service, autostopowiczem, czy też Dusicielem z Los Angeles.

Ken patrzył na nią zimnym wzrokiem.

— T. F.! — wrzasnął niespodziewanie.

Adele zamrugła ze zdziwieniem oczyma.

— Co to ma znaczyć? — zapytała.

Ken, na którego twarzy pojawił się strach, nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

— T. F.! — krzyknął raz jeszcze. — T. F., na miłość boską! Chodź tutaj!

Adele zrobiła krok w jego kierunku, jednak odepchnął ją.

— Głupi jesteś — powiedziała. — Jakiegokolwiek masz zamiary, nic ci się już nie uda. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy?

— T. F.! — krzyknął Ken. — T. F.!

— Przystaniesz wreszcie się drzeć?

Więcej już krzyczeć nie musiał. Nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi domu i pojawił się w nich wysoki mężczyzna w czarnej koszuli i czarnych sztruksowych spodniach. Jego oczy osłaniały lustrzane okulary. Czarne włosy miał wysmarowane brylantyną i zaczesane do tyłu.

W ręce trzymał ten sam karabin, który Holman znalazł u Kena.

T. F. podszedł do Adele i Kena i zmierzył ich wzrokiem. Popatrzył też na cicho pojękującego Marka. Zmierzył wzrokiem Meksykanów, stojących po przeciwnej stronie basenu, i dopiero wtedy się odezwał:

— No cóż, Ken, zdaje mi się, że miałeś kłopoty.

— Mówiłem ci, że znalazła ten karabin. Bez przerwy zawracała mi głowę, żebym powiedział jej, do czego jest mi on potrzebny. Próbowałem namówić ją, żeby się odczepiła, ale bez powodzenia.

T. F. skierował spojrzenie na Adele i uśmiechnął się szeroko.

— Ciekawość to pierwszy krok do piekła — zauważył.

— A pan co tutaj robi? — zapytała Adele ze złością. — Zdaje się, że włamał się pan do mojego domu i...

Umilkła, gdy T. F. ścisnął palcami jej podbródek. Nagle uświadomiła sobie, że to już nie są przelewki, że ten człowiek to już nie Ken, że zdecydowany jest na wszystko, że bez wahania ją zabije, jeżeli uzna to za wskazane.

— Sprawy nieco się skomplikowały — wyszeptał T. F. — A mieliśmy nadzieję, że wszystko będzie takie proste.

— Jakie wszystko? — zapytała Adele.

— Mamy tutaj drobną sprawę do załatwienia, nic więcej. Byliśmy przekonani, że damy sobie radę bez angażowania w to pani, ale niestety, nic z tego nie wyszło. Ken jak zwykle okazał się zbyt bez troski i zbyt uczuciowy. Cóż, stało się...

— Czyżbyście zamierzali zastrzelić w moim domu senatora Chapmana? O to wam chodzi?

W odpowiedzi T. F. jedynie potrząsnął głową. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie przejmował się obecnością Adele.

— Tego tutaj — ruchem głowy wskazał na Marka — potraktujemy jako zakładnika — powiedział do Kena. — Razem z nim zainstaluję się w twoim pokoju. Jeżeli przyjęcie nie będzie przebiegało zgodnie z planem, jego mózg znajdzie się na suficie.

Adele zadrżała.

— Nie zróbcie tego. Nigdy wam się to nie uda! Holman, zatelefonuj na policję! — zawołała.

Holman na moment jakby się zawahał, ale zaraz zrobił krok w kierunku domu. Niemal od niechcienia, T. F. oparł lufę karabinu o ramię i strzelił ponad basenem. Huk był przeraźliwy i jeszcze długo rozbrzmiewał wśród spokojnej nocy zwielokrotnionym echem. Holman, zaskoczony, popatrzył na sznur dekoracyjnych żarówek, które trzymał w dłoni. Jedna z nich, znajdująca się zaledwie o cal od jego dłoni, była roztrzaskana.

Spokojnym, niemal słodkim głosem T. F. powiedział do Adele:

— Pani Corliss, absolutnie nie zależy mi na tym, aby sprawić ból komuś, komu nie muszę koniecznie tego czynić. Ostrzegam panią jednak, że jeśli cokolwiek na tym przyjęciu nie pójdzie zgodnie z naszymi planami, ten czarnuch natychmiast zginie, a zaraz potem pani i reszta personelu.

— Ale przecież wy planujecie morderstwo! — krzyknęła Adele. — Jeżeli odbędzie się to przyjęcie, zamordujecie któregoś z moich gości!

T. F. wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Może ma pani rację. A może nie. Nawet jeśli planujemy morderstwo, nie wie pani przecież, kogo chcemy zabić. Zwracam uwagę, że wybór należy do pani. Ryzykuje pani życie kogoś, kto być może nie ma dla pani żadnego znaczenia, a z drugiej strony może pani skazać na pewną śmierć swego ulubionego służącego.

Mark jęczał i charczał coraz głośniej. Z pękniętego nosa ciekła mu krew. Poza tym jego twarz była szara.

— Jemu potrzebny jest lekarz — powiedziała Adele.

T. F. wzruszył ramionami.

— Dotrwa do niedzielnego poranka. Nic mu się nie stanie, jeżeli lekarz zobaczy go dopiero po przyjęciu. A tymczasem pójdzie ze mną na górę.

— Co ja mani robić? — zapytał Ken.

— Wbij do łbów wszystkim służącym, o co w tym wszystkim chodzi. A potem miej baczenie na tę damulkę. I uświadom jej jeszcze raz, że żaden z nas nie ma niczego do stracenia.

— Co to znaczy? — zapytała Adele.

— To znaczy, że jeśli na przykład osaczy nas policja, nie wyrzucimy broni i nie poddamy się im z rękami grzecznie uniesionymi do góry. Będziemy strzelać i prawdopodobnie wielu ich zabijemy, ponieważ jesteśmy mistrzami w naszym fachu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Tej samej nocy, w drogim apartamencie w Century Plaza Hotel w Los Angeles, Chapmanowie, znów razem po wielu dniach rozłąki, spali bardzo źle. O trzeciej nad ranem

Carl wstał z łóżka, włożył klapki i poszedł do salonu. Tam zapalił lampkę na stole, wziął hotelowy notatnik i zaczął pisać.

Po kilku minutach dołączyła do niego Elspeth. Miała zakręcone włosy i różowy pikowany szlafrok.

— Czy potrzebujesz proszków nasennych, Carl? — zapytała. — Widziałam, że przez cały czas nie mogłeś zasnąć.

— Wystarczy mi brandy. Po prostu jestem strasznie spięty.

— Spięty? Z jakiego powodu? Chyba nie z mojego?

— Z twojego też.

Podeszła do sekretarzyka, na którym stała taca z napojami, naląła sobie wytrawnego wermutu i dodała lodu. Odrobinę wypila, po czym podeszła do okna. Popatrzyła na latarnie oświetlające Aleję Gwiazd. Jeszcze nie rozmawiali o telefonie z Minneapolis ani o tym, co powiedziała o konieczności zabezpieczenia się przed Carlem. Wymiana słów przy kolacji dotyczyła głównie jutrzejszego przyjęcia i rwy kulszowej kuzynki Kate, szczególnie dokuczliwej teraz, gdy na całym północnym wschodzie padały gęste śniegi.

Carl ciężko westchnął i popatrzył na Elspeth z wyrzutem.

— Moja droga, jak to się stało, że nasze małżeństwo doszło do takiego stanu? — zapytał ją cicho.

Elsbeth nie odwróciła się.

— Cóż, straciliśmy do siebie zaufanie — powiedziała.

— Tak, to prawda. Myślę, że jest w tym wiele mojej winy. Dziewczęta i tak dalej.

— Tak — przytaknęła. — Dziewczęta i tak dalej.

Przez chwilę milczeli.

— Sądzę, że wiele to nie zmieni, jeżeli teraz obiecuję ci wierność.

— A niby dlaczego miałbyś obiecać mi wierność? — zapytała. — Dlaczego miałbyś być mi wierny, skoro możesz mieć mnie i te wszystkie seksowne dziewczyny, które tak ci się podobają, i jeszcze na dodatek masz szansę zostać prezydentem? Przecież to by nie miało sensu.

— Elspeth, nie lubię, jak nad głową wisi mi coś ciężkiego. Te filmy i kasety, które kazałaś nagrać temu facetowi w hotelu, naprawdę mnie denerwują. Wszystko byłoby w porządku, gdybyś je sobie trzymała jako osobistą polisę ubezpieczeniową. Nie miałbym nic przeciwko temu, ponieważ wiem, że zawsze już będę traktował cię poprawnie. Nie będziesz musiała ich użyć. Co się jednak stanie, jeżeli trafią w niewłaściwe ręce? Niech ktoś przeszuka mieszkanie, ot tak, i natknie się na nie przypadkiem. Co pomyśli naród o prezydencie, który zdradza swoją żonę z młodą dziewczyną, a na dodatek dziewczyna ta wkrótce potem umiera?

— Umiera? — Elspeth odwróciła się.

— Nie wiedziałaś, że ona nie żyje? — Carl zdziwił się.

— Nie, oczywiście, że nie. W jaki sposób zmarła?

— Zginęła wkrótce po tym, jak ją opuściłem. Kąpała się. Nie wiem, może odkręciła za gorącą wodę, a może była po prostu naćpana. W każdym razie, hm, utopiła się.

— Utopiła?

Carl wstał, podszedł do Elspeth i położył dłonie na jej ramionach.

— To był wypadek — powiedział. — Dopilnowałem, żeby policja wszystko dokładnie sprawdziła w związku z tym zgonem. Koroner nie miał wątpliwości, że to wypadek.

Elspeth patrzyła na niego z niedowierzaniem.

— A co się stało z Davidem Radetzky? — zapytała. — Telefonowałam do niego dzisiaj i przez cały czas odzywała się automatyczna sekretarka.

— Z Radetzky? Skąd mogę wiedzieć? Przyszły prezydent nie może przecież zajmować się każdym detektywem w tym kraju.

— Carl, dzwoniłam do niego wczoraj i jeszcze dzisiaj cztery razy. Nie podniósł słuchawki.

— Elspeth, wsadzasz nos w sprawy, które nie powinny cię interesować. Jasne, że porozmawialiśmy z Radetzky, ale to wszystko. Nawet jeśli postanowił nie zjawiać się przez kilka dni w swoim biurze, mnie to nie interesuje. Może zrobił sobie dłuższy urlop. Nie wiem.

Elspeth ujęła dłonie i męża i ściągnęła je ze swoich ramion. W jej oczach pojawiła się nienawiść.

— Kazałeś go zabić, prawda?! — krzyknęła. Carl odchrząknął, jakby wielce zdziwiony.

— Zabić? Uważasz, że wydałem rozkaz zamordowania go? Za kogo mnie uważasz, za Ala Capone?

— Uważam, że jesteś gorszy od Capone. Uważam, że masowo każesz mordować ludzi, żeby wygrać wybory w 1980 roku.

Nie odpowiedział jej. Nalał sobie potężną porcję brandy i zaraz popił ją wodą sodową.

Pustą szklankę odstawił gwałtownym ruchem na stół.

— Nie odpowiedziałeś mi, Carl. Chcę znać prawdę.

— Prawdę? Jaką prawdę? Prawdę o zgniłym, zepsutym społeczeństwie?

— Prawdę o tym, co robisz!

— To, czego nie wiesz, Elspeth, nie zrani cię. Chyba powinnaś już od dawna zdawać sobie z tego sprawę. Zresztą i tak wiesz już o wiele za dużo...

— A może wiem za mało? Powiedz mi wszystko! Poczzerwieniał.

— Niczego nie muszę ci mówić. Masz swoich detektywów, którzy łążą za mną, gdzie się tylko ruszę, nagrywają moje rozmowy i z upodobaniem filmują moje życie seksualne. Wiesz o mnie więcej niż ja sam!

— Carl, nie krzycz na mnie!

— Co takiego? Właśnie próbuję ci coś wytłumaczyć jak kochający mąż, ale ty masz to w dupie! Ty zawsze chciałaś mnie kontrolować. Zawsze ci jest potrzebna jakaś cholerna polisa na życie! Kiedy się pobraliśmy, zatrzymałaś dla siebie chatkę w Wealthwood, tak na wszelki wypadek. Potem pilnowałaś, żeby mieć mnóstwo pieniędzy, wyłącznie na swoich kontach, na wszelki wypadek. Teraz nabyłaś na wszelki wypadek film pornograficzny, ze mną w roli głównej. Oddaj mi, do cholery, ten film i wreszcie przestańmy się kłócić.

— Najpierw prawda, Carl, potem film.

Podszedł do niej i spojrzał jej groźnie w oczy. Oddychał ciężko, głośno, jakby przed chwilą skończył długi bieg.

— Natychmiast oddaj mi ten film — warknął.

Odwróciła się do niego plecami.

— Znasz moje warunki — stwierdziła.

— Twoje warunki? O czym ty mówisz? Jesteśmy mężem i żoną, Elspeth, i właśnie próbujemy ustawić nasze małżeństwo, które tak na dobrą sprawę nigdy nie miało szansy powodzenia. Ale przynajmniej próbujemy. A teraz oddaj mi ten cholerny film.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Opowiadasz bzdury, Carl. Wydaje ci się, że jesteśmy prostymi, zwyczajnymi ludźmi. A przecież nimi nie jesteśmy, prawda? Ty jesteś podstępny facetem bez skrupułów, który za wszelką cenę chce się dostać do Białego Domu. A ja jestem kobietą, która widzi, że jej jedyną szansą w życiu jest podążanie krok w krok za tym facetem.

Carl już się trząsał. Czuł, jak rośnie w nim napięcie. A jednak opanował się, trzy razy głęboko odetchnął i powiedział spokojnie:

— Elspeth, daj mi ten film.

— Nie.

Odczekał chwilę, po czym niespodziewanie wrzasnął.

— Daj mi ten cholerny film!

Uśmiechnęła się do niego spokojnie i było to najgorsze, co mogła w tej chwili zrobić. Carl chwycił w garść jej włosy i pchnął ją na kanapę.

— Carl! — krzyknęła i chciała się bronić, ale Carl był dużym, ciężkim facetem, wciąż utrzymującym się w dobrej kondycji. Był też rozzłoszczony, a tę złość wzbudziła w nim nie tylko ta chwila, ale całe długie lata frustracji i nieporozumień małżeńskich.

Uniósł ją z kanapy i mocno uderzył w żebra. Był na tyle sprytny, żeby nie bić po twarzy.

Elspeth zgięła się wpół i upadła na dywan.

Ciężko dysząc, Carl pochylił się i podniósł ją na nogi. Elspeth miała usta szeroko otwarte i siną twarz. Z trudem walczyła o oddech. Odczekał, aż nabierze trochę powietrza w płuca.

— A teraz — odezwał się — dawaj mi ten cholerny film.

Wciąż z trudem łykając powietrze, potrząsnęła przecząco głową.

— Elspeth — ostrzegł ją — chcę, żebyś powiedziała mi, gdzie jest ten film.

— Nie.

Jego usta ułożyły się w coś, co mogło przypominać uśmiech. Cicho powiedział:

— Nie daję ci dziesięciu minut na podjęcie decyzji. Żądam tego filmu teraz, natychmiast.

Zdołała jedynie jeszcze raz potrząsnąć głową.

— Chcesz być pierwszą damą, prawda? Tak bardzo jak ja pragniesz znaleźć się w Białym Domu. Nie trafisz tam jednak, jeżeli nie zapamiętasz teraz dokładnie tego, co chcę powiedzieć. Nie znoszę nieposłuszeństwa. Być może zmaleją moje szanse, jeżeli się rozstaniemy. Takim zachowaniem sprawisz mi o wiele więcej kłopotów, bo będę pod nieustanną presją, a tego nie mogę znieść.

— Puść mnie, Carl.

Wykręcił jej rękę i przycisnął Elspeth mocniej do siebie.

— Powiedz mi, gdzie jest film, to cię puszczę.

— Nic z tego, Carl. Jeżeli dam ci ten film, zabijesz mnie. Tak jak wszystkich innych.

Pchnął żonę na ścianę i przywarł do niej całym ciałem. Następnie potężnymi dłońmi zaczął miażdżyć jej piersi. Puścił je, gdy głośno krzyknęła, ale zaraz uderzył ją w żołądek. Padła na podłogę.

Carl popatrzył na nią, po czym po raz kolejny podszedł do tacy z napojami i nalał sobie brandy. Był tak zły i zmęczony, że mógłby zdemolować cały ten cholerny pokój. Wyrzucić przez okno pieprzony telewizor. Zerwać obrazy ze ścian. Wiedział jednak, że musi nad sobą panować. Powoli się uspokoił. Przystanął nad Elspeth.

Z trudem oddychała.

— No i co? Dobrze ci tak?

Nie była w stanie odpowiedzieć.

— Czy teraz wreszcie zechcesz mi powiedzieć, gdzie jest ten film?

Znów potrząsnęła głową.

Popatrzył na tacę z napojami. Butelka brandy, butelka wódki, syfon z wodą sodową i butelka wermutu.

— Aha, coś takiego robiliśmy w wojsku, kiedy ktoś naprawdę wkurzył. — Ucieszył się.

Elsbeth leżała bez ruchu. Carl przykucnął przy niej.

— To boli jak cholera — powiedział. — I jeżeli nie powiesz mi, gdzie schowałaś film, zadam ci ten ból.

Lekko pokręciła głową. Patrzył na żonę jeszcze przez chwilę, po czym wstał i podszedł do biurka. Wrócił z butelką wódki, po drodze odkręcając zakrętkę. Znów kucnął przy Elspeth.

Patrzyła na niego bez słowa. Ból był tak przejmujący, że nie mogła się poruszać.

— Ty głupia suko — powiedział. — Gdy teraz myślę o tych wszystkich przykrościach, które mi wyrządziłaś, uświadamiam sobie, że powinienem był ci przyłożyć już podczas naszej pierwszej wspólnej nocy. Wtedy sprawy ułożyłyby się poprawnie.

Odwróciła od niego wzrok.

— Masz ostatnią szansę — powtarzał Carl cicho. — oddasz mi ten film, albo poczujesz prawdziwy ból.

Nie zareagowała. Nawet nie dała żadnego znaku, że go usłyszała. Cała Elspeth. Nawet bita i poniżana nie pozwalać mu na żadną satysfakcję.

Carl ułożył ją na brzuchu, twarzą do podłogi. Następnie usiadł na niej, twarzą w stronę stóp. Odślonił jej pośladki i rozszerzył dłonią odbyt. W drugiej ręce trzymał butelkę z wódką, wypełnioną w trzech czwartych. Zaczął wlewać płyn do odbytu.

W pierwszej chwili tylko cicho stęknęła, mimo to Carl czekał, aż się podda. Nie chciał jej tego robić dłużej, niż musiał. Właściwie już powinna się poddać. Widywał w swoim życiu mężczyzn, którzy nie wytrzymywali pierwszych kropli.

— Poddajesz się? — zapytał.

Cisza.

— Poddajesz się?

Czekał trochę dłużej, ale znów nie doczekał się żadnej reakcji.

— W porządku, suko — westchnął i zaczął wkręcać butelkę w jej odbyt. Charczał przy tym tak głośno, że w pierwszej chwili nie usłyszał jej wrzasku. Butelka w tym momencie prawie do połowy tkwiła w odbycie Elspeth.

— Wyciągnij to! Wyciągnij! Poddaję się! Carl, na miłość boską, wyciągnij to!

Gdy jej posłuchał, długo leżała na podłodze, łkając, a Carl znów raczył się brandy i wodą sodową.

Drżąc, Elspeth powstała i podeszła do kanapy. Położyła się na niej z zapłakaną, bladą jak papier twarzą. Carl patrzył na żonę, jednak wciąż milczał.

Po chwili wyszeptwała:

— Film jest w sejfie bankowym w Security Pacific Bank, w tym oddziale pod chińską restauracją na Century Plaża. Sejf zapisany jest na nazwisko McCarthy.

Niespodziewanie usłyszeli pukanie do drzwi.

Był to nocny portier, który odezwał się grzecznym tonem:

— Przepraszam, że przeszkadzam, senatorze, jednak kilkoro gości narzekało w ciągu ostatniej godziny na hałas dobiegający z pańskiego pokoju. Czy wszystko jest w porządku?

Senator Chapman się promiennie uśmiechnął.

— Wszystko w jak najlepszym porządku — zapewnił. — Wszystko jest w porządku — powtórzył i poklepał go po ramieniu.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Tego poranka, gdy odbywał się pogrzeb, niebo zasnuwane było grubymi, ciężkimi chmurami.

Cmentarz był nieprzyjemnie mały. John trzymał się trochę z dala od pozostałych uczestników ceremonii, pocąc się w czarnej koszuli. Czuł się tak, jakby mięśnie odrywały mu się od kości.

Na pogrzebie zjawiała się Perri; obiecała mu to przecież. Stała kilka stóp za Johnem, w szarej, płóciennej sukience i czarnym kapeluszu z welonem.

Wokół było ponuro i szaro. Trumna ze zwłokami Williama Cullena znalazła się w grobie, po czym John rzucił na jej błyszczące wieko garść ziemi. Następnie odwrócił się od grobu z nadzieją, że jego ojciec przyjęty został tam, gdzie panuje tylko radość i spokój. Podszedł do niego Mel i położył dłoń na jego ramieniu. Ruszyli w kierunku bramy cmentarnej. Perri szła dwa kroki za nimi.

Detektyw Morello czekał na nich przy białym lincolnie. Na powitanie potrząsnął dłońmi Johna i Mela, po czym John przedstawił mu Perri.

— Mam nadzieję, że nie zakłócę pańskiego spokoju w takiej chwili — powiedział detektyw Morello. — Chciałbym z panem porozmawiać, ale z powodzeniem mogę to uczynić kiedy indziej.

— Nie ma takiej potrzeby — odparł John. — Jestem bardzo ciekawy, z czym pan przychodzi.

— No cóż — westchnął detektyw. — Wiele nie mam do powiedzenia. Mam wyniki badań balistycznych, lecz nic z nich nie wynika. Dokładnie sprawdziliśmy też wóz, który jechał za panem do San Diego, jednak jest czyste. Nie ma tam żadnych śladów poza odciskami palców właściciela. Auto zostało oczywiście skradzione, i to przez kogoś bardzo inteligentnego, kto przez cały czas nosił rękawiczki.

— A więc wciąż nie macie pojęcia, kto może być mordercą — stwierdził John.

— Niestety. Notujemy pewne postępy, ale idzie to bardzo powoli.

John poluznił krawat. Była jedenasta przed południem; powietrze było bardzo parne.

— I po to pan tu przyszedł? — zdziwił się, patrząc na detektywa Morello. — Żeby właśnie o tym mi powiedzieć?

— Niezupełnie. Prawdę mówiąc, powodem jest obecność panny Shaw w tym miejscu. Moi ludzie widzieli was razem już wczorajszego wieczoru. Doszedłem do wniosku, że być może zechce pan łączyć wczorajszą śmierć ojca Zaparellego ze śmiercią pańskiego ojca i narzeczonej.

— Czy coś w tym złego?

— Nie, oczywiście, że nie. Niestety, nie mogę jednak aprobować tego, że prywatne osoby mieszają do spraw policji. Zbyt często kończy się to tragicznie.

John popatrzył na Mela, który jedynie wzruszył ramionami.

— Wiem, jaka bolesna była dla pana śmierć ojca — kontynuował detektyw Morello. —

Wiem, że pragnie pan, aby jego zabójca został ukarany. Będę jednak bardzo wdzięczny, jeżeli pozostawi pan śledztwo profesjonalistom. Mówię to dla pańskiego dobra. To samo zresztą dotyczy pana Waltersa i pani Shaw.

John otworzył drzwi lincolna.

— Dobrze, proszę pana — rzekł cichym głosem. — Nie będziemy wtrącać się w robotę policji. Niech pan ugania się za swoim „Ciastkiem z autostrady”. Nie będziemy panu przeszkadzać.

Detektyw Morello zmierzył go wzrokiem, nie będąc pewnym, czy powinien przyjąć jego słowa za dobrą monetę. Po chwili jednak powiedział:

— Nie chciałbym, żeby pan odnosił wrażenie, iż nie staramy się odszukać zabójcy.

Naprawdę, robimy, co w naszej mocy.

— Dziękuję. Doceniam to.

— Chodzi mi jedynie o to, że nie możemy pozwolić panu na ryzykowanie życia — dodał detektyw Morello. — Ściganie przestępców jest zadaniem policjantów.

— Rozumiem — westchnął John.

— Co nie znaczy, że nie doceniamy pomocy, jakiej udzielają nam obywatele — mówił detektyw Morello. — Policja z Los Angeles wiele takiej pomocy zawdzięcza.

— Jasne. — John pokiwał głową.

Detektyw Morello zamilkł. Nie miał pojęcia, co jeszcze powiedzieć. John zatrzasnął drzwiczki lincolna i opuścił szybę. Siedział w fotelu kierowcy z wyrazem oczekiwania na twarzy, jakby się spodziewał, że policjant doda do swoich słów jakąś ważną konkluzję.

— Cóż, to wszystko — powiedział detektyw Morello.

— Wszystko?

— Tak. Niech pan kontaktuje się z nami natychmiast, jeśli wydarzy się coś istotnego, na przykład jeżeli ktoś znów będzie zagrażał pańskiemu życiu. I niech pan przekazuje nam nazwy hoteli, w których będzie pan mieszkał.

— W porządku — mruknął John. — Do zobaczenia.

Włączył silnik i lincoln ruszył Forest Lawn Drive w kierunku Ventura Freeway. Mel siedział z prawej strony, a Perri pomiędzy nimi. Nad miastem znów zawisł smog. Skręcili w Golden State Freeway. Podczas jazdy prawie nie rozmawiali. Przygnębiająca atmosfera pogrzebu Williama Cullena nie opuszczała ich, a ostrzeżenia detektywa Morello nie poprawiły nastroju.

Mijając Oceanside i Leucadię, pędzili wzdłuż wybrzeża oceanu z prędkością, która pozwoliła im dotrzeć do przedmieść San Diego kilkanaście minut po czwartej. John wjechał w Fairmount Avenue, po czym w odpowiedniej chwili skręcił w prawo i zatrzymał samochód przed domem profesora Sweetmana. Wszyscy troje wysiedli z samochodu i przez zapuszczony trawnik ruszyli w kierunku drzwi frontowych. John zadzwonił.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stała w nich stara, otyła Meksykanka w czerwonym fartuchu i mierzyła ich podejrzliwym wzrokiem.

— Czy profesor Sweetman jest w domu? — zapytał John. Nieufność w spojrzeniu kobiety wzmogła się.

— Profesor Sweetman? — powtórzyła. — Profesor Sweetman?

John był cierpliwy.

— Tak, profesor Sweetman. Czy jest w domu?

Kobieta powoli przecząco potrząsnęła głową.

— Czy jest pani pewna? — zapytała Perri.

Tym razem kobieta skinęła głową.

— Skoro nie ma go w domu, to gdzie jest? — zapytał John. — Gdzie go znajdziemy?

Kobieta przez chwilę drapała się po głowie, po czym powiedziała:

— W laboratorium. Tam. — Pokazała ręką. — Na uniwersytecie.

Podziękowali Meksykance i ruszyli Fairmount Avenue w kierunku kampusu uniwersyteckiego. Dookoła nie było widać żywej duszy. Dopiero po chwili przez okna samochodu ujrzeli kilkoro studentów i mężczyznę koszącego trawę. Wysiedli z samochodu na głównym parkingu i tak długo krążyli pomiędzy najbliższymi budynkami, aż znaleźli strzałkę wskazującą drogę do Laboratorium Badań Demograficznych.

— To chyba o to nam chodzi — stwierdził John, kierując się przez trawnik na mały, przysadzisty budynek z betonu i cegły. Miał tylko jedne drzwi, prawie całe oszklone. John osłonił oczy przed słońcem i pochylił się, aby zajrzeć do środka.

— Widzisz coś? — zapytała go Perri.

— Mały hall, a potem kolejne drzwi. Wejdzmy do środka.

Po chwili znaleźli się w pustym hallu, wyłożonym kafelkami. W następnych drzwiach znajdowały się niewielkie szybki. Dobiegał zza nich szum i odgłosy pracujących komputerów. John zajrzał przez szybkę.

— Co tam jest? — wyszeptała Perri.

John uniósł dłoń, nakazując jej milczenie. Przez chwilę patrzył, po czym odezwał się cicho:

— Mnóstwo komputerów IBM, trzy ściany są nimi zastawione. Jest tam też kilku ludzi; wszyscy bardzo zajęci pracą. Ale wyróżnia się taki facet w żółtej koszuli i szarych spodniach.

Stoi w bezruchu, jakby na coś czekał.

— Zauważyłeś Sweetmana? — zapytał Mel.

— Nie. Ale zaraz... Właśnie się pojawił. Trzyma plik jakichś wydruków. Rozmawia z facetem w żółtej koszuli. Coś mu wyjaśnia.

Przez trzy długie minuty John obserwował, jak profesor Sweetman tłumaczy coś temu w żółtej koszuli na temat wydruków, które za chwilę zapewne zamierzał mu wręczyć. Wyglądał jak główny kelner udzielający swemu pomocnikowi wyjaśnień na temat dzisiejszego menu.

Jego słuchacz, niski i otyły, przez cały czas kiwał głową i ze sposobu, w jaki to robił, John wywnioskował, że słyszał już ten wykład wiele razy wcześniej. Tak, profesorze. Oczywiście, profesorze.

Mężczyzna odebrał wydruki i niespodziewanie ruszył ku drzwiom, jedynie zdawkowo machnąwszy dłonią na pożegnanie laborantom i profesorowi Sweetmanowi.

— Wycofujemy się — syknął John. — Szybko, za róg, on wychodzi.

Błyskawicznie wymknęli się na zewnątrz i schowali za rogiem. Usłyszeli odgłos otwieranych drzwi i kroki zmierzające w kierunku parkingu.

— Musimy zatrzymać tego faceta — stwierdziła Perri. — Może on coś wie?

— Zatrzymać? Oszalałaś? W jaki sposób? — zdziwił się Mel.

— Nie wiem. Jak postępuje się w takich sytuacjach?

— Perri ma rację — postanowił John. — Skoro zaszliśmy już tak daleko, powinniśmy dobrać się do tego faceta.

Cała trójka ruszyła niemal biegiem na parking. Mężczyzna stał już przy jasnozielonym cadillaku coupe de ville i właśnie wsuwał dłoń do tylnej kieszeni spodni, sięgając po kluczyki. John nakazał Melowi, żeby zaszedł go od tyłu, a na Perri skinął, żeby pozostała przy nim.

Kiedy znajdowali się mniej więcej dziesięć stóp od niego, mężczyzna uniósł wzrok.

Popatrzył na Johna, potem na Mela i jeszcze raz na Johna. Milczał.

— Przepraszam pana — odezwał się John.

Mężczyzna nie zareagował. Otworzył drzwiczki auta i rzucił wydruki na przednie siedzenie. Dopiero wtedy, jakby po namyśle, wyprostował się i w ciszy popatrzył na przybyszów.

— Chciałbym zadać panu pytanie — powiedział John.

Mężczyzna miał tępą, zniszczoną twarz.

— Jeżeli chodzi wam o pieniądze, nie macie szczęścia. Nie byłem jeszcze w banku w tym tygodniu — powiedział.

— Czy wyglądamy na złodziei?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— A jak, kurwa, wyglądają złodzieje?

— Chcemy zadać panu kilka pytań w sprawie tych wydruków komputerowych.

— A co one was obchodzą?

Mel zbliżył się do niego i powiedział:

— Nic nas nie obchodzą. Jestem jednak pewien, że zechce pan udzielić pomocy policji.

— Policji? Co to za kawał? Przecież nie jesteście ani trochę bardziej policjantami niż ja!

John również podszedł bliżej do mężczyzny.

— Chcemy jedynie zobaczyć te wydruki. Potem damy panu spokój.

— Niczego nie muszę wam pokazywać, gamonie. A teraz spieprzajcie stąd, bo narobię wam kłopotów.

— Mel. — John skinął na przyjaciela, żeby przyłożył facetowi, ten jednak był czujny.

Natychmiast wskoczył na fotel kierowcy i zatrzasnął drzwi od wewnątrz. Włączył silnik i z piskiem opon ruszył na wstecznym biegu.

Mel jednak działał stanowczo i spokojnie. Wyciągnął rewolwer i trzymając go w wyprostowanych rękach, wypalił w kierunku oddalającego się cadillaka. Trafił w przednią oponę i wóz uderzył w zaparkowaną niedaleko ciężarówkę. Silnik cadillaka zgasł.

Podbiegli w stronę samochodu. Człowiek w środku trząsł się cały, jednak nic mu się nie stało. Mel wymierzył w niego rewolwer i ten wreszcie otworzył drzwiczki auta i wyszedł na zewnątrz. Usiadł na krawężniku z głową pomiędzy kolanami. Był bardzo blady.

Niespodziewanie zwymiotował.

John wyciągnął z samochodu wydruki i popatrzył na nie. Były to listy z nazwiskami i adresami. Nazwisk było prawie tysiąc.

„Timothy P. Sheldon, Attelboro,
Massc Margarita Ramonez, Hemet, Ca
Herman T. Kreisler, Lansing, Mich...”

Na każdej z list widniał nagłówek z numeracją:

„Krzywa Sweetmana, wskazanie 35/710/409. CXC. Poufne, do rąk własnych”.

John wskazał Perri na jeden z nich.

— Widzisz to? CXC. Myślę, że to nie przypadek, iż litery CXC są inicjałami Carla X. Chapmana. A co ty o tym sądzisz?

— A więc mamy go! — zawołał Mel. — Wezwiemy policję?

— Nie wiem — powiedział John. — Praktycznie rzecz biorąc, ta lista o niczym nie świadczy. Przecież jesteśmy w stanie jedynie zgadywać, jakie jest jej znaczenie. Nawet jeśli jest to lista ludzi, których Chapman planuje zabić, w tej chwili wszyscy żyją. Nie mamy żadnej możliwości, aby udowodnić, że jest to polityczna lista śmierci.

— Zapytajmy o nią profesora Sweetmana — zasugerowała Perri. — Może tym razem okaże się bardziej skłonny do współpracy?

Mel szarpnął mężczyznę i we czworo podążyli do budynku laboratorium. Tym razem nie ukrywali się. Bez chwili zwłoki weszli do głównego pomieszczenia, w którym znajdowały się komputery.

Profesor Sweetman pochylał się akurat nad jakąś konsolę, pracując w skupieniu.

— Profesoro? — wywołał go John i stary człowiek uniósł głowę. Popatrzył na przybyszów wzrokiem, w którym malowało się niedowierzanie. Ekran komputera rzucały na jego twarz zimne światło, nadając jego cerze nierealny, ziemisty, niezdrowy kolor.

— Dennis, wróciłeś? — odezwał się zdziwionym głosem. Powrót posłańca z wydrukami był pierwszą rzeczą, która do niego dotarła. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że Dennis znajduje się w towarzystwie dwóch mężczyzn, których zaledwie wczoraj wyrzucił z domu, i nieznanym dziewczyny.

— Nie z własnej woli — odparł Dennis. — Lepiej porozmawiaj z tymi idiotami. Strzelali do mnie.

Profesor Sweetman aż zadygotał z wściekłości.

— Chodźmy do mojego gabinetu — powiedział po chwili. — Tędy. — Wskazał drogę.

Ruszyli za profesorem i wkrótce wszyscy znaleźli się w śmierdzącym pleśnią pomieszczeniu, które było jego gabinetem. Jego wyposażenie stanowiły tanie biurowe meble, a znajdowało się tutaj przede wszystkim mnóstwo naukowych książek, publikacji i periodyków. Na ścianach wisały jakieś wykresy, przypinano też do nich dziesiątki notatek.

Na biurku, w złoconej ramie, stała fotografia kobiety w średnim wieku, o łagodnej, lecz smutnej twarzy. John bez trudu rozpoznał w niej panią Sweetman, mimo iż na zdjęciu wyglądała na młodszą i mniej wymizerowaną niż w rzeczywistości.

Profesor zamknął drzwi.

— A teraz — zażądał — proszę mi wszystko wyjaśnić.

John wyciągnął przed siebie wydruki.

— Zdaje się, że uzyskałem ostateczny dowód — powiedział łagodnie. — Znamy już nazwisko pana politycznego klienta, wiemy, w jakim celu używa pańskiej krzywej, i jesteśmy przekonani, że pan również o tym wie. Zabierzemy pana na policję do Los Angeles, profesorze Sweetman. Weźmiemy też te wydruki. Będą wystarczającym dowodem przeciwko panu.

Dennis wzruszył ramionami i wyciągnął z koszuli pociętą paczkę papierosów.

— Tylko odczepcie się ode mnie — powiedział. — Jestem jedynie posłańcem. Jeżdżę tutaj co tydzień i zawożę wydruki do biura senatora Chapmana. To wszystko. Nie wiem, o co, kurwa, w tym wszystkim chodzi.

Profesor Sweetman usiadł za biurkiem, ściągnął okulary, i przez długą chwilę wpatrywał się w okno. W końcu odwrócił się i spojrzał na gości. Posłał im smutny, niemal żalony uśmiech.

— Obawiam się, że to wszystko było zbyt radykalne i gwałtowne, aby mogło trwać dłużej — odezwał się zmęczonym głosem. — Zresztą tak naprawdę nie da się zmienić politycznego oblicza narodu w ciągu tygodnia, niezależnie od tego, jakie się stosowałyby środki.

— Powiedziałbym, że pańskie środki były bardzo drastyczne — zauważył John z sarkazmem.

Profesor Sweetman pokiwał głową.

— Zapewne ma pan rację. Niczego więcej pan ode mnie nie usłyszy. Pozostawię to mojemu adwokatowi.

— Ale czy prawdą jest to, że sprzedawał pan swoje wyniki mordercom? — zawołała Perri.

Stary naukowiec potrząsnął przecząco głową.

— W tej chwili nie czas i miejsce na roztrząsanie takich spraw. Jedno wam natomiast powiem. Gdy pojawia się szansa na uratowanie ukochanej osoby, która jest śmiertelnie chora, to korzysta się z niej bez względu na wszystko, nawet kosztem moralności. Mima miała raka mózgu, który był dla niej wyrokiem śmierci. Przez trzy lata była tak ciężko chora, że nie panowała nad swoim zachowaniem i odruchami. Powiedziano mi, że może ją uratować operacja za pół miliona dolarów.

Powolnym ruchem założył na nos okulary.

— Dzięki zastosowaniu mojej krzywej w polityce, zarobiłem ponad trzy czwarte miliona dolarów. Dołożyłem oszczędności i miałem dosyć pieniędzy na operację żony. Mima przeszła ją

bardzo dobrze i teraz powoli dochodzi do siebie; jak zapewne pan zauważył, panie Cullen, wygląda już całkiem nieźle.

John popatrzył ze smutkiem na Mela. Teraz, gdy wiedział już, że ich najgorsze przypuszczenia wobec profesora Sweetmana znalazły uzasadnienie, nagle poczuł w sobie ogromną pustkę. Mógłby teraz rzucić się na łóżko, śmiertelnie zmęczony, i spać przez całą dobę. Mel nie wiedział, co powiedzieć. Niesamowitość tego, co uczynił profesor Sweetman, przytłaczała go.

Dennis, który ze stoickim spokojem odebrał słowa profesora, odezwał się:

— Może już sobie pójdę, co? Niczego złego nie zrobiłem. Wykonywałem po prostu swoją robotę.

— Zostań tutaj — zarządził John. — Zadzwonimy na policję.

Profesor Sweetman powstał zza biurka i podszedł do barku, znajdującego się w kredensie.

Wyciągnął z niego butelkę madery i jedną szklankę.

— Będziecie mieli coś przeciwko temu, że się napiję? Potrzebuję odrobiny alkoholu, żeby się uspokoić.

— Niech pan się częstuje — odparł John. Był tak zde gustowany tym, czego się przed chwilą dowiedział, że z trudem mógł słuchać profesora. — Wypij pan całą tę cholerną butelkę.

Stary naukowiec nalał sobie pół szklanki. Szybko wypił zawartość i popatrzył na zegarek.

— Powiem wam coś, co sprawi, że popatrzyście na mnie troszeczkę inaczej — odezwał się. — Coś, co pozwoli wam potraktować mnie łagodniej.

— Nie przychodzi mi do głowy nic, co przemawiałoby na pańską korzyść, profesorze — powiedział ponuro John.

Profesor Sweetman sprawiał wrażenie obrażonego.

— Oczywiście, pan niczego podobnego nie dostrzeże. Dostrzeże jednak sąd. Muszę podjąć tę próbę. Jestem to winien i Mimie, i sobie. Otóż na dzisiejszy wieczór przygotowaliśmy ogromnie ważny program. Ustalenie go wymagało nadzwyczajnego wysiłku i wielu tygodni intensywnej pracy. Wszystkie przeprowadziłem w zasadzie sam. To była fascynująca praca.

— Czy chodzi o kolejną zbrodnię? — zapytała Perri.

— Cóż, rezultatem jest rzeczywiście zbrodnia, ale...

— Co fascynującego jest w zbrodni? — zdziwiła się Perri.

Profesor Sweetman wydawał się wytrącony z równowagi.

— Ja nie planuję morderstw — oświadczył stanowczo. — Nie mam nic wspólnego z ich planowaniem i wykonywaniem. Ja po prostu...

— Nie chcę tego słuchać, profesorze — powiedział John. — Chcę jednak, żeby pan opowiedział o programie na dzisiejszy wieczór. Słucham pana.

Profesor Sweetman westchnął. Zdjął ze ściany jedną z kart i rozłożył ją na biurku. Pokryta była skomplikowanymi wykresami, wśród których wyróżniały się jaskrawe linie, określone jako „prawdopodobne styczne”.

— Proszę. — Profesor wskazał na jedną z takich linii. — Oto krzywa, wyznaczona dla niezwykle utalentowanego i pracowitego osobnika. Zazwyczaj mam do czynienia jedynie ze zwykłymi ludźmi, którzy oddziałują tylko na swoje najbliższe otoczenie. W tym wypadku mamy do czynienia z osobnikiem, który ma wpływ na życie polityczne nie tylko ze względu na swoją osobowość, wielką popularność, ale także ze względu na sposób, w jaki wykorzystuje swoje talenty. Krzywa ta wyznaczona jest dla Anthony’ego Seidena, reżysera filmowego, i ukazuje jego polityczny wpływ na tych Amerykanów, którzy uczęszczają do kin.

Usunięcie Seidena zmieniło wynik wyborów prezydenckich w 1980 roku o 0,02 procent na prawo.

John patrzył na kartę.

— Zamierza pan zamordować Anthony'ego Seidena?

Profesor Sweetman pokiwał głową.

— Plany są takie, że Seiden zginie dzisiejszej nocy. To wyjątkowo trudny cel, gdyż, jak zapewne panu wiadomo, niełatwo jest go dopaść. Przez cały czas otoczony jest ochroniarzami, jeździ w kuloodpornym, pancernym samochodzie. Sam bardzo ściśle przestrzega reguł bezpieczeństwa. Wiadomo mi, że kiedy tylko jego nazwisko pojawiło się na krzywej, jeden z ludzi Champana zaczął go obserwować. Poruszał się za nim jak cień przez trzy tygodnie i przez ten czas nie uzyskał żadnej, nawet najmniejszej szansy, żeby go dopaść i zamordować.

— Dlaczego więc dzisiejszej nocy będzie inaczej?

— Cóż, dzisiaj w Palm Springs odbędzie się przyjęcie na cześć wspaniałego reżysera.

Wydaje je Adele Corliss; zna pan zapewne tę starzejącą się aktorkę. Nie wiem dokładnie, w jaki sposób senator Chapman to zaplanował, wydaje się jednak bardzo pewny siebie.

Naprawdę, jest bardzo pewien końcowego rezultatu.

Nastąpiła przedłużająca się, głucha cisza. Przerwał ją John, odzywając się drżącym głosem:

— Niech mi pan poda telefon, profesorze. Cholera, będzie pan miał szczęście, jeżeli dodzwonię się do Seidena na czas. Jeżeli nie, osobiście zeznam przed sądem, jakim jest pan złym, pozbawionym skrupułów skurwysynem.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na cyfrowym zegarku T. F. była 5.05. T. F. znajdował się w sypialni Kena Irwina w Palm Springs. Siedział na krześle przy otwartym oknie. Na kolanach trzymał swój ukochany M-14 i powoli, spokojnie palił papierosa. Sypialnia utrzymana była w kolorze złotym i zielonym.

Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające San Francisco sprzed stu lat. T. F. rozsunął odrobinę zasłony, tak że widział wszystko, co się dzieje na dole pod budynkiem. W polu widzenia miał też miejsce, w którym znajdzie się obiekt, kiedy wieczorem dopadnie go śmiertelny strzał. T. F. pewien był, że nie spudłuje.

Uniósł karabin, bawiąc się nim. Przez teleskopowy celownik widział nawet krzesło, na którym będzie siedziała ofiara, gdy dopadnie ją śmierć. Widział też telefon, który zadzwoni punktualnie o 11.01. Człowiek, który ma zginąć, umrze podczas rozmowy telefonicznej.

Na łóżku, skrupowany i przywiązany do mosiężnej ramy, leżał Mark. Szofer co chwilę kaszłał i cicho jęczał. T. F. odwrócił się na chwilę w jego kierunku i przyjrzał mu się. Cała twarz Marka była pokryta zakrzepłą krwią.

W domu służący i kelnerzy czynili ostatnie przygotowania do przyjęcia. Ciepły wiatr unosił ich głosy i docierały one nawet na górę, do sypialni. T. F. słyszał też trzyosobowy hiszpański zespół, przeprowadzający ostatnie próby sprzętu. Uśmiechnął się. Miał nadzieję, że zespół potrafi również grać marsze pogrzebowe.

Ktoś zapukał do drzwi. T. F. wyciągnął papierosy z ust i wyrzucił go przez okno.

Następnie wstał z krzesła i podszedł do drzwi. Otworzył je i przez wąską szczelinę wystawił najpierw lufę karabinu.

To była Adele Corliss, ubrana w białą koronkową suknię. Jej twarz grubo pokrywał krem.

— Jak on się czuje? — zapytała. — Czy mogę na niego spojrzeć?

T. F. potrząsnął głową.

— Kiedy będzie po wszystkim, z całą pewnością będzie pani mogła wziąć go w ramiona i

ukołysać, pani Corliss. Teraz jednak nie może się pani rozczulać. Niech pani będzie czujna, gotowa i zachowuje się normalnie, jakby nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

— Ale ja nie potrafię! — wykrzyknęła histerycznie. — Trzyma pan mojego kierowcę jako zakładnika, a na dodatek grozi pan, że zamorduje jednego z moich gości! Czy to jest normalne? Jak w takich warunkach mogę się normalnie zachowywać?

T. F. podetknął jej pod nos lufę karabinu.

— W końcu jest pani aktorką, prawda? — powiedział łagodnie.

Natychmiast zamknął drzwi sypialni i pozostawił samotną i zaskoczoną Adele na korytarzu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Hilary Nestor Hunter już od godziny nerwowym krokiem przemierzała swój dom, w Hollywood. Wskazówki zegara obracały się jakby szybciej niż zazwyczaj. Z zawrotną prędkością zbliżał się moment, w którym będzie musiała wyjechać na przyjęcie do Adele Corliss. Na dzisiejszy wieczór zamierzała włożyć błękitne, szerokie spodnie, długie do kolan, jednak wciąż nie było przesyłki od krawca, który je zaprojektował i szył. Hilary nerwowo paliła papierosa, wymachując długą lufką. Ubrana była w męską dzinsową koszulę i francuskie przejrzyste majteczki. Na nogach miała buty na wysokich obcasach sprowadzone z Londynu.

Dziewczęta z jej obstawy siedziały spokojnie na kanapie w salonie. Zwykle tak postępowały, gdy ich szefowa była' zdenerwowana. Usta trzymały zamknięte, jak zasznurowane, i unikały jej wzroku.

Antyczny zegar na ścianie wskazywał już dwadzieścia po piątej. Listopadowe słońce powoli zachodziło, kryjąc się w brązowym smogu, zalegającym nad Los Angeles. Hilary wynurzyła się z sypialni i warknęła na jedną z dziewcząt:

— Nalej mi burbona do szklanki. A potem zadzwoń do tego cholernego krawca i powiedz mu, że jeżeli nie zobaczę go tutaj za pięć minut, będzie miał ze mną do czynienia.

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi; przybycie gościa obwieszczało kilka pierwszych nut z Bolera Ravela. Swego czasu Hilary była zafascynowana Bolerem, dekadencją monotonią tego utworu, i nawet tańczyła go solo na przyjęciach, podczas gdy goście ściskali w dłoniach kieliszki i żalowali, że nie znajdują się akurat gdzie indziej. Teraz Hilary strzeliła palcami i czarnowłosa dziewczyna szczelnie owinęła się w jedwabny koreański szlafroczek, po czym ruszyła w kierunku frontowych drzwi.

Przez chwilę dobiegały stamtąd przytłumione odgłosy konwersacji. W tym czasie oblicze Hilary nie zmieniło się ani na jotę. Wciąż była wściekła na cały świat. Wreszcie dziewczyna wróciła do salonu; za nią wszedł wysoki mężczyzna o orlim nosie, w lekkiej, szarej marynarce. Był to Henry Ullerstam.

— Cześć, małeństwo — powiedział do Hilary. — Skończyłem pracę trochę wcześniej i postanowiłem, że cię odwiedzę.

Oblicze Hilary w mgnieniu oka się rozjaśniło. Wyrzuciła przed siebie ręce w geście powitania i zawołała:

— Henry, jak to wspaniale, że cię widzę już teraz! Myślałam, że zobaczymy się dopiero o dziewiątej! Dziewczęta, przywitajcie się z Henrym.

Dziewczyny uśmiechnęły się z przymusem i pomachały mężczyźnie dłońmi. Tylko jedna, może dwie spośród nich wiedziały, kim jest Henry. Wszystkie jednak ucieszyły się w duchu z jego przybycia, gdyż na widok gościa uleciała z Hilary cała wściekłość.

— Jak długo możesz zostać? — zapytała Hilary. — Napijesz się ze mną, prawda? Czy wpadniesz na przyjęcie?

— O siódmej będę cię musiał opuścić, niestety — odparł Henry. — W Iranie właśnie odbywa się posiedzenie OPEC Śledzę je uważnie i w czasie weekendu będę musiał opracować kilka dokumentów, zależnie od jego wyniku.

Hilary spędziła dziewczyny na dywan i usiadła na kanapie. Chwilę siedziały bez ruchu z kwaśnymi minami, po czym, jakby na komendę, wstały i poszły do sypialni, starannie zamykając za sobą drzwi.

— Cóż za kolekcja — zauważył Henry, wskazując za nimi ręką. — Zdaje się, że mają swoje

kaprysy.

— Mimo to uwielbiam je — powiedziała Hilary z uśmiechem. — Zanudziłabym się przecież, gdybym była otoczona ludźmi spełniającymi wszystkie moje kaprysy nawet bez grymasu niechęci. — Klepnęła otwartą dłońią w poduszkę kanapy. — Usiądź obok mnie.

Bardzo dobrze wyglądasz.

Henry starannie podciągnął spodnie na kolanach i usiadł przy Hilary. Mimo że ubrana bardzo skąpo, nie podniecała go; zachowywał się tak, jakby miała na sobie gruby sweter i dzinsy. Spędzili ze sobą zaledwie jedną noc, po czym doszli do wspólnego wniosku, że czułość Henry'ego oraz dzikość i sadyzm w łóżku właściwe Hilary zupełnie do siebie nie pasują; nigdy więcej już ze sobą nie spali. Zostali jednak przyjaciółmi, których połączyło wspólne dążenie do maksymalnego dobrobytu i władzy.

— Znosi się na wspaniałą noc — powiedział Henry. — Czy Carl przyjdzie z żoną?

— Tak. Miał nadzieję, że nie przyjedzie, ale nic z tego. Uwierz mi jednak, cieszę się z jej przyjazdu. Pieprzyć się z mężczyzną to jedna sprawa; zupełnie inna pieprzyć się z mężczyzną ciężkim jak bawół.

— Czy Carl wszystko przygotował jak należy? Nie będzie żadnej wpadki?

Hilary wzruszyła ramionami.

— Nie sądzę. Wiesz, że Carl nigdy nie wtajemnicza mnie w szczegóły. W ubiegłym tygodniu zainstalował w domu jakiegoś chłopaczka, a ten z kolei wprowadził tam człowieka, który będzie strzelał.

Henry rozparł się wygodniej i rozprostował nogi. Jedna z dziewcząt wyszła z kuchni i wręczyła mu kieliszek martini. Przyjął go, wspaniałomyślnie skinąwszy dziewczynie głową.

— Te twoje damulki są urocze — zauważył, kiedy dziewczyna dołączyła do pozostałych w sypialni. — Nawet wtedy, gdy są milczące i nadąsane.

Hilary tylko się uśmiechnęła.

— Zawsze myślałem, że lesbijki mają muskuły i grube głosy.

Hilary roześmiała się głośno.

— To samo myślałam o wszystkich mężczyznach.

Henry nadział oliwkę na wykałaczkę i wsunął ją do ust. Po chwili kontynuował rozmowę:

— Biedny Carl — powiedział zamyślnym głosem. — Naprawdę, bardzo mu współczuję.

— Chcesz za to wypić? — zapytała Hilary. — Za współczucie?

Henry potrząsnął przecząco głową.

— Nigdy nie piję smutnych toastów. Piję tylko za sukcesy. Hilary tymczasem głośno zawołała w kierunku sypialni:

— Przynieście mi płaszcz kąpielowy! I nalejcie jeszcze jednego burbona.

Z sypialni wynurzyła się kolejna dziewczyna. Kiedy wykonała swoje zadanie, Hilary pochyliła się poufale ku Henry'emu i powiedziała:

— Czy rozmawiałeś z Caultem?

Henry skinął głową.

— I co, jest zadowolony?

— Jak dotąd tak. Oczywiście sytuacja może jeszcze się zmienić. Jeżeli jednak nasz przyjaciel, profesor Sweetman, będzie nadal pracował tak dobrze i wydajnie jak do tej pory, przyszłość będzie można tak łatwo przewidzieć, jak kierunek jazdy pociągu.

— Czy Cault coś mówił?

— Niewiele — odparł Henry. — Jasne jest jednak, że odpowiada mu sytuacja, w której będzie

mógł znać nazwisko prezydenta na długo przed wyborami.

— Czy zgodził się na twoje żądania?

Twarz Henry'ego rozjaśniła się.

— Zgodził się nawet na więcej!

Hilary, jakby nie zdając sobie sprawy, co robi, rozpięła koszulę, obnażając na chwilę małe piersi o brązowych sutkach! Włożyła płaszcz kąpielowy, po czym znów usiadła wygodnie na kanapie. Podwinęła nogi pod siebie i błękitnymi oczyma spojrzała na Henry'ego Ullerstama tak ciepło i z taką otwartością, że Carl Chapman na jego miejscu miałby natychmiastową erekcję. Henry natomiast spokojnie wstał. Za oknami powoli zaczynał zapadać zmierzch.

— Cault uważa, że ma już wszystkie środki i kontakty, których mu potrzeba — powiedział. — Jest przekonany, że nie będzie miał problemów z robotnikami. Od lat ma oko na Angolę, współpracuje nawet w tej sprawie z CIA. Niestety, po Wietnamie Nixon nie był skory do rozmów o tym kraju, jak zresztą żaden z kolejnych prezydentów. Owszem, powstrzymywanie komunizmu było jednym ze strategicznych celów, ale nikt nie był gotów do kolejnego wielkiego rozlewu krwi, do którego doszłoby, gdyby rząd zaczął realizować postulaty Caulta i właściwie również CIA w sprawie Angoli.

— A jeśli Carl zostanie wybrany?

— Oczywiście, Carl natychmiast doprowadzi do zmiany stanowiska administracji — przyznał Henry. — Carl będzie naszą marionetką. Jeżeli damy mu prezydenturę, on da nam natychmiast to, czego chcemy w Angoli. — Umilkł na chwilę. — Właściwie trudno sobie wyobrazić polityka lepiej pasującego do tego układu niż Carl — kontynuował. — Zdarza się, że w naiwnej głowie powstają zakrojone na szeroką skalę pomysły, ale zdarza się to bardzo rzadko. Muszę przyznać, że pomysł Carla, jak wykorzystać dla nas krzywą Sweetmana, był momentem przełomowym. Cholera, nie wpadłoby mi do głowy żeby zlikwidować tyle osób, ile potrzeba, żeby zmienić wyniki wyborów prezydenckich. To była wielka chwila, kiedy Carl po raz pierwszy o tym powiedział. I nawet dobrze wszystko zaplanował — mówił. — Szeroka sieć morderców, działających na terenie całego kraju... Muszę przyznać, że niełatwo coś takiego zbudować. Oczywiście, niektórzy z nich wydają się lepsi, inni gorsi, ale w zasadzie wszyscy pracują na odpowiednio wysokim poziomie i odpowiednio skutecznie. Chociaż prawdę mówiąc, najważniejsze jest, że żaden z nich do tej pory nie wpadł. W końcu czego więcej można wymagać od płatnych morderców? — Henry ciężko westchnął i Hilary popatrzyła na niego ze zdziwieniem. — Niestety, Carl jest tak samo beztrojski, jak bezlitosny, tak samo sentymentalny, jak okrutny. Wierzy, że ludzie, którzy znajdują się w jego ręku, wciąż go uwielbiają. Zapomina, że w swej kampanii, w której za wszelką cenę zmierza do prezydentury, zaciągnął u wielu ludzi długi wdzięczności, że winien jest wiele przysług, że nie wszystkich, którzy mu się sprzeciwiają, potrafi dosięgnąć.

Henry znów usiadł i pociągnął łyk martini.

— Opracował już plan zatarcia śladów, kiedy zostanie wybrany. Już chyba poczynił jakieś kroki w celu wyeliminowania płatnych morderców, nawet nie wiem, w jaki sposób. Niestety, nie zdaje sobie sprawy, że kiedy zasiądzie w Owalnym Gabinetcie, będzie musiał zmierzyć się ze starymi wrogami, chociażby ze Stepanskim z FBI, który na razie milczy, ale być może dysponuje jakimiś poszlakami, które prowadzą do Carla, jako człowieka, który wynajął najwięcej płatnych morderców w historii Stanów Zjednoczonych. Poza tym przeciwko niemu nastawiony jest prawie cały Pentagon. On w ogóle nie rozmawia z wojskowymi, niczego im nie obiecuje, a oni boją się o swoje stołki... Carl to polityczny prymityw. Prze do przodu za wszelką cenę i na razie omija wszystkie przeszkody, jednak ta passa wkrótce się skończy, powinie mu się noga. Carl nie jest w stanie zauważyć chwili, w

której Wpadnie po uszy w gówno. Aż mi się nie chce płakać, tak mi go żal. Obyśmy zdążyli go wykorzystać, tak jak chcemy.

— Czy Cault wspominał o ropie? — zapytała Hilary, pragnąc, aby jej głos brzmiał jak najbardziej zdawkowo.

— Oczywiście.

— No i co? Nie każ mi zgadywać.

— Zdaje się, że opracował drobny plan — powiedział Henry. — Zasadniczo oparty jest on na moich sugestiach, Cault wprowadził jednak pewne poprawki. Muszę przyznać, że jestem pełen podziwu dla nich.

Zaczął rysować palcem po kanapie, jakby chcąc zaznaczyć na niej kontury Angoli.

— Kiedy pucz zakończy się powodzeniem — powiedział — nowy rząd Angoli ogłosi, że pragnie uzyskać pomoc finansową od państw zachodnich. Jednym ze sposobów uzyskania tej pomocy będzie podzielenie pewnych fragmentów terytorium, głównie rolniczych nieużytków, pomiędzy zagraniczne korporacje i umożliwienie im wybudowania fabryk i budynków mieszkalnych. Oczywiście korporacje za wszystko będą płacić, ceny jednak będą zadziwiająco niskie. — Uśmiechnął się. — Jedną parcelę otrzyma w wieczyste użytkowanie korporacja Pan-African Insurance. Wkrótce po przejęciu terenu okaże się, że pod ziemią znajdują się ogromne złoża ropy. Wszyscy będą zaskoczeni... Oczywiście ropa stanie się własnością Pan-African Insurance, gdyż umowa będzie odpowiednio sformułowana.

Właściciele złóż, zaskoczeni fortuną, która na nich spadła, natychmiast przystąpią do ich eksploatacji. — Na moment Henry zrobił poważną minę. — Nie mówiłem ci tego do tej pory, ponieważ czekałem na potwierdzenie. Kiedy jednak przed ośmiu laty odkryliśmy te pokłady, już wówczas podejrzewaliśmy, że może to być największe amerykańskie złożo ropy poza Stanami Zjednoczonymi. Lekko licząc, możemy wydobyć w Angoli co najmniej sto milionów baryłek, czyli tyle, ile wydobyto w Portero de Liano numer cztery, największym amerykańskim złożu, jakie kiedykolwiek opróżniono. Przy czym w wypadku tego, co mamy w Angoli, wydobycie będzie bardzo łatwe. Ta ropa znajduje się bardzo płytko, aż się prosi, żeby wystrzelić w powietrze.

— Cudownie — westchnęła Hilary. — Żal mi tylko Carla. Biedny, nieszczęśliwy Carl...

Zegar na ścianie wybił piątą trzydzieści.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

John siedział za biurkiem profesora Sweetmana, spocony i pełen napięcia, a tymczasem zegar na ścianie wskazał godzinę 5.45 po południu. John próbował złapać Anthony'ego Seidena w studio, jednak jego sekretarka wyszła już do domu, a nikt inny nie miał prawa informować o prywatnym numerze telefonu reżysera. Starał się też uzyskać numer Adele Corliss w Palm Springs, jednak jej telefon też był zastrzeżony.

— A może zadzwonisz do detektywa Morello? — zasugerował Mel. — Jeżeli powiesz glinom, co się dzieje, będą przynajmniej musieli to sprawdzić.

John pokiwał głową i wykręcił numer, który swojego czasu podał mu detektyw.

Uzyskawszy połączenie, długo czekał, aż ktoś podniesie słuchawkę. Perri obserwowała go w napięciu, a profesor Sweetman tymczasem wpatrywał się w okno, za którym powoli zachodziło słońce. Dennis, okłapły i zrezygnowany, siedział na plastikowym krześle i bezmyślnie palił papierosa za papierosem.

Wreszcie po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

— Biuro detektywa Morello — usłyszał John zmęczony głos.

— Czy mógłbym z nim rozmawiać? — zapytał.

Nastąpiła krótka cisza, po czym ten sam głos odparł:

— Niestety nie.

— Nazywam się John Cullen. W ubiegłym tygodniu na San Diego Freeway zastrzelono mojego ojca, Williama Cullena.

— Ach tak, przypominam sobie to nazwisko.

— Niech pan posłucha, trudno mi to wyjaśnić, ale jestem przekonany, że dzisiejszego wieczoru znów ktoś ma zostać zastrzelony. W jednym z domów w Palm Springs będzie się odbywać przyjęcie na cześć Anthony'ego Seidena, tego reżysera. Ktoś zamierza go zamordować podczas przyjęcia.

Nastąpiła długa cisza, po czym John usłyszał pytanie:

— Dlaczego pan tak twierdzi?

— Nie mam teraz czasu, żeby to wyjaśniać. Poślijcie kogoś do Palm Springs i sprawdźcie ten dom. Proszę, to jest bardzo pilne.

— Poinformuję policję w Palm Springs.

— Naprawdę? Będę bardzo wdzięczny. Niech pan im powie, że to naprawdę poważna sprawa. To przyjęcie będzie się odbywało w domu Adele Corliss.

— Adele Corliss, powiada pan? Tej, która grała w Namiętnych oszustach?

— Właśnie.

— Czy ma pan pojęcie, jak może wyglądać zabójca? John przykrył dłonią mikrofon słuchawki i odezwał się do profesora Sweetmana:

— Profesorze, jak wygląda człowiek, który ma zabić Seidena? Może mi pan powiedzieć cokolwiek na jego temat?

Profesor jedynie pokręcił przecząco głową.

— Niestety, nigdy nie ujawniają mi nic na ten temat.

John powrócił do rozmowy telefonicznej:

— Przykro mi, ale nie potrafię opisać mordercy.

— Trudno — westchnął mężczyzna po drugiej stronie. — W każdym razie dziękuję za telefon. Wszystko dokładnie sprawdzimy.

John z rezygnacją odłożył słuchawkę.

— Czy wiecie, kto to jest sceptyk? — zapytał ponuro.

— Jasne — odparł Mel. — To taki facet, który nie uwierzy we własną śmierć, dopóki nie pozwoli mu zmierzyć swojego pulsu.

— Właśnie. To określenie dokładnie pasuje do policjanta, z którym rozmawiałem.

Obawiam się, że sami będziemy musieli czym prędzej pojechać do Palm Springs.

— A co zrobimy ze Sweetmanem? — zapytał Mel.

John popatrzył na starszego, przygarbionego, siwego człowieka w białym fartuchu.

— Profesorze — odezwał się.

— Nie ma obawy, nigdzie nie ucieknę. — Sweetman zrozumiał, o co mu chodzi. —

Przecież nie mogę zostawić Mimy — powiedział głucho.

— A ten? — Perri wskazała na Dennisa.

Dennis wzruszył ramionami.

— Jeśli o mnie chodzi, to pewnie ucieknę.

— Trudno, zaryzykujemy. Wiemy, jak wyglądasz, znamy numery twojego samochodu...

Jeżeli podoba ci się Meksyk, to zwiewaj właśnie tam. W Meksyku nikt cię nie będzie szukał,

zresztą nie jesteś tego wart. Granica jest tak blisko, że możesz dojechać taksówką.

Mel zatknął rewolwer za pasek i w tym momencie cała trójka była gotowa do drogi. W milczeniu opuścili gabinet profesora, przeszli przez pomieszczenie, w którym natarczywie szumiały komputery, i po chwili znaleźli się na zewnątrz. Na dworze panował już półmrok.

— Jak długo jedzie się do Palm Springs? — zapytała Perri. — Zdaje się, że to cholerny kawał drogi.

John popatrzył na zegarek.

— Jeżeli pojedziemy przez Paloma Valley i Sun City, będziemy mieli do pokonania jakieś dwieście mil — odparł. — Dochodzi szósta, będziemy więc na miejscu około jedenastej.

Większość tych wieczornych imprez w Palm Springs rozpoczyna się bardzo późno, może więc będziemy mieli szczęście i zdążymy.

— Och, Boże — westchnęła Perri. — Mam nadzieję.

Była godzina osiemnasta, kiedy wyjeżdżali z San Diego, jadąc Murphy Canyon Road.

Było już niemal zupełnie ciemno, a ciepłe, parne powietrze było aż gęste od owadów, wpadających na szyby reflektorów. Siedzący za kierownicą John przetarł zmęczone oczy, modląc się, aby starczyło mu energii do wykonania tego, co go jeszcze w tym dniu czekało.

Dennis tymczasem cierpliwie patrzył przez okno gabinetu profesora Sweetmana, aż biały lincoln wyjedzie z parkingu i opuści teren kampusu. Gdy się tego wreszcie doczekał, natychmiast zdusił niedopałek w popielniczce i podszedł do telefonu. Wykręcił numer i słuchawka po drugiej stronie została natychmiast podniesiona.

— Kto mówi? — usłyszał natarczywe pytanie.

— Dennis O'Fallon. Wciąż jestem w San Diego. Cholera, ktoś się do mnie przyczepił.

— Kto taki?

— Pewien młody facet o nazwisku... Jak on się nazywał, profesorze?

— Cullen — odparł ponuro profesor Sweetman.

— Właśnie, młody facet o nazwisku Cullen oraz jakaś blondynka i grubas. Oni wszystko wiedzą. Wszystko, o Sweetmanie, wydrukach i w ogóle. Profesor powiedział im nawet o Seidenie. Teraz jadą właśnie do Palm Springs.

Głos po drugiej stronie nie zdradzał żadnych emocji.

— Kiedy wyjechali?

— Przed chwilą.

— Jaką trasę wybrali?

— Wygląda mi, że chcą jechać Murphy Canyon Road, żeby dotrzeć do Cabrillo Freeway w Miramar. Przypuszczam, że potem pojedą drogą 15E do Riverside, a stamtąd na wschód.

Przez chwilę trwała cisza, po czym rozmówca Dennisa odezwał się:

— W porządku, dobrze zrobiłeś, że zadzwoniłeś. Zostań na miejscu i miej oko na Sweetmana, dopóki się z tobą nie skontaktujemy.

— Zniszczyli mi samochód — jęknął Dennis. — Przestrzelili oponę.

— Czy są uzbrojeni?

— Tylko grubas. Ma rewolwer.

Znów zapadła cisza, po czym Dennis usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Przez chwilę jeszcze trzymał swoją przy uchu, ale wreszcie zrozumiał, że nic więcej już nie usłyszy, i odłożył ją na widełki.

— No cóż, profesorze — powiedział. — Wygląda na to, że spędzimy razem długą noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

O godzinie osiemnastej trzydzieści, Henry Ullerstam ucałował dłoń Hilary Nestor Hunter i powoli wyszedł przed jej dom, gdzie na podjeździe czekał na niego lśniący, czarny rolls-royce silver cloud III. Szofer otworzył drzwiczki, po czym zatrzasnął je za nim i po chwili limuzyna ruszyła. Hilary wpatrywała się w odjeżdżający samochód, dopóki nie zniknęły jej z oczu jego tylne światła. Rozmyślała o roku 1980, o Angoli, o złożach ropy naftowej i bogactwie, które spadnie na nią dzięki współpracy z Henrym.

Hilary nie zdążyła zatrzasnąć drzwi, gdy na podjeździe z piskiem opon zahamował brązowy buick. Z samochodu jak szalony wypadł młody chłopak w dżinsach. Pod pachą trzymał duże kartonowe pudło.

— Przywiozłem pani kostium — wysapał. — Przepraszam, bardzo panią przepraszam za to opóźnienie.

Hilary uśmiechnęła się nieznacznie. Jej myśli błądziły bardzo daleko stąd.

— Nic nie szkodzi — odparła. — Nic strasznego się nie stało.

Młodzieniec ze zdumieniem zamrugał powiekami. Hilary natomiast strzeliła palcami w kierunku jednej z dziewcząt i powiedziała do niej:

— Daj chłopakowi pięć dolarów za fatygę. A potem przyjdź do sypialni, pomożesz mi się ubrać.

Powoli, statecznym krokiem Hilary ruszyła w głąb domu. Młodzieniec i dziewczyna popatrzyli po sobie z najwyższym zdumieniem, po czym jak na komendę oboje wzruszyli ramionami.

Anthony Seiden wyszedł spod prysznic, owinięty w ciemnoniebieski ręcznik. Przeszedł przez sypialnię i wszedł do przebieralni. Dana, w negliżu w kolorze dzikich brzoskwiń, siedziała przed lustrem. Sypialnia i garderoba wykończone były w stylu rokoko z Bel Air.

Łóżko miało wysokie, złożone ramy u wezglowia i w nogach, a wszystkie meble były w kolorze kremowym i miały złote ozdoby na rogach i kantach. Na ścianach wisały akwarele w złożonych ramach, przedstawiające sielankowe sceny z życia amerykańskiej prowincji z początku dwudziestego wieku. Anthony odziedziczył to wszystko (a raczej odkupił) po poprzednim właścicielu domu, Abrahamie Spiro, reżyserze, specjalizującym się w wielkich produkcjach kostiumowych. Jego brak smaku przypadł Seidenowi do gustu tak bardzo, że postanowił tu niczego nie zmieniać. Często mawiał, że przyszłe pokolenia będą wędrowały po tych dwóch pomieszczeniach i rozdziawiały gęby z zachwytem.

— Mam nadzieję, że nie będziesz się dzisiaj kłócił z Carlem Chapmanem — powiedziała Dana.

— Dlaczego miałbym się z nim kłócić? — zdziwił się Anthony. — Przecież to nie jego wina, że jest faszystowskim bigotem. Tak samo ja nic na to nie poradzę, że w głębi duszy jestem liberałem.

— Czy to właśnie chcesz mu powiedzieć? Anthony roześmiał się.

— Jasne. Prosto w twarz.

— Nie śmieć się. Pamiętam, jak powiedziałaś Richardowi Nixonowi, że cierpi na manię wielkości.

— Bo to prawda. Zresztą, prawdę mówiąc, wątpię, czy mnie wtedy słyszał.

Dana zaczęła malować powieki.

— Ale słyszało to mnóstwo ludzi dookoła, i to się liczyło.

Anthony poparzył na jej twarz, odbijającą się w tej chwili w trzech lustrach toaletki. Lewy profil, prawy profil, en face. Piękna blondynka z północnej Europy, o sześciu wielkich, niebieskich oczach, sześciu rękach o długich palcach i paznokciach błyszczących perłowym lakierem, sześciu

jędrnych piersiach i sześciu pięknych ramionach.

— Dlaczego właściwie się martwisz, co powiem Carlowi Chapmanowi? — zapytał ją. — Przecież to prawicowy ekstremista najgorszego gatunku.

— Uważam po prostu, że za ciebie powinny mówić jedynie twoje filmy, ty sam mógłbyś milczeć.

Anthony popatrzył ostro na jej odbicie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Nic. Tylko to, co powiedziałam. O co ci chodzi?

— Nie wiem, sam nie wiem. Po prostu wydaje mi się, że bardzo się zmieniłaś, Dano, nie wiem dlaczego.

— Naprawdę? — Odwróciła oczy, żeby nie spotkać się z jego wzrokiem.

Przez długą chwilę nie spuszczał spojrzenia z jej odbicia.

— Czuję, że nie pociągam cię już seksualnie — powiedział. — Odnoszę wrażenie, że w jakiś sposób jesteśmy ze sobą związani emocjonalnie, jednak seks nie będzie nas już nigdy łączył. Taka sytuacja może sprawić nawet, że wkrótce mnie znienawidzisz.

Posłała mu niepewny uśmiech.

— Opowiadasz bzdury — stwierdziła.

— Naprawdę? Znam cię zbyt długo, żeby się mylić, Dano. Byliśmy w sobie zakochani.

Przeszliśmy wszystkie szczeble wzajemnego zauroczenia. Dlatego wiem, kiedy cię pociągam, a kiedy nie. Dlatego wiem, że nie masz najmniejszej ochoty na współżycie ze mną.

Zrozumiałem to w pierwszej chwili, kiedy tutaj wróciłaś.

Dana westchnęła.

— Potrzebujemy czasu — powiedziała cicho.

— Czasu? — zdziwił się. — Czasu na co? Na zaistnienie czegoś, co już nie istnieje? Po co podlewać ziemię, w której nie ma nasion? Popatrz na mnie.

Lewą ręką delikatnie odwrócił jej głowę, kierując jej spojrzenie na swoją twarz. Przez chwilę wytrzymała jego wzrok, po czym szybko się odwróciła. Jej policzki lekko się zaczerwieniły.

— Czy jesteś w stanie uczciwie, szczerze powiedzieć, że mnie kochasz? — zapytał Anthony.

Milczała.

— Czy możesz szczerze powiedzieć, że wróciłaś do mnie, bo jesteś przekonana, że nasze małżeństwo ma jednak szansę?

— Nie — wyszeptwała.

— Więc dlaczego wróciłaś? Skoro mnie nie kochasz, skoro nie chcesz ratować naszego małżeństwa, dlaczego tutaj jesteś?

Odpowiedziała mu głosem tak cichym, że z trudem mógł ją zrozumieć:

— Każdy z nas robi kiedyś w życiu coś głupiego.

— Nie spodziewałem się głupich czynów po tobie. A przynajmniej aż tak głupich. Odkąd cię znam, wszystko, co robiłaś, miało jakiś cel, który służył tobie. Pytam cię więc jeszcze raz: dlaczego do mnie wróciłaś? Przecież widzę, że cierpisz, z trudem znosisz każdą chwilę, którą spędzamy razem. O co ci chodzi?

Patrzyła na jego twarz, a w jej spojrzeniu malowało się oburzenie.

— Cierpię? Sądzisz, że cierpię? A co ty tak naprawdę o mnie wiesz? Czy kiedykolwiek starałeś się przeniknąć do głębi mej duszy? Nigdy w żadnej sprawie nie pytałeś mnie o zdanie, nie starałeś się odgadnąć, co czuję, czego pragnę. Traktowałeś mnie jedynie jako dobrze wynagradzaną aktorkę w twoim najwspanialszym, dopracowanym do perfekcji filmie, zatytułowanym Życie Anthony'ego

Seidena. Rozejrzyj się chociażby dookoła. Postanowiłeś zachować tę pstrokatą sypialnię i garderobę tylko dlatego, że uważasz, iż jestem głupiutką gwiazdeczką, której z całą pewnością coś takiego będzie się podobało!

Anthony wbił wzrok w podłogę.

— To nieprawda, Dano, nawet tak nie myśl...

— Ależ to jest właśnie prawda! Jak myślisz, dlaczego odeszłam? Dlatego, że nie chciałam już być traktowana jak słodka idiotka, która poza urodą nie jest w stanie niczego wartościowego wnieść do twojego życia.

— Dlaczego więc wróciłaś, skoro tak bardzo znenawidziłaś naszą wspólną przeszłość? — zapytał Anthony.

Oparła otwarte dłonie o stół. Wyraźnie było widać, że z trudem panuje nad sobą.

— Ponieważ mam tutaj coś ważnego do zrobienia — odparła. — Po raz pierwszy w moim życiu ktoś zlecił mi naprawdę poważne zadanie.

Anthony wyprostował się. Nie zamierzał pytać, co Dana ma na myśli, mówiąc o „poważnym zadaniu”. Spodziewał się, że dowie się tego we właściwym momencie; podpowiadały mu to doświadczenia z przeszłości.

Westchnął.

— No cóż, chyba zacznę się ubierać — powiedział. Spojrzał na swój nieprzyzwoicie drogi zegarek od Baume’a i Merciera. Dochodziła godzina dziewiętnasta piętnaście.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

O dziewiętnastej pięćdziesiąt osiem T. F. podniósł się z krzesła przy oknie. Ostrożnie ułożył M-14 na podłodze i przeszedł się po sypialni, żeby rozprostować kości. Mark spał; T. F. uznawał to za najlepsze rozwiązanie dla niego, zważywszy na okoliczności.

W pokoju panował już mrok. Niebo na zewnątrz było już niemal zupełnie czarne. Żarówki, porozwieszane na sznurach pomiędzy drzewami, już się paliły. W powietrzu unosiły się zapachy wspaniałych potraw, przygotowywanych w kuchni. T. F. zapalił papierosa. Nie był głodny, wiedział zresztą, że nie będzie w stanie niczego przełknąć, dopóki nie odda śmiertelnego strzału, który na zawsze uciszy Anthony'ego Seidena. Robota nie wydawała się nadmiernie trudna, a jej wykonanie powinno mu wyrobić reputację sprawnego, rzetelnego płatnego zabójcy. Wiedział jednak, że do końca powinien być skoncentrowany. Był to najlepszy sposób na uniknięcie błędów nieprzewidzianych przeszkód, które w tej robocie od czasu do czasu się pojawiały.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego świat został stworzony taki właśnie, jaki jest. Dlaczego trzeba zabijać ludzi, aby forsować własny punkt widzenia na sprawy. Zdawało mu się to dziwacznym i irracjonalnym sposobem załatwiania sporów, mimo że przecież z tego żył.

Czasami marzył o świecie, w którym nie trzeba wykonywać mokrej roboty, o świecie, w którym robi się to, na co ma się akurat ochotę. W marzeniach tych miewał przeważnie ochotę na dziesiątki dziewcząt i wyobrażał sobie, jak pieprzy je, jedną po drugiej.

Usłyszał gwałtowne pukanie do drzwi i zapytał cichym głosem:

— Kto tam?

— To ja, Ken.

T. F. podszedł do drzwi i otworzył je, przekręcając klucz w zamku.

— O co chodzi? — zapytał. — Myślałem, że przez cały czas pozostaniesz na dole i będziesz miał oko na służących.

— Przez cały czas nic innego nie robiłem, tylko ich obserwowałem. Przed chwilą jednak rozmawiałem przez telefon z Allenem. Powiedział mi, że ten cały Cullen razem z grubasem dowiedzieli się, co się tutaj będzie działo. Postawili na nogi policję, a sami jadą do Palm Springs.

T. F. wysłuchał tych wiadomości w milczeniu.

— Cullen, powiadasz? — mruknął wreszcie.

— Tak.

— Czy Allen poczynił odpowiednie kroki?

Ken wzruszył ramionami.

— Nie powiedział mi. Ale wydaje mi się, że będzie chciał ich zatrzymać na drodze.

T. F. zaciągnął się papierosem.

— Kurwa mać. Ten skurwysyn, Cullen, ciągle wchodzi mi w drogę. Powinienem był odstrzelić mu łeb już tego dnia, kiedy go po raz pierwszy zobaczyłem.

Była godzina dwudziesta zero cztery.

Adele Corliss siedziała przed toaletką. Obok niej stała Dolores, jej pokojówka, trzymając ręczniki i lokówki. Mosiężne lampy w sypialni Adele dawały słabe światło, za to toaletka była tak intensywnie oświetlona, że sprawiała wrażenie ołtarza, przed którym najwyższa kapłanka Palm Springs codziennie składała ofiary młodości i urodzie. Zastanawiała się właśnie, czy zmarszczki pod oczami dojrzały do kolejnego zabiegu. Słońce i napięcie, spowodowane obecnością tego

nieodgadnionego młodego kochanka, zrobiły swoje. Na szczęście reszta ciała Adele wciąż była bez zarzutu.

— Czy nie może pani nic poradzić na tych wstrętnych bandytów? — zapytała Dolores.

Adele uśmiechnęła się ze smutkiem.

— Nie zapominaj, że Mark wciąż jest na gorze. Zabiją go, jeśli tylko nabiorą podejrzeń, że poczyniłyśmy jakiegokolwiek kroki przeciwko nim. Widziałas tego mężczyznę, który pilnuje Marka, tego czarnego? Wygląda jak jadowny grzechotnik.

Na Dolores nie wywarło to wrażenia.

— Nawet grzechotniki mają słabe punkty.

— Być może — przyznała Adele. — Nie zamierzam jednak ryzykować życia Marka, żeby to udowodnić.

— Nie musi pani ryzykować. Ten z czarnymi włosami przez cały czas siedzi przy oknie w pokoju pana Kena i patrzy na zewnątrz. Widziałam go, kiedy przechodziłam przed domem.

Jeżeli dałaby pani radę wydostać strzelbę z biblioteki i wejść do małej zielonej sypialni, mogłaby pani z jej okna strzelić do niego. Padłby jak mucha i nawet po śmierci nie wiedziałby dlaczego.

Adele na moment znieruchomiała, po czym zaczęła szybko ścierać krem z twarzy.

— Dolores — westchnęła — jesteś w gorącej wodzie kąpana. Ten facet ma profesjonalny, wojskowy karabin i jest zawodowym mordercą. Nikt z nas nie jest w stanie zaskoczyć go i zabić. Jak myślisz, co on zrobi, jeżeli ktoś strzeli do niego i chybi?

Dolores milczała. Adele popatrzyła na nią i dodała:

— Nawet nie myśl o tym, że możemy mu zagrozić. Zabraniam ci. Zwolnię cię, jeżeli mnie nie posłuchasz. Jeżeli, oczywiście, nasz grzechotnik nie dopadnie cię pierwszy.

Dolores była rozczarowana. Tymczasem zegar na toalecie Adele Corliss wskazał godzinę dwudziestą czterdzieści trzy.

O dwudziestej pierwszej jedenaście wycarterowany lear-jet z Carlem i Elspeth Chapmanami na pokładzie wylądował na lotnisku w Palm Springs. Reporter UPI odnotował, iż mimo panującego już zmroku pani Chapman miała na nosie ciemne okulary.

Carl Chapman, zapytany, co sądzi o filmach Anthony'ego Seidena, odparł z szerokim uśmiechem na ustach:

— Każdy obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki ma prawo wyrażać do woli swoje przekonania. Powiedziałbym, że Tony Seiden czyni to z wyjątkowym talentem. Wkrótce wezmę udział w przyjęciu na jego cześć; zaprosiła mnie na nie Adele Corliss, moja serdeczna przyjaciółka. Szanuję filmy, które stworzył Anthony Seiden niezależnie od tego, czy zgadzam się z jego poglądami politycznymi, czy też nie.

Notując słowa Carla X. Chapmana, reporterzy nie zdawali sobie sprawy, że senator stara się wyrobić sobie mocne alibi.

O godzinie dwudziestej pierwszej siedemnaście do domu Adele Corliss przybyli pierwsi goście i rozległy się dźwięki muzyki. Dzięki potężnym wzmacniaczom hiszpańskie ballady było słycać w promieniu mili. Na pierwszym piętrze domu czekał T. F., rozparty wygodnie na krześle. Czekał z cierpliwością będącą źródłem jego zawodowej dumy. Czekał z cierpliwością zawodowego mordercy, którego celem jest wykonanie zadania w jednym określonym ułamku sekundy, kiedy nadejdzie właściwy moment.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Z głośnym dudnieniem potężnych silników, helikopter Bell uniósł się z betonowego lądowiska w Morrow Field, niedaleko San Bernardino. Szybko znalazł się kilkadziesiąt stóp nad ziemią, a jego reflektory zaczęły przeszukiwać teren. W kokpicie siedział Umberto. Na kolanach miał karabin automatyczny Schmeisser MP40, czarny, lśniący, dobrze naoliwiony.

W płóciennej torbie na podłodze znajdowały się zapasowe magazynki z nabojami.

Pilotem helikoptera ponownie był Val, ubrany w niechlujne, sprane dżinsy i niebieską płócienną koszulkę. Na oczach miał ciemne okulary przeciwsłoneczne, a w nieroztropnie rozpiętym olstrze u pasa tkwił wielki kolt Python kaliber 357.

Była godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści cztery, kiedy Umberto odezwał się przez interkom:

— Kieruj się na Riverside Auto Racetrack. Moim zdaniem ptaszki wkrótce tam dotrą.

Otaczała ich absolutna ciemność, jedynie tu i ówdzie błyskały słabe światła. Z olbrzymim hałasem helikopter leciał na południowy wschód, nie zmieniając kierunku, dopóki Val nie rozpoznał, że znajdują się nad Riverside Freeway w Grand Terrace. Dzięki oświetleniu ulic łatwo rozpoznali miasteczko.

— Cholera, oby dalej tak dobrze mi szło — odezwał się.

— Nie przejmuj się, nie możemy ich nie zauważyć — uspokoił go Umberto. — Jadą wielkim białym lincolnem capri z 1958 roku. Nie sposób go nie zauważyć. Z równym powodzeniem mogliby odpalać w niebo race.

Val obniżył poziom lotu, a Umberto skierował światła reflektora na samochody jadące szosą. Wychylił się odrobinę z kokpitu, wypatrując lincolna należącego do Johna Cullena.

— Powystrzelamy ich jak kaczkę? — zapytał go Val.

Umberto tylko pokiwał głową.

— Tak — dodał po chwili. — Tym razem powystrzelamy ich jak kaczkę.

Val opuścił się jeszcze niżej nad szosę. Płozy helikoptera niemal dotykały teraz dachów jadących samochodów; musiał nawet gwałtownie poderwać maszynę do góry, ujrzawszy przed sobą ogromną, rzęsiście oświetloną ciężarówkę. Przelatując nad nią, widział zdziwioną twarz kierowcy.

Przez długie dziesięć minut lecieli nad szosą pełną pojazdów. Kilkakrotnie zwracali baczniejszą uwagę na białe samochody, były to jednak za każdym razem cadillaki, a w jednym wypadku zdezelowany chrysler.

— Cholera, kazali nam znaleźć jeden mały, niepozorny samochód w samym środku nocy.

Czy oni poszaleli? Przecież ten samochód wcale nie musi jechać tą szosą — narzekał Val.

— Nic się nie bój, Allen wszystko dokładnie wyliczył. Powiedział mi, że powinniśmy natknąć się na nich tutaj mniej więcej o dziesiątej, może trochę wcześniej. Ten lincoln to szybki, dobry, stary samochód, tak przynajmniej twierdzi T. F. Zapieprzali sto dziesięć mil na godzinę, kiedy jechał za nimi do San Diego.

— Ale dlaczego ich jeszcze nie widać? — Val był wyraźnie niezadowolony. — Jeżeli polecimy tak jeszcze trochę, w końcu zainteresuje się nami policja.

Umberto uniósł schmeissera i odbezpieczył go.

— Nie martw się. Na razie musimy wykonywać swoją robotę. W końcu jest dopiero za pięć dziesiąta.

Val zamilkł, kontynuując lot. Minęła zaledwie minuta, gdy Umberto zawołał:

— Uważaj! Tam, pod nami, trochę na wprost! Chyba go mamy!

Helikopter zwolnił i zatoczył nad szosą pełen krąg. Dokładnie pod nim, z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę, jechał biały lincoln Johna Cullena. Karoserię miał zakurzoną od czerwonego pyłu pustyni. Na tylnym siedzeniu było widać sylwetkę śpiącej dziewczyny.

Umberto przygotował karabin do strzału i kciukiem nakazał Valowi, aby jeszcze bardziej obniżył lot. Jedna długa seria ze schmeissera powinna załatwić sprawę. Umberto dokładnie wymierzył.

Mel pierwszy zauważył helikopter. Na początku pomyślał, że to maszyna policyjna, kiedy jednak zatoczyła nad nimi koło, zrozumiał, że to prywatny helikopter, nie mający nic wspólnego z policją. Ujrzał prywatne znaki rejestracyjne i pilota, ubranego w dżinsy i niebieską koszulkę.

— On na nas poluje! — zawołał do Johna, wskazując ręką do góry. — John, na miłość boską, on nas zaraz zaatakuję.

W tym momencie obudziła się Perri i zapytała:

— Co się dzieje?

— Ściga nas helikopter — odparł spokojnie John. — Wygląda na to, że za wszelką cenę chcą nas powstrzymać..

Przyspieszył i w ciągu kilku sekund osiągnął prędkość stu piętnastu mil na godzinę. Ćmy i owady zaczęły uderzać w przednią szybę niczym gęsty, letni deszcz. John wyprzedził kilka samochodów osobowych i ciężarówek, jednak po chwili przed jego autem nie było już nic, jedynie mrok, rozpraszany przez silne światła reflektorów lincolna.

Zerknął w prawo. Helikopter dostosował szybkość do prędkości lincolna. Leciał bardzo nisko, zaledwie dwanaście do piętnastu stóp nad ziemią, tak nisko, że przestraszył się go kierowca ciężarówki jadącej z naprzeciwka i kilkakrotnie z przerażeniem nacisnął na klakson.

— Nie odczepimy się od niego — powiedział John do Mela. — Cholera, jest za szybki.

Będzie krążył nad nami, dokądkolwiek pojedziemy.

Mel wy dobył z pasa rewolwer. Wręczył go Johnowi i powiedział:

— Spróbuj, może trafisz pilota. To by załatwiło sprawę.

Lewą rękę trzymając na kierownicy, prawą John uniósł w górę i wymierzył w pilota, widocznego za pleksiglasową obudową kabiny helikoptera. Maszyna wciąż leciała dokładnie nad lincolnem, jej rotory warczały tak głośno, że zagłuszały wszelkie inne odgłosy. John mógł porozumiewać się z Melem jedynie krzykiem.

John dwukrotnie strzelił. Helikopter momentalnie wzbił się w górę, poza zasięg następnych strzałów. Wszyscy troje popatrzyli za nim, chcąc go dojrzeć, było to jednak niemożliwe. Noc skrywała go wystarczająco skutecznie.

— Może się wystraszył — odezwał się Mel głosem pełnym nadziei.

John potrząsnął głową.

— Nie licz na to. Po prostu odleciał na tyle daleko, żebyśmy nie mogli do niego strzelać.

Być może zrobiłem im dziurę w kokpicie, nie sądzę jednak, aby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Znow usłyszeli warkot helikoptera, chociaż go teraz nie widzieli. Perri jednak wbiła uważne spojrzenie w ciemność.

— Jest jakieś dziesięć stóp nad nami, mniej więcej pięćdziesiąt stóp w górze — powiedziała po chwili.

Szosa za nimi i przed nimi jakby opustoszała. Jeżeli załoga helikoptera zamierzała zaatakować lincolna, teraz właśnie mieli wymarzoną okazję. John postanowił jechać zygzakiem, starając się, aby

samochód stał się jak najtrudniejszym celem dla strzelca znajdującego się u góry, w kabinie.

Usłyszeli odgłos, przypominający dźwięki wydawane przez klucz przelatujących ptaków. I niespodziewanie w trzech punktach pokrywy silnika pojawiły się okrągłe dziury. Z trzaskiem pękła też tylna szyba.

— To karabin maszynowy! — krzyknął Mel.

Kolejna seria rozbiła przednią szybę lincolna. Kule przebiły też bagażnik, docierając do tylnych opon, które popękały z hukiem.

Umysł Johna pracował zadziwiająco chłodno i precyzyjnie. Pamiętał, że jeszcze musi przejechać pół mili do skrzyżowania. Droga w prawo będzie prowadziła pod osłoną potężnych, starych drzew. Nie wiedział, dokąd nią dojedzie, zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli chce przeżyć atak z powietrza, uniknąć czegoś, co nosiło wszelkie znamiona egzekucji z zimną krwią, musi jak najszybciej zjechać z szerokiej, odkrytej szosy. Jeszcze mocniej, chociaż zdawało się to już niemożliwe, nacisnął na pedał gazu. Mimo dwóch przebitych opon, lincoln zareagował i wyrwał do przodu z jeszcze większą prędkością.

Pół mili przejechali w mgnieniu oka, tak szybko, że John nie zauważył w porę niewielkiego skrzyżowania. Gdy nadusił na hamulec, było już za późno. W jednej krótkiej chwili całkowicie stracił panowanie nad pojazdem, który, co prawda, zjechał w prawo, jednak zamiast dalej pojechać boczną szosą, zaczął staczać się ze skarpy.

Trwało to kilka długich, przerażających sekund. Lincoln nie przekoziółkował tylko dlatego, że przez cały czas sunął przodem. Gdy wreszcie zatrzymał się, wciąż stał na czterech kołach. Wytrzymały solidne zawieszania i auto wciąż było gotowe do jazdy.

— Matko Boska — jęknął Mel.

John natychmiast ruszył czymś, co okazało się wąską polną drogą. Z tyłu czuć było swąd palonej gumy, jednak zdołał rozwinąć aż siedemdziesiąt mil na godzinę. Za pędzącym lincolnem unosiła się wysoka chmura gęstego kurzu. Samochód podskakiwał jak piłka na nieskończonych dziurach i co chwilę przejeżdżał jakiś betonowy mostek; było ich tutaj wiele nad kanałami nawadniającymi pole.

Perri pierwsza zobaczyła helikopter, wciąż posuwający się za nimi niczym przerażający, stalowy smok.

— Nie zgubiliśmy ich — jęknęła. — Wciąż nas ścigają. Może powinniśmy porzucić samochód i uciekać pieszo?

— Potrzebujemy tego auta — zauważył John. — A poza tym, jeżeli nie będziemy mieli środka lokomocji, powyłapują nas bez trudu.

Przejechali przez kolejny most i znów usłyszeli świst kul z automatu. Kilka z nich przebiło dach samochodu i utkwіło w tapicerce. Tylko cud sprawił, że nikt z trojga uciekinierów nie został trafiony.

Dotarło do nich, że nie mają najmniejszej szansy. Na wyboistej polnej drodze nie mogli już jechać prędzej niż trzydzieści do czterdziestu mil na godzinę, a helikopter swobodnie krążył nad nimi, teraz już nie wypuszczając ich ze snopu światła, rzucanego przez reflektor. Kolejna seria kul przeczesła przydrożny rów; tylko jedna kula trafiła w boczną szybę, roztrzaskując ją w drobny mak.

Wiedząc, że nic innego mu nie pozostaje, John skierował samochód do kolejnego kanału.

Szczęśliwym trafem był wyschnięty. John zdołał umieścić pojazd pod betonowym mostem.

Teraz kule z helikoptera nie były dla nich groźne. Pod mostem byli na razie bezpieczni.

John wyłączył silnik i siedzieli przez kilka chwil w ciszy i w ciemności, oczekując na następny krok prześladowców.

— Nie możemy tkwić tutaj bez końca. — Ciszę przerwała Perri. — Nawet jeśli nie mogą dostać nas teraz z helikoptera, wkrótce tu kogoś przyślą.

Helikopter krążył nad nimi niczym natrętna ćma.

— Lepiej jednak zostanmy w ukryciu — powiedział John, uzupełniając naboje w rewolwerze.

— Jeżeli wytkniemy nosy spod tego mostu, powystrzelają nas jak kaczki.

Siedzieli w bezruchu w samochodzie, a tymczasem światło reflektora stawało się coraz ostrzejsze, a odgłos rotorów helikoptera głośniejszy. W końcu ujrzeli, jak maszyna łagodnie opada na ziemię. Jej płozy dotknęły gruntu. W tej samej chwili światło reflektora padło na samochód, a silnik maszyny zamilkł. Wskoczyli z niej dwaj mężczyźni i szybkim krokiem ruszyli w kierunku swoich ofiar. Jeden z nich niósł automatyczny karabin.

Zatrzymali się przed mostem i któryś krzyknął:

— Cullen! Jesteś tam?

— Nie odpowiadaj — syknął Mel Johnowi do ucha.

— Cullen, jeżeli tam jesteś, wysiądź z samochodu z rękami nad głową. Żadnych sztuczek, po prostu powoli, spokojnie wysiądź. Potem rusz w naszym kierunku.

— Jeżeli tego nie zrobisz — dodał drugi napastnik — zastrzelimy cię.

John jeszcze przez chwilę milczał.

— Mam pewien pomysł — odezwał się w końcu do Mela. — Zrobię to, czego oni chcą.

— Co? Zwariowałeś? W ten sposób niechybnie zginiesz, a i nam nie ocalisz życia.

— John... — zaczęła Perri.

Popatrzył na nią i szybko uściśnął jej dłoń.

— Spokojnie, Perri, wszystko będzie dobrze. Tymczasem znów usłyszeli głosy swych prześladowców:

— Pospiesz się, Cullen! Nie zamierzamy spędzić tutaj całej nocy.

— Słuchajcie — szepnął John. — Jeżeli wy spokojnie wyjdziecie z samochodu, to ja ich załatwię.

Mel popatrzył mu w oczy i pokiwał głową. Otworzył drzwiczki, wysiadł z samochodu i znalazł się w kręgu światła reflektora. Perri szarpnęła tylne drzwiczki i wyszła za nim.

Zapadła absolutna cisza, gdy Mel i Perri stanęli w oślepiającym blasku, twarzą w twarz z dwoma bandytami. Wtem John zapalił silnik lincolna, wrzucił wsteczny bieg i wydobywając z auta całą moc, ruszył wzdłuż suchego kanału.

Zaskoczenie Umberto i Vala trwało zaledwie sekundę. Natychmiast kule z automatu zadzwoniły o chłodnicę lincolna. W tej chwili jednak John skręcił kierownicą i samochód ruszył w górę, po łagodnym brzegu wydostając się z kanału. Odpadły przy tym drzwiczki, których po wyjściu Mela i Perri nikt już nie zamknął. Znalazłszy się nad kanałem, John przez kilka chwil był poza zasięgiem wzroku bandytów.

Błyskawicznie zmienił bieg i najszybciej, jak tylko mógł, ruszył w kierunku mostu.

Widział światła helikoptera, a gdy znalazł się bliżej, jego spojrzenie padło na moment na Perri i Mela oraz dwóch zabójców, którzy zorientowawszy się, co się święci, ruszyli biegiem w stronę maszyny.

Przez jedną krótką chwilę Johnowi wydawało się, że wszystko źle obliczył i efekt jego akcji będzie jedynie taki, że nic nie wskórawszy, sam straci życie. Było jednak za późno na rozmyślania. Skierował auto w dół, na stojący samotnie helikopter, po czym jednym skokiem wydostał się z lincolna i pogrążył się w ciemności.

Wielki biały samochód trafił dokładnie w to miejsce, w które powinien, i dokładnie w tym momencie, gdy bandyci dobiegali do maszyny. Najpierw rozległ się przeraźliwy zgrzyt rozdieranых blach, a potem okolicą wstrząsnął potężny wybuch; eksplodowały zbiorniki paliwa helikoptera.

Stalowego ptaka ogarnęła pomarańczowa kula ognia, strzelającego wysoko w niebo.

Poobijany i drżący, John wstał. Potykając się, ruszył w kierunku mostu. Uszedł kilkanaście kroków i natknął się na Perri i Mela. Byli równie jak on wstrząśnięci, jednak cali i zdrowi.

Przytulił Perri do siebie i w tym momencie po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak bardzo mu na niej zależy.

Mel odchrząknął i powiedział:

— Mój zegarek zatrzymał się na dziesiątej dziesięć. Ile czasu jeszcze potrzebujemy, żeby dotrzeć do Palm Springs?

John jeszcze nie zdołał opanować drżenia. Kilkadziesiąt jardów dalej wciąż palił się helikopter.

— Może jest tu gdzieś niedaleko jakiś dom, jakaś samotna farma? Musimy, niestety, pożyczyć jakiś wóz — powiedział.

— Ci mężczyźni... Wiem, co chcieli z nami zrobić, a jednak... — westchnęła Perri.

John otoczył ją ramieniem. Płomienie powoli dogasały i wokół znów zaczynała panować ciemność.

— Rozumiem cię — powiedział cicho. — Teraz jednak liczy się tylko Anthony Seiden.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

T. F. zastygł w bezruchu. Na podjeździe przed domem zatrzymała się długa, czarna limuzyna i wysiedli z niej dwaj wysocy, otyli mężczyźni. Powitały ich rześiste oklaski gości, którzy już wcześniej przybyli na przyjęcie. Jednak nie o nich tutaj chodziło. Mężczyźni szybko rozejrzeli się dookoła i dopiero na dany przez nich znak z samochodu wynurzył się Anthony Seiden w ciemnoniebieskim tuksedo. Dzisiejszy cel T. F.

Seiden schylił się i podał rękę swojej małżonce, Danie. Ubrana była tego wieczoru w złotawopomarańczową suknię, bardzo krótką, a na ramionach miała szeroki szal z norek. T. F. nie wiedział, czy nie podpowiada mu tego zbyt bujna wyobraźnia, gotów był jednak przysiąc, że Dana rzuciła szybkie spojrzenie na jedno z okien budynku.

Na łóżku poruszył się Mark i zapytał bełkotliwym głosem:

— Co jest? Co się dzieje?

— Zamknij się — warknął T. F., nawet nie odwróciwszy się do niego. Popatrzył na świecące cyfry swego zegarka. Była godzina dwudziesta druga trzydzieści siedem.

Trzy minuty później o dwudziestej drugiej czterdzieści na lotnisku w Palm Springs wylądował prywatny piper cherokee i szybko pokołował do terminalu. Gdy się zatrzymał, wysiadła z niego Hilary Nestor Hunter. Miała szerokie niebieskie spodnie do kolan i wysokie rosyjskie buty. Włosy miała zaczesane do tyłu. Przez kilkanaście sekund, gdy Hilary oczekiwała na swój samochód, noc rozbłyskiwała fleszami aparatów fotograficznych, gdyż ze wszystkich stron otaczali ją fotoreporterzy.

Gdy Hilary wsiadła do auta, podbiegła do niej jakaś dziennikarka z dyktafonem i zapytała:

— Pani Hunter, dlaczego kobieta o tak skrajnie prawicowych poglądach, zdecydowana feministka, udaje się na przyjęcie wydawane na cześć lewicującego reżysera filmowego?

Hilary uśmiechnęła się.

— Po prostu z ciekawości. Chcę bliżej poznać pana Seidena. Być może dzięki temu będę w stanie lepiej go zrozumieć.

— Zrozumieć, czy się czegoś nauczyć?

Na to pytanie Hilary już nie odpowiedziała, a jedynie trzasnęła drzwiczkami. Samochód ruszył i po chwili zniknął z pola widzenia dziennikarzy.

Motocykl pędził wśród ciemnej nocy z prędkością przekraczającą dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Szosa była teraz niemal zupełnie pusta, jazda była więc łatwa. Wkrótce mieli znaleźć się w Palm Springs. Była za dziesięć jedenasta, gdy na jednym z drogowskazów pojawił się napis, że do Palm Springs brakuje siedmiu mil.

John wyprzedził jakąś powoli toczącą się ciężarówkę i w tym momencie silnik motocykla zakrzuszył się. John zaczął się modlić, aby wystarczyło paliwa do domu Adele Corliss. Istniało duże prawdopodobieństwo, że jego modlitwy zostaną wysłuchane, gdyż po chwili zobaczył pierwsze światła Palm Springs.

Znaleźli ten motocykl na podwórku małego domu na przedmieściach Eden Hot Springs.

Podczas gdy Mel stał przy szosie i machał ręką na przejeżdżające samochody, licząc na podwiezienie, John i Perri po cichu wyprowadzili motocykl z obejścia. Wcześniej upewnili się, że kluczyk tkwi w stacyjce. W duchu mieli nadzieję, że właściciel kiedyś wybaczy im tę kradzież.

— Która godzina?! — zawołał John. Właśnie przekraczali granicę Palm Springs.

— Za pięć jedenasta! — odkrzyknęła Perri. — Czy wiesz, gdzie znajduje się dom Adele Corliss?

— Nie mam pojęcia! Będziemy musieli kogoś zapytać.

Na ulicach miasta John trochę zwolnił. Była godzina dwudziesta druga pięćdziesiąt osiem.

Anthony Seiden stał obok Dany nad brzegiem basenu, powoli popijając pierwszego drinka i przyjmując gratulacje od przyjaciół. Zespół grał wolną sambę, stoły zastawione były srebrnymi talerzami, wypełnionymi świeżymi łososiami, zimną wołowiną, homarami i jeszcze mnóstwem innych potraw. Rozmowy stawały się coraz głośniejsze, a śmiechy coraz weselsze, szersze, mniej wymuszone.

Anthony zaczął rozglądać za Adele Corliss. Widzieli się do tej pory tylko bardzo krótko przy wejściu. Anthony'ego zaskoczyło, że Adele jest jakby przygaszona i niezbyt skora do rozmowy. Zobaczył ją wreszcie: stała kilkanaście kroków od niego i rozmawiała ze swoim kamerdynerem, Holmanem, Anthony przeprosił Dane i przyjaciół i zbliżył się do nich.

Adele i tym razem ubrana była tak, jakby chciała jak najbardziej upodobnić się do Królowej Śniegu. Miała na sobie białą jedwabną suknię, stylizowaną na lata czterdzieste: z głębokim dekoltem i odkrytymi ramionami. Wyglądała prześlicznie. Kiedy jednak Anthony powiedział „Cześć, Adele”, popatrzyła na niego jedynie z niepewnym uśmiechem; to nie była ta sama Adele, którą znał tak dobrze.

— Adele — powiedział cicho. — Czy coś się stało?

Omijała jego wzrok. Przypatrywała się po kolei wszystkim gościom, jakby spodziewała się, że za chwilę wydarzy się coś niezwykłego.

— A niby co się miało stać? — zapytała wreszcie.

— Adele, zachowujesz się bardzo nienaturalnie. Nigdy nie widziałem cię w takim stanie.

Wyglądasz, jakbyś spodziewała się, że w każdej chwili zjawi się tutaj policja podatkowa.

Nie zdołała nawet się uśmiechnąć. Popatrzyła na swoją szklankę, pustą już, i powiedziała:

— Anthony, kochanie, przynieś mi jeszcze jednego drinka, dobrze?

— Adele...

— Spójrz tylko — przerwała mu. — Tam niedaleko siedzi Carl Chapman. Może podejdziesz i

się przywitasz?

Anthony ujął ją pod rękę. Była chłodna, niemal zimna.

— Adele, tutaj dzieje się coś złego — powiedział. — Zachowujesz się nienaturalnie i jesteś zupełnie zimna...

Adele odwróciła się.

— Jak przystało na Królową Śniegu — powiedziała i odeszła od niego.

Była dwudziesta trzecia. Wysoki, stojący w hallu zegar zaczął rytmicznie wybijać pełną godzinę. T. F., dyżurujący w oknie na piętrze, powoli odbezpieczył M-14. Przyłożył kolbę karabinu do ramienia i spokojnie oparł lufę o parapet. Przez celownik optyczny widział otwarte okno naprzeciwko, stolik i znajdujący się w nim telefon. Widział nawet popielniczkę i zgaszony w niej niedopałek papierosa. Sam przestał przed chwilą palić. Wiedział, że kiedy wykona robotę, będzie miał na to wiele czasu.

O dwudziestej trzeciej zero jeden zadzwonił telefon. Jeden z meksykańskich służących podniósł słuchawkę i odezwał się:

— Tutaj rezydencja pani Corliss. Słucham, kto mówi?

Czyjś chrapliwy głos odpowiedział mu:

— Dzwonię ze studia Fox. Mam pilną wiadomość dla pana Anthony'ego Seidena. Proszę mu powiedzieć, że chodzi o kolory napisów do jego ostatniego filmu.

— Rozumiem. Niech pan chwileczkę poczeka.

Służący położył słuchawkę na stoliku i wyszedł przed dom, aby odszukać Anthony'ego Seidena. Przyjęcie nad basenem rozbrzmiewało już o wiele głośniejsze niż przed kilkoma minutami, kilka par nawet tańczyło. Meksykanin podszedł do Anthony'ego, którego obstąpiło dwóch producentów, zanim zdołał dotrzeć do Carla X. Chapmana. Delikatnie pociągnął go za rękaw.

— Pan Seiden? Przykro mi, ale jest do pana telefon ze studia Fox.

— Czy to nie może poczekać? — zapytał Anthony. — Powiedz im, że później oddzwonię.

— Ten człowiek mówi, że to pilna sprawa, proszę pana. Coś związanego z napisami do ostatniego filmu.

Anthony westchnął.

— Trudno, już idę. Wybaczcie mi, panowie. Wgląda na to, że reżyser filmowy nigdy nie ma chwili wytchnienia.

Dana przymrużonymi oczyma obserwowała go z drugiej strony basenu. Gdy odstawił drinka i ruszył w kierunku domu, przerwała rozmowę i pobiegła za nim. Zdażyła go dopaść.

Chwyciła go za ramię i zapytała:

— Czy coś się stało?

— Nie, wszystko w porządku. Jakiś idiota ze studia znalazł mnie aż tutaj.

— Pójdę z tobą — powiedziała.

Razem weszli do domu Adele. Było tu ciemno i chłodno, muzyki i rozmów prowadzonych na zewnątrz prawie się nie słyszało. Odgłosy ich kroków na gładkim parkiecie roznosiły się po budynku z wielokrotnionym echem.

— Czy rozmawiałaś już z Carlem Chapmanem? — zapytała Dana.

— Właśnie miałem taki zamiar, jednak Peter i Carlo zatrzymali mnie, gdy szedłem w jego kierunku.

Dotarli do stolika. Anthony podniósł słuchawkę i odezwał się:

— Halo? Tutaj Anthony Seiden. Słucham.

Dana wyjęła z torebki papierosa i szybko go zapaliła. Nagle poczuła w sobie pustkę, odniosła wrażenie, jakby nic z tego, co się wokół niej dzieje, nie było realne. Teraz, gdy ten właściwy moment wreszcie nadszedł, wszystko wydawało się majakiem, każdy ruch stał się niemal zbyt trudny do wykonania, wszystkie przedmioty dookoła wydawały jej się większe niż w rzeczywistości. Usłyszała, jak Anthony rozmawia przez telefon, jednak nie rozumiała ani jednego słowa.

A jednak szerzej otworzyła okno, aby ułatwić strzał snajperowi. Do pokoju dotarły wyraźniejsze odgłosy rozmów, muzyka zabrzmiała głośniejsz. Przed dom Adele podjeżdżała właśnie kolejna limuzyna.

T. F. zobaczył, że Dana otwiera szerzej okno. Zaraz potem żona Seidena zniknęła z pola widzenia. Teraz widział tylko reżysera, siedzącego przy stoliku, wciąż w taksedo, widział go jasno i wyraźnie. Seiden pogrążony był w rozmowie. T. F. mocniej ujął M-14 i wycelował w jego głowę. Teraz wystarczyło jedno krótkie, delikatne naciśnięcie spustu i głowa reżysera rozleciałaby się na drobne kawałki. Była godzina dwudziesta trzecia zero pięć i osiem sekund.

Kątem oka T. F. ujrzał limuzynę, zatrzymującą się przed posiadłością Adele. Jeden ze służących otworzył drzwiczki i z auta wysiadły trzy albo cztery kobiety. Przez chwilę stały przed samochodem, po czym ruszyły w kierunku basenu.

— Kurwa mać — wyszeptał T. F. Jedna po drugiej kobiety przechodziły pomiędzy nim a celem, powoli, niespiesznie, zupełnie nieświadome tego, że komplikują mu robotę. Jedna z nich, wysoka blondynka w niebieskich spodniach, dłużej niż inne zatrzymała się na linii strzału.

Wreszcie kobiety przeszły, a Seiden wciąż siedział przy telefonie. T. F. jeszcze mocniej zacisnął dłonie na karabinie i nacisnął na spust.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Z hałasem zajechali przed dom Adele Corliss. John wyłączył silnik i rzucił motocykl na żwir podjazdu. Jakiś Meksykanin ruszył w ich kierunku, zastanawiając się, czy są gośćmi, czy też przyjechali tutaj, żeby rozrabiać. Hilary Nestor Hunter i jej trzy dziewczyny odwróciły się, zaintrygowane hałasem.

Zeskoczywszy z siodełka, Perri krzyknęła na cały głos:

— Hilary!

Hilary Nestor Hunter cofnęła się, zaciekawiona, kto wołają po imieniu. Zrobiła tylko jeden krok i ten jeden krok wystarczył. Rozległ się suchy trzask, jakby pękła gałąź, i na jej piersi wykwitła czerwona plama. Hilary upadła na plecy, po czym jeszcze przekręciła się na brzuch i zastygła w bezruchu z twarzą zwróconą do ziemi.

John błyskawicznie dopadł Perri i zaciągnął ją za jeden z parkujących samochodów.

— Na ziemię! — krzyknął. — I nie ruszaj się!

Meksykanin padł obok Perri, osłaniając dłońmi uszy. John poczuł, że jego serce bije szybciej, puls miał znacznie przyspieszony. Wydobył zza paska rewolwer i zgięty w pół, ruszył w kierunku domu. Przebiegł przez bramę i niespodziewanie znalazł się w samym środku tłumu kłębiącego się nad basenem. Zatrzymał się na chwilę, chcąc odgadnąć, gdzie znajduje się wejście do budynku. Ujrzał je i wbiegł do środka. Natychmiast zaczął się wspinać po schodach z rewolwerem w dłoni. Gdy znalazł się na piętrze, na galerii prowadzącej wzdłuż jednej ze ścian, ogarnęła go zupełna ciemność. Z dołu docierały do niego dźwięki rumbi, odgłosy rozmów i śmiechy; właśnie jeden z producentów

postanowił zaprezentować taniec solo.

Cicho i bardzo szybko John ruszył w kierunku pokoju, z którego, jak przypuszczał, strzelano. Widział błysk światła, odbitego od wypolerowanej lufy karabinu, zaledwie przez ułamek sekundy. Nie miał jednak wątpliwości, w którym oknie znajdował się zabójca, i zamierzał go teraz dopaść.

Nie odważył się zapalić światła. Z rewolwerem wymierzonym w ciemność, szedł przed siebie tak długo, aż dotarł do pierwszej sypialni. Przyłożył ucho do drzwi i nasłuchiwał przez dobre pół minuty, ale z drugiej strony nie dobiegł do niego żaden dźwięk.

Po chwili stanął pod drugimi drzwiami i znów zaczął słuchać. Niespodziewanie przed domem rozległy się piski i krzyki i przestała grać muzyka. Ktoś głośno zawołał, przekrzykując innych:

— Na miłość boską, zawołajcie policję!

John nie był w stanie usłyszeć już niczego, poza odgłosami wzmagającej się paniki przed domem. Właśnie miał ruszyć pod trzecie drzwi, gdy za jego plecami rozległ się głośny, metaliczny szcęk. Odwrócił się błyskawicznie, zaskoczony, przestraszony... Mimo ciemności, dokładnie za sobą ujrzał sylwetkę mężczyzny. Był wysoki, o wiele wyższy, niż John się spodziewał. Dojrzał jego ciemne włosy i twarz, posępną, groźną, surową.

— Rzuć broń — powiedział mężczyzna.

John wahał się przez chwilę, odrzucił jednak rewolwer, który z hukiem uderzył o parkiet.

— A teraz — wyszeptał mężczyzna chrapliwie — pomożesz mi się stąd wydostać.

Będiesz szedł powoli przede mną. Zgodnie przededefilujemy koło basenu, po czym wsiądziemy do jednego z samochodów i odjedziemy. Rozumiesz?

— A co tu jest do rozumienia? Mężczyzna szturchnął go lekko końcem lufy.

— Lepiej się nie odszczekuj. I rób dokładnie to, co ci powiedziałem.

John poczuł na plecach krople potu.

— Zabiłeś mojego ojca i dziewczynę — powiedział. — Nie pomogę ci zwiąć.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— To zależy tylko od ciebie. Skoro nie chcesz być moim zakładnikiem, znajdę sobie kogoś innego. Najpierw jednak skończę z tobą.

Z odległości trzech stóp wymierzył w głowę Johna. Cullen zadrzał.

— Możesz się przeżegnać — zezwolił łaskawie mężczyzna.

— Chcę się dowiedzieć, dlaczego to zrobiłeś — powiedział John. — Dlaczego ich zabiłeś?

Mężczyzna westchnął.

— Zabiłem ich dlatego, że taki jest mój zawód. To wszystko.

— Kto ci zlecił te morderstwa?

— Czy to ma znaczenie?

— Ma znaczenie dla mnie. Chcę wiedzieć, kto ci kazał ich zabić. Chcę znać nazwisko tego człowieka.

Niespodziewanie rozległ się zupełnie inny, nowy głos:

— Nie odpowiadaj, T. F.

T. F. odwrócił się. Kilka kroków od niego z automatem w dłoniach stał Carl X. Chapman.

— Narobiłeś bałaganu, T. F. — powiedział. — Narobiłeś cholernego bałaganu i nie masz w tej chwili najmniejszej szansy na ucieczkę. Wiesz, że nie mogę dopuścić, żeby policja złapała cię żywego.

Zabijanie było zawodem T. F., Chapman był natomiast w tej dziedzinie amatorem.

Carl nie zdołał wykonać żadnego ruchu. T. F. wymierzył w niego z karabinu i wypalił. Siła strzału odrzuciła senatora daleko do tyłu, a na jego brzuchu pojawiła się wielka plama krwi, jakby

właśnie wylał ktoś na niego wiadro z czerwoną farbą. T. F. strzelił jeszcze raz i tym razem pocisk pozbawił Chapmana połowy głowy.

Po pierwszym strzale John rzucił się na kolana, by odnaleźć rewolwer. W chwili gdy T. F. strzelał drugi raz do senatora, John wycelował w jego ciemną sylwetkę i wypalił.

T. F. zdołał się odwrócić w jego kierunku, jednak M-14 wypadł mu z rąk. Ugięły się pod nim kolana i w tym momencie John strzelił jeszcze raz. A potem, gdy zabójca opadł na podłogę, strzelał do jego zwłok tak długo, dopóki nie skończyły mu się naboje.

Potem John zastygł w bezruchu. W powietrzu unosił się gęsty dym. John usłyszał, jak ludzie zaczynają wbiegać po schodach. Ktoś głośno krzychał.

Siedzieli przy stole w hotelowym pokoju i popijali szampana. Rozmawiali niewiele, upajając się ciszą i spokojem po ostatnich gwałtownych wydarzeniach. Później przenieśli się przed gazowy kominek.

— Postanowiłam, że wyjadę na jakiś czas do Europy — powiedziała Perri cicho. —

Potrzebuję czasu, żeby po tym wszystkim ochłonąć. Muszę pojechać gdzieś daleko, gdzie nie będą mnie ścigały koszmarne wspomnienia.

John pokiwał głową. A jednak nie chciał, żeby wyjeżdżała. W tej chwili bardzo jej potrzebował. Zdawał sobie jednak sprawę, co Perri czuje, i wiedział, że nie może jej od niczego odwozic. Kiedy wróci, a był niemal pewien, iż wróci do niego, zapewne będą mogli rozpocząć wspólne życie, bez ścigających ich koszmarów z przeszłości... Pomyślał, że to wszystko trwało zaledwie tydzień. Jeden długi tydzień, podczas którego opłakał śmierć ojca, śmierć Vicki i zabił męczycznę, który był ich mordercą.

— Czy przypuszczacie, że Sweetman zostanie ukarany? Sweetman i ci wszyscy ludzie, którzy byli w to wmieszani? — zapytał Mel.

John wzruszył ramionami.

— To chyba zależy od policji — odparł. — Od tego, na jakie natrafią dowody. Jeśli o mnie chodzi, powiedziałem im wszystko, co wiedziałem.

Zadzwoił telefon. Perri podniosła się i powiedziała:

— Ja odbiorę. — Chwyciła słuchawkę. — Kto tam? — zapytała. A potem dodała: — Tak.

Tak, rozumiem. Proszę chwileczkę poczekać.

Nakryła mikrofon dłonią i powiedziała do Johna:

— Dzwoni niejaka pani Benduzzi. Szuka cię od tygodnia i wreszcie się dowiedziała, że jesteś tutaj. Pyta, czy mógłbyś pójść na spacer z Ricardo w poniedziałek rano. Chciałaby też, żebyś nawoskował jej samochód.

John popatrzył na Perri. W tej chwili odniósł wrażenie, jakby wydarzenia minionego tygodnia nigdy nie zaistniały, jakby to wszystko nigdy się nie zdarzyło. Jutro zaczynał się kolejny nudny, zupełnie normalny dzień.

— Słyszałeś? — zapytał Mela. — Wreszcie powracamy do codzienności.

EPILOG

W sprawie krzywej Sweetmana nigdy nie prowadzono żadnego śledztwa. Profesor Aaron Sweetman przesłuchany został przez policję i FBI. Przyjrzano się tematowi jego badań, nie stwierdzono jednak żadnego naruszenia prawa. Po dwóch dniach przesłuchań policja zwolniła także Kennetha Irwina, bezrobotnego z Seattle.

Koroner stwierdził, że senator Carl X. Chapman zginął, zastrzelony przez Terence'a Fausta, bezrobotnego z Venice. Terence Faust zastrzelił z tej samej broni Hilary Nestor Hunter. Sam z kolei został zastrzelony przez Johna Cullena. Według koronera odwaga i zdecydowane działanie Cullena sprawiły, że na terenie posiadłości Adele Corliss nie polało się tego feralnego sobotniego wieczoru więcej krwi. Zauważył jednak, iż w innych okolicznościach odpowiadałby on za nielegalne posiadanie broni.

Po trzech tygodniach śledztwa FBI postawiła wniosek, że Terence Faust był fanatykiem politycznym i zbrojnym seksualnym. Szczególnie nienawidził polityków ze skrajnej prawicy. Najprawdopodobniej to on był „Ciasteczkiem z autostrady” chociaż w żaden sposób nie dało się jemu właśnie przypisać wszystkich morderstw, które w ostatnich tygodniach popełniono na autostradach w okolicach Los Angeles. Mimo stanowczych twierdzeń Johna Cullena, FBI odrzuciła teorię, że prawdziwym celem Fausta w domu Adele Corliss był Anthony Seiden, a nie Carl X. Chapman. Poza zwłokami senatora Chapmana i Hilary Nestor Hunter, nie istniały żadne inne dowody zbrodniczego działania Fausta w domu Adele Corliss.

Przypuszczenie, że zamierzał pozbawić życia kogoś innego, uznane zostało w tej sytuacji za zbyt daleko posuniętą hipotezę.

Vicki Wallace pochowana została w tydzień po swej śmierci w rodzinnym miasteczku Oxnard w Kalifornii. Ceremonia pogrzebowa była prosta, krótka i bardzo smutna. Hilary Nestor Hunter złożona została do grobu po dwóch dniach, w Forest Lawn. Największy spośród wieńców, jakie złożono na jej grobie, składał się z kilkudziesięciu białych róż i opatrzony był szarfą z napisem „Żegnaj, Angolo”. Zwłoki senatora Chapmana wywieziono do Minneapolis i tam skremowano. Pogrzeb był spokojny, kameralny. Wdowa po Chapmanie, Elspeth, nie płakała.

Miesiąc później Dana Seiden po raz drugi porzuciła swojego męża i wystąpiła z wnioskiem o rozwód, podając jako powód okrucieństwo Anthony'ego Seidena. Rozwód ogłoszony został bardzo szybko, a na rzecz Dany zasądzono dziewięć milionów dolarów. Najnowszy film Seidena otrzymał tytuł Noc zemsty i miał w prasie niejednoznaczne recenzje.

Adele Corliss oświadczyła w telewizyjnym wywiadzie, że ostatnie przerażające doświadczenia pozwoliły jej na nowo spojrzeć na to, jak wielkiej deprawacji uległ w dwudziestym wieku rodzaj ludzki, ale też pomogły jej pojąć istotę wielkości człowieka. W stu procentach pokryła wszelkie koszty związane z operacją plastyczną jej kierowcy, Marka.

Detektywa Morello skierowano do ścigania Dusiciela z Los Angeles, jednak po tym jak zaaresztował dwóch podejrzanych, których w wielkim pośpiechu trzeba było zwolnić, został przeniesiony do wydziału zabójstw w zapomnianym komisariacie na Orange Grove Avenue; w Los Angeles było to jak zesłanie na Syberię.

John Cullen i Mel Walters od czasu do czasu umawiają się w weekendy na ryby. W tygodniu jednak Cullena widuje się najczęściej, jak woskuje samochód albo rozmawia z Yolande w ogrodzie pani Benduzzi. Czasami też spaceruje z psem po alejach parkowych Bel Air, zawsze w wypłowiałej koszulce i starych, spranych dżinsach. Bywają dni, kiedy otrzymuje listy z francuskimi albo niemieckimi znaczkami; siada wówczas na ławce, przywiązuje do niej psa i długo czyta.

Henry Ullerstam, znany magnat naftowy, wyjawiał prasie, że jest niemal pewien, iż nowy kandydat republikanów wygra wybory prezydenckie w 1980 roku.

Wszystkie wydarzenia, które tutaj opisaliśmy, rozegrały się zupełnie niedawno w kraju wolnych ludzi.

* Miary wagi. 1 gran równa się 0,0648 g; 1 uncja to 28,35 g (przyp. tłum.).

* Dwaj dziennikarze, którzy ujawnili opinii publicznej informacje o podsłuchu, zainstalowanym w siedzibie sztabu wyborczego Demokratycznej. Konsekwencją było ustąpienie prezydenta USA, republikanina, Richarda Nixona w 1974 r. (przyp. tłum.).

* John Wilkes Booth 14 kwietnia 1865 roku zamordował prezydenta USA, Abrahama Lincolna (przyp. tłum.).